

ANDREW NICOLL

MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ
CATERINY

Kenny'emu, Margaret i Angusowi

Zaledwie kilka tygodni po wszystkim Luciano Hernando Valdes prawie nie mógł uwierzyć, że dopuścił się morderstwa. Oczywiście, czyn ten rozważał często w swoich powieściach, lecz to nie były morderstwa, w każdym razie nie do końca. Mężczyźni ginęli, kobiety czasem też, ale dlatego, że na to zasłużyli. Nieodmiennie chodziło o honor - skrzywdzona żona, zniesławiona siostra, zdradzony mąż - czasem zaś śmierć od noża lub na kolanach, w opasce na oczach w śmierdzącej chałupie w barriada stanowiła ostatni akt tragedii pożądania, zemsty i odkupienia. Kiedy człowiek czytał powieści pana Valdesa, miał wrażenie, że zakrwawione ofiary wydające ostatnie tchnienie na betonowej podłodze zapomnianej tancbudy albo porzucone o północy w fontannie okryłyby się hańbą na wieczność, gdyby wyobraził sobie dla nich mniej brutalny koniec albo co gorsza, gdyby pozwolił im żyć w samotności do końca swoich dni jako sklepikarze, kinooperatorzy czy prowincjonalni księża. O wiele lepiej, by fikcyjna postać odeszła w krwawej chwale z głową pełną dziur po kulach, lecz nietkniętym honorem.

Pan Valdes odkrył, że prawdziwi ludzie są inni.

Ale cofnijmy się nieco w przeszłość, do czasów, zanim dokonał tego odkrycia.

Pan Valdes siedział na ławce, na której zwykł siadać, przy schodach prowadzących od placu nad rzekę. Merino tego dnia sprawiała wrażenie, jakby płynęła szczególnie niemrawo w stronę odległego morza, zielona jak roślinny sok i równie lepka. Zdawało mu się, że nurt tuż pod powierzchnią wciąż niesie mroczne cienie interioru, jakby gdzieś w górze rzeki mali ludzie z dżungli spojrzeli w nią swoimi czarnymi oczyma, a ona tę ciemność przyjęła.

Na ławce obok pana Valdesa leżały otwarta książka i notes z żółtymi poliniowanymi kartkami. Nic w nim nie zapisał, co nie powinno dziwić, ponieważ trzymał pióro w zębach niczym literacki pirat przygotowujący się do abordażu bezbronnej stronicy.

Siedział, gapiąc się na rzekę i pływające drzewo, które tkwiło dokładnie w tym samym miejscu przez ponad pół godziny jak liniowiec na kotwicy.

- Musiało się zaczepić - powiedział do siebie.

Wtedy jednak pelikan, siedzący ze złożonymi skrzydłami na gałęzi zwieszającej się nad rzeką, niezgrabnie uniósł się w powietrze, a

wówczas całe drzewo zanurzyło się z jednej strony, zakołysało i podskoczyło, wywołując na lepkiej powierzchni samotną zmarszczkę.

- Zadziwiające - powiedział w duchu, gdyż pióro w zębach uniemożliwiało mu wydanie głosu.

W sporej odległości rozległy się trzy ostre gwizdy i pan Valdes zwrócił głowę lekko w lewo. Wiedział, że w połowie szerokości rzeki, prawie na horyzoncie, niemal na krańcu świata, musieli właśnie zmieniać banderę, opuszczając trzy paski, biały, złoty i czerwony, po czym zastępowali je trzema pręgami, białą, czerwoną i złotą. To nie miało znaczenia. Obie bandery by się nadały. Podczas rejsu z jednej strony rzeki na drugą każda wisiała tak samo bezwładnie.

- Zadziwiające - pomyślał pan Valdes, choć widział to tysiące razy wcześniej podczas innych słonecznych poranków.

Niedaleko przy brzegu stały dwa olbrzymie dźwigi, gotowe do rozpoczęcia codziennej pracy. Ze skulonymi ramionami, pewnie rozstawionymi nogami i żurawiami masztowymi opuszczonymi na nabrzeże wyglądały jak para olbrzymich żelaznych golfistów zamierzających przerzucić piłkę przez rzekę na terytorium wroga. Zakaszłały. Maszyneria zaczęła się obracać, a żurawie podnosić.

Krok po kroku golfiści zmieniali się w osły, przez plac zaś chwiejnym krokiem przeszedł señor doktor Joaquin Cochrane, uczony doktor Cochrane, którego szkockie nazwisko nie mogło zatuszować płaskiego nosa, wystających zębów i granatowych, gładkich jak od żelazka włosów indiańskich przodków.

- Panie Valdes! Panie Valdes! - Jego laska ślizgała się nieco na mozaikowym bruku, kiedy spieszył naprzód. - Panie Valdes. Och, obawiałem się, że mnie pan nie zauważył.

Pan Valdes uśmiechnął się słabo, wyjął pióro z zębów i wsunął je między puste kartki żółtego notatnika.

- Señor doktor Cochrane - powiedział. I nic więcej.

- Czy mogę usiąść? - spytał doktor i usiadł na ławce. Pan Valdes ledwie zdążył zabrać książkę. - Jakże inspirujący jest pański widok tutaj, z piórem w dłoni, kiedy czerpie pan inspirację z potężnej Merino.

Doktor wskazał laską na horyzont, na wypadek gdyby ktoś nie zauważył rozciągającej się przed nimi rzeki.

- Potężna Merino... czyż nie powinienem powiedzieć „nasza” Merino... scena tak wielu triumfów mojego odważnego przodka, admirała Cochrane'a, podczas walki o wolność naszego narodu.

Milcząc, jakby wciąż miał pióro w ustach, pan Valdes pomyślał: „Pańscy przodkowie przepłynęli Merino na kłodzie, a piranie podgryzały ich palce”, lecz uśmiechnął się i skinął głową.

- Dobrze się pan czuje, doktorze Cochrane?

- Dziękuję, owszem. A pańska najnowsza powieść idzie naprzód?

- Tak, idzie naprzód. - Pan Valdes złożył dłonie na notesie, który trzymał na kolanach i splótł na nim palce.

- Słowa nie mogą wyrazić tego, co pan już wie, ale czego nie da się przecenić, jak wielką jest pan ozdobą naszego biednego uniwersytetu, jak obecność tak wielkiego autora jak pan, wybitny Luciano Hernando Valdes, umacnia jego reputację jako ośrodka nauki i...

Doktor Cochrane najwyraźniej zapomniał, jak planował zakończyć to zdanie, więc tylko się uśmiechnął, ponownie wskazał laską na rzekę i znów rozciągnął usta w uśmiechu.

- Tak - powiedział. - A pańska powieść idzie naprzód?

- Tak - odparł pan Valdes. - Całkiem dobrze.

- Świetnie. Tak. Idzie naprzód. Jestem uradowany. A pan jest tutaj każdego ranka, z notesami, tworząc atramentem ludzi, żywoty i miasta, które przetrwają dłużej niż piramidy. To nieskończone osiągnięcie.

- Cóż, ja...

- Proszę mi wybaczyć. Zawstydzilem pana. Zachowuję się jak pensjonarka, ale jak mogę udawać, że nie jestem pańskim wielbicielem? Wczorajszego wieczora, kiedy czytałem po raz dziesiąty... a jakby po raz pierwszy... pańskiego wspaniałego Wściekłego psa z San Clemente, odkryłem coś zadziwiającego. - Nie czekając na zachętę, mówił dalej. - Zrozumiałem, że kiedy właściciel ziemski, Carlos, ginie zamordowany na oczach całego miasteczka, a ludzie stoją na ulicach, patrzą i nic nie robią, a on zostaje dźgnięty dwa razy przy kramie handlarza ryb, ucieka do sklepu modystki, gdzie otrzymuje dwa kolejne ciosy, a później czołga się po schodach urzędu pocztowego, na których dobijają go jeszcze trzema pchnięciami, wtedy pojąłem.

Pan Valdes nic nie powiedział. Wbrew sobie mógł unieść brew albo rondo kapelusza mogło przesadnie podkreślić drobny ruch jego głowy, ale to doktorowi wystarczyło.

- Tak, rozumiem. Widzę, że mnie pan sprawdza, ale ja wiem. Siedem ciosów nożem kończących się śmiercią. One oznaczają siedem grzechów głównych, czyż nie? Mam rację?

Powiedział to z intonacją pytającą, więc pan Valdes nie miał innego wyboru, jak tylko odpowiedzieć:

- Jest pan bardzo wnikliwym czytelnikiem. Doktor Cochrane ukłonił się lekko.

- Jako nagrodę za moje oddanie, czy mógłbym, pewnie proszę o zbyt wiele, ale czy mógłbym usłyszeć kilka zdań z pańskiego obecnego dzieła?

- O, nie! Nie sądzę. To znaczy. Ja.

- Rozumiem. Wszystko jasne. Ale niechby zechciał pan uchylić rąbka tajemnicy, jeśli chodzi o tematykę.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli powiem tylko...

- Rozumiem. Ale tytuł. Przynajmniej zachowałbym jego smak w ustach.

- Jestem przesądny jak matka oczekująca na poród. Proszę mi wybaczyć. Nie mogę. Naprawdę.

Doktor Cochrane spuścił wzrok na koniec laski spoczywający na zakurzonej chodniku i westchnął.

- Ale pozwoli pan, bym kupił mu kawę, żeby to wszystko wynagrodzić? Śniadanie? Jadł pan coś? To by było wspaniałe. I moglibyśmy dalej rozmawiać o pańskich książkach.

- Owszem - odparł Valdes - ale trzymajmy się tych, które są już na półkach.

Podniósł się swobodnie i stał z rękami złożonymi przed sobą na żółtym notatniku jak piłkarz czekający, by przyjąć rzut wolny. Był szczupłym mężczyzną, wysokim i zadbanym. Doktor Cochrane nie robił równie dobrego wrażenia, kiedy oparł obie dłonie na srebrnej gałce laski i z jękiem podniósł się z ławki.

Pan Valdes podtrzymał go za ramię i obaj ruszyli w stronę kawiarni Feniks, mrocznej jaskini pełnej zwierciadeł i rzeźbionego drewna, gdzie przesiadywało przy kawie towarzystwo uniwersyteckie.

W rogu placu robotnik oparł drabinę o zielony krzyż migoczący na ścianie apteki. Właśnie odkręcił żelazny znak głoszący „plac 15 Maja”, a na dole czekał inny, z napisem „plac Rewolucji Wrześniowej”. Na ścianie, w miejscu nieco jaśniejszym, gdyż do niedawna chronionym

przed brudem miasta przez tabliczkę, dwaj mężczyźni zobaczyli wykuty w kamieniu napis „plac Czarnego Konia”.

Doktor Cochrane cmoknął i potrząsnął głową.

- 15 Maja. Rewolucji Wrześniowej. Czarnego Konia. A kogo to obchodzi? Dla mnie to zawsze będzie plac 18 Stycznia. Bardzo lubiłem starego pułkownika. Znałem go, mówiłem panu o tym?

- Owszem.

- Cóż, wydaje mi się, że on zasługuje na odrobinę lojalności i tyle. Nie sądzi pan? W każdym razie ja tak uważam.

- Myślę, że to dla wszystkich jasne. Wiedzą, iż znał pan starego pułkownika i go lubił. W przeciwnym razie może byłby pan już dziekanem wydziału matematyki.

- To uwaga niegodna człowieka, który napisał Morderstwa przy moście San Miguel. - Doktor Cochrane z urażoną miną przełożył łaskę do lewej ręki i oparł się o drzwi Feniksa. - A poza tym matematyka jest ponad polityką.

- Nie w naszym smutnym kraiku - sprzeciwił się Valdes. - Tu każda nowa rewolucja zmienia wszystko. Zaczynają od pi i idą dalej.

To właśnie w Feniksie pan L.H. Valdez, uznany pisarz, wykładowca, wielbiciel polo, elegant, kochanek, cynik, autor kilkunastu powieści, które były nie tylko bestsellerami, ale również „ważnymi” dziełami literackimi, po raz pierwszy spotkał kobietę, którą wkrótce miał zamordować.

Kiedy wszedł do środka, minęła chwila, nim jego wzrok przyzwyczaił się do chłodnego półmroku kawiarni. Zawahał się, lecz doktor Cochrane mimo laski przebijał się między stolikami.

„Oczy z dżungli - pomyślał Valdez. - Bez wątpienia oczy Indianina”.

Dotarli na tył sali, gdzie Costa z wydziału filologii klasycznej i De Silva, który wykładał prawo, kulili się nad małą szachownicą, jezuita Gonzalez zaś, wciśnięty niewygodnie blisko ich łokci, przyglądał się rozgrywce jak szuler.

- Dzień dobry, koledzy i przyjaciele - powiedział doktor Cochrane.
- Posuńcie się, zróbcie trochę miejsca. Valdez zaproponował mi śniadanie i rozmowę, bardziej jeszcze odżywczą.

Mała grupka przesunęła się w swoich wyświeconych spodniach po brązowych ławkach.

- Teraz musisz iść gońcem - powiedział De Silva.
- Nic nie muszę.
- Costa, dotknąłeś go. Nie masz wyjścia.
- Nieprawda.
- Nie bądź głupi, widziałem.
- Głupi? Miło. Bardzo. Przyjemna rozgrywka w szachy, a tu takie słowa. Przesunąłem szachownicę, żeby Cochrane mógł usiąść, i tyle.
- A więc zaprzeczasz?
- Nie zwracaj się do mnie jak do grupy studentów na zajęciach z prawa cywilnego.
- Costa, dotknąłeś gońca!
- Przypadkiem!
- Zasady są proste i jasne. Jasne, by każdy je zrozumiał, proste, by uniknąć wątpliwości.

W normalnej sytuacji Valdezowi ta drobna sprzeczka sprawiłaby przyjemność. Przyglądałby się jej uważnie, obserwował dżgające palce, śledził wzrokiem trajektorie małych pocisków tęczowej śliny, zapisywał szczegółowo w głowie każde głupie gniewne słowo na

wypadek, daj Boże, gdyby nadszedł dzień, w którym mógłby je wykorzystać w swojej opowieści. Nawet teraz, gdy jego nadzieja prawie umarła, gdy każdego dnia męczył się z pustą kartką i pozostawiał ją, czasem po wielu godzinach, bez śladu na papierze, jak impotent, zwisły i zawstydzony, powinien zwracać na nią uwagę. Ale była jeszcze dziewczyna.

Pracowała jako kelnerka, lecz świadczył o tym jedynie notes z kartkami cienkiego papieru, z kalką podłożoną pod górny arkusik. Nie nosiła wyprasowanej białej bluzki ani eleganckiej czarnej spódnicy i kiedy obsługiwała stolik w przeciwległym kącie, nic nie odróżniało jej od bandy roześmianych studentów - synów i córek dentystów, księgowych i pułkowników, którzy jak jeden mąż chcieli wyglądać jak Che. Miała na sobie džinsy.

Pan Valdez nie aprobował tego typu garderoby, ale wszyscy studenci w nich chodzili, a ona nosiła swoje tak nieprzyzwoicie nisko na biodrach, że na chwilę pod paskiem pojawił się kuszący ślad cienia, wygięcia, a być może wyobraźni, sugerujący coś cudownego.

„Na hydrauliku to by wyglądało obrzydliwie” - pomyślał pan Valdez, śledząc wzrokiem jej kształty, spraną niebieską bawełnę opinającą wygięcie tyłka i blade ciało kreślące elegancką parabolę do nieprawdopodobnie delikatnej talii i wąskich pleców.

„To dziecko - powiedział w duchu. - Niemowlę”.

Ale wtedy ona odwróciła się i pan Valdez wbrew sobie westchnął, bo chociaż dziewczyna była szczupła i filigranowa, miała niesamowite, piękne, niewiarygodne piersi - do tej pory uważał, że taki rodzaj biustu istnieje jedynie na stronach tych czasopism, które kupował w tamtym sklepiku za kościołem podczas comiesięcznych wizyt w Punto del Rey - zdumiewające, cudowne, niczym spiczaste kule armatnie wiszące w torebkach z kremowego jedwabiu.

„Twarz anioła i ciało Lilith!” Pan Valdez szybko spojrzał na podłogę, na buty, na rozzłoszczonych szachistów. Nagle zafascynowała go wypolerowana gałka laski doktora Co - chrane'a i wpatrzył się w nią, jakby ktoś zamknął mu głowę w imadle, aż wreszcie dziewczyna stanęła tuż przy nim.

- Czy mogę przyjąć panów zamówienie?

Po drugiej stronie sprzeczka ucichła i ksiądz wypuścił powietrze między zębami jak człowiek, który na przeciwległym brzegu

niezglębionej przepaści widzi wrota niebios. Pan Valdes nie podniósł wzroku. Nie odważył się. Nie mógł. Bał się oderwać spojrzenie od laski doktora Cochrane'a.

- Kawa - powiedział Costa.

- Kawa - stwierdził De Silva.

- Czarna - dodał ksiądz.

- Tak, tak - przytaknął entuzjastycznie doktor Cochrane. - Trzy kawy dla moich przyjaciół, jedna dla mnie, a do tego bułeczki... miękkie bułeczki... szynka i dwa jajka na miękko.

I zrobiło się cicho, spadła kropla lub dwie zawstydzenia, aż w końcu dziewczyna zapytała:

- Coś dla pana, panie Valdez?

Wypowiedziała jego nazwisko. A to znaczyło, że je zna i wie, kim on jest. Wypowiedziała jego nazwisko, ponieważ chciała, by wiedział, że ona wie.

- Kawa - odparł i podniósł wzrok. - Kawa. Dziewczyna powtórzyła zamówienie, zanotowała na kartce, uśmiechnęła się i odeszła.

- Powiedz mi raz jeszcze. Spróbuj wyjaśnić, jak to jest - poprosił ksiądz.

De Silva poklepał przyjaciela po dłoni i stwierdził:

- Najlepiej o tym nie myśleć. Zbyt wiele od ciebie wymagają te sukinsyny w sutannach z tymi swoimi głupimi zasadami. Lepiej od razu obciąć człowiekowi jaja niż pozwolić mu je mieć, ale nigdy z nich nie korzystać. Spróbuj o tym zapomnieć.

Siedzący wokół stołu popatrzyli po sobie jak ludzie przyłapani w zawstydzającej sytuacji, spojrzeli jeszcze raz i spuścili wzrok na swoje dłonie, poza doktorem Cochrane'em, który był zbyt stary, zbyt słaby lub zbyt głupi, by poczuć elektryczny dreszcz jej przejścia.

- Niebrzydka dziewczyna - powiedział. - Ta kelnerka. Zauważyliście ją? Całkiem ładna.

Popatrzyli na niego jak na idiotę.

- Caterina. Tak ma na imię. Jedna z moich najlepszych studentek. Zaskoczyło mnie, kiedy ją tu zobaczyłem, ale przypuszczam, że ma problemy finansowe, potrzebuje trochę pieniędzy, jak każdy z nas.

Wszyscy, poza samym doktorem Cochrane'em i być może księdzem, usłyszeli te słowa i przez krótką chwilę myśleli dokładnie o tym samym. Valdez jako pierwszy odrzucił ten pomysł. To, co mógł

kupić za pieniądze, nigdy nie należało do końca do niego, a on już zdecydował, że musi posiadać tę Caterinę całkowicie.

- Wygląda na to, że ona pana zna, Valdez - powiedział doktor.

- Tak. Nie mam pojęcia skąd. - Mężczyźni siedzący przy drugim końcu stołu spoglądali na niego z zawiścią.

- Obawiam się, że podobnie jak ja jest wielbicielek. Kiedy wchodzi na zajęcia, na stercie podręczników zawsze niesie jakąś pańską powieść. Wydaje mi się, że w tym tygodniu to Rybak Chavez.

Pan Valdez mocniej ścisnął pusty notatnik, aż poczuł, że żółty papier trzaska pod jego palcami.

- Naprawdę?

Tyle tylko udało mu się wykrztusić, bo w tym momencie ojciec Gonzalez znów zrobił tępą minę.

- O Boże - powiedział. - Ona wraca.

Inni zeszytnieli, bojąc się podążyć za jego spojrzeniem. Siedzieli, patrząc w stronę środka stołu, a doktor Cochrane uśmiechał się do niej. Nawet kiedy stawiała filiżanki na stole:

- Kawa, kawa, kawa i pańskie bułeczki, panie doktorze. Szynka. Jajka. I jeszcze pańska kawa, panie Valdez.

Siedzieli bez ruchu na swoich miejscach, bojąc się poruszyć, kiedy przesuwała się tak blisko, na wypadek gdyby („och, proszę, Boże, niech tak się stanie - nie, jednak nie”) jakaś część jej osoby otarła się o jakąś część ich ciał.

- Proszę dać mi znać, gdyby potrzebowali panowie czegoś jeszcze - rzuciła i odeszła.

Wszyscy odprowadzili ją wzrokiem, a De Silva wydał z siebie głodne warknięcie.

- Proszę dać mi znać, gdyby potrzebowali panowie czegoś jeszcze? Dobry Boże, mógłbym wymyślić kilka innych rzeczy. Wiecie, widziałem pokazy, gdzie płaci się, żeby popatrzeć, i mówię wam, że to nic... nic!... w porównaniu z obserwowaniem, jak ona idzie przez salę. - Najwyraźniej uświadomił sobie, że powiedział zbyt wiele, więc tylko przepaszająco wzruszył ramionami. - Oczywiście, to było w czasach, gdy służyłem w marynarce.

- Kiedy jeszcze mieliśmy marynarkę - zauważył Costa.

- Wciąż mamy.

- Czyli teraz potrzebujemy tylko wybrzeża.

- Odzyskamy je. Te sukinsyny nie zdołają go trzymać wiecznie. Niech tylko czegoś spróbują, to damy im popalić. Senor pułkownik presidente nie pozwoli, żeby ta banda owcojebców wciskała mu kit. Mówię wam. Pięć lat, nie więcej, i odzyskamy wybrzeże, a wtedy będziecie się cieszyć, że zachowaliśmy marynarkę.

Costa nic nie mówił.

- Wspomnicie moje słowa. Costa próbował się nie roześmiać.

De Silva spojrział na szachownicę, oparł palec wskazujący za kciukiem i pstryknięciem przewrócił swojego króla.

- Ech, zamknij się i pij kawę.

- Nasz przyjaciel ma rację - powiedział doktor Cochrane, pożerając jajka. - Przetrawanie marynarki jest niezbędne dla utrzymania naszej narodowej dumy. Mamy w żyłach morską wodę. Fale skradzionego wybrzeża zaiste sięgają po brzegi najdalszych polan w dżungli i omywają nawet zaśnieżone szczyty gór.

- Czy wy to łykacie? - spytał z kąta De Silva, lecz nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, doktor Cochrane znów zaczął rozwodzić się z dumą na temat „swojego sławnego przodka, admirała” i narodowego przeznaczenia.

- Przepraszam, muszę już iść - powiedział Valdez. - Smacznego, panowie. Ja stawiam.

Skinąwszy głową ojcu Gonzalezowi, ponieważ matka wpoila mu należyty szacunek wobec stanu duchownego, podniósł się i ruszył w stronę drzwi.

Kawa, którą pospiesznie dopijał, poparzyła mu podniebienie, był też boleśnie świadom pojedynczej brązowej plamy na koszuli tuż nad kieszonką, lecz kiedy zobaczył Caterinę siedzącą przy kasie, podjął decyzję.

Nie podniosła wzroku, kiedy się zbliżył, i to mu odpowiadało. Pan Valdez nie był pewien, jak by zareagował, gdyby zwróciła na niego spojrzenie tych oczu.

Nawet kiedy położył żółty notes na ladzie i sięgnął po portfel, nadal go ignorowała, ołówkiem prowadząc jakieś obliczenia w notesiku. To również go ucieszyło. Miał szansę nią odetchnąć, posmakować jej chwały.

Pan Valdez poczuł, jak mija pięć sekund, a może tylko dwie, i w tym czasie doznał objawienia. Widział - i nie miał wątpliwości, że jest

pierwszym człowiekiem, który kiedykolwiek to zobaczył - otaczającą ciało dziewczyny perłową aureolę. Była to rzecz niezwyklej wręcz urody, którą wcześniej obserwował jedynie raz w życiu, i to tylko na obrazie. Przywodziła na myśl niemal niewidoczny, migotliwy nimb namalowany przez Velazqueza wokół zapraszającego tyłka Wenus, rozłożonej na pościeli z jedwabnych draperii. Oznaczał on seks, jego świętość, sakrament przyjemności, pożądania i namiętności. Pan Valdes sądził, że to bardzo piękny koncept, ale nie, ta aureola istniała przez cały czas, być może widzialna jedynie dla artystów, ale i tak niezaprzeczalna. A choć w przypadku bogini emanowała tylko z apetycznych, przyjemnych, sprężystych pośladków, kłębiła się i wirowała wokół każdego fragmentu Cateriny. Widział ją i w tej chwili - raz i dwa, wdech i wydech - zrozumiał, że musi skapać się w tym blasku, że on znów uczyni go mężczyzną, dopełni i w końcu przerwie tamę, która powstrzymywała jego słowa.

Dziewczyna skończyła liczenie i odłożyła notesik.

- Chciałbym zapłacić - powiedział Valdes. Wysunęła arkusz grubego mięsistego papieru ze spinacza obok kasy, przeciągnęła po nim palcem i podając mu, powiedziała:

- Chyba się zgadza.

Valdes niemal bał się go dotknąć, jakby papier, z powodu wcześniejszego kontaktu z jej palcami, mógł zaiskrzyć na jego skórze. Nawet nie próbował go odczytać, lecz jedynie złożył wewnątrz dużego banknotu o wysokim nominale.

- Reszty nie trzeba - powiedział. - Caterino. Była wstrząśnięta.

- To zbyt wiele. Nawet gdyby dał pan połowę.

- Nie, nie. Proszę mi na to pozwolić. Doktor Cochrane powiedział nam, że należy pani do jego najlepszych studentek i pracuje, żeby opłacić rachunki. Taka postawa zasługuje na pochwałę.

- Jest pan bardzo dobry. Dziękuję.

- Dziękuję - powiedział.

W jego głowie kłębiły się myśli. Czy uczynił wystarczająco wiele, by zrobić wrażenie? Czy gdyby został jeszcze chwilę, nie uszłoby to za przesadę? Ale ona już go знаła. Była wielbicielką, powiedział Cochrane. Znała jego nazwisko. Czy spotkanie z nim ją rozczarowało? Czy się ośmieszył? Jak długo zdołałby patrzeć w tę piękną twarz, zanim

by ją pocałował albo co gorsza pozwolił, by jego spojrzenie powędrowało tam albo tam, albo... NIE!

- Cóż, muszę iść - oświadczył. Uśmiechnęła się lekko, słabo pokiwała głową.

- Tak - odparła. I znów: - Dziękuję.

Pan Valdez podniósł notatnik, nadal starannie zatrzęsnięty.

- Uniwersytet. Praca. No wiesz. Może się tam zobaczymy.

Skinęła mu głową i pan Valdez wyszedł na wąską uliczkę. Uszedł zaledwie kilka kroków, jego wzrok wciąż przyzwyczajał się do blasku słońca, kiedy usłyszał trzask drzwi Feniksa i dziewczyna pojawiła się u jego boku.

Wyciągnęła kawałek papieru, gotowa przekazać go jak biegacz w sztafecie, szybko, bez dotykania.

- Panie Valdez, pański rachunek! Zostawił pan rachunek! Wcisnęła mu kartkę w dłoń i nim zdołał cokolwiek powiedzieć, uciekła do kawiarni.

Valdez spojrział na arkusz w swoim ręku. Był pusty, poza jednym słowem nakreślonym ołówkiem. „Piszę”.

Pan L.H. Valdes, sławny autor, gwiazda polarna stanowiąca centrum całego wydziału, który już przekazał swoje biurko w spadku muzeum narodowemu i którego portrety - w charakterystycznej śnieżnobiałej panamie - pojawiły się w oknach nie mniej niż czternastu księgarni w stolicy, miał wygłosić wykład na temat Szekspira. Sonety. Tego ranka zamierzał objaśniać nie poezję, o której niemal nic nie wiedział, lecz obsesyjną miłość, o której poza kartami swoich powieści wiedział jeszcze mniej. To nie miało większego znaczenia. Podobnie jak wszyscy nauczyciele musiał być tylko o jedną lekcję do przodu w stosunku do swoich uczniów.

Wykład go nudził. Wygłaszał ten tekst tak wiele razy wcześniej, że znał go na pamięć, zauważał drogowskazy kierujące do tej mądrej uwagi, tamtego dowcipnego spostrzeżenia lub wskazujące drogę do długiej alei błyskotliwego słowotwórstwa i rozdzierająco pięknej konkluzji.

Wyrecytował swoją rolę bez problemów i teraz stał przed studentami niczym pewny siebie zawodowy tenisista, zwrócony twarzą do dzieciaków z pierwszego roku, zmuszając słuchaczy do patrzenia zmrużonymi oczami prosto w słońce i bez trudu odpierając ich spodziewane, przewidywalne pytania. Ale nic, co powiedział, zacytował czy przeczytał na głos, nie było w połowie tak ważne jak to słowo zanotowane tęnym szarym ołówkiem na kawałku wilgotnego papieru. Piszę.

Czuł, jak to krótkie zdanie przepala skórę jego portfela, koszulę i ciało, aż zagłębia się między kości i w serce. Piszę.

„»Piszę« - pomyślał. - Ja też piszę". Ale to nie było do końca prawdą. „Pisałem". Tak, teraz lepiej. „Napisałem to i to, i tamto, i będę pisał. Znów będę pisał".

Stojąc i bezmyślnie powtarzając stare kłamstwo, że Szekspir bynajmniej nie miał nienaturalnych skłonności i że doświadczenie głębokiej przyjaźni między mężczyznami można znaleźć wszędzie w literaturze, od Iliady po Sherlocka Holmesa, pan L.H. Valdes postanowił spojrzeć krytycznie na notkę Cateriny.

„Piszę".

Nie najkrótsze możliwe zdanie, ale prawie. Bezosobowe, mimo czasownika w pierwszej osobie, coś, co René Magritte mógłby napisać

na boku ołówka: „Piszę” albo „To nie pisarz”, oba by się nadały. W takim razie suche stwierdzenia faktu.

Nie, nic takiego. Autorka tego tekstu chciała przekazać nie tylko to, że stawia znaki na kartce papieru. Z pewnością kolejne słowa w tym zdaniu nie brzmiały „listę zakupów”. Po tak znaczącym wyznaniu mógł nastąpić jedynie wyraz o wielkiej mocy: „opowieści” lub „poezję”.

A jednak - miał ochotę przestać marnować głos na Szekspira i skłonić grupę do studiowania epickiego dzieła, które promieniało w jego portfelu - postanowiła nie mówić nic więcej.

W niewygłoszonym wykładzie rozbrzmiewającym wewnątrz jego głowy pan Valdes zwrócił uwagę, że wnikliwy krytyk może równie wiele wywnioskować z tego, co niewypowiedziane. W tym wypadku autorka stwierdziła: „Piszę”. Nie dodała: „Również”.

To była wiadomość skierowana do najbardziej znamienitego autora swojego pokolenia. Nie mogła tego napisać, bo wówczas postawiłaby się na równi z nim. Niemożliwe. Nie do pomyślenia. Mimo to miał przed sobą komunikat przekazany semaforem z podnóża na szczyt góry, machanie flagą, raketę wysłaną z informacją: „Zauważ mnie. Dostrzeż mnie, proszę”.

Była tak nisko, że niemal poza zasięgiem wzroku, i nie miała pojęcia, że tam na szczycie on zaczął się już zsuwać po zboczu, chwytając się skał, kalecząc dłonie, kopiąc kamyki, drapiąc.

Piszę. To miało być błaganie o uwagę. Ale dla mężczyzny wiszącego nad ziejącą przepaścią brzmiało jak obietnica ratunku.

Niedługo po dwunastej pan Valdes opuścił salę wykładową i przeszedł przez dziedziniec dzielący wydział humanistyczny od wydziału neofilologii. Długie wąskie trawniki porośnięte szorstką trawą - imitacja czegoś, co ktoś kiedyś zobaczył na czarno - białym obrazku z Cambridge - zawsze były zielone i wilgotne. Woda przesiąkała między ceglanyimi obramowaniami i wnikała w żółte żwirowe ścieżki, przy których rosły równie pretensjonalne złotokapy, rzucające cienie na ławki ustawione wzdłuż alejki. Pan Valdes nie cierpiał tych ławek. Ich mosiężne tablice go obrażały. Uważał je za pozbawione gustu i sensu, głupie, a przede wszystkim nużące.

„Pamięci profesora Iksińskiego” albo „W hołdzie dla doktora Igrekowskiego”. Okropne. Lepiej w ogóle nie mieć pomnika niż taką ławkę, wystawioną na zewnątrz, gdzie obsrywały ją gołębie, a wokół nóg zbierały się niedopałki. Pan Valdes zadrżał na tę myśl.

Patrzył na nie jak mieszkańcy interioru na aparaty fotograficzne, jakby jakimś sposobem miały moc pochwycić ludzką duszę, jakby pozbawionym znaczenia ludziom, których upamiętniały, odebrano nawet zapomnienie, a miast tego czekała ich wieczność wypełniona sporadycznymi okrzykami: „Kto to?”.

Pan Valdes wskoczył po trzech schodkach na końcu ścieżki, pod cienkimi podeszwami jego kosztownych butów zaskrzypiał zakurzony żwir. Otworzył drzwi prowadzące na neofilologię. Stał przez chwilę w pustym korytarzu, nasłuchując.

Kiedy usłyszał głosy w pokoju wykładowców, przemierzył brązowy korytarz i wyszedł przez bliźniacze drzwi po drugiej stronie na słoneczną ulicę. Potrzebował kawy, nie rozmowy, więc skierował się na drugą stronę i usiadł przy stoliku przed barem Ameryka, gdzie kelnerzy byli szybcy i kompetentni, co mu się podobało, i gdzie nikt nigdy nie pytał o jego książki, co stanowiło dodatkową zaletę.

Przynieśli mu podwójne espresso i, choć o to nie prosił, szklankę wody na osobnym spodeczku, na który spływały błękitne krople. To był porządny lokal. Woda nadawała się do wypicia. Kelner skinął uprzejmie głową i wycofał się w cień w głębi pomieszczenia, a pan Valdes usłyszał za plecami ciche mamrotanie audycji sportowej.

Położył dłoń na żółtym notatniku i się zamyślił. Znów uniósł dłoń i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął pióro, zdjął nasadkę, wziął je w

zęby, jak to robił tego ranka, i otworzył notatnik. Siedział tak przez dłuższą chwilę, nic nie pisząc.

Ani słowa.

Przez długi czas.

Był bardzo zły na siebie. Wiedział, że jego klęska pisarska to tylko kwestia słabej woli, moralna porażka, świadomy akt lenistwa, tchórzostwa i głupoty oraz że dałoby się ją przezwyciężyć prostą czynnością napisania czegoś. Wyjrzał na ulicę i zobaczył rudego kota szorującego brzuchem po ziemi, prześlizgującego się chyłkiem, wybiegającego z cienia zaparkowanego samochodu.

„Żółty kot przeszedł przez drogę” - napisał. Pięć słów. Zbadał je. Nie wystarczały. Nic nie mówiły. Dlaczego żółty kot przeszedł przez drogę? Do kogo należał? Gdzie zmierzał? Jak zdanie to mogło zmienić się w powieść? Cały ten pomysł zakrawał na szaleństwo. Pięć głupich słów. Znow spojrzał i narysował małą strzałkę prowadzącą w górę, przecinającą linię przed słowem „żółty”.

Dodał „płowy” i znow spojrzał, jak artysta robiący krok do tyłu przed płótnem. „Płowy żółty kot przeszedł przez drogę”. Nadchodziło.

Zagryzł pióro między zębami, zastanowił się i nagle, w przyływie natchnienia, napisał „chudy”.

Chudy płowy żółty kot przeszedł przez drogę.

Postanowił użyć łącznika. „Chudy - płowy”. Podobało mu się. Później przestało. Fatalne, żalodne, afektowane, napuszone bzdury. Pan Valdes ze złością przekreślił „płowy”.

Chudy żółty kot przeszedł przez drogę.

Zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście to chciał powiedzieć, czy też może wykreślił niewłaściwy wyraz. Chudy. Płowy. Chudy? Płowy?

Pociągnął łyk kawy. Pochylił się nad notatnikiem z głową wspartą na łokciu, walcząc z wściekłością, paniką i frustracją, które już wypełniały jego pierś. Prawie się rozplakał ze złości.

Pan Valdes odchylił się do tyłu na krześle i ze zmęczonym westchnieniem przetarł twarz dłońmi. Kiedy je opuścił i otworzył oczy, po drugiej stronie stolika stała kobieta.

- Witaj, Chano - powiedziała.

- Dzień dobry, Mario. Świetnie wyglądasz. - Tak było. Pantofle na niewysokiej szpilce i ciemnopomarańczowa

lniana sukienka z okrągłym dekoltem, podkreślająca opalone ramiona i kolory naszyjnika. Była być może odrobinę zbyt obcisła na jej krągłych biodrach. Pan Valdes uświadomił sobie z niejakim smutkiem, że za rok, dwa, może trzy najlepsze lata Marii przeminą. Ale na razie lśniła. Zawsze nosiła ubrania w różnych odcieniach brązu. Szafranowa żółć i bursztyn, kremowy i kość słoniowa aż po czerń lukrecji - wszystkie te barwy wbrew pozorom są brązami. Miała długi i wąski jedwabny szal z kremowo - kawowymi plisami, ozdobiony frędzlami z rzecznych pereł. Do tego wkładała biżuterię, której zadaniem było zwracać uwagę - rzeczy wyglądające, jakby powstały w szkolnym warsztacie przy jednej z misji wśród Indian - wypolerowane muszle i ziarna nanizane na rzemyki. Gdyby pewnego dnia przyszła na kawę ze skurczoną głową zawieszoną na szyi, nikt by się nie zdziwił, a wszystkie kobiety popędziłyby do domów i tak długo wrzeszczały, aż ich mężowie też by kupili im taką ozdobę.

Nosiła te rzeczy, te śmieci, przez cały czas, nawet w łóżku, kiedy była naga. Gdy zaś miała na sobie ubranie, sprawiały one, że wydawała się obnażona niczym kapłanka jakiegoś kultu z głębi dżungli, czekająca, by przyjąć wyznawców, gotowa wykąpać się w ofiarnej krwi.

- Nie zaproponujesz mi, żebym usiadła? - spytała. Na jej pełnych wargach pojawił się ślad grymasu.

- Oczywiście. - Pan Valdes wstał i odsunął dla niej krzesło. - Pozwól, że coś dla ciebie zamówię. Na co masz ochotę?

- Ciepła woda i cytryna. Muszę dbać o figurę.

Pan Valdes wezwał kelnera gestem dwóch palców, przypominającym papieskie błogosławieństwo.

Maria wydawała się urażona.

- Miałeś okazję, żeby powiedzieć coś pełnego galanterii, Chano. Ja mówię: „Muszę dbać o figurę”, a wtedy ty odpowiadasz, że jest śliczna albo że i tak każdy mężczyzna w mieście się na mnie gapi, czy też „Ależ nie, pozwól mi”. Szczerze mówiąc, kochanie, to nie ma sensu, jeśli sama muszę wymyślać sobie komplementy.

- Przepraszam - powiedział. - Byłem rozkojarzony.

- To pewnie przez tę książkę. Jak ci idzie? - Jej sukienka rozchyliła się uroczo, gdy kobieta pochyliła się nad stołem, by spojrzeć na notatnik, który on od niechcienia zamknął.

- Bardzo dobrze. Zaiste doskonale. Wiesz, czuję, że dokonałem prawdziwego przełomu. Słowa wprost spływają z mojego pióra.

- Czyli prawie skończyłeś?

- Czasem sędzę, że tak, owszem. - Pan Valdes milczał przez chwilę, po czym machnął lekceważąco nad notesem i dodał: - Ale później jest jeszcze redagowanie. Ciąć, ciąć i ciąć. Inaczej się nie da. Być może przekreślę ołówkiem każde słowo, które dziś zapisałem.

- Cóż za marnotrawstwo.

Kelner przyszedł i przyjął ich zamówienia.

- To nie tak. Wcale. Kawałki, które odrzuca szlifierz diamentów, nie idą na marne.

- Mogę zobaczyć? - spytała i sięgnęła do notesu. - Tylko rzucę okiem.

Pochyliła głowę w stronę stołu i spojrzała na niego zza gęstych rzęs. Jednoznaczny gest, mało subtelny, lecz poruszający.

Pan Valdes żartobliwie chwycił notes.

- Nie, nie pozwalam. Będziesz musiała poczekać jak wszyscy. I obawiam się, że nie mogę zostać dłużej. Jestem umówiony w banku.

- Lubię banki. Jak wszystko, co ma związek z pieniędzmi. Wstał i rzucił na stół kilka banknotów.

- Tak. Wiem o tym - powiedział.

Pan Valdes poczekał, aż przejadą samochody, zszedł z chodnika, znów przeszedł na stronę uniwersytetu, a następnie przez trzy przecznice na południe, w stronę rzeki i banku.

Irytowało go, że prezesi postanowili zatrudnić oficjalną osobę do witania gości, lokaja w liberii, którego zadanie polegało na podchodzeniu do klientów i pytaniu ich, z czym przychodzą. Jego pensja mogła zostać wypłacona w postaci odsetek lub udziałowcom - obie te wersje bardzo by panu Valdezowi odpowiadały.

- Przyszedłem na spotkanie z panem Ernestem Marromem - powiedział. - Jestem umówiony.

- Pańskie nazwisko, sir?

- Valdes.

Mężczyzna odwrócił się, minął tłustego ochroniarza opierającego się o ladę na tyłach sali, którego brzuszysko wisiało nad pasem, i przeszedł przez wspaniale rzeźbione drzwi na tyłach.

Siedziba Banku Narodowego Merino była zaiste wystawna, z mnóstwem płaskorzeźb na ścianach i grubymi stiukami na sufitach - alegoryczne figury rolnictwa i przemysłu, w każdym kącie przepełnione rogi obfitości, z których wylewały się owoce i tłuste amorki uginające się pod ciężarem worków pełnych monet. Pan Valdes stał przez chwilę, śledząc wzrokiem ich wymęczony lot pod sufitem, aż wezwano go na spotkanie.

Lokaj poprowadził gościa krótkim korytarzykiem, bardziej przerwą między dwiema parami drzwi, do gabinetu dyrektora, gdzie Ernesto Marrom już podnosił się zza biurka, wyciągając rękę.

- Miło pana widzieć, Valdes. Ufam, że dobrze się pan miewa.
- Wyśmienicie, dziękuję. A pan?
- Wie pan, zawsze praca.
- A pani Marrom?
- Dziękuję, dobrze. Co mogę dla pana zrobić?

Pan Valdes sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął portfel.

- Kilka czeków z tantemami - odparł.

Kiedy je wyciągał, liścik od Cateriny wysunął się razem z nimi i opadł na biurko.

Marrom podniósł go i oddał.

- Piszę - powiedział. - To przypomnienie na wypadek, gdyby się pan zgubił?

Zgubił? Tak, to właśnie coś takiego. Podobne rzeczy starszycy umieszczali w portfelach razem z nazwiskiem i adresem w razie, gdyby zostali znalezieni martwi na przystanku autobusowym albo, co gorsza, zabłąkali się daleko od domu, nie wiedząc, skąd przybyli ani jak się tam dostali.

Valdes w jednej chwili znienawidził dyrektora za to, że odważył się dotknąć tego kawałka papieru. Za jego szyderczą uwagę. Postać z powieści L.H. Valdesa znalazłaby w tym niewinnym posunięciu pretekst do morderstwa, lecz jej autor stwierdził jedynie:

- Tak, o to właśnie chodzi.

I ostrożnie wziął kartkę między dwa palce.

- Wie pan, mógłby pan po prostu wpłacić te czeki w kasie - wyjaśnił dyrektor.

- Owszem. Nie chciałbym panu zawracać głowy, ale zależy mi, żeby te pieniądze trafiły na specjalny rachunek zagraniczny.

- Najpierw trzeba je rozliczyć na pańskim normalnym rachunku.

- Naprawdę? Czy to absolutnie konieczne? Mnóstwo papierkowej roboty.

- Nie wspominając o podatku.

- Nie - zgodził się pan Valdes. - Nie mówmy o podatku.

- Zajmę się tym.

- Nie chciałbym robić kłopotu, ale czy dałoby się to zrobić dzisiaj?

- Dzisiaj? - Pan Marrom westchnął pogodnie. - Och, pewnie tak.

Mam sporo pracy, ale załatwię to w czasie przerwy na lunch. Chciałem wcześniej wrócić do domu, ale... Trudno. Tylko niech pan nie sądzi, że zrobiłbym to dla każdego.

- Bardzo dziękuję - odparł pan Valdes. - Jestem szczerze zobowiązany.

Wstał i uścisnął rękę dyrektora.

- Proszę mnie nie odprowadzać.

Znalazłszy się na słońcu, pan Valdes przeszedł trzy przecznice na południe i odkrył, że Maria wciąż tkwi przy tym samym stoliku z nogą elegancko założoną na nogę. Zsunęła jeden kosztowny pantofel i prowokująco kołysała nim na palcach.

- Wciąż pani tu siedzi, pani Marrom? Jestem zaskoczony.

- Kłamiesz, ty niedobry człowieku.

- Właśnie rozmawiałem z Ernestem.

Kobieta spojrzała na ulicę, sprawiając wrażenie kompletnie niezainteresowanej.

- Powiedział...

- Och, a cóż takiego?

- Że musi pracować w czasie przerwy na lunch i do domu wróci wieczorem, o tej samej porze co zawsze.

Maria wyraźnie się rozpromieniła. - I zacząłem się zastanawiać. - Tak?

- Pomyślałem, czy zechciałaby pani pójść ze mną do łóżka, pani Marrom?

- Chano, kochanie, co za świetny pomysł!

Wsunęła pantofel na stopę, wzięła go pod ramię i pospiesznie skierowała się w stronę postojów taksówek.

Merino jest wahadłem poruszającym miasto. Kiedy w górach topnieje śnieg lub pełne jak wymiona burzowe chmury pękają nad dżunglą, tydzień lub dwa tygodnie później rzeka to zauważa. Woda przyspiesza przy nabrzeżu, na powierzchni pojawiają się fale, bryza porusza banderą na promie, a pozbawieni okrętów oficerowie marynarki, którzy dostają tylko połowę żołdu, odwracają się jak chorągiewki i spoglądają w stronę odległego, skradzionego wybrzeża.

Wtedy miasto przyspiesza. Uwija się jak w ukropie. Ludzie chodzą od domu do domu i od sklepu do sklepu, po drodze spoglądając na niebo i czekając na pierwsze krople deszczu spadające na chodniki jak krew. Szeroko otwierają okiennice, by powietrze wypełniło ich dom, a zasłony wydymają się jak żagle. Wszyscy siedzą w kawiarniach i gadają. Zamawiają cytrynowkę albo brandy. Zostają do późna i wracają do domów, gdzie wciąż się śmieją, a potem kładą w świeżej pościeli. W takie dni psy biegają po ulicach z wysoko uniesionymi ogonami i nosami. Kobiety też. Siedzą na ławkach w parkach i rozmawiają z sąsiadkami albo prezentują się, spacerując powoli w ogrodach karmelitów, leniwie kręcąc biodrami, jak krowy rasy holsztyńskiej. A mężczyźni się uśmiechają.

Ale kiedy Merino jest nieruchoma i gęsta jak farba, kiedy pelikany tłoczą się na pirsach jak sępy, kormorany rozkładają skrzydła i stoją, dysząc przez żółte dzioby, muchy są zbyt zmęczone, żeby się ruszyć, ciężkie powietrze ocieka wilgocią, a z rynsztoków śmierdzi rybą, nastają bezsenne noce. Wtedy na każdej ulicy przez wiele godzin płacze dziecko albo koty walczą ze sobą przy akompaniamencie brzęku śmietników.

W ciągu zaś dnia kobiety opuszczają ogrody karmelitów i drepczą w upale, w cienkich sukienkach mokrych od potu, po drugiej stronie parku bardzo powoli pod oknami więzienia, a przechodząc, nasłuchują wycia i się uśmiechają.

W takie właśnie popołudnie pan Valdez usiadł na brązowym korytarzu wydziału matematyki i czekał. Już przespacerował się po budynku, znalazł salę, gdzie doktor Cochrane prowadził zajęcia, i wybrał ławkę na korytarzu, którą Caterina musiała minąć po drodze z wykładu.

Opracował i udoskonalił zaskoczoną minę, starannie wypolerował swobodę zaproszenia na „kawę?” i autoironiczny żarcik, że tym razem

to on z przyjemnością ją obsłuży. A później zaczną rozmawiać o pisaniu, a on okaże wielkoduszność ponad jej wszelkie wyobrażenie, więcej niż uprzejme zainteresowanie, ciepłą i delikatną zachętę, a ona powoli, stopniowo się w nim zakocha.

Pan Valdez uznał, że całą operację da się przeprowadzić w ciągu tygodnia. I to musiało być piękne. Tak zdecydował.

On wspaniały, a ona piękna i młoda, i zadziwiona, i pełna podziwu, a to coś w jego wnętrzu, co pękło, zostanie uleczone, znów będzie pisał, a wprawdzie opisze Caterinę. W ten sposób jej podziękuję. Uczyni ją nieśmiertelną - pomnik, który przetrwa o wiele dłużej niż jakaś tam tabliczka. Będzie jego Beatrycze, jego Laurą, jego Czarną Damą - żadna z nich nie potrzebowała ławki w parku - i rozstaną się we łzach, bez goryczy, wspominając swój romans jako piękny czas.

Dla pana Valdesa liczyła się uroda. Lubił porządek i schludność, ale pragnął piękna i bał się brzydoty.

Siedząc i czekając na brązowej ławce w brązowym korytarzu, przesuwał stopami po brązowym linoleum, nie zauważając nawet, że poruszały się w rytmie odległego tanga, dobiegającego z radioodbiornika portiera.

Tango było wszędzie. Tamtego popołudnia, kiedy skończył z Marią Marrom, ktoś grał je na akordeonie, bardzo powoli. Muzyka wpływała do jego mieszkania przez otwarte drzwi baru po drugiej stronie ulicy, a on tańczył samotnie, nagi, ślizgając się po płytkach na podłodze kuchni.

Pan Valdes trzymał w ramionach wyobrażoną kobietę. Nie wiedział, kim ona była. Nie kłopotał się wyobrażaniem sobie jej twarzy, ale miał pewność, że to nie Caterina. Tango wymaga lat, doświadczenia i cierpienia. Dzieci go nie tańczą. Za to dziwki są w nim wyjątkowo dobre.

Pan Valdes tanecznym krokiem wszedł do sypialni i zatrzymał się. Maria. Pani Maria Marrom, leżąca na brzuchu w wilgotnej pościeli, z twarzą ukrytą w poduszce, oddychająca głęboko. Łóżko.

Bałagan. Kieliszek stłuczony na płytkach i przewrócona butelka wina. Opuścił ramiona i pozwolił, by przytulona do niego kobieta się rozpląnęła. To o wiele wygodniejsze niż Maria, pomyślał, o wiele łatwiejsze. Pan Valdez przeklął się w myślach. Szkoda, że nie wrócili do domu bankiera. Dla przyzwoitości mógłby odczekać chwilę, oddając jej uprzejmość, której nie wymagały dziewczęta w domu madame

Ottavio, i wyjść bez zamieszania. Niewykluczone, że ona sama poganiałaby go pocałunkami, drżąca, przestraszona, że zostanie zbyt długo i doprowadzi do sceny małżeńskiej. Ale teraz ona tkwiła tutaj, w jego łóżku, lepiąca się, zmierzwiona i syta, drzemiąca jak ciotka na świątecznym obiedzie, nieporuszona i zawstydzająca.

Pan Valdez otworzył drzwi do łazienki i wziął prysznic.

Narobił tyle hałasu, ile tylko mógł, nie uciekając się do śpiewu, i kilka minut później wyszedł ze świeżym białym ręcznikiem owiniętym niemal dwa razy wokół bioder. Otworzył szufladę, wyjął białą koszulę i znów ją zatrzaskał.

- Chano, chyba się nie ubierasz?

- Oczywiście. - Zabrzęczał wieszakami w szafie i wyjął parę czarnych spodni w stylu chińskim, luźnych i obszernych.

- Nie możesz tego zrobić.

- Popołudnie już się kończy.

- Chano. - Mówiła cicho i błagalnie.

- Biedny Ernesto wkrótce wróci z banku do domu. Nie masz wstydu?

- Ani trochę. Ani kropelki.

Spojrzała na niego zza zasłony rzęs, jak wcześniej w kawiarni. Przed godziną, kiedy klęczała przed nim, uznał to za ekscytujące i porozumiewawcze. Teraz już mu się znudziło.

Maria odsunęła włosy z twarzy.

- Chano?

Nic nie odpowiedział.

- Chano?

- Co takiego?

- Zrób to znowu.

- Co?

- Zrób to znowu.

- Ale co?

- Chano, wiesz. - Nie.

- Tak, wiesz. To coś, co robisz.

- Nie.

- Proszę, Chano, zrób to znowu.

Leżała teraz na plecach, odkleiła od siebie pościel i znów była naga, wiła się na materacu jak smukły brązowy kot w słońcu.

- Chano...

- Nie.

Teraz dotykała siebie, przeciągała czubkami palców po swoim ciele.

- Nie.

- To sama to zrobię.

- Popatrz, która jest godzina. Przestań. Pomyśl o Erneście. Zacznie coś podejrzewać.

- On wie. - Teraz jej dłonie zataczały nad ciałem szerokie łuki, głaskały, szczypały.

- Słucham?

- Jestem prawie pewna. - Maria miała zamknięte oczy, wysunęła czubek języka z kącika ust. Uniosła kolana. - Czy patrzysz, Chano? Patrzysz. Czuję na sobie twoje spojrzenie.

Odchyliła głowę do tyłu.

- On wie?

- Cii, kochanie. Każdy mężczyzna czułby dumę, że L.H. Valdes jest kochankiem jego żony. To - sapnęła w rozkoszy - zaszczyt.

- Kłamiesz.

Maria nie odpowiedziała.

Słyszał, jak dyszy, ciche chrypienie z tyłu gardła, jakby odrobina gęstej śliny utknęła w jej tchawicy.

- Przestań. To obrzydliwe.

- Wcale. Nie. Jest. Piękne. Chodź i. Mi. Pomóż.

Zwijiała się na łóżku, tańczyła własne tango, prezentując się jak owoc ze smakowitej martwej natury, a jej dłonie trzepotały jak ptaki w klatce, gdy mija je kot.

- Ernesto nic nie wie - stwierdził pan Valdes. - W rzeczy samej, najpewniej ma kochankę. Ma. Kochankę. Widziałem ich.

Na łóżku Maria zagryzała wargę i jęczała cicho.

- Widziałem ich. Ernesto i młodą dziewczynę. Śliczną młodą studentkę z uniwersytetu. Boginię. Stworzoną tylko w jednym celu. By posiadał ją mężczyzna. Widziałem ich.

Maria otworzyła oczy. Jej ciało zeszywniało.

- Patrzyłem, jak się dotykają. Obserwowałem ich. Kiedy robi z nią ohydne rzeczy, których nie można dostać za pieniądze, ona bierze wszystko i błaga o więcej, ponieważ tego pragnie. Wszystkiego. Pragnie wszystkiego.

Maria wygięła plecy w łuk. Zaryczała. Zawarczała. Oddech opuścił jej ciało, z jękiem opadła i zwinęła się w kłębek, mrużąc.

- Och, Chano, Chano! Cóż z ciebie za bajarz. Obrzydliwe. Czekał na brązowym korytarzu, wciąż czuł żądło niedowierzania Marii, a w gardle tkwiła mu ironia jej lekceważenia. Lecz pan Valdez czuł się bardziej zdziwiony niż zawstydzony. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego wymyślił kochankę dla bankiera Marroma i w dodatku obsadził w tej roli Caterinę. Od tego paskudnego pomysłu robiło mu się niedobrze, podobnie jak wcześniej od patrzenia na Marię, wpatrywania się w nią, gdy wiała się w rozkoszy, i zachęcania jej. Podobnie czuł obrzydzenie do samego siebie, bo wiedział, że już wkrótce, pewnego samotnego, pełnego nudy popołudnia znów ją odszuka albo zejdzie na parter, otworzy mosiężną skrzynkę na listy w holu budynku, znajdzie w niej pocztówkę z napisem „2.30?” i pójdzie. „Cóż z ciebie za bajarz”. Nie, już nie. Kiedyś tak, ale nie teraz. Dziś był jedynie zdenerwowanym mężczyzną czekającym na korytarzu na piękną dziewczynę.

Obok na ławce leżała duża papierowa torba, założona na górze i zaklejona taśmą. Otworzył ją i wyjął duży notatnik z bladoniebieskimi kartkami. Pan Valdez uznał, że nadszedł czas na zmianę materiałów piśmiennych. To przecież oczywiste. Nie można pisać o żółtym kocie na żółtym papierze.

Wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki i zaczął.

„Chudy żółty kot przeszedł przez drogę”.

Słowa te świetnie prezentowały się na bladoniebieskim arkuszu, nakreślone smolistym atramentem, szerokim, zamaszystym pismem. Odczekał chwilę, spoglądając z namysłem na drugą stronę korytarza. Znów zerknął. Atrament wysechł. Stracił połysk. Wydawał się teraz pylisty, same wyrazy zaś nieprzyjemnie tłoczyły się na górze. Pan Valdez uznał, że powieść, wielka powieść - cóż, właściwie każda - powinna zaczynać się w połowie strony. Pozostawiało to miejsce na głęboki oddech, jak uwertura opery. Wyrwał kartkę i w połowie drugiej napisał: „Chudy żółty kot przeszedł przez drogę”. Ponownie spojrzął na ścianę i westchnął, a wtedy tuż nad jego głową zabręczał elektryczny dzwonek, aż podskoczył. Wzdłuż całego korytarza otworzyły się drzwi i zaczęli się przez nie wysypywać studenci niosący torby i książki, ubrani jak partyzanci, zmierzający na świeże powietrze.

Pan Valdes wstał, tłum sprawił, że tył jego kolan był niewygodnie przyciśnięty do ławki. Rozglądał się po korytarzu. Nie widział Cateriny. I nagle zauważył ją, jak się oddala, idąc w stronę przeciwną niż reszta. Ruszył za nią, a w tej samej chwili dziewczyna zniknęła w bocznym przejściu na końcu korytarza.

- Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam - mówił.

Ignorowali go. Uchyłał się i przepychał łokciami przez tłum, aż nagle studenci zniknęli, tak szybko, jak się pojawili.

Pan Valdes skręcił w boczne przejście. Na jego drugim końcu znajdowało się dwoje drzwi z szybami z matowego szkła, zza których wylewało się światło. Zostały starannie oznakowane grubymi czarnymi literami „Damska” i „Męska”.

Nie wiedział, co robić. Gdyby wrócił na miejsce na korytarzu, mogłaby pójść w drugą stronę, a on musiałby ją wołać i gonić. Nie. Brakowałoby temu piękna przypadkowego spotkania. Jeśli natomiast zaczeka w przejściu, ona wyjdzie z toalety i uzna, że się na nią zaczął. Nie ma żadnej poezji w kręceniu się przy damskiej ubikacji. Postanowił zatem ukryć się i spaść na nią niespodziewanie.

Pan Valdes pospiesznie wszedł do męskiego sanitariatu, cicho zamknął drzwi, ostrożnie przekręcił klamkę i powoli przesunął zatrząsk. Cofnął się na środek pomieszczenia, by jego cień nie padał na szybę z matowego szkła wprawioną w drzwi. Ciekący kran pozostawił na jednej z umywalek gryszypanową smugę, a nad nią szemrał popsuty kran, ale poza tym wewnątrz panowały cisza i chłód. Pan Valdes wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Nic. A później zgrzyt i pisk obcasów na twardej podłodze sąsiedniej łazienki, odgłos spuszczonej wody, kolejna chwila ciszy, trzaśnięcie drzwi, znów ostry metaliczny stukot, odkręcany kran, bolesny jęk rur. Pan Valdes obserwował ją niczym przez szklaną ścianę, jak myje ręce, zatrzymuje się na chwilę, by spojrzeć w lustro nad umywalką, unosi wargę, wyciera coś, co przykleiło się do zębów, palcami poprawia włosy.

Wypuścił oddech. Znów stukot obcasów. Szła przez pomieszczenie. Drzwi się otworzyły. Wyszła na zewnątrz. Pozwolił jej oddalić się dwa kroki, po czym też opuścił toaletę.

- O! Caterina. - Za bardzo się starał, by brzmieć radośnie i swobodnie. - Miło cię widzieć.

Zatrzymała się i obejrzała na niego przez ramię z tym odruchowym uśmiechem, tak piękna, tak otwarta, tak młoda, tak piękna, tak piękna. A później rozpoznała go i się zmieniła. Na chwilę spuściła wzrok, a kiedy znów go podniosła, była pełna szacunku i poważania.

- Witam, panie Valdes.

- Dzień dobry. - Nie miał pojęcia, co mówić dalej, więc powtórzył.

- Miło cię widzieć.

Nie odpowiedziała.

- Dostałem twoją wiadomość.

- Włożyłam ją panu do ręki.

- Tak. - Umilkł, przypominając sobie tę chwilę. - Tak. To co takiego piszesz?

- Och, historie. Takie tam głupotki.

- Jeśli dla ciebie są ważne, to nie głupotki.

Co za kłamstwo. Złajał się za nie. Cóż z ciebie za bajarz. Ile swego czasu naczytał się bzdur, nonsensownych tekstów wciskanych mu w rękę przez beznadziejnych, bezradnych, zdeterminowanych, zdesperowanych amatorów? Wrzucał to wszystko do kosza i kazał im przestać marnować atrament oraz zabijać drzewa dla tych bredni.

- Z przyjemnością porozmawiam o twojej twórczości. Może pozwolisz, że kupię ci kawę... i tym razem to ja będę cię obsługiwał. - Ćwiczył ten żarcik przez długi czas, ale dopiero teraz, gdy wypowiedział go w jej obecności, dostrzegł jego marność.

Spojrzała na niego z czymś w rodzaju litości. W porządku. Litość była dobra - właściwie nie całkiem, ale nada się, jeśli dzięki temu uda mu się wcisnąć stopę w drzwi.

Najwyraźniej podejmowała decyzję, aż w końcu powiedziała:

- Kawa? Tak, chętnie. A nie wolałby pan seksu?

„Chudy żółty kot przeszedł przez drogę”.

„Chudy żółty kot przeszedł przez drogę”.

„Chudy żółty kot przeszedł przez drogę”.

Pan Valdes siedział przy biurku przy otwartym oknie i pisał, aż słońce w końcu zaszło i zapaliły się uliczne latarnie.

Zapełniał kartki, ale kreślił tylko jedno zdanie, te same sześć słów, raz za razem, notował, przerywał, myślał, wyobrażał sobie tego cholernego kota, gdzie on szedł, kto był jego właścicielem, co miał zamiar zrobić, kogo mógł zobaczyć, skreślał, zastanawiał się i znów zaczynał od „Chudy żółty kot przeszedł przez drogę”, aż zagryzmolił wiele arkuszy ślicznego niebieskiego papieru, kartka za kartką zapisanej migreny.

W końcu po jego biurku zaczęły skradać się cienie jak koc naciągnięty z szacunkiem na twarz trupa i wszystkie granatowe, pełne złości linijki w notatniku złączyły się ze sobą i z wieczorem ucichły i znikły. Pan Valdes poczuł ulgę. Mógłby bez trudu wyciągnąć rękę i włączyć lampkę, ale tylko z westchnieniem usadowił się wygodniej. Zrobił wystarczająco dużo. Gdyby oceniał swoją pracę tego dnia nie liczbą słów, ale godzin, miałby powód do zadowolenia. Łagodnym pociągnięciem zdjął nasadkę z pióra, włożył na swoje miejsce i wsunął do kieszeni marynarki, która wisiała na krześle za jego plecami.

Pan Valdez zamknął okładkę notatnika, splótł palce jak do modlitwy i oparł dłonie o blat. Znów westchnął.

Nawet teraz to samo zdanie tworzyło się cały czas w jego głowie, raz za razem zapisywało na wewnętrznej stronie powiek, rozwijało stopniowo, rozmywało w bągrolach i znów zaczynało. Te sześć słów brzęczało jak stukot maszyny do pisania, jak głupia melodyjka usłyszana o poranku w radiu, która przez cały dzień wypełnia umysł jak ćmiący ból zęba albo pusta, ciężka, bolesna, swędząca potrzeba kobiety.

Pan Valdez spojrział na zegarek. Dopiero dochodziła dziewiąta - trochę za wcześnie na wizytę u madame Ottavio, choć z drugiej strony dziewczynki byłyby jeszcze świeże. Mógłby sobie wybrać jedną z nich. Nie musiałyby czekać. Uniknąłby tych wszystkich oczywistych, nieprzyjemnych następstw, które niosło ze sobą oczekiwanie, odczuć wywołujących wzdrygnięcie, jak siadanie na ciepłej desce klozetowej. W ich pozbyciu się pomagała obojętność, ale tego artysta taki jak pan Valdez nigdy do końca nie potrafił osiągnąć.

Mimo wszystko czuł się niepewny. Niespokojny. Poruszony. To wrażenie - czyżby strach? - pozostało z nim przez cały dzień, od tej chwili w korytarzu przy toalecie, kiedy ominął Caterinę i odszedł bez słowa.

„A nie wolałby pan seksu?”

Słowa te dźwięczały w jego głowie tak samo jak ten cholerny kot.

Kiedy to powiedziała, kiedy zapytała „A nie wolałby pan seksu?” w taki sposób, pan Valdez poczuł się oszukany. Miał zamiar obdarzyć ją wielkim skarbem, lecz nim zdążył to zrobić, ona się odwróciła i wyrwała mu go z rąk. Zupełnie jakby wyszczerzyła kły, jakby ostrożnie tropił piękną łanię w lesie, a później, na polanie w środku dżungli, stanął twarzą w twarz z warczącym jaguarem. W jednej chwili stał się celem, ofiarą.

To była nieładna chwila rozegrana przy akompaniamencie muzyki splekiwanych urynałów. Nie tak ją sobie planował.

„A nie wolałby pan seksu?”

Co to mogło znaczyć? Czy z niego szydziła? Czy chciała powiedzieć: „Wiem doskonale, o co panu chodzi, i nie dostanie pan tego”?

A może jeszcze coś gorszego? Po prostu zapraszała go równie bezpośrednio co Maria z pomocą jednej z anonimowych pocztówek? Tak, to byłby prawdziwy koszmar. W ten sposób stałaby się... kim właściwie? Entuzjastką?

Pan Valdes nie powinien mieć nic przeciwko. Sam był gorącym amatorem tego aktu, kobiet ogólnie, a w tej właśnie chwili szczególnie Cateriny. Powinien się cieszyć, że podziela jego zamiłowania.

Jednak ta myśl go dręczyła. Ci młodzi chłopcy na uniwersytecie, w swoich wyświeconych kurtkach robotników portowych i z niewybaczalnymi fryzurami - jak wielu z nich dzieliło jej entuzjazm? A byli tacy młodzi - tak jak ona! Mogły pojawić się porównania. W tym wieku z pewnością nie rozumiała, w przeciwieństwie do Marii Marrom, jaki to zaszczyt mieć w łóżku powieściopisarza L.H. Valdesa, a on chciał, żeby to sobie uświadomiła. Bardzo tego pragnął, lecz wolałby, aby nie dążyła do tego ze zbyt wielkim zapałem - a już z pewnością nie z takim, jaki okazała.

Pan Valdez przeciągnął dłonią po zamkniętym notatniku i ze wszystkich sił nasłuchiwał dźwięku słów, które próbowały się

wydostać. Oczywiście na próżno. Jeśli gdzieś tam znajdowała się zablokowana opowieść, wiedział, że jedynym sposobem, by ją uwolnić, było wlanie jej w ciało Cateriny. Dziewczynki od madame Ottavio nie mogły tego z niego wyciągnąć. W przeszłości im się to udawało, ale teraz skutek odniosłoby tylko wykąpanie się w perłowym blasku jej urody. Czuł nagłą potrzebę jak wykupienie recepty od lekarza. I wtedy powrócił strach. Jeśli nie potrafił już dłużej pisać, to może ta druga rzecz też miała odejść. A wówczas skończyłby jak doktor Cochrane, popijający brandy na dziedzińcu domu Ottavio, spacerujący z dziewczynkami i opowiadający im historyjki, żeby je rozbawić, ale zawsze omijający schody na górę.

Pan Valdez wstał i włożył marynarkę. Kiedy przekręcił klucz w zamku, uśmiechał się. Już nie obchodziło go, czy Caterina jest entuzjastką. Dostrzegał w niej to, co mogło go uleczyć. Było nietknięte. Nikt inny tego nie widział ani nie dotknął. Wciąż należało do niego. Gdyby pan Valdez w drodze po schodach w dół napotkał jednego z sąsiadów, wyglądałby na całkiem opanowanego - nie żeby zechciał rozmawiać z sąsiadami o swoim spokoju albo czymkolwiek innym.

Nie wiedział o nich nic poza nazwiskami, które wypisano na tabliczkach na skrzynkach na listy w holu, i nie miał ochoty na bliższą znajomość - choć córka tego dentysty z pierwszego piętra, doktora Nero, nagle zaczęła całkiem niespodziewanie rozkwitać. Może później, za rok lub dwa, kiedy poczuje się lepiej, gdy skończy książkę, mógłby ją wziąć pod swoje skrzydła.

Otworzył ciężkie, brązowo - szklane drzwi holu i wyszedł na pustą aleję Cristobal, ćwicząc uderzenia w polo. I kiedy tak kroczył - wymachując wyimaginowanym kijem, uderzając niewidzialną piłkę między dwoma zbliżającymi się kucami, uchylając się przed nimi, omijając je poprzez zmianę ustawienia w siodle i niemal niewidzialne pociągnięcie wodzy, kierując się w stronę bramki, kołysząc się na chodniku i przy każdym kroku cytując Omara Chajjama - z licznych radiodbiorników płynęło tango, z kuchennego okna, z baru, gdzie kilkunastu nieszczęśników czekało na wynik losowania loterii, wreszcie z sali chorych, gdzie staruszek, chudy jak hostia i równie kruchy, karmił zupą swoją umierającą żonę, z którą przeżył trzydzieści lat, i kolejny raz wspominał taniec z Rositą, dziewczyną, z którą powinien był się ożenić.

Cała ulica tętniła opowieściami i chudy żółty kot pana Valdeza mógłby go do jednej z nich zaprowadzić, tyle tylko że on zapomniał, iż powinien nasłuchiwać historii innych niż swoja własna i tańczyć do innej muzyki - ona właśnie prowadziła go w stronę pięknej młodej kobiety, którą miał wkrótce zamordować.

Dom Ottavio znajdował się na cichym placyku obok alei. Od frontu rozciągał się niewielki ogród z kilkoma drzewami - pan Valdez nigdy nawet nie spróbował ich nazwać - które w ciągu dnia rzucały chłodny cień, a teraz, wieczorem, szeleściły i szeptały, przez co tworzyły przynajmniej iluzję powiewu.

Pan Valdez lubił ten ogród. Był schludny i uporządkowany, a on doceniał ład i czystość. Cenił wzór kwadratowych rabatek rozkwitających po kolei przez całe lato. Dostrzegał urodę ogrodzenia z kutego żelaza, które doskonale naśladowało kraty w oknach domów przy placu. Podobała mu się zwirowa dróżka i to, że regularnie ją zwilżano, by się nie kurzyła. Dzięki temu mógł przejść przez cały ogródek (zawsze starannie zamykając za sobą furtkę i opuszczając żelazną zasuwę, by do środka nie dostały się psy), mając pewność, że kiedy dotrze do bramy po drugiej stronie, na jego błyszczących butach nie pozostanie ślad pyłu.

To było ładne miejsce, chłodne, spokojne i kojące. Pan Valdes lubił sobie wyobrazać, jak dziewczynki madame Ottavio wstają późno i razem wychodzą z domu, w szerokich słomkowych kapeluszach chroniących twarz przed słońcem i grubych płóciennych rękawiczkach osłaniających dłonie, które musiały pozostać miękkie do innych zadań. Z przyjemnością rozmyślał, jak spędzają razem ciche popołudnie, dbając o krzewy róż i zamiatając ścieżki, śmieją się podczas zdrowych zajęć na świeżym powietrzu, aż nadchodzi czas, by zdjęły kapelusze oraz sukienki i zaczęły wieczorną pracę.

Oczywiście, tak się wcale nie działo. Ogródek nie był dziełem miłości, lecz na jego utrzymanie składali się mieszkańcy wszystkich domów przy placyku, a dziewczynki madame Ottavio nigdy w nim nie pracowały. Zielenią zajmował się piękny młody mężczyzna, który pracował bez kapelusza i koszuli w największym upale dnia, ciężko stąpając w swoich wielkich buciorach i miniaturowych szortach. Dziewczynki od madame Ottavio wyglądały przez okna, oblizywały wargi i gwizdały. Szeptały do niego, wołały na głos, zapraszały go do

środka - za darmo - żeby sprawdzić, czy smakował równie dobrze, jak wyglądał, ale on nigdy nie przychodził. Młodzieniec miał przyjaciela, kelnera z hotelu Imperial. W gorące noce siadali razem w parku, dotykali się i całowali.

Podobnie jak wszystkie inne domy przy placu, tak i dom Ottavio został wybudowany z miękkich czerwonych cegieł, pokryty grubą warstwą tynku i pomalowany z wierzchu zgodnie z gustami właścicieli. W efekcie stopniowo, w miarę upływu lat, stworzona przez architekta wizja zjednoczonej całości rozpadła się na kakofonię gryzących się odcieni.

W dawniejszych czasach pan Valdez mógłby w tym znaleźć bogate źródło metafor - pomalowany dom będący schronieniem umalowanych dziwek, a wszyscy udają, że są czymś innym: solidnie zbudowaną posiadłością z kamienia, oddaną kochanką. Niewykluczone, że w historii placu zdołałby zawrzeć dzieje całego kraju i na kartach książki przyglądać się upływowi czasu - jak wyrąbano dżunglę na brzegu rzeki, grunt wyrównano i wybrukowano, mały placyk otoczono kolumnadą domów, a później jak stopniowo wszystko się rozpadało, zawiasy drzwi obwisły, okna powykrzywiały, każdy wybierał inny odcień farby, a niektórzy w ogóle zrezygnowali z malowania.

Madame Ottavio ze wszystkich sił starała się utrzymać pozory, ale podczas ostatnich ulew woda wylała z pobliskich rynsztoków, pozostawiając wilgotną plamę z przodu budynku i rakowatą narośl na tynku obok otwartych drzwi.

Szeroki przedsionek był pusty, ukazując otwarte drzwi na wewnętrzny dziedziniec, gdzie pośród drzew zawieszono lampiony i gdzie spacerowały cieniste postacie. Madame Ottavio pilnowała, by w ciepłe wieczory na stole przysuniętym do tylnego muru ogrodu zawsze stały butelki i wiaderka z lodem. Za drinki nie pobierano opłaty, co nie znaczy, że były darmowe. Wszyscy rozumieli, że koszt wszystkiego, od szampana po najmniejszą cytrynę, dodawano do rachunku. Tylko bardzo głupi klient nadużywałby gościnności tego przybytku, przychodząc zbyt często na jednego i nie płacąc przy tym za faktyczną usługę.

Uschnięty liść sfrunął z drzewa i wylądował na obrusie. Pan Valdez podniósł go, zgniótł na proszek i zrzucił resztki na żwirową ścieżkę. Przyjrzał się swoim dłoniom, a kiedy się upewnił, że są czyste, wyjął z

wiaderka metalowe szczytce i nałożył sobie sporą porcję lodu. Połamane kostki zabrzęczały w ciężkiej szklance, stopiły się odrobinę, znów połączyły i zawirowały. Pan Valdez nie wiedział - bo nigdy nie zapytał - że osobliwe butelki angielskiego soku z limonki, których u madame Ottavio nigdy nie brakowało, kupowano specjalnie dla niego. Nikt inny ich nie dotknął. Żaden z pozostałych klientów nawet o tym nie pomyślał. Nikt by się nie odważył. I podobnie jak bankier Marrom powinien przewyciężyć swoje poczucie przyzwoitości oraz sprawiedliwy gniew i radować się wiedzą, że L.H. Valdez był kochankiem jego żony, tak i madame Ottavio czuła zaszczyt, że może mu sprawić przyjemność odrobiną zagranicznego soku z limonki.

Pan Valdez nalał prawie pół butelki na lód grzechocący w szklance i dopełnił szczodłą porcją dżinu. Tę pretensjonalną pozę kultywował od czasów studenckich, kiedy odkrył, że koktajl gimlet błyszczący jak inna zielona wróżka z kart powieści Raymonda Chandlera. Okazało się, że jak ona otwiera drzwi kreatywności. Może znów to robi. Na to liczył.

Siedząc na miękkiej ławie pod oknem, pan Valdez patrzył, jak na szklance pojawiają się zimne krople rosy i czekał z nadzieją.

„Chudy żółty kot przeszedł przez drogę i wślizgnął się do burdelu”.

Był zadowolony. Podwoił liczbę słów i wiedział już, gdzie zwierzak zmierza. Poklepał się po kieszeniach, szukając kawałka papieru i pióra, gdy ciężkie drewniane krzesło po drugiej stronie stołu odsunęło się ze zgrzytem.

- Dobry wieczór, panie Valdez. Nie przeszkadza panu, że się dosiadę?

Panu Valdezowi bardzo przeszkadzało. W ogrodzie stało mnóstwo innych stolików, w domu nie brakowało pokoi, ale komendant główny policji, ubrany w poplamiony i pomięty garnitur, niegdyś biały, a dziś wypchany na kolanach i wydymający się pod pachami, nie należał do ludzi, którym się odmawiało.

- Proszę siadać, commandante Camillo. - Tylko tyle. Krótko i rzeczowo. Nic ponad to, czego wymagała uprzejmość. Żadnego zaproszenia do pogaduszek.

Policjant siedział z nogami wyciągniętymi przed siebie, tak że jego wielkie stopy dotykały żwirowej dróżki. Nie zagrażał parom, które spacerowały w milczeniu po cienistym ogrodzie, ponieważ bez trudu i

bezpiecznie dało się go ominąć. Po prostu zaznaczał swoją obecność, jak to robią psy przy ulicznej latarni.

Pan Valdez dostrzegł to i odczytał jako gest despoty, może nawet niecelowy. Policjant taki jak Camillo zachowywał się tak po prostu dlatego, że od lat był policjantem takim jak Camillo w kraju, w którym wolno istnieć policjantom takim jak Camillo. Valdez niemal mu współczuł - nie wiedział, czy ma przyjaciół, czy jest kochany, mile widziany przy stoliku czy też po prostu zbyt przerażający, by mu odmówić, jak klient w burdelu, który nie potrafił go opuścić.

- Nigdy wcześniej tu pana nie widziałem - zagał Camillo.

- Och, pewnie tak - odparł pan Valdez. - W rzeczy samej, sądzę, że wie pan całkiem dokładnie, kiedy odwiedziłem ten przybytek po raz ostatni.

- No cóż, nie prowadzę zapisków.

- Ale ktoś to robi.

- Owszem - zgodził się Camillo. - Bez wątpienia.

- Wiele jest takich teczek?

- Czy musimy rozmawiać o pracy? - Policjant westchnął ze znużeniem i przekręcił się na krześle, odsłaniając kolbę pistoletu wsuniętego w brązową skórzaną kaburę przy pasie. - Pewnie kilka ich mamy. Parę, wie pan. Takich znakomitości jak pan, panie Valdes, nie znajdzie się wiele. Garstka związkowców, jacyś radykalni działacze studenci... oczywiście, koledzy ze stolicy chcą mieć na nich oko, na wypadek gdyby w końcu przestali gadać o wywoływaniu zamieszek i faktycznie to zrobili. Zwykle środki ostrożności. Jeśli wiemy, co robią ludzie, możemy ostrzec. Zdusić niebezpieczeństwo w zarodku, a musi pan zrozumieć, że co dobre dla roju, przynosi korzyść także pszczole. Ale pan nie jest taki jak oni. Nie traktujemy pana jak podejrzanego. Jeśli się panem zajmujemy, to jedynie z ojcowskiej troski. Otaczamy pana opieką niczym skarb narodowy, Valdes.

„Pan” zniknął. Zauważył to, przez chwilę posmakował w ustach, zastanawiał się, co to znaczyło, czy chodziło o nawiązanie przyjaźni, czy kolejne zastraszenie, podobnie jak zupełnie nieprzypadkowe ukazanie drugiego pistoletu.

Camillo uniósł szklankę tak cicho, że lód nie zadźwięczał.

- Jak się miewa pańska droga matka? - spytał.

- Nie sądzę, by to było właściwe miejsce.

- Nie, oczywiście. - Camillo pociągnął kolejny długi łyk i skinął głową w stronę cieni. - Za to tamta, ta wysoka, przyjechała tu przed zaledwie dwoma tygodniami, nie, trzema. Prosto ze wsi. W głębi kraju. Jeśli jeszcze pan jej nie spróbował, gorąco polecam. Ale nie odpowiedział pan: jak się miewa pańska matka?

- Skąd ją pan zna?

- Nic takiego nie powiedziałem!

- Ale znał pan mojego ojca.

Camillo odstawił szklankę równie ostrożnie, jak ją podniósł.

- Dlaczego pan tak mówi?

- On zniknął.

- Ojcowie tak robią. Mają swoje tajemnice. Po prostu... - Przeszedł dwoma palcami wzdłuż krawędzi stołu - ...odchodzą. Znikają.

- Proszę mi wybaczyć - odparł Valdes. - Moje doświadczenie jest dość ograniczone. Miałem tylko jednego ojca, a jednak, jak pan twierdzi, wielu z nich zdaje się rozplýwać w powietrzu. Ojcowie, synowie, wujowie, córki. Wszyscy są tu jednego dnia, a drugiego znikają, ale jak pan powiedział, wszyscy mają swoje tajemnice. Wyobrażam sobie, że musi istnieć całe miasto zaginionych ojców, mieszkających szczęśliwie ze swoimi kochankami, być może na drugim brzegu Merino.

Policjant wyciągnął ze szklanki kostkę lodu i zmiażdżył ją.

- Powinien pan umieścić w tym miejscu akcję swojej kolejnej powieści - zauważył. - Po tym, jak skończy pan tę, którą właśnie pan pisze. Jak słyszałem, praca idzie nieźle.

- Owszem - stwierdził Valdes, kiwając głową. - Czy ma pan zamiar spędzić tu resztę wieczoru?

- Tak sądzę - odparł Camillo. - Myślę, że ta wysoka zasługuje na kolejną lekcję. A pan?

- Obawiam się, że muszę iść. Camillo nie wstał.

- Niech pan koniecznie pozdrowi ode mnie swoją matkę - rzucił.

- A pan niech pozdrowi ode mnie swoją matkę... skoro ma pan zamiar tu zostać - zripostował pan Valdes, ale zanim wypowiedział te słowa na głos, najpierw wrócił na placyk.

Był bardzo, bardzo zły. Chciał kobiety, a został odesłany przez commandante jak niegrzeczny chłopczyk, wyprowadzony, pogoniony przez wielkiego byka, ponieważ nie zamierzał przyjąć wyzwania i

zetrzeć się z nim, bo nie miał zamiaru sprawdzać, który z nich... co właściwie? Czy Camillo spodziewał się, że dziewczynki z domu Ottavio będą wystawiać oceny w skali od jednego do dziesięciu?

Pan Valdez zatrzymał się pod latarnią na rogu, w miejscu, w którym plac przylegał do alei Cristóbal. Potarł długą zapałkę o szorstki tynk na ścianie, zapalił cygaro i zaciągnął się.

Spojrzał na zachód, w stronę domu tuż za rogiem. Popatrzył na wschód, w stronę miejsca, gdzie aleja Cristóbal wychodziła z placu Rewolucji Wrześniowej. To nie była noc na madame Ottavio. Po prostu nie dziś. Postanowił się przejść, znaleźć sobie coś do zjedzenia, porozmawiać o książkach w tym przyjemnym barze przy uniwersytecie i może przed snem wypić szklaneczkę brandy w Feniksie.

Czyż to nie zadziwiające, że w świecie pełnym gór lodowych nikt nie zauważa tej, która staje na drodze jego statku? Daleko na północy, po całych mileniach powolnego ruchu i pełzania po biegunie, lodowiec w końcu dociera do morza, wreszcie uwalnia się i odpływa. Między nami a nim pozostaje wiele tysięcy kilometrów otwartego oceanu, przypadkowych podmuchów wiatru, fal i niewidzialnych prądów. Gdyby ta góra lodowa oderwała się dziesięć minut wcześniej, gdybyśmy odrobinę szybciej wyszli z portu, nic by się nie stało, ale zamiast tego my w swoim kruchym stateczku i zamarznęta, ociekająca wodą, niknąca góra lodowa zawsze, bezbłędnie, niezawodnie spotykamy się w tym jednym miejscu, aby zniszczyć się nawzajem. Tak samo stało się z panem L.H. Valdezem, literato, amorato, celebrato, i Cateriną. Nie sposób powiedzieć, które z nich było statkiem, a które górą lodową. To nie ma większego znaczenia. Oboje zostali zniszczeni, rozbici, a przecież wszystko mogło skończyć się zupełnie inaczej.

Biedna Caterina. Prawie jak postać z powieści L.H. Valdesa odkryła, że ma dar łkania. Ale w przeciwieństwie do autora utwierdzała się w przekonaniu, że zaczyna odchodzić od zmysłów. Nie istniało inne wyjaśnienie. Czowała to od wielu dni - od kiedy pan Valdes stanął przy kasie w Feniksie, a ona tak bardzo starała się być miła i uprzejma, ale nic więcej, ponieważ on wydawał się tak oszałamiający, cudowny i groźny i tak bardzo ją przerażał. A później ta cała głupia sprawa z karteczką, to idiotyczne „piszę” - jakby go to w ogóle obchodziło!

Szaleństwo, wszystko to czyste szaleństwo, ale później, tamtego ranka na korytarzu, to już po prostu wydestylowany obłąd. Caterina osunęła się na krzesło, waląc dłońmi w skronie. Co ona sobie myślała? Jak? Dlaczego? Każdy chłopak z uczelni chciał prędzej czy później trafić do jej łóżka. Próbowali wszystkiego poza wręczeniem jej swoich portfeli.

- I wiem dlaczego! - powiedziała.

Nic z tego nie zadziało. Nie miała ochoty. Ani zamiaru. Nie z nimi. Ale później on się tam zjawił, w korytarzu, w tym swoim garniturze, elegancki, starszy i bystry. Odwróciła się, zobaczyła go i poczuła to. A później wypowiedziała na głos. Tak po prostu. Co ją opętało?

A gdyby poszedł z tym do dziekana? Albo do doktora Cochrane'a? Miałby wszelkie prawo. Mógłby doprowadzić do wyrzucenia jej ze

studiów albo choćby wszystko wygadać. Rozeszłyby się wieści o tej małej puszczańskiej z matematyki. Wszyscy by wiedzieli. Nie rozmawialiby o niczym innym nad kawą w Feniksie.

- O Jezu, Maryjo i święty Józefie. Feniks! Stracę pracę.

Była ugotowana. Bez tej posady i tych paru groszy, które zarabiała, musiałaby rzucić studia i wrócić do domu na wieś. A jej brat by ją znienawidził za zmarnowanie szansy, za przyjazd i jedzenie, za to, że żyje, a później musiałaby podjąć pracę przy łuskaniu fasoli albo zarzynaniu kurczaków, aż znalazłaby sobie męża wśród łuskających fasolę albo zarzynających kurczaki.

- A oni by przyszli - powiedziała. - Żeby tylko mieć okazję położyć na nich łapy.

Założyła ręce na piersiach i zaczęła się kołysać na krześle.

Mężczyźni. Głupie, płytkie sukinsyny. Pokazać im ładne cycki, a powiedzą i zrobią wszystko, żeby tylko wrócić do kołyski i się nimi pobawić.

- Ale nie L.H. Valdes.

Caterina wiedziała, że mógłby mieć każdą kobietę, której by tylko zapragnął. Wyrafinowane damy z socjety, tancerki, gwiazdy filmowe, dziennikarki, krytyczki, panie profesor i profesorskie żony. A kiedy zwykła dziewczyna, niemalże nastolatka, zaproponowała, że rozłoży przed nim nogi, tu, w korytarzu przy toalecie, nawet tego nie zauważył. Taki był cudowny. Odszedł, jakby w ogóle tego nie usłyszał. Niezwykły mężczyzna. Chłopcy z jej grupy złapaliby ją i zrobili to od razu, na podłodze, żeby później opowiedzieć kumplom, ale nie pan L.H. Valdes. On próbował oszczędzić jej zażenowania i udał, że nie zrozumiał, taki był dobry i miły.

- A niech cię diabli, L.H. Valdezie! - wrzasnęła, znów założyła ręce na swoich cudownych piersiach, kiwała się i zanosila z włosami ukrywającymi twarz, kołysała się, łkała i płakała, aż z wdziękiem dziecka te trzy rytmy połączyły się, i zasnęła.

Gdyby Caterina tak została, zwinięta na krześle, i przedrzemała w niewygodnej pozycji aż do rana, być może nic by się nie stało. Ale zamiast tego, kiedy Erica z pokoju naprzeciwko zapukała do jej drzwi i ogłosiła, że czas wychodzić, Caterina jeszcze raz przeklęła imię L.H. Valdesa, umyła twarz, pomalowała wargi i wyszła.

A gdyby pan Valdez postanowił zignorować groźny szept porażki - bo o to właśnie chodziło - gdyby zamiast opuścić madame Ottavio (gdzie szóstka z ośmiu jej podopiecznych dopiero co przyszła do pracy), został i uczynił przynajmniej jedną z dziewczynek bardzo, ale to bardzo szczęśliwą, jakże inaczej mogłoby wyglądać ich życie?

Kiedy pan Valdes przeszedł całą długość alei Cristóbal, pykając cygaro, aż bogaty dym demerara ukoił jego nerwy, raz jeszcze czyniąc go niepokonanym, odkrył, że niedawno nazwany plac Rewolucji Wrześniowej jest opuszczony i opustoszały. Nastął „czas pomiędzy”. Ludzie, którzy postanowili wyjść wieczorem, już zniknęli i teraz siedzieli szczęśliwi i zadowoleni w jakimś barze czy kawiarni. Może za godzinę albo dwie, kiedy nastanie czas powrotów, spaceru z kochanką, bójki z rywalem albo marszu do domu kolejny raz w poczuciu samotności i odrzucenia, plac znów się zaroi, lecz teraz panowała cisza zakłócana przez stukot obcasów jego butów o płytki chodnika i potrójny gwizd załogi zmieniającej banderę na wieczornym promie.

Zielony krzyż migotał powoli nad witryną apteki na rogu, jakby przewodami zawsze płynęło za mało prądu, żeby podtrzymać jego blask. Syczał i brzęczał, kiedy pan Valdes przeszedł pod nim i zniknął w cieniach małej uliczki skrywającej wejście do Feniksa. W całym mieście istniało mnóstwo takich malutkich, niemal tajnych lokalików, niewielkich barów, szacownych kawiarenek, a nawet miniaturowych kapliczek z przypominającymi szkatułkę wnętrzami, gdzie wystawiano Najświętszą Hostię, w której obecny był Bóg, a staruszki modliły się za drzwiami, zakamuflowanymi i niewidzialnymi dzięki swej pospolitości. Mógł je odnaleźć jedynie ekspert, miejscowy, znający miasto tak doskonale, jak Indianie o granatowych włosach odnajdywali drogę z drzewa na drzewo w dżungli.

Tak wiele pozostawało w ukryciu, a jednak przybytek madame Ottavio stał bezczelnie na placyku, zupełnie niespeszony, niczego nie ukrywając, równie nagi, co dziewczynki wewnątrz. Pan Valdez spojrział na zegarek. Zastanawiał się nad powrotem. Wciąż było wcześnie. W końcu dlaczego miałyby tego nie zrobić. Nim dotarłby z powrotem, Camillo najpewniej zdążyłby już wyjść.

Ale mógł wciąż tam być. Albo wychodzić w chwili przybycia Valdeza, przez co by się spotkali.

Pan Valdez pchnął drzwi Feniksa, otworzył je i zszedł po schodach.

- A nie wolałby pan seksu? - zapytał sam siebie.

- Wolałbym - odpowiedział.

Prawdopodobnie tak. Gdyby dano mu do wyboru kawę w Feniksie albo seks, niemal z całkowitą pewnością poprosiłby o to drugie, ale

gdyby kazano mu wybierać między wieczorem w lokalu a przyznaniem, że uciekł przed Camillem, cóż, już podjął decyzję. Wolałby kawę.

W chwili, kiedy postawił stopę w pomieszczeniu, zawołali go po imieniu - ta sama grupka z uniwersytetu, wciąż siedząca przy stoliku i prowokująca się nawzajem.

- Valdez! Valdez! Tutaj. Chodź, rozsądź spór. Jesteś ekspertem.

Usiadł.

- O co chodzi?

- Odyseja czy Don Kichot?

- Co takiego?

- Które lepsze?

- Słucham?

- To przecież proste pytanie.

- Ja twierdzę, że Don Kichot - powiedział De Silva. - Ojciec Gonzalez zgadza się ze mną, ale Costa uważa...

- Mogę wypowiadać się w swoim imieniu.

- Costa... który kiedyś pływał na okręcie... uważa, że ten długi i męczący starogrecki przewodnik turystyczny to lepsza literatura.

- Przyjmijemy twoją decyzję - stwierdził Costa. - Cokolwiek powiesz.

- Nie obchodzi mnie to - odparł. Popatrzyli na niego.

- Nie obchodzi mnie to - powtórzył. - A was tak? Czy to najlepsze, co macie do roboty w sobotnie wieczory? Naprawdę? Siedzieć tutaj i czepiać się szczegółów? To nie ma znaczenia. Żaden z was nigdy nie napisze ani Odysei, ani Don Kichota.

- Cóż, bardzo nam wszystkim przykro, że nie jesteśmy w twojej lidze.

- Zamknij się, Costa. Nie o to chodzi. Ja też nigdy nie napiszę Don Kichota. Nie o to chodzi.

- To o co? Dalej, powiedz nam.

- Cóż, na pewno nie o tę bezsensowną gadaninę. Posłuchajcie, nie wolelibyście... - I nie mógł tego powiedzieć. To słowo prawie padło z jego ust, ale zanim zdążył, zatrzymał się na krótką chwilę i stracił odwagę, a właściwy moment minął.

- Wydajesz się zdenerwowany - zauważył ojciec Gonzalez. - Wszystko w porządku, Chano?

- Tak. - Jego słowa zabrzmiały opryskliwie i nieprzyjemnie, choć miał szansę wydawać się kruchy, zmęczony i zwycięski.

Pan Valdez wiedział, że złamał zasady grupy i nie odegrał roli, którą przypisali mu tak dawno, że już tego nie pamiętał. Istniała hierarchia. Oni pragnęli zdawać się na niego. Chcieli przyrządzać te głupie dyskusje o pierdołach przypominające watę cukrową i poddawać mu pod ocenę jak mali chłopcy wracający ze szkoły, niosący coś okropnego i jarmarcznego dla matki, by się tym zachwycała. A on ich zawiódł. Zamiast ująć w dłonie ten bezsensowny spór, unieść go do światła i zapewnić, że jest uroczy, zmiął go i wyrzucił do kosza.

- Posłuchajcie, nie wolelibyście brandy? - spytał. - Postawię nam wszystkim.

I znów zrobił ten gest, unosząc dłoń wysoko w błogosławieństwie jak papież, jak matador na arenie, i zawołał do kelnera:

- Dla nas brandy. Cztery razy brandy i kawa. I niech będą duże.

I tak właśnie wszystko naprawił, napoił ich, a następnie perorował ze wszystkich sił o Homerze i Cervantesie.

Wiele lat później, kiedy rozmawiali o tym wieczorze - a robili to często - De Silva wskazywał na stolik w kącie i mówił: „Tam właśnie siedzieliśmy, wszyscy, stara banda, popijaliśmy brandy przy tym właśnie stoliku. Ja, tam Costa, ojciec Gonzalez, a L.H. Valdez obok niego, na tym właśnie krześle”. Mówił to tak, jakby był jednym ze współbraci Gonzaleza, jezuitą, potwierdzającym autentyczność świętej relikwii, jakby to zużyte stare krzesło dało się obwiązać czerwonym sznurkiem i zapieczętować woskiem z biskupią pieczęcią, aby po wieki wieków oddawali mu cześć studenci literatury, podczas gdy oni, jego przyjaciele, pławili się w blasku tego, że go znali.

„Tam właśnie siedzieliśmy, nie rozmawiając o niczym szczególnym, kiedy weszła ta dziewczyna”.

Pili po trzeciej szklaneczce brandy, choć kiedy Costa i De Silva stawiali swoje kolejki, nie kupowali podwójnych. Wychylali i znów się śmiali, zupełnie zapomniawszy o swojej niezręcznej sprzeczce, kiedy otworzyły się drzwi i do środka weszła Erica. Nikt nie zauważył. Nic się nie stało. I wówczas, krok za nią, weszła Caterina i wszystko się zmieniło.

Grupa dzieciaków siedząca przy dużym stoliku przed drzwiami do kuchni zaczęła wrzeszczeć i machać, a Erica z uśmiechem próbowała

przeciskać się między krzesłami, żeby do nich dołączyć, choć musiała wiedzieć, że to nie do niej krzyczą. To nie ulegało wątpliwości, ponieważ nawet kiedy już usiadła, wciąż wołali, żeby Caterina do nich dołączyła, ale ona zatrzymała się w drzwiach, ponieważ od progu dostrzegła Valdeza. Zobaczyła go i zawahała się - prawie uciekła - ale to by było jeszcze gorsze, dlatego udała, że go nie zauważa, skupiła wzrok na odległym kącie sali i skierowała się do przyjaciół.

„Wszyscy ją widzieliśmy - mawiał De Silva. - Należała do tych dziewczyn, na które się patrzy. Weszła na salę i ludzie ją zauważali. Oczywiście, że nie mieliśmy pojęcia. Nie wtedy. Właściwie, sędzę, że podeszła do innego stolika i pocałowała chłopaka. Tak zrobiła”.

De Silva przypomniał to sobie i dodał do opowieści. Następnym razem też uwzględnił ten element i kiedykolwiek przytaczał znów tę historię, pamiętał, by włączyć go jako szczegół idealny dla naocznego świadka - to przydawało jego ewangelii wiarygodności, coś takiego zapisywano i dodawano do wywiadów w kolorowych czasopismach i rozpraw, za to na starość dostawał mnóstwo darmowych drinków.

Caterina pocałowała chłopaka dłużej, niżby tego wymagała przyjaźń, a później zerknęła na drugą stronę sali, żeby się upewnić, że wszyscy to zauważyli. Miała rację. Ich spojrzenia były pełne złości, zawiści i rozmarzenia. Widziała to i uśmiechnęła się, wyjęła z dłoni chłopaka kieliszek, kiedy ten miał zamiar się napić, i wychyliła do dna jego wino.

- Przynieś mi więcej - powiedziała, a on posłusznie wypełnił jej polecenie.

Pod jego nieobecność trajkotała z Ericą i pozostałymi, oglądając się przez ramię i obserwując, jak na nią patrzą.

Odwrócili się, wszyscy pozostali. Oślepił ich jej blask. Ale nie Valdez. On uniósł szklaneczkę brandy na wysokość nosa i patrzył na nią, pozwalając, by opary wypełniły jego nozdrza. Liczył w duchu, bezgłośnie. Jeden, dwa, odmierzając oddechy, trzy, cztery. Po „pięć” Caterina spuściła wzrok. Kiedy dotarł do „osiem”, znów spojrziała i odkryła, że on wciąż się jej przygląda. Po dwóch kolejnych uderzeniach serca odwróciła się ponownie.

„Mam ją” - pomyślał.

Pan Valdez wyjął portfel i wyciągnął wizytówkę. Za jego plecami Gonzalez, De Silva i Costa się śmiali. Obejrzał się na nich przez ramię.

Tak bardzo próbowali nie patrzeć na dziewczynę, że nie wazyli się spojrzeć w jego stronę. Pan Valdez wyjął pióro i zaczął pisać na wizytówce.

Kiedy Costa sięgnął przez biurko, odsunął stertę papierów i odebrał telefon, który pod nimi dzwonił, powiedział:

- Filologia klasyczna, słucham. Nie było odpowiedzi.

Kiedy powtórzył te słowa i nadal nic nie usłyszał, odłożył słuchawkę.

- Służyłem swojemu krajowi - oświadczył. - Nie mów mi o patriotyzmie. Ani o lojalności. Nie zrobię tego.

Podobnie jak Valdes wychodzący z burdelu, tak i on, zanim powiedział te słowa, najpierw odłożył stertę papierów.

Kiedy kilka sekund później telefon zadzwonił w gabinecie po drugiej stronie budynku, ojciec Gonzalez odebrał go i rzucił:

- Wydział historii.

A kiedy nikt się nie odezwał, wiedział, kto jest po drugiej stronie.

- Czego pan chce? - spytał.

W jego uchu rozległo się elektryczne mamrotanie.

- Ale powiedział pan...

- Nie.

- Nie mam pojęcia. Proszę mi uwierzyć.

- Tak pan mówił ostatnim razem.

- Był z dziewczyną.

- Tak, z tą samą. Tak.

- Z grupy doktora Cochrane'a, tak.

- Nie.

- Przykro mi, nie wiem. Skąd miałbym wiedzieć?

- Nie zwierza mi się z takich spraw. Ma poczucie smaku.

- Nie, również w konfesjonale. Pan Valdez nigdy mi się nie spowiadał, ale gdyby to zrobił, nawet pan nie zmusiłby mnie do powtórzenia jego wyznania. Nawet pan.

„Dobry Boże - modlił się. - Daj mi siłę, bym uczynił te słowa prawdą”.

- Wiem tylko to, co widziałem. Lokal był zapchany. Nie mówię panu niczego, czego nie potwierdziłyby dziesiątki innych ludzi.

Ojciec Gonzalez zaczął się zastanawiać, jak wielu z tych pozostałych odebrało tego dnia identyczny telefon i ilu znalazło w sobie odwagę, by nie podnieść słuchawki.

- Postawił nam brandy... mi brandy.

- Nie, chciałem powiedzieć „mnie”.

- Nie, nikogo poza nami nie było.
- Nikogo, tylko Valdez i ja.
- Nie kłamię.
- Dobrze, w porządku. Tak, Costa i De Silva, tak.
- Tak, obaj z uniwersytetu.

„Nie jestem sam - pomyślał ojciec Gonzalez. - Nie jedyny, może nie najśłabszy. Kto jeszcze? De Silva, Costa, kelner? Może jeden z tych chłopców przy drugim stoliku? Wszyscy z nich, którykolwiek? Samo dziecko?”.

- Nie mam pojęcia.
- Wcale nie. Usiłuję pomóc. Proszę mi uwierzyć.
- Dziękuję.
- Nie wiem. Wiem tylko, że został z nami przez chwilę, a później poszedł i dosiadł się do niej.

- Nie, nie pokłóciliśmy się. No, może trochę. Ale do tego czasu już o tym zapomnieliśmy. Dobrze się dogadywaliśmy, a później on odszedł.

- Nie powiedziałem, że opuścił kawiarnię, prawda? Czy padły takie słowa? Próbuje mnie pan zbić z tropu.

- Nie. Odszedł od naszego stolika. Tak, naszego stolika. Mojego, Costy i De Silvy. Wstał bez słowa i skierował się w stronę dziewczyny. Nie powiedział „do widzenia”, „dobranoc” czy „przepraszam”. Po prostu się oddalił.

- Nic. Tylko patrzyliśmy.
- Tak. Właściwie przyjęli go całkiem miło.

Oczywiście. To był wielki triumf, jeśli ktoś został zauważony przez L.H. Valdesa. Wszyscy na uniwersytecie go znają. Ludzie, którzy nie rozpoznaliby kapitana narodowej drużyny piłkarskiej, wiedzą, kim jest L.H. Valdes. Kojarzą go zarówno osoby niemające pojęcia o gwiazdach telenowel, jak i (co gorsza) znające telenowele na pamięć. Woźni, codziennie myjący toalety, noszą w tylnych kieszeniach dzinsów tanie kopie jego powieści w miękkich okładkach, tak na wszelki wypadek, gdyby napotkali go przy odlewaniu się, żeby poprosić go o autograf. Dobry Boże, nawet studenci inżynierii o nim słyszeli.

- Był tam chłopak, rozmawiał z dziewczyną.
- Tak, z nią.
- Nie. Valdes po prostu podszedł i przysiadł na samym krańcu ławy, na której siedzieli, i tam tkwił, prawie z niej spadając. Brakowało

dla niego miejsca. Wyciągnął nogę, żeby się na niej wesprzeć i oparł ramię o tył ławy, jakby chciał się przytrzymać. Zupełnie zignorował chłopaka, pochylił się przed nim i rozmawiał z dziewczyną.

- Nie widziałem tego.

- Mówię panu prawdę. Tego nie widziałem.

- Nie, żadnej wizytówki ani wiadomości.

- W porządku. Skoro tak powiedzieli panu ludzie, to może to zrobił.

Nie mam pojęcia. Powtarzam: nie widziałem tego.

- Proszę posłuchać. Nie gapiłem się na niego przez cały czas. Byłem z przyjaciółmi i rozmawialiśmy o innych rzeczach. Wie pan o czym. Wie pan. Próbuję panu pomóc, ale nasza cała rozmowa nie kręciła się wyłącznie wokół tego, co robił pan L.H. Valdez.

Przypomniawszy sobie, jak De Silva pochylił się bliżej i mówił tonem uchodzącym za szept wśród ludzi, którzy wypili już kilka szklaneczek brandy. „Sza. Nic nie mów. Nie patrz. On podrywa tę cycatą dziewczynę. Na litość boską! Mówiłem ci, żebyś się nie gapił. Prawda? Nie miałem racji? Costa, teraz ty spojrzysz. Co on robi, ten szczęśliwy, szczęśliwy sukinsyn?”.

A wtedy dziewczyna pochyliła się i odezwała się do niego.

- Trwało to przez jakiś czas, a później do rozmowy dołączyła inna dziewczyna i dwóch chłopaków siedzących przy drugim końcu stołu. Wtedy ten pośrodku miał dosyć, że rozmawiają mu nad głową, i poszedł sobie.

- Na drugi koniec stołu.

- Nie, nie wydawał się zadowolony.

- Nic się nie działo. Valdez i dziewczyna gawędzili. Inni ludzie rozmawiali z nimi. Później ci inni mówili coraz mniej, a oni coraz więcej.

- Chodzi mi o to, że odchodzili, odwracali się i rozmawiali z różnymi osobami, zajmowali się innymi rzeczami. Jest, jak mówiłem: nie wszyscy mają tak wielką obsesję na punkcie L.H. Valdeza, jak pan wydaje się mieć.

- Oszalał pan? W Feniksie? L.H. Valdez? Nie, nie zrobił tego.

- A ja panu mówię, że jej nie pocałował. Nie kiedy tam byliśmy.

- Nie mam pojęcia.

- Być może, ale nie wiem, czy to zrobili. Kiedy wyszliśmy, wciąż siedzieli razem na tej ławie.

- De Silva, Costa i ja. Opuściliśmy lokal wszyscy razem. Razem przyszedliśmy i razem wyszliśmy.

- Do domu, jak przypuszczam.

- Mówiłem panu, zostali tam.

- Tak, było kilku. Przynajmniej dwoje. Nie znam ich nazwisk. Nie! Nie chodzą do mnie na zajęcia. Pewnie są z matematyki. Od doktora Cochrane'a.

- Nie wiem. Na pewno przed północą.

- Nie.

Rozległ się głośny trzask i rozmowa się zakończyła.

Przez okno wpadały promienie słońca. Ojciec Gonzalez odkrył, że spędził całą rozmowę, wpatrując się w portret świętego Maksymiliana Kolbego, który wisiał na przeciwległej ścianie, spoglądał w te smutne oczy za okularami w okrągłych drucianych oprawkach i w głębi duszy wiedział, że mógłby zrobić to, co ten ksiądz. Gdyby ktoś przyszedł i zapytał, czy zająłby jego miejsce w bunkrze głodowym, zrobiłby to z radością. Czekaliby tam, śpiewając i modląc się, umierając z głodu i pragnienia, aż przyszliby do niego z zastrzykiem fenolu. Tak właśnie by postąpił. Stawiłby czoło najpaskudniejszej śmierci. Nikt go jednak tym nie straszył. Grozili, że powiedzą.

Ojciec Gonzalez odłożył słuchawkę i wrócił do oceniania prac.

Oczywiście, ojciec Gonzalez zgodnie z prawdą opisał to, co wydarzyło się tamtego wieczora w Feniksie. Próbował tego nie robić, starał się przemilczeć, kto tam przebywał i co robił, lecz nie miało to sensu. W lokalu siedziało tak wielu ludzi. Widzieli jego, Valdesa i dziewczynę. Biedny ojciec Gonzalez nie potrafił stwierdzić, kto z nich odegrał rolę Judasza. Ale choć starał się ograniczyć do absolutnie ścisłego opisu wydarzeń, nie mógł on być kompletny. Jedynie dziewczyna i L.H. Valdes wiedzieli, jakie słowa padły między tymi dwojgiem.

Pan Valdes pamiętał to wyraźnie - każde zdanie - kiedy szarym świtem leżał w łóżku, a z radioodbiornika przy jego uchu szemrało żalobne tango. Pamiętał, jak jednym susem przebył przepaść, która dzieliła jego krzesło od jej ławki. Uśmiechnęła się nerwowo. Chłopak też rozciągnął usta w uśmiechu, po czym przesunął się, żeby zrobić miejsce. Zanim udało mu się odegnać intruza, pan Valdes tkwił na tej ławie przez dokładnie trzynaście minut, a każdą z nich wyliczył na swoim eleganckim srebrnym zegarku, gdy siedział z lewą ręką wyciągniętą z tyłu, przytrzymując się.

A kiedy chłopak odszedł i zrobiło się miejsce, wąska kałuża błyszczącego wypolerowanego drewna, na którą się wsunęła, jego ramię pozostało wzdłuż tyłu ławy, wokół niej. Trudno o coś bardziej naturalnego.

„Mam coś dla ciebie”. Pan Valdez pamiętał, jak mówił te słowa. Zrzucił pościel i pozwolił, by muzyka wpłynęła do jego głowy. Czy w Feniksie coś grało? Nie przypominał sobie tego. Chyba tak. Ostrożnymi pociągnięciami pędzla domalował ją do swoich wspomnień.

„Mam coś dla ciebie” - powiedział, a inni zauważyli, że w tej szczególnej rozmowie brakuje dla nich miejsca i z szacunkiem, posłusznie wycofali się na drugi koniec stołu.

„Mam coś dla ciebie”. Kiedy spojrzała na niego, uśmiechnięta, pełna namysłu, nieco przestraszona, wiedział. Sięgnął za połę marynarki i z kieszeni idealnej różowej koszuli, gładkiej, ani trochę nie wilgotnej, bez przetarć na mankietach, nieskalanej, z właściwymi spinkami, wyciągnął wizytówkę i położył ją na dłoni dziewczyny.

Caterina spojrzała na nią. Spojrzała na niego.

Delikatnie sięgnął w jej złożone dłonie i odwrócił kartonik. Napisał na nim „Piszę”.

Była podekscytowana. Uśmiechnęła się. L.H. Valdez skupił się na jej ślicznym uśmiechu.

Powiedziała:

- Panie Valdez!

- Proszę.

Ostrożnie odebrał jej wizytówkę i swoim pięknym, grubym i ciężkim wiecznym piórem, tym samym, którym napisał Starca z San Tomé i którym raz za razem notował zdanie „Chudy żółty kot przeszedł przez drogę”, przekreślił raz „L.H. Valdez”, poprawiając na „Chano”.

Wyglądała na zachwyconą.

Pan Valdes odkrył, że myśli o Fauście. Tamten zdołał omamić kobietę swoich marzeń skrzynią klejnotów z piekielnych otchłani. Panu Valdezowi udało się to z pomocą kawałka kartonu - i to najzwyklejszego. Były ich dziesiątki - co najmniej - porozrzucane po całym mieście i kraju, od miasta aż po stolicę, a wszystkie starannie oznaczone tym samym unikatowym, spontanicznym podpisem, głębokim czarnym przekreśleniem i „Chano” powtarzanym unikatowo i spontanicznie, raz za razem. Czasami pan Valdes zastanawiał się, co się stało z tymi wszystkimi wizytówkami. Był pewien, że niektóre skończyły jako konfetti, kiedy kobiety, które niegdyś je ceniły, zauważały, że ciepłe i radosne „Chano” kończy się nagle mroczną i ostateczną kropką. Wyobrażał je sobie - te, które okazały się przykre, niemające nic do stracenia, ani męża, ani pozycji, ani reputacji. A co gorsza, gotowe poświęcić wszystkie te rzeczy, ignorujące zasady tej szczególnej gry i spodziewające się, że on zrobi to samo. Takim kobietom musiał pokazać, gdzie ich miejsce. „Było cudownie, kochanie - mówił im. - Na zawsze zapamiętam te chwile, ale lepiej, żebyśmy to skończyli tu i teraz. Nigdy więcej nie dzwoń na ten numer”. Ich wizytówki zostały porwane na strzępy.

Ale lubił też myśleć o innych, cenionych jak święte relikwie lub zasuszone kwiaty, które wciąż niosły słabą woń krótkiego gorącego lata i rozkosznych popołudni w cienistym ogrodzie. Te kawałki kartonu przypominały cenne pamiątki, od czasu do czasu wyjmowane z tajemnych kryjówek, dotykane i całowane przez kobiety nabożne jak mniszki, w których wzbudzały wspomnienia czasów, gdy były lubieżne jak nierządnicę. „I nie ma w tym nic złego” - pomyślał pan Valdes.

Pogratulował sobie liczby nieciekawych małżeństw, które uratował, bolesnych samobójstw powstrzymanych dzięki kilku popołudniom miłości - albo czegoś bardzo podobnego. W każdym smętnym miasteczku wzdłuż Merino mieszkali mężowie, którzy pewnego ranka obudziliby się z poderżniętymi gardłami, gdyby nie czuła troska pana L.H. Valdesa, i błogosławiliby jego imię, gdyby tylko wiedzieli.

- Tak - powiedziała. - Pisze pan. Wiem. A teraz ja powinnam zapytać: „To co takiego pan pisze?”, a pan mówi...

Przerwała. Przypomniała sobie rozmowę przy toaletach, kiedy rzuciła mu wyzwanie. Wypiła trochę za dużo wina. To dodało jej odwagi. Nie słyszała odległego huku lodowej płyty odrywającej się i wpadającej do morza, mroźnej góry kierującej się w jej stronę.

Leżąc w łóżku i ponownie przeżywając przygody poprzedniego wieczora, pan Valdes płał w przyjemnym dreszczyku. Zuchwała była ta Caterina - jego Caterina - nigdy wcześniej nie czuł takiej pewności, że ją posiadzie. Rzuciła mu wyzwanie, zapraszała do tańca.

- Wtedy ja mówię. Wtedy ja mówię... - Uśmiechał się.

- Tak? Co takiego? - Nie potrafiła się zmusić, by na niego spojrzeć. Powietrze zdawało się opuszczać jej ciało i skupiała się na obserwowaniu koniuszka palca, który przesuwiał się po brzegu kieliszka z winem. - Chano?

- Wtedy ja mówię: „Ale nie wolałabyś seksu?”. Jednak na niego zerknęła.

- Czy powinnam być teraz uprzejma i udawać, że nie usłyszałam?

- Nie byłem uprzejmy. Przestraszyłaś mnie.

- Trudno mi w to uwierzyć. Głupie dziewczyny z pewnością już wcześniej się na ciebie rzucały.

- Nie tak często, jakby ci się mogło wydawać. - Co za kłamstwo. Cóż z ciebie za bajarz, Chano.

Oboje się roześmiali.

- Tak czy inaczej - stwierdziła - odmawiam odpowiedzi na twoje niestosowne i impertynenckie pytanie.

- A ja nie odpowiem na twoje. - „Nie, wcale nie - pomyślał. - Już wkrótce się dowiesz. Pokażę ci”.

Och, ale jeszcze nie teraz. Pan Valdes nie mógł wręcz uwierzyć, jak silny był, jak bystry, jak dobrze się bawił, nie mając jej. Czy mogła istnieć przyjemność głębsza od czekania na tę rozkosz? Upajał się tym -

ten kieliszek wina, kolejny kieliszek wina, kawa, ostatnia duża brandy, płacenie rachunku - szczególną radość sprawiło mu płacenie rachunku. Nie wyliczanie, kto co wypił. Nie zrzucanie się. Nie był studentem. Mógł sobie na to pozwolić i nie musiał robić sceny. Rzut oka na rachunek, szybkie złożenie banknotów i wyszli razem, śmiejąc się na schodach i pośród ciepłego mroku ulicy. I szła z nim, pod rękę, przez całą długość alei Cristóbal, tak, nawet obok wielkich szklanych drzwi jego apartamentowca, gdzie tak uważnie wpatrywał się w swoje odbicie, że nie zauważył mężczyzny w ciasnym garniturze idącego kilka kroków za nim i obserwującego, aż do jej mieszkania, gdzie znów powtórzyła „Nie wolałbyś...?”. Stała z twarzą zwróconą w jego stronę i przycisnęła do niego całym ciałem.

- Muszę iść - powiedział.

- Nie. Zostań. Nie wolałbyś zostać?

- Muszę. Wkrótce. Obiecuję. Już niedługo.

A później pocałował swój palec i dotknął nim jej ciepłych warg.

- Wkrótce - powtórzył.

Pan Valdes pomaszerował szybko aleją do swojego domu, a kiedy dotarł na miejsce, pani Marrom siedziała w marmurowym holu, kołysząc sandałem i ze złością przeglądając stare czasopismo. Dąsała się.

- Chano, tak późno wracasz! Ernesto został wezwany do centrali, a ja czuję się samotna.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Ja też.

Na zewnątrz mężczyzna w ciasnym garniturze zapisał linijkę czy dwie w swoim notesie i spojrzął na zegarek. Do końca jego zmiany pozostały jeszcze cztery godziny, a ten związkowiec z fabryki kurczaków w celi numer siedem sam sobie zębów nie wybije. Ruszył w stronę, z której przyszedł. Bolały go nogi.

Nikt nie poprosił doktora Cochrane'a, by zaświadczył o wydarzeniach tamtego wieczora w Feniksie. Na jego biurku nie odezwał się telefon. Gdyby tak się stało, brzęczałby tam w samotności, dzwonił bez sensu, aż ogrodnicy podlewający kaliny w ogrodach przechyliliby kapelusze i spojrzeliby w górę z wyrazem irytacji na twarzy, w promieniach zaś słońca wpadających przez jego okno tańczyłyby miliony drobin kurzu. Niektóre wznosiły się z rozpadających się podręczników walających się w gabinecie, większość jednak - co potwierdziłby każdy z wydziału medycyny - była złuszczoneymi cząsteczkami skóry dawno zapomnianych studentów.

Doktora Cochrane'a nie było w gabinecie. Ani w domu. Nie siedział w Feniksie i nie spacerował bez celu w ogrodach domu Ottavio. Doktor Cochrane pozwolił sobie na urlop.

Nie miał tego dnia wykładów, a do drzwi gabinetu przyczepił wielką kopertę z informacją, że tego dnia będzie niedostępny, zachęcając studentów do pozostawienia wiadomości, którymi zajmie się później. Nikt się na to nie zdecydował.

Kiedy dziekan wydziału matematyki - człowiek, który nigdy nie wyrażał żadnego podziwu wobec byłego pułkownika presidente ani też nie komentował obecnego pułkownika presidente - o godzinie dziewiątej trzydzieści rano zobaczył informację i cmoknął z dezaprobatą, doktor Cochrane przebywał już daleko.

Kilka godzin wcześniej dołączył do tłumu podróżnych na nabrzeżu, gdzie wśród przepychanek przeszedł szeroki trap promu przez Merino i wspiął się na pokład. Doktor Cochrane doskonale znał stary prom.

Cieszyło go, że tuż pod barierką na rufie, skąd zakochane pary lubiły obserwować wodę wzburzoną przez śrubę i wpatrywać się w przypominający strzałę kilwater, na burtę, gdzie nakładały się na siebie kolejne warstwy farby grube jak lukier na weselnym torcie, wciąż mógł odczytać słowa Hippocampo i Glasgow. To był szkocki statek, równie szkocki, co jego przodek admirał, i może tylko odrobinę bardziej od samego doktora Cochrane'a.

Często stał i patrzył, jak przybija do brzegu, czekając na chwilę, kiedy kolejna ciężarówka zjedzie po brzęczącym żelaznym trapie i przeniesie na suchy ląd wystarczająco duży ciężar, by spod zielonej oleistej wody wyłonił się namalowany znak wolnej burty. To świadczyło, że kapitan wierzy w swój stary statek. Zna go. Wie, co

może znieść i że go nie zawiedzie. Doktor Cochrane popierał to korsarskie w duchu nieposłuszeństwo wobec zasad, podobnie jak robiłby stary admirał. Ale odkrył, że aprobata łatwiej przychodzi mu, kiedy tkwi bezpieczny na brzegu, a nie ślizga się po tłustym pokładzie w tłumie innych pasażerów, pospiesznie zajmując miejsce w pobliżu kapoków. W końcu Merino była bardzo szeroka.

Doktor Cochrane pozbył się takich myśli, kiedy wcisnął laskę pod ramię, chwycił reling, który wciąż dawało się rozpoznać pod warstwami sparszywiającej farby, i wspiał się po wytartych metalowych stopniach na pokład pierwszej klasy.

Podczas wędrówki po schodach działo się z nim coś dziwnego.

Kiedy dotarł na górny pokład, wydawał się nieco prostować i jakimś cudem nie potrzebował już laski. Ścisnął ją w pięści niczym miecz, jak admirał mógłby dzierżyć swój kord, kiedy spadał na pokład wrogiego okrętu. Czuł się młody.

Pierwsza klasa znajdowała się bezpośrednio pod mostkiem. Szalupy ratunkowe wisiały uspokajającymi girlandami wzdłuż relingu, związane razem nasmołowanymi linami i obwieszane automatycznymi lampami, które, jak utrzymywały znaki, zapalały się przy kontakcie z wodą. Doktor Cochrane słyszał kapitana na górze, znajdującego się tuż poza zasięgiem wzroku, jak wydaje polecenia cichym, pewnym siebie głosem. Elektryczne dzwonki brzęczały, a głośniki chrypiały odpowiedzi.

Dużo niżej, co doktor Cochrane czuł przez podeszwy butów, przebudziło się coś potężnego. Z tyłu statku woda skłębiła się, napęczniała, zagotowała i zapieniła. Nic się nie działo. A później, tak powoli, że z początku mężczyzna zwątpił w swoje zmysły, statek zaczął się ruszać. Doktor Cochrane obserwował żółtą puszkę po piwie uwięzioną w wąskim paśmie wody między nabrzeżem a statkiem. Przestrzeń ta otwierała się, rozszerzała od strony dziobu, a zasysanie z tyłu sprawiło, że puszka ruszyła w kierunku rufy statku, wirowała, kręciła się i kołysała, aż nagle zniknęła pod wodą. Gdyby doktor Cochrane był poetą, znalazłby w tym natchnienie dla sonetu, ale jako matematyk podążył za puszką w dół w gorączce równań parabolicznych, obliczając przyspieszenie i ruch wirowy. Później otworzyła się przestrzeń za statkiem. Powoli z cienia rufy zaczęły się wyłaniać betonowe kolumny wzdłuż doków, obwieszane u szczytu

starymi oponami, utrzymywane w miejscu przez wielkie żelazne kołki, otoczone leniwą zieloną wodą, aż w końcu kolos utracił kontakt z lądem.

Doktor Cochrane nie mógł się już dłużej oszukiwać. Statek się poruszał. Zrobiło mu się niedobrze. Rozstawił szeroko nogi, oparł się o reling i poczuł ściskanie w żołądku. W barze pierwszej klasy szklanki na półkach nawet nie zadrżały, piwo w szybkach butelek nie poruszało się. Doktor Cochrane poczuł przyływ wstydu i obiecał sobie, że ze względu na admirała nie zwymiotuje.

Skoncentrował się. Odwrócił się na nawietrzną i skupił spojrzenie na horyzoncie. Był płaski. I stały. Daleko przed sobą widział eskadrę pelikanów lecących wzdłuż rzeki falistym ruchem. Jakimś sposobem ich ruchy zdawały się idealnie przeciwstawne do tego, co robiła rzeka. Jeśli Merino wznosiła się jak oliwa w butelce, one opadały jej na spotkanie. Jeśli nurt obniżał się, one wzlatywały nieco wyżej jednym uderzeniem prehistorycznych skrzydeł. Czuł, jak statek porusza się w górę i w dół, jakby przebijał się przez fale.

Jego cierpienie trwało dalej. Ścisnął reling. Dłonie miał śliskie od potu, w ustach pełno śliny. Patrzył przed siebie na koniec falochronu i małą latarnię morską znajdującą się na samym jego końcu jak zamek z lukru. Za chwilę wypłyną na rzekę. Pojawi się wiatr. Uderzy w burtę. Podniosą się fale i statek się zakołysze. Był gotów. Lecz wtedy nagle chmura dymu, śmierdząca olejem napędowym, wyleciała z komina i doktor Cochrane poczuł żółć z tyłu gardła.

Stał tak, z lepkiem potem ciekącym spod kapelusza, przez prawie dwie godziny, aż nadszedł moment na ceremonię zmiany bandery, przeprowadzaną w połowie nurtu.

Przez te kilka chwil, kiedy stał z odkrytą głową, czekając na gwizdki sygnalizujące, że flaga, niewidoczna za mostkiem, została odpowiednio opuszczona i podniesiona, jak wdowa zmieniająca lojalność z nową obrączką, doktor Cochrane był przekonany, że zaraz zwymiotuje.

Gorące promienie słońca paliły jego gołą głowę, rzeczna bryza zaś ocierała spocone czoło chłodnymi pocałunkami. Przeżywał męki. Poszukał miejsca, gdzie mógłby dyskretnie zwymiotować. Nie przez reling. Pokład pierwszej klasy znajdował się ponad pokładem klasy drugiej, a pan Cochrane nawet w swoim cierpieniu litował się nad

rodziną poniżej, siedzącą na słońcu z koszem piknikowym. Przez chwilę rozważał przebiegnięcie przez bar do toalet, ale wiedział, że nie zdążyłby na czas i tylko by się skompromitował, więc zrobił jedyne, co mu pozostało. Kiedy rozległ się ostatni gwizdek, kiedy prom znów ruszył przez wyimaginowaną granicę, doktor Cochrane zrzygał się do kapelusza. Krztusząc się na widok jego zawartości, przeniósł go jak basen z pokoju chorego i cicho, starając się nie zwracać na siebie uwagi, umieścił pod jedną z drewnianych ławek stojących na pokładzie, po czym powrócił do relingu, gdzie skulił się, dręczony nudnościami i upokorzeniem.

- Masz, przepłucz sobie usta.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu i przed na pół przymkniętymi oczami uniósł szklankę wody.

- Wypluj na pokład. W tym upale wkrótce wyparuje. Potem poczujesz się lepiej.

Doktor Cochrane zrobił, co mu powiedziano.

- Dziękuję - powiedział.

- Nie, nie. To ja dziękuję za przybycie. Wiem, ile cię to kosztuje.

- Bałem się, że nie ma cię na pokładzie.

- Czekałem, aż znajdziemy się za granicą. Ukrywałem się. Umiem się dobrze schować. Tu mnie nie tkną.

- Przyjacielu, mogliby dosięgnąć cię wszędzie, gdyby wiedzieli, gdzie przebywasz.

- Za bardzo się przejmujesz. Jestem płotką.

- Oni nie wybaczą i nie zapominają.

- Masz. Napij się trochę tej brandy. Kropelkę. Pomoże ci na żołądek.

Gdyby kapitan promu wybrał tę właśnie chwilę, żeby nabić fajkę, gdyby odwrócił się do mata i powiedział: „Przejmij stery, Pedro” i wyszedł na skrzydło mostka, jak to czasem musiał robić, kiedy wejście do portu było szczególnie trudne, mógłby spojrzeć w dół i zobaczyć dwóch przyjaciół, jednego wyjątkowo bezmyślnego, bez kapelusza, stojących ramię przy ramieniu i pijących z jednej butelki. Nic w tym dziwnego. Nic zwracającego uwagę.

Ale gdyby kapitan znał swój patriotyczny obowiązek, zawróciłby statek i wysłał wiadomość na brzeg, by w porcie czekali na jego powrót Camillo i pół batalionu policji.

- Czuję się teraz odrobinę lepiej - powiedział doktor Cochrane. Oddał srebrną piersiówkę. - Dziękuję.

- Dobrze. Może usiądziemy na jednej z tych ławek w cieniu?

- Tak. Ale nie na tej. Przejdźmy się trochę.

Doktor Cochrane padł na ławkę, jej deski wpijały się nieprzyjemnie w jego pośladki, a gorący, pomalowany metal baru pierwszej klasy przyciskał się do jego pleców.

- Rzeczywiście czuję się lepiej - stwierdził. - Odrobinę.

- Dobrze. A jak się mają sprawy?

- Tak samo jak zawsze, sam wiesz. Niewiele się zmienia. Żyjemy jak zwykle. Twarze się zmieniają, ale tylko na szczycie drzewa. Tak naprawdę jeden mundur pułkownika nie różni się za bardzo od drugiego.

- Po drugiej stronie rzeki jest tak samo. Wszystko się zmienia i pozostaje identyczne. Życie na przeciwległym brzegu Merino przypomina spojrzenie z drugiej strony lustra.

- Trudno uwierzyć, że kiedyś tak się przejmowaliśmy - powiedział doktor Cochrane.

- Nie. Wcale nie. Nadzieja to potężny narkotyk. Milczeli przez chwilę, a później, jak to się zdarza starym mężczyznom, odkryli, że trzymają się za ręce.

- A jak tam chłopak?

- Dobrze. Doskonale - odparł doktor Cochrane. - Wiesz, on stał się mężczyzną.

- Wiem, wiem. Po prostu. Sam rozumiesz.

- Tak. Oczywiście.

- Przywiozłeś książkę?

- Obawiam się, że w tym roku jej nie będzie. Pracuje nad czymś... kilka dni temu widziałem, jak siedział na brzegu rzeki i notował gorączkowo w swoim zeszycie, zapełniając go kolejnymi stronami cudów. Stara się. Może w przyszłym roku. Na pewno skończy na twoje kolejne urodziny.

- Jestem z niego tak dumny, przyjacielu.

- I słusznie. To skarb narodowy. Nikt nie rozumie nas tak jak Chano. Czytamy jego książki i wydaje się, jakby stał obok, opowiadając nam o nas samych.

- Tak sądzisz? Cieszę się. Lubię tak myśleć. Te książki to dla mnie jedyna szansa, bym go poznał, i miło pomyśleć, że rzeczywiście nie myliłem się co do niego. Czy jest szczęśliwy?

- Czy jest szczęśliwy? - powtórzył doktor Cochrane zdziwiony. - A ty? A ja? Skąd mam wiedzieć? Zapytaj mnie o pogodę albo wyniki loterii w przyszłym miesiącu. Zadaj mi jakieś łatwe pytanie.

- Ale czy dobrze się miewa?

- Tak, jest podziwiany, szanowany i bogaty i... co najważniejsze... bezpieczny.

- Tego tylko chciałem. Na tym mi zawsze zależało.

- Wiem.

- I wciąż nie ma żony.

- Nie. Jest zbyt zajęty.

- Ale...?

- Ależ nie! Och, tym się nie musisz przejmować. Twój Chano to straszny kobieciarz. Aż do przesady.

Doktor Cochrane wolał nie wspominać o domu Ottavio. Człowiek, któremu nie przeszkadza spotkanie w takim miejscu kolegów z pracy, mógłby jednakowoż czuć niejaki dyskomfort, gdyby dowiedział się o tym jego ojciec.

- To dobrze. Doskonale. Nie żeby było coś nie tak z... cóż, z takim czymś.

- Nie czuję się urażony - odparł doktor Cochrane. - Mój ojciec nie byłby zachwycony, gdyby jego dziedzic okazał się mariquita (Hiszp. pedał (przyp. tłum.)).

Przez chwilę panowała niezręczna cisza.

- A jego matka? Jak się miewa Sophia?

- Tak samo. Wciąż smutna. Ona nigdy... - zdanie doktora Cochrane'a zagubiło się gdzieś, co zresztą często im się zdarzało - ...cóż, ona nigdy, tak naprawdę.

- Nie. Nie mogła. Przykro mi.

- Tak było najlepiej.

- Naprawdę, Cochrane? Prawie czterdzieści lat i po co? Nic się nie zmieniło. I wiesz co, przez cały ten czas ani razu nie próbowali mnie zabić.

- Ale gdybyś został, zrobiliby to. Zamordowaliby cię i zrobiliby coś jeszcze gorszego. Zmusiliby do mówienia i wykorzystaliby do tego

chłopca. No i Sopię. Oni żyją dlatego, że tamci uważają cię za martwego... oni i Bóg jeden wie kto jeszcze. Ja. Uratowałeś mi życie!

Starali się trzymać wzrok skierowany w przód, żeby nie patrzeć na siebie, obserwowali dziób promu przebijający gęste wody Merino, kierujący się w stronę drugiego brzegu.

Po jakimś czasie doktor Cochrane spytał:

- Masz jeszcze tę brandy?

- Oczywiście. Przyniosłem też kanapki. I tort urodzinowy.

- Nie mógłbym. Wiesz, mój żołądek. Ale nie krępuj się. Wzniosę toast na twoje urodziny twoją własną doskonałą brandy.

- I na co nam przyszło, co, Cochrane? Dwóch rewolucyjnych podżegaczy, dwóch towarzyszy, dwóch wrogów państwa, jedzących tort urodzinowy na brudnym starym promie.

- Jeden z nas je. Ja jestem zbyt zajęty wymiotowaniem do kapelusza.

- Tak, zastanawiałem się, co z nim.

- Kupię sobie nowy - stwierdził doktor Cochrane.

- Jasne. A tak na marginesie, ja się wcale nie śmieję.

Przez całą drogę siedzieli razem w słońcu, całymi godzinami rozmawiając o swoim życiu, jak im się wiodło, na co mieli nadzieję w czasach, kiedy jeszcze jej nie stracili, a w końcu, ponieważ wszystkie podróże mają swój kres, dotarli na drugi brzeg rzeki.

- To do zobaczenia za rok - powiedział doktor Cochrane. - Pewnie tak. Powiniennem iść. Dziękuję raz jeszcze, że przyszedłeś. I że się o nich troszczysz. Jesteś dobrym przyjacielem.

- Robię to z przyjemnością.

- Wiesz, zauważyłem, że nigdy nie pytasz, co robię, gdzie mieszkam, z czego żyję. Nawet nie zagadnąłeś mnie o nazwisko.

- Jeśli nie zapytam, ty mi nie powiesz. Jeśli mi nie powiesz, nie będę wiedział, a jeśli nie będę wiedział, nie zmuszą mnie, żebym to wyjawiał.

- Za bardzo się przejmujemy. Czasem sędzę, jestem prawie pewien, że mógłbym wrócić. Przekroczyć granicę. Ale się boję.

- Ja zaraz to zrobię i już się obawiam. Całą drogę będzie mi niedobrze. Zostań tutaj, Valdes. Zostań tutaj.

Jest coś nieopisanie pobłażliwego w ptysiu z kremem kawowym. Jeśli chodzi o ciasta, odpowiednio upieczony i dobrze zaprezentowany ptyś z kremem kawowym to rzecz najbliższa logicznemu dowodowi na istnienie Boga. Z jednej strony, jak upierają się ateści, gdybyśmy mieli nieskończony zapas mąki i masła, niekończące się baterie jajek i miliony miedzianych garnków z gotującą się wodą kłębiące się w przedwiecznej kuchni od dnia narodzin gwiazd aż po dzień dzisiejszy, istnieje możliwość, że ciasto ptysiowe po prostu by zaistniało. W końcu z niebytu wyłoniły się też bardziej skomplikowane rzeczy - jak na przykład pluskwy, bakterie czy walenie błękitne. Ale wtedy musieliby oni również uwierzyć, że nieskończona liczba piekarzy wykładała nowo narodzone ciasto ptysiowe na odwieczny papier pergaminowy i przez niezliczone milenia wypiekała z niego bułeczki, przebijała je, by wypuścić parę, schładzała i napełniała gęstym, idealnie doprawionym kremem kawowym, miękkim i brązowym jak uda tej nowej dziewczyny, która właśnie zaczęła pracę w domu Ottavio.

Florentynka, ze swoimi migdałami i kandyzowanymi wisienkami złączonymi razem w krążku gorzkiej czekolady, jest wspaniała, ale ma w sobie coś zwirowatego i przypadkowego, kawałki, które włożą między zęby, i orzechy nieodmiennie przebijające podejrzaną nadzienie.

Ptyś z kremem kawowym nigdy tego nie robi. Ani nikogo nie rozczaruje. Spoczywa drżący na malutkiej papierowej serwetce, świeży, błyszczący i schłodzony, kuląc się jak pochwycona chmura, ukoronowany malutkim czekoladowym krążkiem, i czekając, by go pochłonąć jak dziewiczą narzeczoną.

Gdyby ojciec Gonzalez był mądry, odłożyłby na bok całą swoją teologię, dogmaty i encykliki, katechizm i ćwiczenia duchowe wyrzuciłby przez okno, a miast tego przed każdym wątpiącym niedowiarkiem stawiałby czysty biały talerzyk z ptysiem z kremem kawowym pośrodku i mówił po prostu: „Oto dowód. Widzimy się w niedzielę w kościele”.

Pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez siedziała teraz przed takim właśnie ptysiem z kremem kawowym w sali jadalnej klubu Polo Merino. Spoglądała ponad tacą z ciastkami i przez drzwi balkonowe na taras.

Taras był Anglią, a raczej jej wyobrażeniem tego kraju - stary kamień i drobne, skromne kwiaty w przyjemnych, eleganckich

odcieniach. Nic ekstrawaganckiego. Nic ostentacyjnego. Wszystko pełne spokojnej godności.

Stało tam kilka osób, spoglądając na boisko do gry w polo, skąd dobiegało odległe rżenie koni i tętent kopyt, sapanie i okrzyki, uderzenia kijów i uprzejme oklaski. Spędziła w klubie większość popołudnia, chroniąc się przed słońcem pod olbrzymim pięknym kapeluszem, siedząc na leżaku na krawędzi boiska, kolana razem, nogi splecione i przechylone lekko w bok pod tym pełnym wdzięku, niewygodnym kątem, którego nauczyła się jako dziewczynka, kiedy jej kostki były szczupłe i w idealnej proporcji do łydek, jeden do jednego i dwóch trzecich. Po tak wielu latach ta poza powinna być łatwiejsza, mniej bolesna. Życie było niesprawiedliwe. Pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez tego również nauczyła się przed laty.

Doszła do wniosku, że polo to rozrywka hałaśliwa i przygnębiająca. Wszystko w nim wydawało się zamieszaniem i kłopotem - te paskudne twarde piłki, całe to nieuprzejme przepychanie się, brzęczące i skrzypiące upręże, pot, piana i długie, paskudne pasma śliny spływające z wędzideł kuców. Czasem nawet żałowała, że pozwoliła Chano brać w tym udział, ale jego ojciec, jego ojciec...

Mimo to wypełniła swój obowiązek. Nikt nigdy nie mógł jej oskarżyć o zaniedbywanie swoich powinności. Siedziała tam całymi godzinami w upale, znudzona aż do bólu. Niezgrabnie próbowała podnieść się z tego absurdalnego leżaka, aż w końcu została zmuszona do przyjęcia pomocnej dłoni miłego młodzieńca, udała się do damskiej toalety, a później, jakby chciała udowodnić swoje oddanie, wróciła, obejrzała rozgrywkę do końca i patrzyła, jak Chano unosi puchar.

A teraz czekała ją nagroda. Porządny stolik z przyzwoitym obrusem, ładnymi ciężkimi sztućcami i delikatnymi filiżankami, ślicznymi delikatnymi filiżankami, malowanymi w różyczki i ze złotą obwódką. Zasługiwała na to. Jeszcze chwila czekania, dosłownie moment, aż Chano weźmie prysznic, przebierze się stosownie, by pokazać się ze swoją matką, a wtedy to wszystko będzie jej. Pani Valdez od niechcenia bawiła się srebrną łyżeczką na spodeczku. Zabrzęczała wesoło o filiżankę. Podziwiała bryłki cukru w cukiernicy. Prawdziwe bryłki cukru, przypadkowe, nieregularne kawałki odrąbane od prawdziwej głowy cukru. Autentyczne.

- Kawy, pani Valdes?

Kelner. Prawdziwy kelner. Nie chłopiec dorabiający sobie, żeby utrzymać się na studiach, ale autentyczny, z odrobiną siwizny w elegancko wypomadowanych włosach, ładnie wyprasowane spodnie, czyste paznokcie, ktoś, kto zadawał sobie trud, kto zasługiwał na napiwek.

- Kawy, pani Valdes?

A tam, za nim, siedzący samotnie przy stoliku dla dwojga, mężczyzna obgryzający paznokcie, mężczyzna noszący brązowe buty do czarnego garnituru, mężczyzna, który szybko odwrócił wzrok, kiedy zobaczył, że go zauważyła, wpatrujący się w stolik bez kawy, ciastek ani sztuczków, mężczyzna ignorowany przez każdego kelnera na sali.

- Kawy, pani Valdes?

Uniosła palec w geście zaprzeczenia.

- Nie. Dziękuję. Zaczekam.

Kelner wycofał się z ukłonem. Była taka szczęśliwa. Zwrócił się do niej nie „proszę pani”, tylko „pani Valdes”. Rozpoznał ją. Jak cudownie. Powróciła do wyglądania z uśmiechem przez drzwi balkonowe.

I taką właśnie znalazł ją Chano, kiedy wszedł na piętro z szatni. Siedziała odwrócona plecami do drzwi, każdy kosmyk doskonale ułożonych włosów na swoim miejscu, plecy przecięte na pół oparciem krzesła, delikatny złoty łańcuszek błyszczący na szyi.

Idąc w jej stronę przez salę jadalną, pan Valdes poczuł, że budzą się w nim wspomnienia - widział swoją matkę siedzącą w taki sposób, z upiętymi włosami i ramionami wyłaniającymi się zza przedniego siedzenia samochodu ojca tkwiącego obok za kierownicą, rytmiczne „szlup” latarni ulicznych przesuwających się obok otwartego okna. Pan Valdes pamiętał, że w tamtych czasach mocą umysłu panował nad światłami, zmuszając je do przeskoczenia z czerwonego na zielone przez całą aleję Cristóbal aż po ich dom na wzgórzu. To w tym aucie trwały przerażone, prowadzone szeptem dyskusje - nigdy w domu, zawsze w samochodzie, gdy krążyli skuleni całą trójką o różnych porach dnia i nocy, nigdy nie docierając nigdzie poza domem. Spoglądając wstecz, pan Valdes rozumiał, że jego rodzice próbowali sprawić, by wszystko wyglądało normalnie, ale ich strach przesączał się na tylną kanapę i pod koc, pod którym spał. Jakimś niewytłumaczalnym sposobem wiedział, że jego ojciec znalazł się w niebezpieczeństwie. Bał

się. W nosie czuł zapach rozgrzanego plastiku, tapicerki siedzenia, na którym leżał. Była brudnoczerwona i wytłaczana we wzór przypominający rattan, a on modlił się, proponując Bogu swoją władzę nad światłami w zamian za życie taty.

Jego ojciec zniknął, a pan Valdes utracił zdolność panowania nad światłami. Zawsze, kiedy wsiadał do samochodu, przypominał sobie, dlaczego nie wierzył w Boga.

- Witaj, mamó - powiedział. Uniosła twarz do pocałunku.

- Dzień dobry, kochanie. Świetna robota. Wydaje mi się, że pięknie grałeś. Byłeś cudowny.

Był cudowny. Tak, pan Valdes miał świadomość własnej wspaniałości, w idealnej marynarce, z nieskazitelną fryzurą i w perfekcyjnie wypastowanych butach.

- Ślicznie pachniesz.

I jeszcze ta doskonała woda kolońska o zapachu drewna sandałowego. Ale wolałby, by jego niezwykłość potwierdził ktoś bardziej wybredny niż matka. Dla niej wszystko, co robił, było „cudowne”. Od zawsze. Każde poplamione klejem i pomazane farbą dzieło, które przyniósł ze szkoły, było „cudowne”, podobnie jak jego powieść. W rzeczy samej, dokładnie tak samo jak książka. Ani odrobinę bardziej wspaniałe w żaden sposób. Papierowy kalendarz, kot z tektury, dzieło doprowadzające do łez dorosłych mężczyzn, wszystkie były równie wartościowe, ponieważ to on je zrobił, a ona ceniła je wszystkie.

Pani Valdez miała w swoim mieszkaniu całą półkę jego powieści. On pilnował, żeby dostawała egzemplarze wszystkiego, co napisał. Ona dbała o to, by zawsze znajdowały się na widoku, ale z dala od bezpośredniego słońca, zawsze odkurzone. Pani Valdez pokazywała je wszystkim gościom. Prezentowała je swoim przyjaciółkom, ale nigdy ich nie pożyczała. Rozmawiała swobodnie na ich temat - fabuła, postacie, te szczególnie barwne opisy. Może nawet senior doktor Cochrane uznałby ją z szacunkiem za kolejną wielbicielkę, ale ona nie wiedziała o książkach syna nic ponad to, czego dowiedziała się z recenzji w niedzielnych wydaniach gazet. Nigdy ich nie przeczytała. Pan L.H. Valdez wiedział to doskonale. Kiedy z miłością wpisał osobistą dedykację w swojej trzeciej powieści, dołączył banknot o nominale pięciu tysięcy koron wsunięty między kartki w połowie książki. Kiedy sprawdził po trzech tygodniach, wciąż tam był. Sześć

miesiący później, podczas kolejnej wizyty w domu matki, pan Valdez zabrał pieniądze i schował do portfela.

Wydał je tego wieczora u madame Ottavio - nigdy nie bawił się lepiej podczas wizyty. Świadomość, że w pewnym sensie był to prezent od mamusi, sprawiała, że każda chwila wydawała się jeszcze słodsza.

Mimo to pan Valdes wciąż dawał jej egzemplarz pierwszego wydania każdej swojej książki, lecz czwarta powieść i wszystkie kolejne leżały na półkach nie z banknotami wsuniętymi między kartki, lecz z pewnymi osobliwymi obrazkami wyciętymi z magazynów dla panów. Nigdy ich nie znalazła - i miał nadzieję, że to się nie stanie - ale świadomość ich obecności sprawiała mu sporą frajdę.

Pani Valdes naląka kawy.

- Słodzisz, kochanie? - Uniosła szczypczyki nad filiżanką. - Ja nie, ale oni zadali sobie tutaj tak wiele trudu i tak miło na to popatrzeć. Nie te śmieszne papierowe saszetki.

- Nie.

Położyła dłoń na jego ręce i pan Valdes patrzył, jak jego skóra porusza się i martwieje pod jej dotykiem, luźna niczym na kurczaku. Ona miała taką skórę - starej kobiety - i teraz mu ją przekazała. Poprawił łyżeczkę na spodeczku. Dało mu to powód, by cofnąć dłoń.

- Dziękuję za przyście - powiedział. - Bardzo się nudziłaś?

- Nonsens. To było ekscytujące. A ty byłeś cudowny, kochanie. Tak wiele goli.

- W całym turnieju strzeliłem może dwa.

- Cóż, tamci pozostali zachowywali się bardzo samolubnie. Nie dopuszczali cię do gry.

- Mamo, jestem zawodnikiem numer trzy. Strzelanie goli nie należy do moich zadań.

- Cóż, byłeś wyraźnie... ciastko, kochanie?... najlepszy w całej drużynie i miałeś najładniejsze konie.

- Kuce, mammo.

- Kuce są mniejsze, kochanie. To zdecydowanie konie.

- Tak, mammo.

- Tak czy inaczej, twoje były najpiękniejsze i wszyscy widzieli, że najlepiej jeździsz i doskonale sobie radzisz z tym czymś, czym się uderza... kijem.

- Malletem.

- Tak, malletem, więc mogliby przynajmniej przekazać ci dowodzenie.

- I tak zrobili, mamó, dlatego jestem zawodnikiem numer trzy.

- W takim razie powinni cię częściej dopuszczać do piłki. Ale i tak sprawiłeś się wspaniale, mimo wszystko, cudownie! Poczęstuj się ciastkiem, kochanie.

Z wdziękiem magika zsunęła skromne ciastko z platerowanej patery na talerzyk.

- Chyba wezmę ptysia z kremem kawowym... nie masz nic przeciwko, kochanie? Miałam na niego oko i lubię je, choć tak naprawdę nie powinnam. Ty mógłbyś go zjeść, Chano. W ogóle byś nie przybrał od niego na wadze, w końcu tyle się ruszasz. Weź go, dziecko.

Uniosła widelczyk do ciasta i słabym, wymuszonym, ofiarnym gestem popchnęła ciastko w jego stronę.

- Nie żartuj. Ty musisz je zjeść.

- Naprawdę tak uważasz, kochanie?

Wypełniła swój obowiązek. Najpierw pomyślała o innych. Była zadowolona z siebie.

- Lubię ptysie z kremem kawowym. Zawsze wydają mi się, wiem, to głupie, obietnicą lepszej przyszłości. - Zanurzyła widelczyk w ptysiu i odrobina powietrza pierdnęła cichutko przez krem jak biskup puszczający wiatry podczas pierwszej komunii. - Czy dla mnie nadejdzie lepsza przyszłość, Chano?

- Zawsze, mamó. Tylko tęcze i motyle.

- I wnuczęta?

- I niekończące się ptysie z kremem kawowym, i nie zestarzejesz się chociaż o jeden dzień.

- A wnuczęta?

- Mamó, jak możesz zachować wieczną młodość, jeśli zostaniesz babcią? Znienawidziłabyś to.

- Czy nie zasługuję na nie?

Pani Valdez wsunęła do ust miękki i pyszny kawałek ptysia z kremem kawowym i smakowała go. Chwila lub dwie, jakich potrzebowała na połknięcie, oznaczała, że nie musi dodawać: „Po tym wszystkim, co zrobiłam”. To by było niewybaczalne. Obowiązek nie liczył kosztów i nie żądał wynagrodzenia.

- Ludzie mówią, że warto się ożenić, Chano.

- Niestety, nikt, kogo znam, nie uważa, że powinienem go poślubić, mammo.

- Wystarczyłoby zapytać. Jesteś w pełni życia i sukcesów, szanowany, zamożny. Z pewnością znalazłabym ci dowolną liczbę miłych, bystrych panien, z których mógłbyś wybierać.

- Mammo, przestań. To nieprzyzwoite.

Nagle przypomniał sobie tamten wieczór, dom Ottavio i inne dziewczęta, z których mógł wybierać.

- Skąd znasz Camilla, komendanta policji?

- Nie znam go.

Jednak chłód, z jakim zabrała się do mieszania kawy - w której nie było cukru - sprawił, że jej nie uwierzył.

- Słyszałam o nim, oczywiście. Wszyscy wiedzą, kim jest, ale nic poza tym.

- Nie spotkaliście się?

- Czyż właśnie tego nie powiedziałam?

- Tyle tylko, że on poprosił mnie o przekazanie pozdrowień.

Pani Valdes odstawiła widelczyk do ciasta i otarła kąciki ust tak starannie, że choć na serwetce pozostały malutkie plamki kawowego kremu, nie było na niej śladu pomadki.

- Co powiedział? Dokładnie. Powiedz mi wszystko.

- Nie wiem, mammo. Coś w rodzaju prośby, żebym cię pozdrowił. Czysta uprzejmość, nic więcej.

- Ten człowiek nie wie, co to grzeczność.

- Powiedziałaś, że go nie znasz.

- Owszem. Ale zachowywał się okropnie. I wciąż taki pozostał. Przed czterdziestu laty i dziś. Stał przed naszym domem dzień w dzień, całymi tygodniami. Nigdy nie odezwał się ani słowem. Nie powiedział „Dzień dobry” czy „Dobry wieczór”, tylko tam stał, patrząc tak, jak kot gapi się na ogrodową sadzawkę, obserwując pływające w niej złote rybki. Papa tak jak one wiedział, że nie ma ucieczki. Trzymaj się z dala od tego człowieka, Chano. To diabeł wcielony.

Pani Valdes była bliska łez i zdenerwowana. Nigdy się tak nie zachowywała. Udawał, że nie zauważył.

- Ten człowiek zabił twojego papę, Chano.

Siedzący po drugiej stronie sali mężczyzna w brązowych butach znów na nią patrzył.

- Nie możesz tego wiedzieć - sprzeciwił się pan Valdes, choć wierzył, że to prawda.

- Owszem, a jeśli ty uważasz, że nie jestem godna wnucząt, zapytaj sam siebie, czy zasługuje na nie twój biedny papa. Zadaż sobie to pytanie. Bóg jeden wie, co wycierpiał ten biedak. Czy chcesz, by jego nazwisko zniknęło razem z nim?

Pan Valdes odkrył, że myśli o Caterinie. Wydawała się wystarczająco młoda, by urodzić mu syna - nawet wielu - i śliczne córki też. Ale to nie była kobieta, którą mógłby przedstawić matce. Ona nie siedziałaaby tutaj, w klubie Merino, zjadając z nią ciasteczka i popijając kawę. Zastanawiał się nad nią, jej rodziną. Co robili? Kogo znali? Z kim byli spokrewnieni? Jak mogła zostać matką jego dziecka, skoro sama ledwo dorosła? Czyż nie wydawała się wciąż dzieckiem? I nie kochał jej. Pragnął jej, to wszystko. Zawsze wyobrażał sobie, że będzie darzył swoją żonę miłością, przynajmniej odrobinę. Ale one były tak niegodne zaufania, a któż wiedział to lepiej niż L.H. Valdes? A gdyby pokochał swoją małżonkę, a ona okazała się taka jak Maria Marrom? Albo jak jego matka? Nie chciał ślubu.

A jednak, wiedząc to wszystko i jednocześnie obawiając się tego, kiedy matka zażądała wnucząt, jak to robiła wiele razy wcześniej, pomyślał o Caterinie. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się nic takiego.

„Czyżbym się zakochał?” - zastanawiał się pan Valdes. Był zdumiony. Bał się. Wyciągnął rękę na stole, zachęcając matkę, by ją przyjęła, udając, że w ten sposób chce ją pocieszyć.

- Dlaczego nie wyszłaś po raz drugi za mąż, mamó? Próbował ją sobie wyobrazić, przez czterdzieści lat w pustym łóżku, bez gorąca mężczyzny. Ileż to czasu!

- Och, Chano - odparła. - Jestem już mężatką.

Kiedy pan L.H. Valdez następnego dnia wstał z łóżka, był nieco zeszywniały i rozbity. Czuł ból w ramionach i napięcie w mięśniach ud, którymi poprzedniego dnia ścisnął siodło. Zaskoczyło go to. Skłoniło do namysłu. Ostatnio zdarzało mu się, że po rozgrywkach w polo wszystkie stawy narzekały i cicho jęczały. Czasem po nocy spędzonej na picciu brandy miał wrażenie, że głowę wypełnia mu kłęb wełny. Niekiedy u madame Ottavio wystarczał mu jeden raz. Może matka miała rację. Niewykluczone, że i jemu kończył się czas.

Wyszedł spod prysznic, wytarł się, wybrał miękką koszulę w odcieniu przygaszonego błękitu i włożył czysty karmelowy garnitur w bardzo delikatny wzór kurzej łapki, niemal niewidoczny w jedwabistym splocie.

Wielki niebieski notatnik leżał tam, gdzie go zostawił, porzucony na biurku jak trup w bocznej uliczce. Podniósł go i otworzył. Pierwsze pięć stron było zniszczonych. Wyrwał je, złożył, przedarł na pół i wrzucił do rattanowego kosza, który stał obok krzesła. Przed sobą miał czystą kartkę. Pan Valdez przesunął po niej dłonią - nie dlatego, że była szorstka czy pomięta, po prostu miał ochotę naciągnąć papier, wygładzić go, tak by stał się równy, elegancki i porządny jak plac defilad, na którym jego słowa mogły stać w dumnych rzędach, gotowe do przeglądu.

Pan Valdez zdjął skuwkę i w połowie kartki napisał: „Chudy żółty kot przeszedł przez drogę i wślizgnął się do burdelu”.

Wyglądało bardzo ładnie. Dobry początek.

Pan Valdez podniósł notatnik, pomacał się po kieszeniach, aż usłyszał uspokajający brzęk kluczy, i wyszedł z mieszkania. Winda jechała powoli i pobrękiwała. W drodze na dół zatrzymała się na pierwszym piętrze, tam do środka wsiadła pani Nero, żona dentysty, wraz z córką. Wymienili uprzejme skinienia głowami, ale nic poza tym. Pana Valdeza zaskoczył widok dziewczyny - jak ona miała na imię? Rosa? Czy może miała młodszą siostrę? Wydawało mu się niemal pewne, że to Rosa, ale odmieniona. Najwyraźniej była małą dziewczynką, choć przed zaledwie kilkoma dniami znajdowała się na krawędzi rozkwitu kobiecości, a pan Valdez planował dla niej wspaniałe rzeczy za rok albo dwa. Nie, raczej osiem albo dziesięć, z pewnością. Ona właśnie skończy dwadzieścia lat, a on, cóż, będzie starszy. O wiele. Po niewłaściwej stronie pięćdziesiątki. Właściwie

staczający się w stronę sześćdziesiątki. Pan Valdez poczuł niesmak do samego siebie. To nie wchodziło w rachubę. Czy za dziesięć lat wciąż będzie pił koktajle w ogrodach domu Ottavio jak Camillo? Albo spędzał popołudnia z Marią Marrom? Nie, to wykluczone. Ona też się zestarzeje. Marii pozostały dwa, trzy lata. Nie mógł. Nie ze starą kobietą po sześćdziesiątce, jak matka!

Chyba że z taką, którą kochał. Z żoną - swoją własną. Na dodatek z o wiele młodszą, która go uwielbiała, byłoby to możliwe.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem na parterze i Rosalita wraz z matką wysiadły. Pan Valdes znów nacisnął przycisk i pojechał dalej, do piwnicy, wypełnionej kurzem i smarem, gdzie śmierdziało rozgrzanym olejem, gumą oraz oparami benzyny i gdzie czekał jego samochód.

Pan Valdes jeździł ekstrawaganckim, importowanym, amerykańskim automobilem. W jego życiu pełnym cichego dobrego gustu, gdzie nic nie miało przyciągać uwagi, wszystko wydawało się niedopowiedziane, a największą ekstrawagancją stanowiła lazuruwa chusteczka, samochód zdecydowanie się wyróżniał.

Był klasykiem jak Don Kichot albo Odyseja. Pochodził z czasów, kiedy samochody kojarzyły się z heroizmem, uchodziły za weksle do krainy przygody. Został zaprojektowany w celu dojeżdżania do pracy mniej więcej w tym samym stopniu, co galera Odyseusza, i mówił z alkoholową gardłową chrypką niczym piękna piosenkarka z nocnego klubu, której najlepsze czasy już minęły, przypominał lamparta, radośnie brykającego na łańcuchu trzymanym przez piękną kobietę, ale zawsze gotowego odwrócić się i ją pożreć. Miał skrzydła, zamaszyste i wygięte jak rybie ogony, przez co przypominał rydwan Neptuna lub orła w locie. Jego koła były białe, siedzenia skórzane, a nadwozie błyszczało metalicznym odcieniem „Agua de la Nilo”.

Pan Valdes wiedział dokładnie, jak szybko może wyjechać po rampie z garażu na aleję Cristóbal, tak by opony efektownie zapiszczały na ostatnim zakręcie, ale bliźniacze rury wydechowe nie zaczęły o krawędź chodnika, kiedy włączał się do ruchu. Zazwyczaj chodził pieszo do pracy. Lubił gwar metropolii. Chciał być widziany, lecz tego szczególnego dnia miał sprawę na drugim końcu miasta i gdyby udał się tam pieszo, nie zdążyłby na pierwszy wykład tego dnia.

jechał z opuszczonym dachem, bardzo powoli, wlekąc się po alei Cristóbal w długim korku, ciesząc się słońcem, aż dotarł niemal do

skrzyżowania z aleją Universidad, która w tym miejscu skręcała w stronę Merino. Przed sobą miał cztery samochody, dwie ciężarówki oraz autobus i wiedział, że światła zmienią się, zanim do nich dotrze. Kilka chwil później auto przed nim prześlizgnęło się przez skrzyżowanie w chwili, kiedy zapaliło się czerwone, czego zresztą się spodziewał.

Pan Valdes spojrział na mały czarny zegar tykający na desce rozdzielczej. Niedawno minęła dziewiąta, co oznaczało, że mógł bezpiecznie włączyć radio bez obawy, że natrafi na wiadomości, w których co godzinę informowano o przemyśleniach i czynach pułkownika presidente. Uwielbiał tę chwilę - uchwyt na gałce ze sztucznej kości słoniowej z mosiężną nakładką i tymi głębokimi żłobieniami, niegdyś czarnymi od brudu, które jednak wyczyścił z miłością za pomocą spirytusu i patyczka, nacisk, opór, porządny niezawodny trzask, świadczący o jakości i mistrzostwie jak zatrzasująca się bezpiecznie pokrywa zegarka jego dziadka.

Radio zagrało. Rozbrzmiało tango, zawsze tango, i pan Valdes odkrył, że pod nosem cicho nuci słowa La soledad, tak proste, tak łamiące serce, tak doskonałe.

Przyszłaś do mnie jak w piosence wiersz, Pokazałaś mi Świat, w nim miejsca dla mnie brak. Miłości świat, Bez dobra i bez zła.

Światła się zmieniły. Pan Valdes wrzucił bieg i puścił sprzęgło.

Głupcem byłem. Serce swe ukryłem.

A teraz uwierzyć nie mogę w twój brak.

Miłości się bałem, serce pochłaniał mi strach.

Przyszłaś do mnie,

Ale ja bałem się kochać, miła ma.

Słońce zaszło,

Kochanie, jakże pragnę twej bliskości. Noc nadeszła, nie ma ciebie, Została samotności pieśń.

Pan Valdes skręcił w prawo, na szeroką autostradę prowadzącą wzdłuż brzegów Merino, zmienił bieg i przyspieszył. Nim dotarł do wielkiego zakrętu, na schodach uniwersytetu wybuchła bomba, ale silnik ryczał tak głośno, że on nawet tego nie zauważył.

Commandante Camillo wiele wiedział na temat zadawania pytań. Miał świadomość, że czasami nie należy zadawać pytania, o ile nie znało się na nie odpowiedzi. A niekiedy w ogóle lepiej nie zadawać pytania, chyba że naprawdę chce się ją poznać. Bywa i tak, że odpowiedzi nie mają znaczenia, a chodzi tylko o pretekst, by zrobić komuś krzywdę - niezależnie od tego, jak zareaguje. Czasem z kolei każda odpowiedź się liczy, ponieważ interesuje go jedynie ta chwila porażki, ustępstwa i przyznania się, a nie zawarta w niej informacja. Ale wiedział też, że jeśli chce się czegoś dowiedzieć, pytania powinny zawierać jak najmniej słów.

Zanim commandante Camillo pojechał na uniwersytet, zamknął drzwi swojego pokoju, usiadł przy biurku i zadzwonił do stolicy. Połączenie zajęło sporo czasu, a kiedy czekał, obok okna przejeżdżały karetki i wozy strażackie, głośno wyjąc syrenami.

Na linii rozległ się trzask i commandante Camillo poprosił o numer wewnętrzny. Daleko, na jakimś biurku na innym posterunku zadzwonił drugi telefon. Człowiek, który odebrał, nie podał nazwiska, więc commandante powiedział:

- Tu Camillo. Mieliśmy wybuch. Tak, to bomba. Chciałbym więc wiedzieć, czy to jedna z naszych? Tak, zaczekam.

Usłyszał, jak tamten odkłada odległą słuchawkę. Nie był pewien, czy doszedł go odgłos kroków, ale z pewnością usłyszał dźwięk wysuwania ciężkiej metalowej szuflady. Kilka chwil później się odezwał:

- Absolutnie nic wspólnego z nami? W porządku. Włożył kurtkę. To mu nieco utrudniło zadanie. Gdyby to rząd podłożył bombę, w dochodzeniu należałoby udowodnić, że sprawy wyglądały inaczej, że to naród i jego przywódcy, strażnicy z trudem wywalczonej wolności, zostali zaatakowani. Taki dowód byłby niezbędny, by uzasadnić, choć niechętnie i z ociąganiem, kolejny zamach na wolność obywateli. Aresztowanie bez nakazu, może na całe tygodnie. Nieprzyjemne, ale konieczne. Tego wymagała sytuacja. Ograniczenie wolności zgromadzeń. Zakaz strajków. Same gorzkie pigułki, które należy przełknąć dla większego dobra, dla narodu, dla gospodarki, dla bezpieczeństwa całej społeczności. Nadchodziły aresztowania, przesłuchania i surowe kary.

Ale jeśli to nie władze, sprawa się komplikowała. Commandante Camillo i tak dokonywał aresztowań. Wciąż czekało ich bicie, przesłuchania i ktoś musiał zapłacić, ale tym razem należało próbować ograniczyć swoje działania do ludzi, którzy rzeczywiście ponosili winę. A to oznaczało dowody. Czyli robotę detektywa - przez całe dni i noce przeszukania, aresztowania i wszystko, co się z tym łączyło. Commandante Camillo czuł ciężar wieku, a wciąż zostawały mu dwa lata do emerytury.

Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, zadrżała w nich szyba. Z zadymionej siedziby wydziału śledczego przeszedł do majestatycznego Pałacu Sprawiedliwości z połączanymi kolumnami stojącymi w grupach po cztery i niezrozumiałą mozaiką - kobiety w koszulach nocnych wpatrujące się w przestrzeń i wręczające kawałki papieru wdzięcznym skulonym wieśniakom, wyciągające ręce na pełną długość niczym biegaczki w sztafecie. Od pierwszej wizyty w tym budynku commandante Camillo patrzył na te obrazy i się wściekał. Widział tych uniżonych chłopów i chciał krzyknąć: „Podnieście się z kolan!”. Pragnął wyjąć pistolet, strzelić w stronę sklepienia i rozkazać im: „Weźcie to. Cokolwiek wam dają, bierzcie, jeśli taka wasza wola. Jesteście silni. Cały dzień pracowaliście w polu. Macie sierpy i motyki, a one są słabe i miękkie. Weźcie to!”.

Ale nikt, nawet człowiek taki jak commandante Camillo, nie może się wściekać przez cztery dziesięciolecia i teraz, kiedy przychodził do pracy lub z niej wracał, zapominał o obecności tych obrazów.

Na Plaza Universidad świeciło słońce i kiedy Camillo szedł powoli w stronę miejsca zamachu, ponad ogrodami unosił się zapach krwi zmieszany ze spalinami. W połowie drogi zauważył rękę, która przeorała rząd pomarańczowych nagietków i spoczęła na jednej z eleganckich rabatek. Z przeciwnej strony placu dobiegały krzyki.

Commandante Camillo zauważył, że wszystko - parkowe ławki, kosze na śmieci - rzuca cienie, pogłębiające się w miarę zbliżania się do wejścia na uniwersytet. Po jednej stronie, tej bliższej bombie, wszystko wydawało się ciemniejsze, a za smukłymi żelaznymi nogami ławek, za budką z lodami, za latarniami, w cieniu, było jaśniej. Jedna strona sucha i czysta, druga ciemna i wilgotna, spryskana mgiełką krwi i tkanek, włosy, ubrania, plecak, dżins, małe miedziane ćwieki ze spodni, monety, portfel, plastikowy grzebyk, to wszystko istniało gdzieś tam,

poszarpane, zmielone, rozproszone w drobny pył i rozrzucone po placu w postaci mżawki.

Kiedy przechodził przez plac, mgła gęstniała do postaci zupy, aż wreszcie u stóp szerokich kamiennych schodów prowadzących do wejścia na teren uniwersytetu zmieniała się w gulasz. I w miarę jak commandante Camillo się zbliżał, krzyki robiły się coraz głośniejsze. Karetki stały wszędzie. Zatykały ulicę. Zanieczyszczały miejsce zbrodni. Niektóre już ruszyły w stronę szpitala. W krwi pozostały ślady opon.

Camillo zobaczył, jak jeden z jego detektywów zatrzaskuje drzwi karetki i gestem każe jej odjechać. Uniósł rękę i przywołał go do siebie.

- Szefie.

- Ranili cię?

- Nie, szefie.

- Cały jesteś zalany krwią.

- Nie moją.

- Ile ofiar śmiertelnych?

- Nie mam pojęcia. Nie dowiemy się, dopóki nie zaczniemy łączyć kawałków, ale sądzę, że do szpitala zabrali dwadzieścioro i nie wszyscy przeżyją.

Camillo tylko udawał, że słucha. Nie musiał wiedzieć, ile było ofiar śmiertelnych. To nie wpływało na śledztwo, a poza tym i tak nie miało znaczenia. Wyjął wielką białą chusteczkę, zwinął ją, a później z delikatnością kochanka przetarł twarz policjanta.

- Nie ruszaj się.

Ponad oczami, przez szerokie kości policzkowe, wzdłuż orlego indiańskiego nosa, przez usta i czubek brody.

- Masz. - Camillo złożył chustkę, tak by ukazać czystą tkaninę. - Wytrzymaj rękę.

Mężczyzna posłuchał jak dziecko.

- Zauważyłeś coś niezwykłego?

- Byłem zajęty, szefie.

- Ktoś się przygląda?

- Całe dziesiątki. Stoją i się gapią. Nie podchodzą, żeby pomóc. Nie pędzą do szpitala, żeby oddawać krew. Po prostu się patrzą.

- Jacyś dziwacy? Ktoś się śmiał? Ktoś stał z ręką w spodniach?

- Nie żebym zauważył, szefie. Mówiłem szefie, byłem zajęty

Ostatnia karetka wyjeżdżała na wstecznym z placu. Kiedy dotarła do skrzyżowania z aleją Universidad, włączyła syrenę i odjechała pośpiesznie.

- Dobrze, synu. Wracaj do wydziału śledczego. Napij się kawy. Zapal. - Camillo poklepał policjanta po ramieniu i lekko popchnął. Szedł dalej, po lepkim, pokrytym gęstniejącą mazią betonie, do miejsca, gdzie stał tłusty inspektor w nienagannym mundurze. Wyciągał ręce, udając, że powstrzymuje napór tłumu. Camillo podszedł do niego ukradkowo, nachylił się przy uchu i powiedział:

- Co robisz? Mężczyzna podskoczył.

- Powstrzymuję tłum, szefie.

- Możesz już przestać. Widzisz tam? - Camillo pokazał na miejsce, gdzie krew była najgęstsza, gdzie w betonie wypalono czarną gwiazdę jak wnętrze kwiatu maku, z krwawymi płatkami rozwiniętymi na wszystkie strony, na schodach, na placu, na rabatkach. - Tam wybuchła bomba. Chcę mieć taśmy na placu, piętnaście metrów z każdej strony. Znajdź fotografa i powiedz mu, że ma robić zdjęcia twarzy tłumu. Niech fotografuje, aż każdy z tych wyciągających szyje sukinsynów pójdzie do domu. Niech nie celuje w ludzi, ma nie zwracać uwagi, po prostu chcę dostać mnóstwo radosnych ujęć radosnych obywateli spędzających miły dzień na miejscu wybuchu. Rozumiesz?

Mężczyzna pokiwał głową. Policzki trzęsły mu się nieco, a oczy łzawiły.

- Dobrze. Pospiesz się, a później, kiedy już z tym skończysz, idź do... - Camillo wskazał, odliczając w powietrzu - pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej rabatki. Znajdziesz tam rękę. Podnieś ją i przynieś tutaj do miejsca, gdzie pracują prawdziwi policjanci.

Inspektor zasalutował i ruszył kaczym krokiem.

- Biegiem, człowieku! Pospiesz się. Inspektor podreptał szybciej.

Commandante Camillo wrócił do podstawy schodów, gdzie mężczyzna ubrany w garnitur chodził ostrożnie to w jedną, to w drugą stronę, z głową pochyloną w kierunku ziemi. Od czasu do czasu chwycił coś pęsetą i wrzucał do plastikowego woreczka. Torebki numerował i umieszczał w chlebaku, a za każdą wyciągał kawałek złożonej białej kartki, przypominającej wizytówkę na stole, i kładł ją ostrożnie na ziemi.

Camillo z szacunkiem zachował dystans i ostrożnie stawiał stopy.

- Ma pan coś?

- Niewiele. Kawałki, ale jeszcze nie wiem, co pochodzi z bomby, a co było tu wcześniej. Muszę zabrać to do laboratorium i zmyć krew.

- Czy może mi pan coś jednak powiedzieć?

- Jestem prawie pewien, że to samobój. Wybuchła przed czasem, kiedy niósł ją na uniwersytet... amatorska robota.

- Uważa pan, że on kierował się na uniwersytet?

- Proszę spojrzeć na kształt. Widzi pan, gdzie stał. Bombę miał w plecaku. Znajdował się tuż przed nią. Wybuch rozszedł się z tamtej strony, przyjął go z tego kierunku. Na schodach to głównie on. Zgasł jak świeczka.

- Czas płynie wolniej na fotelu u dentysty - zauważył Camillo. Zapalił cygaro. - Jakiś dowód tożsamości?

- Pan żartuje. Chce pan wiedzieć, niech pan pójdzie i zapyta, kto nie przyszedł na zajęcia.

Z dalszej części placu, zza czwartej rabatki, wyłonił się inspektor. Truchtał, trzymając ręce wyciągnięte przed sobą i złożone razem. Był blady i spocony. Mundur miał pomięty z przodu, z plamami potu pod pachami.

Trzymał oderwaną dłoń, odciętą równo w nadgarstku, całkowicie pozbawioną krwi i w idealnym stanie, niósł ją w koszyku ze splecionych własnych palców i biegł z nią, jak dziecko pędzi z rannym ptakiem, żeby zabrać go do domu i wyleczyć.

Ale kiedy dotarł na miejsce, zrozumiał, że nie ma pojęcia, co robić. Wyciągnął ręce, podając Camillovi dłoń jak dar. Inspektor spytał: - Sir?

Camillo odwrócił się do mężczyzny z pęsetą i powiedział:

- Na litość boską, niech mu pan da jeden z woreczków. Inspektor pochylił się i rozsunał palce tak, że dłoń opadła łagodnie na ziemię. Później wziął torebkę, otworzył ją ostrożnie i zwymiotował do środka.

Caterina nie przyszła rano na zajęcia. Kiedy na Plaza Universidad wybuchła bomba, a pan Valdez pędził wzdłuż Merino z wiatrem we włosach i tango grającym na cały regulator, wciąż leżała w łóżku.

Dziwnym zbiegiem okoliczności doktor Cochrane też nie zjawił się na uczelni. Zasiedział się zbyt długo w Feniksie nad kawą i starym, zaczytanym egzemplarzem Wściekłego psa z San Clemente. Na dole, w ciepłym, pachnącym kawą półmroku nikt nie zauważył wybuchu, syren ani krzyków. Kiedy wspiał się po schodach na ulicę tuż przed dziesiątą, miasto niemal wróciło już do normalności.

Costa, De Silva i ojciec Gonzalez w chwili eksplozji siedzieli przy biurkach. Wszystko to zapisano w raportach razem z nazwiskiem jednego chłopca, którego nie dało się nigdzie znaleźć - ani w szpitalu, ani w kostnicy. Oscar Miralles, kolejny student doktora Cochrane'a, młodzieniec siedzący na zajęciach i w Feniksie obok Cateriny, odegnany przez pana L.H. Valdeza. Nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Był rozmazany cienką warstwą ciała po schodach prowadzących z placu. Sprawdzili jego adres. Mężczyzna z pęsetą znalazł większą część jego górnej szczęki wciśniętą między ścianę a żelazną balustradę. Kiedy gliniarze dopasowali ją do dokumentacji stomatologicznej, posłali ją jego rodzicom w trumnie razem z trzema rękami, dwiema prawymi stopami, butami i kilkoma workami piasku, żeby uzyskać właściwy ciężar.

Oscar Miralles prowadził dziennik. Gliniarze wyważyli drzwi jego mieszkania, oczyścili wnętrze, a kiedy skończyli robotę, okazał się najciekawszą rzeczą, jaką udało im się znaleźć. Jego kartki wypełniała Caterina, a pod koniec było też sporo o L.H. Valdzie. Przeważały szalone, jadowite gryzmoły, biały szum skupionej samotności, lecz z wystarczającą domieszką idealistycznej polityki i oklepanych kazań o prawach człowieka i reformie rolnej, by Camillo mógł napisać raport do stolicy. Mimo to interesowały go też inne rzeczy. Robił notatki.

Siedząc na brzegu biurka w siedzibie wydziału śledczego, oznajmił swoim ludziom:

- Ten Miralles nie mógł zrobić tego sam. Musiał mieć przyjaciół. Znajdźcie ich. Przyciśnijcie rodziców. Ściągnijcie kuzynów. Chcę, żeby zostali przesłuchani. Sprowadźcie ich tutaj i złapcie za jaja... to dotyczy

też jego babki! Musiał mieć kontakty i współników. Wyśledźcie ich wszystkich.

Commandante Camillo odnalazł sierżanta, którego spotkał na miejscu zamachu, i poprosił go na bok. Wskazał cicho na trzy nazwiska z dziennika.

- Nie ona, nie on i nie on. Zostawcie ich w spokoju. Na razie.

Były przesłuchania i bicie.

Ale to wszystko miało dopiero nadejść. Tamtego ranka Caterina leżała na łóżku z wzburzonymi włosami zakrywający jej twarz. W nocy zrzuciła pościel i teraz jej ciało przypominało odległy krajobraz białych zaokrąglonych wzgórz.

Kiedy ona to robiła, strażacy z sikawkami szorowali Plaza Universidad, zmywając krew, a strumienie wody zmieniały ją w dziwne kwiaty, które topniały, stapiały się i spływały rynsztokami.

W tym samym czasie kilka kilometrów dalej pan L.H. Valdez stał przy ladzie swojej ulubionej kwiaciarni, a rośliny w jego ramionach przypominały krwawe wybuchy.

Pan Valdez lubił kupować kwiaty. Zawsze miał je w domu. Czuł, że stanowią dopełnienie jego mieszkania i nie mogły w żaden sposób zaszkodzić jego męskości, ale nie zwykł kupować ich swoim kobietom - nie w tej chwili, nie przed wszystkim. Dla pana Valdeza kwiaty stanowiły nagrodę, nie zachętę. Nigdy nie zabiegał o względy.

Dla pana Valdeza życie przypominało tango, gdzie to mężczyzna prowadzi i zaczyna. Istnieje odpowiedni sposób chodzenia, męski, i cabeceo, niemal niewidoczne sygnały na ukrytej w cieniu sali tanecznej - spojrzenie w oczy, uniesiona brew, delikatny uśmiech, skinienie głową, spotkanie na parkiecie. To kontrakt, ale niewidoczny dla nikogo poza tancerzem i jego wybranką, subtelny i równie trudny do odcyfrowania co sygnały, które modliszka przekazuje swojemu partnerowi. Istnieje miejsce na odmowę, ale niewidzialną, pozbawioną upokorzenia. Wszyscy znają zasady. Maria Marrom rozumiała to instynktownie. Dała znać, że jest znudzona, otwarta, dostępna. Nie odwróciła wzroku, zareagowała na jego uniesienie brwi, uśmiechnęła się i zaczęła się taniec.

Ale Caterina była inna. Zbyt młoda, świeża, niewinna. Nie wycierpiała wystarczająco wiele, by tańczyć tango, nie rozumiała cabeceo. Zaofiarowała mu samą siebie - nic ponad to, co zrobiła Maria,

lecz niezręcznie. Przypominała młodego kuca, zbyt gorliwie pragnącego dołączyć do gry. Musiał ją nauczyć, spowolnić. Dobry kuc umiał odczytać znaki. Czuł zmianę ciężaru w siodle, reagował na nacisk udem, najłżejsze pociągnięcie cugli. Gdyby Caterina miała zostać żoną, potrzebowałaby wyszkolenia, a pan Valdes był gotów zainwestować czas i kwiaty.

Rzucił naręcze krwistoczerwonych róż na blat.

- Biorę je.

Sprzedawczyni wyglądała przez okno, patrząc za radiowozem i dwiema karetkami, które właśnie przejechały obok.

- Coś się dzieje - powiedziała. - Jacyś biedacy mają kłopoty.

Pan Valdes nie odpowiedział. Jak na wielkiego artystę był zadziwiająco pragmatycznym człowiekiem. Przyjechał, żeby kupić kwiaty, uznając to za najlepszą metodę na zdobycie kobiety, której pragnął, w sposób, jaki mu odpowiadał, a choć nie brakowało mu współczucia dla udręki „biedaków w kłopotach”, znajdowali się zbyt daleko, by mógł im pomóc. Policja go wyręczy. I ratownicy w karetkach. Wyglądanie przez okno w niczym im nie ulży.

- Biorę je - powtórzył.

- Oczywiście. Przepraszam. - Sprzedawczyni wydawała się zaskoczona. - Wszystkie?

- Tak. Macie może więcej?

- Muszę sprawdzić na zapleczu.

- Wezmę je... o ile są świeże. Proszę związać w bukiety po tuzin. I strelcję też. Chcę jej mnóstwo. Macie alstremerię? Kupię ją, ale chcę, żeby jej nie łączyć z różami i strelcją. Nie pasują do siebie. Ona nie będzie miała gdzie ich włożyć. Czy macie wazon?

- Cóż, stoją na wystawie.

- To niech mi pani policzy za wiadra. Są jakieś, prawda? W końcu to kwiaciarnia?

- Tak, mamy kilka.

Pan Valdes wziął notes z lady i napisał na nim.

- Dostarczcie je tam.

- Wszystkie?

- Oczywiście, że tak. I jeszcze nie skończyłem.

W rogu pomieszczenia znajdował się wazon z frezjami, jaskrawymi i prostymi jak świece. Pan Valdes stał w milczeniu, z trudem łapiąc oddech i podziwiając słodkie piękności.

- Je też wezmę - powiedział. - Macie czarną bibułę?

- Tylko czerwoną i białą.

- To czerwona. Biała je odbarwi. Proszę zapakować. - Pan Valdes stał przy ladzie z portfelem w dłoni. Kolejna karetka przejechała obok okna, koła na asfalcie wydawały dźwięk przypominający krople deszczu.

Kwaciarka wskazywała końcem ołówka na kolejne wiadra kwiatów, licząc je, dodając do siebie i notując na kartce.

- Naprawdę chce pan je wszystkie? - spytała.

- Oczywiście. - I wiadra?

Doliczyła jeszcze za naczynia i wyimaginowane kwiaty, które mogły, choć nie musiały znajdować się na zapleczu, ale które z pewnością nie zostałyby dostarczone. Podkreśliła, napisała liczbę i postawiła kropkę tak bardzo stanowczą, jak na to pozwalał jej tępą ołówek. „W życiu tyle nie zapłaci” - pomyślała, przesuając kartkę po szklanym blacie.

Pan Valdes otworzył portfel i odliczył stosik banknotów.

- Kiedy możecie je dostarczyć?

- Nie przed południem.

- Dopłacę. Wykupiłem cały sklep, kto jeszcze może potrzebować furgonetki?

- Nawet gdyby dał pan dwa razy tyle, nie zdołam tego zrobić. Nie mam kierowcy.

Pan Valdes chciał, żeby kwiaty dostarczono jak najszybciej. Pragnął od razu rozpocząć długotrwałe zaloty. Żądał natychmiastowej gratyfikacji kryjącej się w tym, że się nie spieszył. Miał ochotę ją zachwycić, by móc się w tym pławić i zbyć jako nic takiego.

- Niech pani robi, co się da - powiedział. Wychodząc ze sklepu, zabrał bukiet frezji i położył go ostrożnie na żebrowanym skórzanym siedzeniu samochodu. Ta tapicerka napełniała go dumą - błyszcząca, napięta i sztywna, wyglądała wręcz jak nadmuchana. Kwiaty leżały w poprzek siedzenia obok niego, dotykając tylko czubków tych malutkich skórzanych wzniesień. Dodał gazu, bo mógł.

Kiedy pan Valdes wyjechał z malutkiej bocznej uliczki i skierował się w stronę betonowego wjazdu, który znów prowadził na autostradę wzdłuż Merino, wpadł w korek. Patrząc przed siebie, widział rząd samochodów niknący w perspektywie, a żaden nie był tak ładny jak ten, który należał do niego. Wciąż miał czas uciec. Mógł cofnąć się kilka metrów i wrócić na boczne uliczki. Spojrzał w lusterko, wrzucił wsteczny i w tym momencie ujrzał brudną czerwoną ciężarówkę, załadowaną skrzyniami, która zatrzymała się tuż przy jego tylnym zderzaku.

Pan Valdes znów wrzucił luz. Nagle upał stał się nieznośny. Kiedy tak siedział nieruchomo, otoczony innymi samochodami, nie chłodził go żaden powiew.

Wokół unosił się mdlący smród spalanej benzyny i pan Valdez od razu poczuł pot spływający po plecach, przesiąkający koszulę w miejscach, w których przyciskała się do wzniesień w tapicerce, wędrujący strużkami w odstępach pomiędzy nimi, swędzący po drodze i w końcu docierający bezbłędnie do szczeliny między jego pośladkami, mocząc bieliznę. To było ohydne. Panu Valdezowi robiło się niedobrze na myśl, że będzie musiał wygłosić wykład, zlany własnym starym potem.

Wyjął chusteczkę i przetarł oczy, spojrzał na nią, zauważył smugi brudu na białej tkaninie i znów ją schował. Zastanowił się, czy nie podnieść dachu, żeby osłonić się przed słońcem. Uznał, że lepiej nie. Korek mógł się w każdej chwili skończyć, a on szarpałby się z mechanizmem i blokował drogę, wszyscy by się na niego gapili i trąbili. Tak czy inaczej, nie stanowiło większej różnicy, czy się usmaży, czy upiecze. Pan Valdez przekręcił gałkę radia. Tango. Niezależnie od tego, jak gorąco się robiło, zawsze było ono.

Ale tym razem zamiast muzyki rozległy się słowa, niekończące się trajkotanie ludzi mówiących o czymś wstrząsającym i ważnym, o czym nie wiedzieli prawie nic poza tym, że się wydarzyło, ale czuli, że muszą przekazać to innym. Bomba. Bomba na Plaza Universidad. Bomba na Plaza Universidad, która zabiła ludzi. Bomba na Plaza Universidad, która zabiła ludzi i zraniła innych ludzi. Jakichś. Być może wielu.

Pan Valdez z westchnieniem zawisł na kierownicy. Uniwersytet miał tuż przed sobą, po drugiej stronie autostrady. Mógłby tam dojść w

niecały kwadrans. Widział flagę na maszcie, ale także słońce na niebie, a obie te rzeczy wydawały się równie odległe.

I wtedy wydarzyło się coś dziwnego.

Kiedy pan Valdez patrzył na dach uniwersytetu i śmiał się z samego siebie, ponieważ to, co uznał za poszarpane zęby piorunochronu skierowane w groźne niebo, nagle rozłożyło skrzydła i odleciało niezgrabnie w stronę Merino, odkrył, że zastanawia się, czy jednym z ludzi na placu nie była Caterina. Nagle przyszło mu na myśl, że groziła jej śmierć. Mogła zostać okaleczona, a on się o nią martwił. Nigdy jeszcze nie przydarzyło mu się nic takiego. Zupełnie, jakby po raz pierwszy w jego życiu zaczął działać gruczoł odpowiadający za współczucie.

Pan Valdez poczuł się zaniepokojony. Wcześniej nikt go tak nie obchodził - nawet matka. Nie od czasu ojca. Kiedy zrozumiał, jak łatwo ludzie, których kochał, mogli zniknąć z jego życia, amputował tę część swojej osoby. Od czasu do czasu dotykał białej blizny na kikucie, odkrywał, że jest zimna i pozbawiona czucia, i to go zadowalało. Nic nie mogło tam urosnąć. Nic nie czuł i to mu odpowiadało, gdyż alternatywa groziła niebezpieczeństwem. Tego było zbyt wiele. Za bardzo bolało.

Wszystko, o czym pisał w swoich książkach, cała zazdrość, wszelkie cierpienia i poświęcenie, pochodziło od miłości lub błędnego pojęcia, co oznacza kochać, a pan Valdez to sobie wyobraził. Wyobrażał sobie całe miasta i wypełniał je setkami ludzi, żaden z nich nigdy nie istniał, lecz on sprawiał, że na kartach powieści oddychali, bo wyobraził ich sobie tak dokładnie. Wyobrażał sobie nawet, co czuli. Wyobrażał to sobie w całej rozciągłości. Pan Valdez nigdy nie spotkał postaci ze swoich książek, podobnie jak nie znał zbyt dobrze dentystów, hostess ani właścicieli ziemskich, ale wiedział i rozumiał, że tacy ludzie istnieją. Miał świadomość, że gdzieś tam są. Nie miał pojęcia, co czują, a jednak stwarzał ich emocje, wyciągał je ze swojej wyobraźni i zapisywał tak, że inni dentyści, hostessy i właściciele ziemscy czytali jego książki i mówili: „Tak, właśnie tak”.

To była niezwykła tajemnica. Zupełnie jakby przewodnicy w Kaplicy Sykstyńskiej odwrócili się do grupy wycieczkowej i ujawnili: „Kiedy Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni to malował, kompletnie nic nie widział”.

Ale teraz, siedząc w swoim ślicznym samochodzie, pośród smrodu spalin i w nieznośnym upale, pan Valdez spojrział na wyimaginowaną bliźnię w miejscu, w którym odciął się od ludzkich uczuć, i odkrył, że stała się różowa i tkliwa. Czuł pulsującą w niej krew i to bolało. Winna była matka ze swoją gadaniną o wnukach i małżeństwie. Ona coś obudziła. Mówiła o tych sprawach i wcześniej, ale on nie zwracał uwagi. Nic się nie zmieniło, nic poza Cateriną.

Wyobraził ją sobie teraz nagą na szpitalnym wózku, zanim on ją także zobaczył, odłamek tkwiący w jej ciele, zanim on się w nią wbił, i znów się bał. Obawiał się, że to może być miłość, i rozumiał, co to oznaczało - zazdrość, pragnienie posiadania i przerażającą podatność na zranienie, która się z tym łączyła, cierpienie z bólu innej osoby, przed którym nie potrafił się obronić.

Samochód z przodu drgnął i zaczął jechać. Powstała luka. Pan Valdez wrzucił bieg i skierował się za nim, po podjeździe i na autostradę. Wkrótce wszystkie auta ruszyły, niezbyt szybko, ale płynnie. Dotarł do skrzyżowania z ulicą prowadzącą do Plaza Universidad, ale była zamknięta, blokowały ją rzędy plastikowych znaków, migające światła i trzech policjanci stojący obok swoich motocykli, robiący rękami szerokie gesty, jakby chcieli popchnąć ruch.

W radiu powiedzieli, że uniwersytet będzie zamknięty przez cały dzień i może jeszcze nazajutrz. Studenci musieli poczekać na jego wykład o Romeo i Julii. To nie miało znaczenia. Nie pójdzie źle. A teraz, skoro miał wolne, mógł pisać.

Przy następnym skrzyżowaniu skręcił szerokim łukiem i znalazł się po drugiej stronie uniwersytetu, gdzie jakimś cudem czekało na niego miejsce parkingowe, tuż przed barem Ameryka, a tam w promieniach słońca siedziała przy stoliku pani Maria Marrom, popijała malutką kawę i kołysała ślicznym niebieskim bucikiem zawieszonym na dużym palcu stopy.

Zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa i spojrzała na pana Valdesa ponad kierownicą jego wspaniałego zielonego samochodu.

- Witaj, Chano - powiedziała. - Cieszę się, że z tobą wszystko w porządku. Co za straszna sprawa.

- Okropna. Po prostu koszmar.

Mówił szczerze. Po raz pierwszy w życiu pan Valdes uświadomił sobie grozę sytuacji i ta myśl go zmroziła. Między kwiaciarnią a korkiem nauczył się troszczyć o „biedaków w kłopotach”. Chciał znaleźć na to lekarstwo. Niewykluczone, że była nim Maria Marrom.

- Zginęli ludzie, Chano.

- Wiem, kochanie. To przerażające.

- Dlaczego ktoś miałby zrobić coś tak potwornego?

- Och, różni wariaci przez cały czas wpadają na szalone pomysły.

- Ale to mogliśmy być my. Ty i ja.

- Albo Ernesto.

Maria wsunęła ciemne okulary na nos i się zgodziła:

- Tak, nawet on.

- Ale nie sądzisz, że najlepszym sposobem walki z tymi szaleńcami jest nie poddawać się im? Nie uważasz, że w takim samym stopniu, w jakim oni pławią się w śmierci, my powinniśmy - pan Valdes udawał, że szuka właściwego słowa - wysławiać życie.

Pani Marrom nie odpowiedziała. Uniosła malutką filiżankę do ust i pociągnęła ostrożny łyk, nie pozostawiając na porcelanie śladów pomadki.

- Ja tak właśnie sędzę, Mario. To jedyna ludzka reakcja po czymś tak straszliwym. Trzeba dać sobie odrobinę pocieszenia.

To była ta chwila. Cabeceo. Spojrzenia zostały wymienione, ale za ciemnymi okularami nie dało się ocenić, co właściwie myśli Maria Marrom.

Na stole przed nią leżała torebka, zbyt mała, by nazwać ją praktyczną, i zbyt droga, by dało się to uzasadnić. Sięgnęła po nią, wyjęła kilka monet, wstała i wygładziła sukienkę na kolanach.

Pan Valdes zdjął frezje z przedniego fotela, owinął je ostrożnie marynarką i ułożył starannie na tylnym siedzeniu. Kiedy dotarł do drzwi pasażera, pani Marrom czekała tam na niego, a malutka torebeczka kołysała się na końcu jej palca niczym wahadło mierzące jego opóźnienie.

Elegancko opuściła się na miejsce, po czym wsunęła nogi do wnętrza, jak nauczono ją i wcześniej jej matkę - był to jedyny sposób, w jaki dama mogła wsiąść do samochodu. Zamknął cicho, obiema rękami drzwi, a one wydały z siebie ciężki donośny trzask, świadczący o prawdziwej jakości.

*

- Sądzę, że masz rację, Chano. Absolutnie. Powinniśmy pocieszyć się nawzajem. Przez cały dzień, najmocniej, jak się da.

Na światłach odwrócił się, by na nią spojrzeć, i zobaczył odbijające się w jej ciemnych okularach wejście do Banku Narodowego Merino. Ernesto tam teraz pracował, ten głupiec. Maria siedziała niczym rzeźba i wpatrywała się w coś zupełnie innego.

Przez całą drogę aleją Cristóbal nie odzywali się do siebie, nawet wtedy, gdy skręcił na podjazd, gdy razem jechali windą i gdy poszli do kuchni, żeby znaleźć wino.

Pan Valdes położył marynarkę na stole, rozwinął ją, wyjął frezje i umieścił kwiaty na górnej półce lodówki.

- Nie dla mnie, Chano? - Maria miała zadziwiający talent do napełniania głosu grymasem niezadowolenia.

- Głuptasie. Jak mógłbym dać ci kwiaty? Jesteś mężatką. Co by powiedział Ernesto?

Odwróciła się i zebrała włosy na czubku głowy, odsłaniając szyję i kołnierzyk. Pan Valdes odnalazł suwak, który rozpiął jednym płynnym ruchem. Sukienka spadła do jej stóp, a ona wyszła z niej naga lub prawie naga.

- Tak czy inaczej - powiedział - mam dla ciebie coś o wiele przyjemniejszego.

Po wszystkim odezwała się:

- Wiem, że kogoś masz, Chano.

- Mario, co ty mówisz?

- To prawda. Te frezje.

- Zawsze mam kwiaty w mieszkaniu.

- Chano, nie okłamuj mnie. Gdyby były dla ciebie, czemu miałbyś je wstawiać do lodówki? Trzymasz je dla innej.

- Kochanie, czemu jesteś zazdrosna? To niesprawiedliwe. Ty kogoś masz.

- Wcale nie.

- A Ernesto?

- Och, on jest zawsze. Jego nie liczę.

Milczała przez czas, który wystarczyłby na wypalenie połowy papierosa, gdyby była typem kobiety, która w takie popołudnia pali. Później stwierdziła:

- Powinieneś się ustatkować, Chano.

- Wszyscy mi to ostatnio mówią.

- Bo to prawda. Ja zresztą też. Nie robimy się coraz młodszy. Prychnął oburzony, a wtedy uszczypnęła go pod pościelą.

- Och, nie martw się, wcale nie straciłeś młodzieńczego wigoru. Chłopcy w wieku dwudziestu lat mogliby ci zazdrościć, ty wielki, silny, piękny mężczyzno. Ale z kobietami jest inaczej. Ja wkrótce będę starszą panią. A to pozbawione godności.

Była miła, co irytowało pana Valdesa. Dzień okazał się pełen nowych doświadczeń - odkrył, że żywi współczucie dla nieznajomych, uświadomił sobie, że może się zakochiwał, a teraz Maria najwyraźniej go rzucała. Nikt wcześniej nie potraktował tak L.H. Valdesa. To zakrawało na skandal. Prawdziwą zniewagę. Maria po prostu wypowiadała na głos rzeczy, do których on sam doszedł już wcześniej - przyznawała, że jej najlepsze lata minęły i nie miało sensu tego ciągnąć - ale nie o to chodziło. To do niego należały uprzejme, autoironiczne uwagi. To on powinien być łagodny, rozsądny i łagodzący, a ona sobie z tym nie radziła. Zupełnie. Nie czuł się ułagodzony. Nie słuchał głosu rozsądku.

Pan Valdes zastanawiał się, czy wszystkie kobiety, które go słuchały, kiedy wygłaszał te krótkie przemowy, doświadczały tego, co

on w tej chwili. Straty, upokorzenia, porzucenia i gniewu, nagłej fali lodowatej samotności. Czy one też to czuły?

- Ernesto jest dobrym człowiekiem - powiedział.

- Są gorsi mężowie. Tak. Masz rację. Nie tak jak ty. Nawet w jednej dziesiątej. Ale musimy zachowywać się rozsądnie. Czas posprzątać zabawki i iść na kolację.

Leżąc obok Marii Marrom, pan Valdes wiedział, że nie ma powodów do narzekań. Nie kochał jej i tak naprawdę zaczynała go męczyć. Nudziła go, a teraz, kiedy pojawiła się Caterina, nawet jej nie potrzebował. Ale nie o to chodziło. Maria go zawiodła. Chciał wrócić do tego ranka, do czasu, zanim cokolwiek czuł. Miała go wyleczyć i nie zdołała. W tym tkwił problem. To było sedno sprawy. Zawiodła go.

Pan Valdes wpatrywał się w sufit i dziwił obcemu wrażeniu łez wypełniających oczy. Maria pocałowała go lekko.

- Cii, kochanie. Nie płacz. To tylko zraniona duma. Wkrótce nie będzie nawet piekło.

Kiedy nie odpowiedział, znów go pocałowała, odrzuciła pościel i odszukała stojące przy łóżku buty.

Pan Valdes zamknął oczy. Słyszał jej obcasy na płytkach podłogi i szelest sukienki, kiedy walczyła z tym niewygodnym suwakiem. Powiedziała:

- To do widzenia, kochanie.

Nie otworzył oczu, aż usłyszał, jak zamykają się za nią drzwi.

Leżąc jak trup, z prześcieradłem na twarzy, pan Valdes zorientował się, że Maria Marrom wyszła z jego mieszkania bez prysznic. Nigdy wcześniej tego nie zrobiła. Miała swoją rutynę, której starannie przestrzegała - myła się bez mydła, wycierała świeżym, nieużywanym ręcznikiem, ponownie nakładała makijaż, znów spryskiwała się perfumami, być może z dodatkową kropelką we włosach, by nie pachnieć niczym i nikim poza sobą, a później po raz ostatni rozglądała się po pokoju, by upewnić się, że niczego nie zostawiła. A teraz, kiedy w końcu zdecydowała się wrócić do roli oddanej żony, odeszła, niosąc na sobie jego smród. Czy to jej ostatni dar dla niego? Czy trzymała się niknących wspomnień, takich jak kwiaty ze ślubnego bukietu zasuszone w modlitewniku? Czy chodziło o lekkomyślność? A może rzucała wyzwanie Ernestowi, mówiąc mu: „Byłam jego”?

*

„To raczej zażenowanie" - uznał pan Valdes. Po prostu spieszyła się, żeby uciec przed jego niezręcznymi, dziewczęcymi łzami, i tyle. Nic więcej.

W organizmie miał truciznę, której nie potrafił zwymiotować, i chciał ją wypłakać.

Wciąż czekała go żałoba, nawet jeśli nie miał pojęcia, co opłakiwać. Koniec Marii? I takich popołudni? Wiedział, że musi ich być więcej, lecz nie z Marią, a w końcu to ostatnie. To było tylko jedno popołudnie z kurczącego się zapasu. Ale nie potrafił określić, jak wiele mu pozostało. Nikt tego nie wiedział. To go przerażało.

Wstał. Jego stopy szeleściły jak papier ścierny na płytkach podłogi, kiedy szedł pod prysznic. Odgłos staruszka, dźwięk pokonanego szurania nogami. Pan Valdes pragnął, by łzy znowu przyszły, ale tym razem wraz z wodą omywającą twarz, by mógł je ukryć nawet przed sobą. Ale nic takiego się nie stało. Był pusty, poza bólem i strachem.

Włączył kran i pozwolił, by ciepła woda spływała na jego głowę jak tropikalny deszcz. Pan Valdes odwrócił twarz do strumienia.

Kiedy kwiaty zamówione przez pana Valdesa zostały załadowane do furgonetki, Caterina jeszcze nie wstała. Leżała tak jak wcześniej, na stercie poduszek, z jedną nogą podciągniętą i zgiętą w kolanie, w kształcie cyfry cztery, niczym baletnica zamrożona w połowie piruetu. Spała z jedną dłonią na dużym żółtym notatniku, dokładnie takim samym jak ten, z którego do niedawna korzystał pan Valdes, z jedną różnicą - jego był pusty, a jej pełen słów.

Caterina spała, ponieważ pracowała prawie do świtu. Każdej nocy pisała, aż usnęła, a jeśli budziła się w nocy z twarzą przyciśniętą do drucianej spirali notatnika, znów zaczynała.

Kochała opowieści. Od czasu, gdy była zbyt mała, by wiedzieć, co to wyraz, i leżała w zgięciu ramienia ojca, wpatrując się w jego twarz z oczami jak u zaskoczonego kociaka, obserwując jego usta, śledząc poruszenia wargi i cud dźwięków, które się z nich wydobywały. A później, gdy zrobiła się odrobinę tylko starsza, słowa nabrały znaczenia i wybuchły w jej głowie jak świąteczne fajerwerki na tle aksamitnego czarnego nieba, wyświetlając obrazy w mózgu.

Kiedy on wracał z pola, pochylony i wyczerpany, biegła do niego i chwyciła za rękę, choć pokrywało ją błoto, i szła z nim do domu, czekała w milczeniu, aż zjadł zupę, by dopiero wtedy poprosić o kolejną opowieść.

Kochała historie. Widziała je wszędzie. Brała te, które mówili jej w kościele, i rozwijała, dodając więcej wydarzeń, nowe wątki, kolejne postacie. Mama mówiła jej, że to bluźnierstwo i nie wolno tego robić, ale ona szła z pappim z kościoła, a on śmiał się i prosił o więcej. Wyczytywała opowieści w twarzach mieszkańców wioski. Starła się wymyślać szczęśliwe historie dla ludzi smutnych i nieszczęścia dla złych.

W szkole odkryła, że liczby mają swoje opowieści tak samo jak słowa. Szóstka i czwórka były kochankami, którzy pragnęli stworzyć dziesięć, podobnie jak siódemka i trójka oraz ósemka i dwójka, ale dziewiątka i siódemka się nie lubiły.

Pamiętała ten dzień, kiedy dowiedziała się o pi, magicznej, tajemniczej liczbie, której nikt nie poznał, a która ciągnęła się bez końca, nigdy się nie zmieniając, a jedynie rozwijając, nie powtarzając się, lecz wędrując coraz węższymi ścieżkami. I jeszcze Fibonacciego - jeden dodać dwa równa się trzy, dwa dodać trzy równa się pięć, trzy

dodać pięć równa się osiem, coraz dalej i dalej, i dalej, wielkie wieże liczb, co trzecia parzysta, co szósta będąca wielokrotnością szóstej, co ósma ósmej, co siódma siódmej i każda z nich w doskonałej proporcji - 1,6 raza większa od poprzedniej. Pamiętała tamten dzień, kiedy senora Arnaz powiedziała im o tym, a później uroczyście zaprowadziła każde z dzieci pod tablicę, by udowodnić, że odległość od podłogi do ich pępeków i do czubka głów to doskonała, piękna, magiczna, mistyczna, sakramentalna liczba Fibonacciego.

A później, pewnego dnia, kiedy wciąż była małą dziewczynką, pappi nie wrócił z pola do domu. Zrobiło się ciemno. Mama zapaliła lampę, a on nadal się nie zjawiał, więc włożyły płaszcze i wyszły na poszukiwania. Kiedy go znalazły, leżał na polu twarzą do ziemi, jakby nagle usnął, ponieważ czuł się zbyt zmęczony, by przepracować kolejny dzień. Rękę wbił w glebę, a kiedy go podniosły, żeby zabrać do domu, bryłka z pola powędrowała razem z nim, zaciśnięta w pięści tak mocno, że odbiły się w niej kształt palców i linie papilarne.

Caterina stworzyła opowieść na ten temat. Zastanawiała się, czy to z bólu wbił dłoń w ziemię, czy też trzymał ją, ponieważ należała do niego, a on ją kochał, w chwili śmierci zaś nie było przy nim nikogo innego, kogo darzyłby miłością i kto mógłby mu towarzyszyć. Nikomu innemu nie powiedziała o tej historii. Bryłka z dłoni ojca wyschła, popękała i rozpadła się w pył. Wymiotła ją na zewnątrz i przestała zajmować się opowieściami. Trzymała się liczb, one zaprowadziły ją na uniwersytet, a tam czuła się tak samotna i przerażona, że znów zaczęła tworzyć historie. Pisała.

Kiedy kwiaty zamówione przez pana Valdesa dla Cateriny w końcu dotarły do jej mieszkania, nastąpiła pora obiadowa. Wstała już z łóżka, ale nie zdążyła się ubrać, i pospieszyła do drzwi, owijając się szenilowym szlafrokiem. Nie pasował na nią. Uważała go za nieprzyzwoicie krótki i mimo paska instynktownie przytrzymała poły dłonią. Chwilę lub dwie wcześniej była naga w taki sam sposób jak kot na podwórku czy gołębica na parapecie, naturalnie i niewinnie. Dopiero teraz, otulona znoszonym, poplamionym kawą różowym szlafrokiem, ukrywającym wszystko, co chcieliby pokazać artyści i twórcy pornografii, emanowała żarem.

Rozległo się kolejne pukanie.

- Idę, idę - powiedziała, ale gdy w końcu dotarła do drzwi i przekręciła klucz w zamku, nikogo nie zobaczyła.

- Więcej w drodze - zawołał głos ze schodów.

Wtedy Caterina zauważyła na progu trzy wiadra z kwiatami.

Przez chwilę była zbyt zaskoczona, żeby się odezwać, a kiedy w końcu zawołała:

- Proszę zaczekać!

Drzwi na ulicę już się zatrzasnęły.

Wiedziała, że to pomyłka. Nikt nie przysłałby jej kwiatów. A z pewnością nie tak dużo.

Wbiegła do mieszkania i w czasie, który zajęło jej naciągnięcie koszulki i wskoczenie w parę dżinsów, doręczyciel powrócił.

Poczerwieniał na twarzy i dyszał ciężko po tym, jak wspiał się po schodach, niosąc ciężkie wiadra z kwiatami. Ale wciąż był mężczyzną, jak Costa i De Silva, jak L.H. Valdez i ojciec Gonzalez, i nie mógł nie patrzeć na Caterinę. Ta koszulka. Rozciągała się na niej, ślizgała po ciele, a później opadała jak wodospad, niczym rzeka spadająca z urwiska, trzymając się z dala od jej kształtów w luźnym kręgu odsłaniającym brzuch. Oczywiście, że ją obserwował.

- Musisz zabrać część do środka, kochaniutka. Nie mogę dostać się do drzwi.

- Nie. Proszę zaczekać. To jakaś pomyłka. One nie są dla mnie.

Mężczyzna zajrzał do kieszeni koszuli. Wyjął rozerwaną paczkę papierosów, a później małą białą kopertę, którą jej podał.

- To ty?

Caterina była zadziwiona. To malowało się na jej twarzy.

- W takim razie nie ma mowy o pomyłce. Jest ich więcej, więc gdyby udało ci się zabrać je sprzed drzwi, bardzo by mi to pomogło.

Znów skierował się w dół po schodach, a kiedy zatrzymał się na pierwszym podeście, odwrócił się i powiedział:

- Jezu.

Błędnie uznała to za wyraz irytacji. Trzy lata później, kiedy przed wypłatą zaczął mieć problemy finansowe i kwiaciarka zwolniła go po tym, jak w kasie zabrakło paru groszy, choć on oczywiście zamierzał wszystko zwrócić, wsiadł do furgonetki i pojechał do Punto Del Rey, żeby zebrać myśli, a gliniarze go tam znaleźli i dostał dwa miesiące

więzienia. Opowiedział potem współwięźniom o dniu, w którym spotkał Caterinę. Nikt mu nie uwierzył.

Caterina miała taką swoją minę - przybierała ją zupełnie nieświadomie - swego rodzaju gniewny grymas, który pojawiał się na jej twarzy zawsze, gdy spotykała mężczyznę. Robiła to dla bezpieczeństwa, bo atak jest najlepszą obroną. Zupełnie jakby zawsze chodziła z małymi dłońmi zaciśniętymi w pięści, gotowa do walki, co odzwierciedlała mina z gatunku: „I na co się gapisz”? Doskonale wiedziała na co.

Ale kiedy stała tam w drzwiach, trzymając malutką kopertę, otoczona wiadrami kwiatów i kałużami wody, jej grymas zniknął. Spojrzała na liścik i wiedziała, kto go wysłał. Rozpoznała szerokie pismo, ciemny atrament. Caterina wsunęła mały palec w zgięcie koperty i rozerwała ją. Wewnątrz nie było prawie nic. Tylko czysta biała kartka i „Chano”. Jedno słowo. Nawet nie „Piszę”. Mniej. Żadnego „Pozdrawiam”. Samo imię. Jego imię. Ucieszyła się. Nie przyrzekał lekko miłości i nawet to uznała za błogosławieństwo. To znaczyło, że mógł.

Drzwi po drugiej stronie otworzyły się i wyszła zza nich Erica.

- Dzięki Bogu, że nic ci nie jest - powiedziała.
- U mnie wszystko w porządku. A dlaczego miałyby być inaczej?
- Nie słyszałaś o bombie? W radiu mówią tylko o tym. Ktoś podłożył ładunek na uniwersytecie. Myślałam, że idziesz wcześniej na zajęcia. Martwiłam się.

I wtedy zobaczyła kwiaty.

- Kto je przysłał?
- A jak myślisz? - Caterina przekornie zamachała trzymaną za jeden róg kopertą i zaczęła się wachlować, jakby chciała powstrzymać omdlenie.

- Nie!

- Tak!

Erica chwyciła kartkę. Caterina jej na to pozwoliła.

- Chano! Oooch, Chano.

- Dla ciebie pan L.H. Valdes.

- Zrobiliście to?

- Co takiego?

- Daj spokój! No więc jak?

- Nie.

- Na pewno zechce. Za te wszystkie kwiaty będzie tego oczekiwał.

- I jest ich więcej.

Doręczyciel nadchodził, wlokąc się z poziomu ulicy z czterema kolejnymi wiadrami, a one wychyliły się za balustradę, żeby go obserwować. Trzy lata później w miejskim więzieniu o tym też opowiedział, a inni mu nie uwierzyli.

- Mój Boże. Teraz już na pewno będzie tego chciał.

- A ja mu pozwolę - odparła Caterina ze śmiechem. Stojący na szczycie schodów doręczyciel usłyszał ją, ale nic nie powiedział, choć wiele myślał. Z sapnięciem odstawił ostatnie z wiader, zapalił rytualnego papierosa i mruknął:

- Możesz je zatrzymać, zostały opłacone.

Myślał jednak: „Tak, założę się, że byś pozwoliła, ale nie mnie. Mnie na pewno nie”.

Stał, czekając przez niezręczną chwilę, aż zorientował się, że w ogóle nie pomyślały o napiwku dla niego, zdjął z czubka języka kawałek tytoniu i zwłókł się po schodach. Za jego plecami wznosiła się gniewnie błękitna smużka dymu, coraz cieńsza i bardziej wściekła, aż w końcu pozostał tylko smród. Tamtej nocy, kiedy wrócił do domu, żona, która kochała go od ponad dwudziestu lat, usmażyła mu stek, wzięła prysznic, wysuszyła się i obsypała pudrem, następnie wyjęła szklaną zatyczkę z flakonika świątecznych perfum, małego i cennego jak relikwiarz, musnęła się w tajemnych miejscach, po czym poszła do łóżka i kochała go. Ale on nie opowiedział o tym w więzieniu trzy lata później. Nawet tego nie pamiętał. W przeciwieństwie do spotkania z Cateriną, a i tak nikt mu nie uwierzył.

- Pomóż mi - powiedziała dziewczyna i chwyciła kilka wiader. - Musisz wziąć część. Jest ich za dużo jak na moje mieszkanie.

Biedna Caterina, otworzyła tę malutką kopertę i nie miała pojęcia, że wewnątrz znajduje się jej wyrok śmierci. Przeczytała napis bez drżenia, nie jak imię kata, lecz kochanka, jakby mężczyzna, który przysłał jej kwiaty, musiał zawsze być tym jednym, a nigdy tym drugim. Ale czasem tak właśnie się dzieje. Zdarza się, odrobina kleju, zwilżona na krawędzi koperty, to jedyne, co utrzymuje w całości świat i wszystko, co w nim się znajduje. Niekiedy życie, śmierć, katastrofa

przybywają z ostrzeżeniem równie cichym, co delikatny trzask skorupy pod butem. Nikt tego nie zauważa poza ślimakiem.

Mewy to niezbyt atrakcyjne stwory - hałaśliwe, gadatliwe, agresywne, niechlujne, nieliczące się z innymi. Są paskudnymi opojami ptasiego świata. Wychodzą na brzeg w każdym porcie jak marynarze, zataczają się pewnym siebie krokiem, z rękami w kieszeniach, rozpychając się przez tłum. Anektują parapety. Ogłaszają podstawy kominów terra nullis, własnością niczyją, którą mają prawo skolonizować. Są białe, ale brudne. Patrzą na świat odpychającymi oczami socjopatów, płaskimi i błyszczącymi oczami rekinów. Najeżdżają na śmietniki, rozrzucają odpadki, okradają urzędniczki z drugiego śniadania, spadając z nieba z otwartymi dziobami, i zalewają wszystko, samochody, budynki, dzieci, pranie rozwieszane na sznurkach długimi pasmami ziarnistego, lepkiego, śmierdzącego gówna.

Kiedy tamtego wieczora Ernesto Marrom wychodził z pracy, na rzeźbionym frontonie Banku Narodowego Merino stała mewa. Przeszłowała z jednej różowej, pokrytej łuskami nogi na drugą i spoglądała na ulicę zażółconymi oczami, jakby celowała.

Ale zbyt szybko wybiegamy naprzód. Cofnijmy się o kilka godzin, kiedy pani Marrom wbijała dłonie w pościel na łóżku pana L.H. Valdesa, a jej pot spadał syczącymi kroplami na jego śnieżnobiałe, pachnące lawendą poduszki. Wtedy Ernesto Marrom przeciągał ołówkiem wzdłuż kolejnej kolumny cyfr.

Rozumiał liczby. Śpiewały w jego głowie jak nuty symfonii. Stawki podatku, zwolnienia od podatku, obligacje rządowe, kurs wymiany dolara, transakcje terminowe, pozycja krótka, rachunki zagraniczne, fundusze powiernicze. Wystarczyło, że spojrzał na księgę rachunkową, a pojmował ją, pływał w niej i przez nią jak ryba, potrafił ją ulepszyć, wzbogacić, dostrzegał dziury, widział, gdzie wypłynęły fundusze - i do kogo.

Bankier Marrom był w takim samym stopniu detektywem co policjant Camillo i podobnie jak on przez dziewięć dziesiątych czasu polegał na faktach. Resztę obaj by zbyli jako domysły. Ale należałoby to raczej nazwać instynktem. Drapieżnik w dżungli nie domyśla się, którą ścieżkę wybierze jelen, żeby dojść do wodopoju. Jaguar wie to, co wie jaguar, policjant wie to, co wie policjant, a bankier wie to, co wie bankier, nawet jeśli nie umie tego wyjaśnić. Pan Marrom dostrzegał, że akcje były przeszacowane lub niedoszacowane, potrafił określić, kiedy cena kawy wzrośnie maksymalnie i o ile spadnie cena wołowiny. Gdyby

ktoś go spytał, dlaczego tak uważa, musiałby zatrzymać się na chwilę, zebrać myśli i znaleźć powód - ciąg liczb, warunki pogodowe przez ostatnie trzy miesiące, zmiana na amerykańskim rynku, lekkie drgnięcie ceny ropy. Ale to wszystko stanowiło jedynie wyimaginowane uzasadnienie tego, co on już wiedział. Ernesto Marrom usłyszał kiedyś, że motyl sączący nektar orchidei na odległej polanie najlżejszym poruszeniem skrzydeł mógł zatopić potężne okręty i posłać tornado na brzegi Japonii. Wierzył w to. Każdego ranka, kiedy otwierał gazetę i patrzył na raport z giełdy, widział motyle i obserwował trzęsienia ziemi przebiegające wzdłuż rzędów liczb.

- Wiem różne rzeczy - powiedział sobie. - Na przykład, że moja żona ma teraz romans.

Oczywiście rzędy liczb nie mogły powiedzieć panu Marromowi o niewierności Marii, podobnie jak o tym, że cena kawy wzrośnie tego ranka o dwa centavos, ale i tak to się stało. Nie było nic, na co mógł wskazać. Żadnych faktów. Ale wiedział.

Kiedy zadzwonił do niej po raz szósty tego popołudnia, nie miał już wątpliwości. Telefon brzęczał na onyksowym stoliczku w przedpokoju, ale nikt nie odbierał. Pan Marrom często dzwonił po południu do domu, a pani Marrom nie odbierała. Czasami zdarzało się to nawet sześć razy z rzędu. Ale tego dnia, z dala od Willi na wzgórzu, siedząc na wygodnym fotelu obitym skórą zieloną jak żółw, jak drzewa nad rzeką, tkwiąc w swoim chłodnym, zacienionym biurze, otoczony ciemną boazerią wprost ociekającą rzeźbionymi owocami, wiedział. Może gdyby zadzwonił zaledwie pięć razy, wciąż nie miałby pewności, a ta myśl w ogóle nie pojawiłaby się w jego głowie, ale telefon odezwał się o jeden raz za dużo. Nie potrafił uwierzyć, że okazał się takim głupcem. Pan Marrom siedzący w swoim ciemnym, chłodnym biurze w Banku Narodowym Merino z telefonem w dłoni, nasłuchujący w samotności dzwoniącego daleko aparatu, wiedział, że gdzieś, być może bardzo blisko, jego żona leżała naga w łóżku innego mężczyzny.

Pan Marrom z niepokojem odkrył, że nie ma ochoty jej zamordować. Czuł się przygnębiony i zraniony, ale nic poza tym.

Po sześciu telefonach tak wiele rzeczy nabrało sensu. Jak kobieta mogła spędzać tyle popołudni na chodzeniu po sklepach, a jednak nic nie kupować?

Pan Marrom zaczął odliczać w głowie rzędy liczb, wyciągi z konta z kolejnych miesięcy, porządne sterty książeczek czekowych, na każdym odcinku starannie zanotowana data, kwota i nazwisko beneficjenta. Przypominał sobie je wszystkie, każdy kawałek papieru, każdą liczbę, debety i kredyty, liczby wznoszące się i opadające w miesięcznym przyptywie, podobnie jak kierowca taksówki parkującej tuż za jego oknem umiał przywołać z pamięci każdy wynik, strzał i gol w dowolnym meczu FC Atletico w ciągu ostatnich dwudziestu sezonów.

Nie było w tym nic osobliwego ani niezwykłego, a jednak wydawało się to równie dziwne, co telefon dzwoniący sześć razy. Jak często siedziała tam, po drugiej stronie srebrnych kandelabrow, które odziedziczyła po ciotce Malwinie, jak wiele razy uciekała wzrokiem, wpatrywała się w kieliszek z winem, a później w sufit, kiedy pytał: „Cóż takiego dzisiaj robiłaś, kochanie?”.

„Byłam na zakupach” - odpowiadała. - „Nic więcej, po prostu chodziłam po sklepach”.

Buty albo nowa sukienka - „prawdziwa okazja” - i zawsze obiecywała mu, że pokaże je później, po kolacji. Ale nigdy tego nie zrobiła.

Pan Marrom nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział Marię w nowej sukience, i wiedział, że z tego powodu jest skazany. Dlaczego nigdy nie poprosił, by pokazała mu się w tych wyimaginowanych ubraniach? Dlaczego nigdy nie zażądał okazania tych wszystkich butów? „Nie, kochanie, tylko buty. Nie wkładaj nic innego”. Dlaczego nie nalegał, by zostały ustawione jak żołnierze podczas musztry, każda para w eleganckim pudełeczku, gotowa do schowania? Gdyby tylko domagał się audytu. Gdyby Maria była warsztatem samochodowym przy bocznej uliczce albo sklepem zoologicznym, miałby wszelkie prawa. Mógłby przyjść w dowolnej chwili i sprawdzić księgi. Ale chodziło o żonę. Zbyt mało się przejmował. Nie pilnował swoich inwestycji.

„Później” - to zawsze powtarzała. Pokaże mu „później”. A teraz zrobiło się za późno.

Pan Marrom zaś wiedział, że zawiódł też w innych kwestiach: rzeczach, które sugerowała, o które prosiła i których próbowała go nauczyć. Próbował jej to zrekompensować: piękny dom, pieniądze, miejsce w socjocie, tego również pragnęła, ale to nie wystarczyło. Nie

tego potrzebowała i on o tym wiedział. Nigdy nie miał co do tego wątpliwości. Jak mógł mieć do niej pretensje, że znalazła to sobie gdzie indziej?

Podniósł telefon po raz siódmy i zaczekał chwilę. Dał jej czas, żeby odstawiła filiżankę z kawą, odłożyła kolorowe pismo i przeszła korytarzem, żeby zdjęła kolczyk, uniosła słuchawkę i powiedziała „Halo”, jak to zawsze robiła. Wyszeptał:

- Tak mi przykro, Mario. Nie byłem dla ciebie wystarczająco męski. Ale mam na tyle męskości, by to przyznać. Dawanie niektórych rzeczy po prostu nie leży w mojej naturze. Reszta należy do ciebie, kochana.

Tym razem nawet nie wybrał numeru. Z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Oczywiście, że pan Marrom nie chciał zabić swojej żony. Kochał ją. Nie chciał żyć sam, a gdyby ją zamordował, z pewnością tak by się stało. Gdyby poszedł do więzienia, znalazłby się bez niej w koszmarnym miejscu i nie miałby kto go odwiedzać, a gdyby policja spojrzała na niego, ujrzałaby skrzywdzonego męża i żonę dziwkę, która sama się o to prosiła, gdyby zapomnieli o zbyt dokładnym śledztwie, gdyby bank posmarował, gdzie trzeba, i cała sprawa uległaby zapomnieniu, nadal pozostałby samotny w ślicznym domu, z milczącym telefonem na onyksowym stoliku i tykającym zegarem.

Wolał zostać z nią i dlatego postanowił przymknąć oko. Wiedział, ale postanowił nic nie mówić, uznając to za prawdziwe machismo.

Jeśli jego żona miała świadomość, że jest rogaczem, jeśli wiedział o tym jej kochanek, jeśli wszyscy mężczyźni w mieście wiedzieli i śmiali się z niego, nie znali jego wielkiej odwagi, jego wielkiej miłości. Nie pojmowali, co znosił przez wzgląd na swoją męskość. To była wielka i szlachetna rzecz, stwierdził.

A kiedy pan Marrom po południu skończył pracę, kiedy patrząc w lustro poprawił krawat, kiedy przeczesał palcami siwe włosy na skroniach, znalazł w tym pewne pocieszenie.

- Tak - przyznał. - L.H. Valdes powinien mnie uczynić bohaterem swojej następnej książki, gdyby tylko wiedział.

Pan Marrom nie chciał zabić swojej żony, ale ogarnął go rozpaczliwy smutek. Przez dłuższą chwilę stał z ręką na klamce, wpatrując się w ciemne wypolerowane drewno i jego słoje. Nie

spieszyło mu się do wyjścia. Lubił swoje biuro. Było spokojne, ciche i bezpieczne, tak odległe, tak wyciszone, że nie wiedział nic o wybuchu zaledwie przecnicę dalej, aż sekretarka przyniosła poranną kawę i mu powiedziała.

Ale wszystko, co kochał w tym biurze, wydawało mu się tak słodkie tylko dlatego, że w domu czekała Maria. Ciężkie meble emanujące spokojną ciszą, jękający zegar pochłaniający jego życie chwila po chwili pocieszały go, ale w domu, bez niej, brzmiałyby jak groźba i przypomnienie.

W biurze wszystkie te rzeczy podnosiły na duchu i uspokajały, stanowiły symbol jego statusu wysoko ponad codziennym zgiełkiem głównej sali banku, z dala od pomniejszych urzędników i klientów. W domu, bez Marii, oznaczałyby tylko samotność. Pusty fotel wrzeszczałyby na niego, zegar walił w głowę, cisza skrzeczała, szarpiąc nerwy.

Pan Marrom odwrócił się z powrotem do biurka, poprawił bibułę, by leżała prosto, sprawdził - znowu - czy wszystkie szuflady są zamknięte na klucz, a później, stanowczym krokiem mężczyzny zdecydowanego, by podejść pod ścianę z odwagą, otworzył drzwi i wyruszył do domu, przez ciemny korytarzyk, przez główną salę, gdzie obcasy jego butów dźwięczały na marmurowej posadzce, kiwając głową na pożegnanie, przez drzwi, które otworzył przed nim lokaj w liberii, i na ulicę.

I wtedy właśnie mewa, z zażółconymi oczami i różowymi, pokrytymi łuską łapami, tupocząca na rzeźbionej kamiennej kuli stanowiącej dramatyczny kontrpunkt dla oszałamiających zakrętasów i arabesk ozdabiających fasadę Banku Narodowego Merino, upuściła smakowity krwisty kawałek, który chwilę wcześniej podniosła z Plaza Universidad. Mięso poleciało w dół i wylądowało na błyszczącym czubku prawego buta Ernesta Marroma, odbiło się i spadło trzy stopnie w dół na chodnik, gdzie leżało bardzo krótko, ponieważ ptak zleciał z dachu, chwycił je w dziób i znów odleciał, przelękając zdobycz, a jego gardło wydeło się i rozrosło jak pękający worek.

Na szczęście bankier Marrom nie miał większego od samej mewy pojęcia, co uderzyło w jego but, ale i tak poczuł się urażony - ta lepka wilgotność, ten oszałamiający szkarłat, ptasia uczta, wstrząs ciosu nadchodzącego znikąd. Pochylił się, by wytrzeć but chusteczką, i udał,

że nie zauważa, kiedy pojawiły się na niej czerwone plamy. Pan Marrom czuł, że jego żołądek się buntuje. Był zmęczony, smutny, a teraz na dodatek zrobiło mu się niedobrze. Potrzebował brandy - żeby się uspokoić - i pomyślał o Feniksie, którego odwiedzał w czasach studenckich. Feniks. Mógł tam pójść i posiedzieć przez chwilę, zmarnować trochę czasu, pozwolić, żeby Maria wróciła do niego do domu. Tak dla pewności.

Pan Marrom nadal siedział w Feniksie, samotny przy stoliku w kącie, kiedy kilka minut po siódmej przybył tam L.H. Valdes. Najlepszy przyjaciel bankiera - gdyby tylko go miał - musiałby przyznać, że jest trochę pijany, a pan Valdes, który zdecydowanie nie zasługiwał na to miano, zgodziłby się z tą oceną.

Nastąpiła niezręczna chwila. Pan Valdes spędził prawie godzinę pod prysznicem, zmywając ostatnie ślady Marii ze skóry, i nagle okazało się, że to wszystko na nic. Wyszedł z domu, żeby znaleźć pochlebstwa. Wziął notatnik z jedną liniijką tekstu - „Chudy żółty kot przeszedł przez drogę i wślizgnął się do burdelu” - i udawał przed sobą samym, że idzie do Feniksa, aby popisać. Miał zamiar zamówić podwójne espresso oraz brandy i usiąść przy stoliku w rogu pod wielkim lustrem w pozłacanych ramach - dokładnie przy tym samym, który wybrał Ernesto Marrom - i tworzyć. Oczywiście część jego umysłu rozpoznawała w tym kłamstwo. Pan Valdes nie miał zamiaru pisać. Jak mógł to robić, kiedy Maria go odrzuciła, a jemu brakowało odwagi, żeby otworzyć lodówkę, wyjąć bukiet frezji i zabrać je do kobiety, która mogła go przyjąć? Pan Valdes nie miał ochoty pisać. Pragnął jednak, by widziano, jak to robi. Potrzebował otuchy, jaką dawały pełne podziwu spojrzenia. Chciał siedzieć przy tym stoliku i przyciągać wzrok. Podnieść oczy znad kartki i złapać kogoś na szybkiej ucieczce spojrzeniem. Przyciszonej rozmowy na drugim końcu sali, kogoś zbierającego się na odwagę, kogoś mówiącego: „Dalej, dalej, zrób to! Jemu nie będzie to przeszkadzać”, kogoś odważnego na tyle, by przecisnąć się między stolikami z kawałkiem papieru wyrwanym z pamiętnika albo wygładzoną serwetką, kto by zapytał: „Czy mogę prosić? Naprawdę nie chcę panu przeszkadzać. Ale to byłby wielki zaszczyt. Przeczytałem wszystkie pańskie książki”, a potem uśmiechnął się i powiedział: „Dziękuję. Ogromnie dziękuję. Nawet pan nie wie, co to dla mnie znaczy”. Ktoś mógłby nawet spróbować zajrzeć do jego notatnika i rzucić: „A to

pańska nowa? Och, cudownie", a on wtedy powoli, spokojnie, z ogromną i łagodną dyskrecją, zatrzasnąłby notatnik, ukrył go przed wścibskim wzrokiem i odparł coś skromnego, lekceważącego i autoironicznego.

„A, to? To tylko coś, czym się w tej chwili bawię. Zupełnie nic takiego. Naprawdę, drobiazg”.

Nie prosił przecież o wiele, a gdyby jednak zabrakło pochlebstw, w końcu przyszedł do Feniksa, gdzie gotów był pozwolić nawet doktorowi Cochrane'owi, by ten go rozpieszczał. Ale zamiast niego trafił na Ernesta Marroma we własnej osobie, bankiera, którego żona przed chwilą po raz ostatni opuściła jego łóżko. Mężczyznę, któremu wyrządził krzywdę i który w niewyjaśniony sposób go pokonał, ale miał się tego nigdy nie dowiedzieć, nie zatriumfować i z litością potrząsać głową. To wydawało się obrzydliwe, irytujące i nawet, jak uświadomił sobie pan Valdes, zawstydzające.

Stojąc w drzwiach, szybko odwrócił wzrok, udając, że Marrom go nie zauważył, ale było zbyt późno.

- Valdez! - zawołał. - Chano! Tutaj. Tutaj. Przywołał go, unosząc szklaneczkę z brandy.

- Chodź, siadaj. Postawię ci drinka. Pan Valdez uśmiechnął się słabo.

- Zapraszam - zachęcał Marrom. Pan Valdez rozejrzał się dookoła z nadzieją, że jest ktoś jeszcze, do kogo mógłby się dosiąść, jakieś wcześniej umówione spotkanie, którym mógłby się wyłgać. Ale nikogo nie zauważył. Żadnej ucieczki.

- Witaj, Ernesto - powiedział i wysunął krzesło spod stolika.

Uścisnęli ręce jak dwaj starzy przyjaciele, a po trzech dużych szklaneczkach brandy pan Marrom czuł prawdziwą życzliwość wobec całego świata. Pan Valdez widział się w lustrze od czubka głowy do miejsca, gdzie stół odcinał go w połowie uda, swój idealnie dopasowany szaroniebieski garnitur i koszulę tak białą, że aż oślepiła. Obserwował siebie i plecy pana Marroma, uścisk ich dłoni. Dotykał pana Marroma ręką, którą przed zaledwie kilkoma godzinami obejmował panią Marrom, w to popołudnie i tak wiele innych. Tą dłonią ocierał jej łzy.

- Masz ochotę na brandy? Właśnie ją piję. - Marrom machał ręką, aż zauważyła go kelnerka, i bezgłośnie polecił jej: - Jeszcze dwie.

- Tak, to brzmi zachęcająco.

- Ja już właściwie kilka wypilem. Mam pewną przewagę nad tobą. Zacząłem wcześniej.

- Świątujesz coś?

- Nie. Raczej nie.

- W takim razie topisz smutki, tak?

Pan Marrom nie odpowiedział. Siedział i gapił się na szklaneczkę alkoholu, powoli przeciągając palcem wzdłuż jej brzegu, aż wydała upiorny, dźwięczący odgłos. Cofnął rękę.

- Przepraszam - powiedział. - To było niegrzeczne. Wybacz mi. O, popatrz. To twój drink... nasze brandy.

Kilkanaście słów, nie więcej niż pojedyncze zdanie w notesie, ale w tej chwili milczenia i dzięki tej dziwnej żałobnej nucie pan Valdes nagle przejrzał Ernesta Marroma.

- Tak, pewnie można powiedzieć, że topię smutki.

- Dostałeś lanie na rynku finansowym?

Pan Valdes starał się prowadzić błyskotliwą rozmowę, ale odkrył, że czuje się winny i zażenowany, nawet trochę przestraszony. Bał się sceny. A jeśli Marrom wiedział? I dlatego właśnie go przywołał? A może to była zasadzka? Zaczaił się, zbierając odwagę z każdą szklaneczką i przygotowując się do wyrzucenia z siebie pijackich oskarżeń?

- Nie, nic z tych rzeczy, - Pan Marrom dopił jedną brandy i sięgnął po kolejną. - Po prostu w życiu nie zawsze jest tak, jak byśmy się spodziewali.

- Wiem. Właściwie z tego właśnie się utrzymuję... i ty też.

- Owszem, prawda? Ale to ma być życie innych ludzi. Okazuje się, że niczym się od nich nie różnię.

- Och, wszyscy jesteśmy tacy sami - odparł Valdes. - W unikatowy sposób identyczni.

- Ty nie.

- Nawet ja. Przez te ostatnie kilka dni sam siebie zaskakiwałem.

Pan Marrom pociągnął duży łyk ze szklanki i zamknął oczy, gdy słodkie jak melasa opary wypalały mu mózg. Pokiwał głową.

- Tak, nawet ty. Wielki Luciano Hernando Valdes. Wyobraźcie to sobie.

Teraz. Nadchodziło, krzyki, cios pięścią, oskarżenia i wszyscy zaczną się gapić, a on nie będzie miał nic do powiedzenia, żadnego usprawiedliwienia i nic na swoją obronę poza głupim, niewiarygodnym zaprzeczeniem.

Pan Valdes pospiesznie dopił brandy.

- Cóż, chyba powinienem lecieć.

- Nie bądź głupi. Och, przepraszam. - Pan Marrom znów zamachał szklanką. - Wybacz mi. Ciągłe zachowuję się niegrzecznie. Proszę, nie uciekaj. Dopiero tu przyszedłeś. Rozluźnij się. Zostań. Chcę porozmawiać. To tutaj to twoja nowa książka? Opowiedz mi o niej. Jak ci idzie?

Pan Valdes położył dłoń na notatniku, osłaniając go.

- A, to? To tylko coś, czym się w tej chwili bawię. Zupełnie nic takiego. Naprawdę, drobiazg.

- Nie, posłuchaj, to nie jest „nic takiego”. To, co piszesz, zmienia życie. Zmienia cały świat. I sposób, w jaki ludzie go postrzegają.

- Bzdura.

- Nie masz racji. Ja wiem. Mnie się to przytrafiło. Pan Valdes był zadziwiony.

- Ale mylisz się. Znów się zdumiał.

- W czym?

- Sądzisz... - Ernesto pociągnął kolejny łyk brandy - ...że powinienem zabić żonę.

- Nie, wcale nie! - Nie potrafił zapanować nad głosem. - Dlaczego miałbym tak uważać?

- Kocham ją.

- I powinieneś. To wspaniała kobieta. Cudowna.

- Jest dziwką, Chano!

Pan Valdes zerknął w lustro. Z zadowoleniem stwierdził, że wydaje się szczerze wstrząśnięty.

- Nie, posłuchaj, to prawda.

- Z pewnością musisz się mylić.

- Ma romans. - Nie.

- Ja wiem.

- Pan Marrom dopił brandy jednym łykiem i wyciągnął szklaneczkę. - Teraz chyba twoja kolej.

Pan Valdes uniósł rękę i pomachał do kelnerki w lustrze. Słuchał.

- Moja żona to dziwka i ma romans, ale ja ją kocham i nie mogę bez niej żyć. Wyłącznie. Wyłącznie między nami.

- Mój Boże!

- Tak właśnie powiedziałem.

- Jak długo wiesz?

- Och. - Marrom spojrział na zegarek. - Od około czterech godzin.

- Mój Boże.

- Owszem, mój Boże. Ale posłuchaj, niech to pozostanie między nami.

- Oczywiście. Jestem pewien, że się mylisz. Czy masz pojęcie, z kim...

- Nie. Najmniejszego. Ale według dzieł L.H. Valdesa... o, nasza brandy nadchodzi. - Ernesto milczał do chwili, gdy kelnerka ich opuściła. - Według dzieł L.H. Valdesa powinienem znaleźć wewnętrzny spokój, jeśli zamorduję ją i jej parszywego, śmierdzącego kochanka. Mnóstwo krwi. Całe mnóstwo ślicznej krwi.

- Nie.

- Ty byś tak zrobił. Tak by postąpił prawdziwy mężczyzna.

- Akurat. To tylko gówniane historie. Opowieści.

- Cóż, ja nie chcę jej zabijać.

- Nie. Nie możesz. Ona cię kocha. Wszyscy to widzą. Uwielbia cię bardziej niż to pojmujesz.

- Ale jego mógłbym.

- Tak, to by było dopuszczalne.

- Jeśli kiedykolwiek dowiem się kto to.

- Ona cię kocha, Ernesto.

- Nie o to chodzi. Problem w tym, że ja ją kocham.

Pan Valdes obudził się z najgorszym rodzajem porannego niesmaku w ustach i głową pełną brzęczącej waty. Leżąc w łóżku i próbując zebrać odwagę, by wstać, coraz bardziej dziwił się swoim postępowaniem - że odważył się spędzić wieczór z Ernestem Marromem, głaszcząc go po rogach i całując je, żeby nie bolało, powtarzając mu przez cały czas, że Maria nie była niewierną dziwką, że kochała go prawdziwie i głęboko, jak przystało dobrej żonie. Zdumiało go, że jakimś cudem udało mu się tego dokonać, a na dodatek prawie w to uwierzył.

Kiedy zatrzasnął drzwi taksówki, może trochę za głośno jak na pierwszą w nocy, i machaniem ręki pożegnał Ernesta udającego się w stronę placu Rewolucji Wrześniowej, w lodowatym blasku Oriona wspinającego się na niebo nad Merino, czuł wobec niego prawdziwe ciepło. Ten męski uścisk, braterskie klepanie się po plecach - nie udawał, a choć opary brandy już się rozplynęły, odkrył, że nic się nie zmieniło. Przełącznik wciąż był ustawiony w pozycji „włączone”, kapiące z kranu krople emocjonalnego przywiązania zmieniły się w strużkę. Mimo niepokoju pan Valdes pozwolił, by nowe uczucia go omyły, podobnie jak narkoman zatapia się w ciepłych, otulających falach makowej trucizny.

Czuł jeszcze ostre, świeże pieczenie rany w miejscu, gdzie znajdowała się Maria, lecz wiedział, że to przeminie. Proces ten już następował. I było też silne, ciepłe, bolesne pulsowanie oznaczające Caterinę, ale ono też zniknie. Miał nadzieję, że tak się stanie, i wiedział, jak rozpocząć leczenie.

Pan Valdes splótł dłonie za głową, ścisnął skronie, wstrzymał oddech i usiadł na łóżku. Z ulgą stwierdził, że nie ma ochoty wymiotować, ale dokuczało mu pragnienie. Duży niebieski notatnik leżał tam, gdzie go zostawił, na nocnym stoliku. Podniósł go i poszedł do kuchni.

Była równie piękna, co wszystkie inne pomieszczenia w jego domu - stal, marmurowe płytki, ciemne drewno i wielka amerykańska lodówka z podwójnymi drzwiami. Wszystko ciche, spokojne, sprawne i czyste. „Właściwe”. I absolutnie bezosobowe. Kuchnia pana L.H. Valdesa nie różniła się od jego salonu, sypialni, szerokiego balkonu i łazienki. Każde pomieszczenie wyglądało jak prosto z salonu wystawowego najmodniejszego sklepu meblowego w mieście. Jego

dom przywodził na myśl katalog, fotografię, błyszczące kartki czasopisma z modą. Został urządzone w taki sam sposób, w jaki bogacze z dawnych czasów wyposażali swoje biblioteki w trzydzieści metrów zielonych książek i trzydzieści czerwonych. Wybierał je kto inny. Nikt nie wiedział, co zawierają, nikt więcej na nie nie patrzył. Pan Valdes miał taki właśnie dom, w którym tylko książki były prawdziwe, a cała reszta na pokaz. Gdyby ktokolwiek przyszedł do mieszkania - a poza Marią Marrom nikt tu się nie zjawiał, żaden przyjaciel, kolega z pracy, student czy zagapiony płytki recenzent pragnący poznać prawdziwego L.H. Valdesa - nie znalazłby w nim właściwie niczego, co świadczyłoby o właścicielu. Nic, co mogłoby podtrzymać rozmowę, doprowadzić do krótkiej wymiany zdań: „A, to! Muszę ci opowiedzieć, skąd to mam”.

Albo: „Tak, zawsze mi się podobało. Pochodzi z czasów, które spędziłem w Kairze, no wiesz”.

Jedynie zdjęcia, jakie pamiętał z tego mieszkania, wypadły zza listew przypodłogowych, kiedy się wprowadził i zaczął rozbierać je do gołych tynków.

Były ich dziesiątki, przyciśniętych do ściany, zakurzonych i obrosniętych pajęczynami, czekających tam, jedno obok drugiego, bok do boku, ukrytych jak znieruchomiałe klatki zapomnianej kroniki filmowej, wypełnionych szarymi duchami młodych mężczyzn o wyrazistych rysach z trupimi czaszkami na kołnierzach. Musiał je tam umieścić poprzedni właściciel, doktor Klement, w obawie, że zostaną odkryte, a nie chcąc się z nimi rozstawać. Nim pan Valdes je wyrzucił, zastanawiał się, czy starzec czuł się lepiej na łożu śmierci ze świadomością, że jego pamiątki są tak blisko, czy też raczej bał się, że ktoś je odnajdzie.

Pan Valdes nie miał nic takiego. Żadnych tajemnic. Dopilnował, by poza jedną pamiątką po dziadku jego dom był tak samo nagi i wolny od wszelkich związków, co jego dusza. Tego właśnie pragnął - wewnątrz czyste, funkcjonalne, modne, stylowe, a jednocześnie - jak sobie teraz uświadomił - zimne i puste.

Podszedł do lodówki, pomacał w poszukiwaniu soku pomarańczowego i znalazł frezje, zmarnowane. Wepchnął je za głęboko, za masło, i płatki przymarzły do tylnej ścianki, lodowate i przezroczyste niczym skrzydełka martwych, pokonanych wrózek.

Rozerwały się, kiedy je pociągnął, pozostawiając na białym plastiku zielone błoto liści. Pan Valdez wyrzucił je z westchnieniem.

Siedząc przy stole z kartonem soku przed sobą, a zgiętymi pędami frezji i wilgotną bibułą wystającą z kosza na śmieci za plecami, znów otworzył notatnik i zaczął czytać.

„Chudy żółty kot przeszedł przez drogę i wślizgnął się do burdelu”. To nie koniec. Potrzebował kolejnej linijki. Po tym musiało coś nastąpić.

„A nie wolałby pan seksu?”

Po tym musiało coś nastąpić. Potrzebował kolejnej linijki. To nie koniec.

Pan Valdez zerknął na kartkę. Patrzyła na niego pusta i zimna jak lodowiec, w polu widzenia jedna wąska linijka pisma, a pod nią kryła się złowroga i zgubna wielka masa nienapisanego, niewidocznego niczego, kartka za kartką zamarzniętej bieli. Ale wiedział, że da się to pokonać. Wiersz za wierszem mógł ją ociosywać i napisać książkę. Odstawił sok pomarańczowy i ruszył w poszukiwaniu pióra.

W tym czasie kawałek dalej przy alei Cristóbal doktor Cochrane siedział na ławce w ogrodzie przed domem Ottavio, ciesząc się porannym słońcem. Policja wciąż pracowała na Plaza Universidad, zajęcia zostały odwołane, dzień należał do niego, a on postanowił go spędzić pod drzewem w ogrodzie.

Wystarczająco dużo słońca - ale niezbyt palącego - chłodne pierzaste cienie padające na ścieżki, kwiaty rozkwitające wszędzie na starannie podlanych rabatkach, przyjemny chrzęst żwiru pod stopami - było doskonale.

Ze swojego miejsca doktor Cochrane mógł podziwiać całą ulicę - zadbane dzieci idące do szkoły, przyjemnie odległy hałas ruchu ulicznego na alei Cristóbal, ciemnoskóra dziewczyna spacerująca przed oknem na piętrze domu Ottavio, która zapomniała, że jest naga jak noworodek, albo jej to nie obchodziło. I, co najlepsze, tego pięknego młodzieńca z długimi brązowymi nogami, który pracował nad upiększeniem ogrodu. Doktor Cochrane złożył gazetę i odłożył ją na ławkę. Uznał, że najwyższy czas przestać udawać, że czyta. Nigdy wprawdzie nie nadejdzie czas, by przestać udawać - nie do końca - ale postanowił przestać udawać, że czyta. Gazeta i tak była pełna nieprzyjemnych rzeczy. Pisali wyłącznie o zamachu, o bólu i śmierci,

zamieszczając paskudne słowa i okropne zdjęcia przerażonych, cierpiących ludzi. Doktor Cochrane uważał za niewłaściwe i głupie, by marnować śliczny poranek na tak wiele nieprzyjemności, skoro mógł się cieszyć ptakami, słońcem i bardzo długimi nogami oraz bardzo krótkimi spodenkami ogrodnika.

Młodzieniec był odwrócony do niego plecami. Klęczał, zajmując się kwiatową rabatką wzdłuż ścieżki. Długie czarne włosy opadały mu na twarz, a on od czasu do czasu prostował plecy, zakładał kosmyki za uszy i wracał do pracy. Doktor Cochrane uznał ten gest za piękny, pełen wdzięku i dziewczęco prosty. Centymetr po centymetrze, zawsze na kolanach, wciąż odwrócony plecami, uroczy ogrodnik przesuwiał się wzdłuż rabaty.

Doktor Cochrane znów podniósł gazetę i zainteresował się krzyżówką. Hasło do siedem poziomo brzmiało: „Codzienna praca (6)”. Doktor Cochrane wpisał „BUZIAK”. Spojrzał na listę sześcioliterowych słów i wpisał to samo słowo we wszystkich kratkach, aż żadne buziaki nie mieściły się już na kartce. Gdy skończył, ogrodnik klęczał mu u stóp. Doktorowi Cochrane'owi niemal zapało dech. Młodzieniec podniósł się i odwrócił. Nic nie powiedział, ale spojrzał mu w oczy i zdjął koszulę. Uniósł ją nad płaskim brzuchem, nad gładką piersią, nad głową. Stał bez słowa ze zmiętą koszulą w ręku. Jego skóra była brązowa, a na ramionach i dekolcie przybrała kawowy odcień.

Doktor Cochrane pochylił się w jego stronę, tak blisko, że czuł gorąco na twarzy. Doleciał go zapach ziemi, trawy, soli i czegoś jeszcze. Wstrzymywał oddech niczym w ustach łyk brandy i pozwolił, żeby go wypełnił. Znajdował się tak blisko młodzieńca. Nieprzyzwoicie blisko. Bał się, że któraś z matek popychających wózki tuż przy ogrodzie spojrzy przez żelazne pręty i zobaczy ich razem. Co by ujrzała? W końcu nic się nie działo. Szacowny naukowiec siedzący na ławce w publicznym ogrodzie i stojący przed nim ogrodnik. To wszystko. Ale ona od razu by zrozumiała i wiedziała. To było głupie, lekkomyślne, zawstydzające, nieodparcie cudowne i nie chciał przestać.

Doktor Cochrane wsparł się na lasce i wstał. Nie dało się tego zrobić bez dotykania i kiedy się wyprostował, poczuł, jak nagie kolana ogrodnika przyciskają się do jego spodni. Wcisnął złożony banknot w dłoń młodzieńca.

- Dziękuję - powiedział. - To było doskonałe.

W tym samym czasie pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez wyglądała przez okno na podwórko budynku, w którym mieszkała, patrząc i czekając na zamówioną przesyłkę.

Widziała, jak przyjeżdża furgonetka i jak doręczyciel wyciąga paczkę, a kiedy po chwili zadzwonił domofon, powiedziała:

- Tak, oczywiście, proszę wejść.

Pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez ruszyła korytarzem swojego pięknego mieszkania, mijając półkę nieprzeczytanych książek, które witały każdego gościa, po drodze rozwiązując pasek miękkiego jedwabnego szlafroka, i podeszła do drzwi.

A kiedy pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez czekała nago za drzwiami, gotowa podpisać odbiór przesyłki, Caterina przechodziła przez ruchliwą ulicę przy jej domu, spiesząc do budki telefonicznej na rogu. W torebce miała wizytówkę Chano, ale nie patrzyła na nią. Znała numer na pamięć, a kiedy odebrał, odezwała się:

- Halo! To ja. Caterina. Odpark:

- Halo.

Nawet w tej stęchłej budce po tym cienkim drucie brzmiało to jak ciepła kąpiel pełna róż.

- Dzwoniłam i dzwoniłam. - Nie spodobało jej się, że to powiedziała, bo brzmiało jak zrzęczenie. - Chciałam ci podziękować za kwiaty.

- Nie ma za co. Cieszę się, że ci się podobały.

- Chciałabym ci za nie naprawdę podziękować. Odpowiednio. Czy mogę przyjść?

- Byłoby mi bardzo miło.

Kiedy pan Valdez wrócił do kuchni, odkrył, że szklanka pozostawiła wilgotny krąg soku pomarańczowego na pierwszej stronie notatnika. Wyrwał ją, zmiął w kulkę i wcisnął do kosza obok połamanych frezji.

Przed jej przyjściem pan Valdes ogolił się i zmienił pościel. Przez krótki czas się zastanawiał, czy nie jest to nieco niesmaczne, ale niby dla czego? Nie ulegało żadnej wątpliwości, że pójdzie do łóżka z Cateriną. Oraz że ona również tego pragnie. „Chciałabym ci odpowiednio podziękować” - tak powiedziała. Cokolwiek to znaczyło, na pewno nie chodziło o: „Napisałam dla ciebie śliczny list na papierze w kociątko i pragnę ci go wręczyć”. Nie, raczej: „Ale nie wolałbyś seksu?”.

Pan Valdes wiedział, że to kulminacja długiego uwodzenia. Nie poszło do końca tak, jak zaplanował, to oczywiste. Liczył na dłuższą pogoń, symboliczny opór, a musiał przyznać, że w jej telefonie krył się ślad agresji, jakby to ona rządziła, jakby to ona była łowcą, a on ofiarą. To go zaskoczyło i już czuł tęsknotę za chwilą poddania się, której miał zostać pozbawiony.

- To przez jej wiek - powiedział sobie. - Ona nie umie się zachować.

Mimo to pan Valdes gotów był na szczodrość i wielkoduszność. Caterina należała do niego od chwili, kiedy postanowił ją mieć. Wiedział to. Jeśli ona wolała wierzyć w coś innego, jeśli czuła się lepiej, zachowując się, jakby miała w tej kwestii jakiś wybór, mógł się na to zgodzić.

Zwinął zabrudzoną pościel i wrzucił ją do kosza na brudną bieliznę, po czym poszedł do garderoby wybrać garnitur. Uznał, że najlepszy będzie granatowy, miękki, wysokiej jakości i świetnie skrojony, a do tego prosta biała koszula, lakierowane spinki do mankietów i ten krawat, tak granatowy, że prawie czarny, w białe grochy. To pasowało do wszystkiego. Był zadowolony.

Pan Valdes poprawił przed lustrem węzeł krawata, ale stojąc tam i udoskonalając swój wizerunek, nagle poczuł się głupio. Ubierał się jak na wyjście, choć tak naprawdę miał zamiar zostać w domu i wkrótce znów się rozebrać. Ale w takim razie co z butami? Najwyraźniej zapomniał, jak je zdjąć. I te spinki do mankietów. Wydawały się niepotrzebne. Mogły okazać się niezręczne. Wyobraził sobie, jak walczy z koszulą, gdy Caterina czeka bez końca, bębniąc palcami o materac. I ten krawat. Jaki miało to sens? Albo marynarka? Po co nosić ją wewnątrz - we własnym mieszkaniu?

Wszystko wydawało się absurdalne. Robił zamieszanie jak dziewczyna, jak wdowa po latach zdjęta z półki, jak rozwódka znów wracająca do gry, przejmująca się, jakie buty włożyć, zastanawiająca się, co „powie” ta sukienka, zamartwiająca się, na ile pokazać nogi. Głupota. Luciano Hernando Valdes nie był nowicjuszem. Ani uczennicą, która w czasie przerwy obiadowej miała zamiar rzucić się na instruktora tenisa. Mimo to odkrył, że się niepokoi.

Spojrzał w lustro.

- To cabeceo - powiedział sobie. - To powinno być cabeceo. Z westchnieniem wrócił do kuchni, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

To wystarczy. Caterina ją zobaczy i będzie wiedziała, że ma marynarkę. Oczyma duszy będzie mogła połączyć zestaw w odpowiednią całość, a jednocześnie nie zapyta, dlaczego u diaska nosi ją we własnej kuchni. Krzesło zaskrzypiało na płytkach, kiedy odsunął je, żeby usiąść. Znow otworzył swój wielki niebieski notatnik, znalazł pióro i w połowie strony zaczął pisać.

Nakreślił: „Chudy żółty” i wtedy zabrzmiał dzwonek.

Pan Valdes zamknął notes i podszedł do drzwi. Zrobiło mu się sucho w ustach. Przyjął wyraz twarzy mający świadczyć o mądrości, powitaniu, zainteresowaniu - ale jego odbicie w połączonym lustrze w holu popatrzyło na niego z nerwowym mruganiem. Powoli wciągnął powietrze, wypuścił je i nacisnął klamkę.

- Cześć.

- Cześć.

- Witaj. - Szerokim gestem objął mieszkanie, zapraszając ją do środka.

Nie odezwała się, a jedynie wydała cichy odgłos jak stłumiony chichot i przeszła przez próg.

- Odrobinę dalej - powiedział. - Hm?

- Nie mogę zamknąć drzwi.

- Ach. Ach tak. - I znow ten niewyraźny śmiech.

Na zewnątrz było ciepło, ale Caterina miała na sobie płaszcz, który oszołomił go swoją brzydotą. Wisiał na niej jak bezkształtna masa szorstkiego burego materiału, jak te stare derki, które noszą w górskich miasteczkach, z wyciętym pośrodku otworem na głowę. Panu Valdezowi nagle przypomniała się stara książka z niemal zapomnianego

dzieciństwa z dziwacznymi obrazami Titelitury tańczącego szatańsko wokół ogniska i leśnych elfów ubranych w odwrócone łupiny orzechów.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział.

Uśmiechnęła się i ponownie wydała ten odgłos. Wydawała się oszołomiona.

- Mogę wziąć twój płaszcz?

Pan Valdes doskonale radził sobie z podejmowaniem gości, ale zaczynał się już zastanawiać, czy nie popełnił straszliwego błędu. Ona była idiotką. Ledwie mówiła. Ale wtedy zdjęła okrycie i przypomniał sobie, dlaczego jej pragnął. Jej kształt. Był niemożliwy, niewiarygodny. I zapach unoszący się z tego koszmarnego burego płaszcza. Kiedy wieształ go w szafie przy drzwiach, woń napełniła go i zaparła mu dech w piersiach. „Mój Boże - pomyślał. - Ona jest młoda. Pachnie tak młodo”.

- Chciałabyś się czegoś napić? - zapytał pan Valdes, wychodząc z szafy, ale Caterina już ostrożnie wyruszyła na zwiedzanie i niewielki hol był pusty.

Podążył za nią powoli, nasłuchując cichego pisku gumowych podeszew tenisówek na płytkach, a później tajemniczej kociej ciszy, gdy wkroczyła na grube beludżystańskie dywany.

- Masz śliczny dom - powiedziała.

Palcami przeciągała po mijanych półkach. Rozglądała się wokół, jakby właśnie wyszła z błyszczącego srebrzystego statku kosmicznego na nieznaną planetę.

- Dziękuję - odparł, idąc za nią.

- Co to jest?

- Jadalnia.

- Śliczna.

- Dziękuję. Nigdy z niej nie korzystam.

- Nikt nie przychodzi?

- Nie. Nikt nie przychodzi.

- Wiem - powiedziała. - A to co takiego?

- Pałasz mojego dziadka.

- Był bohaterem.

- Dla mnie tak. - A to?

- Jakaś nagroda. Puchar. Zapominam. Lubią dawać takie rzeczy do zbierania kurzu razem z czekami. Dzięki temu całość robi się mniej paskudna.

- Nie ma tu informacji, za co ją zdobyłeś.

- Pracowitość. Doskonałą frekwencję. Wiedzę biblijną. Nie wiem. Za książkę. Zapomniałem którą. Weź ją, jeśli chcesz.

Spojrzała na niego, udając, że się chmurzy.

- Nie, dziękuję. Zaczekam na swoją własną. Próbował ją dogonić, zbliżyć się, by móc wsunąć twarz w jej włosy i zatonać w tym zapachu, by położyć na niej ręce, ale ona odsuwała się tanecznym krokiem.

- Tutaj kuchnia - powiedziała.

- Z wielką lodówką. Zazwyczaj mam w niej szampana. Chciałabyś sprawdzić?

- Ty. Ty to zrób.

Znów zaśmiała się swoim cichym, tajemniczym, zawstydzonym śmiechem, a kiedy on zajmował się zdejmowaniem chłodnych kieliszków z górnej półki, rozwijaniem folii i odkręcaniem drutu z korka, ona znów odeszła.

- Bar! - powiedziała.

- Salon. Nie jesteśmy na statku.

- Śliczny widok. Ładny dywan.

Pan Valdes przekreślił butelkę, nie korek - nigdy korek - a on wyszedł z cichutkim uprzejmym beknięciem jak najedzona ciotka po dobrym obiedzie. Dopiero wtedy zauważył, że jego notatnik zniknął.

Kiedy przyszedł z szampanem, Carerina stała przy wielkim oknie, które wychodzi na aleję Cristóbal w stronę Merino, przyciskając go do piersi.

Stłumił atak paniki i wyciągnął kieliszek.

- Mogę to wziąć? - spytał.

- Pozwolisz mi spojrzeć? Nie zajrzałabym bez pytania.

Zdenerwowanie powróciło.

- A co mi za to dasz?

- A czego chcesz?

- Wszystkiego.

- I tak mogłabym zajrzeć.

- To moja cena.

- Jeśli dam ci wszystko, pozwolisz mi zerknąć?

- Tak. Jeśli dasz mi wszystko, pozwolę ci, Caterino. Otworzyła notatnik. Przeleciała przez puste kartki.

- Chyba mnie oszukałeś.

- Sama zgodziłaś się na taką umowę.

- Czyli ja dostaję „chudy żółty”, a ty „wszystko”? - Udała oburzenie.

- Dwa słowa z pióra mistrza, i to nakreślone jego własną ręką. Możesz je zachować, jeśli chcesz. Nawet je podpiszę, jak Picasso jedną z serwetek. Sporo mi za nie płacą. To prawdopodobnie całkiem niezła okazja.

- Dwa twoje wyrazy za moje wszystko. Tak, sądzę, że dobrze wyszedłeś na naszej umowie. - Znów się odsunęła i otworzyła drzwi do tylnego przedpokoju. - Jeśli jej dotrzymam.

- Tego się spodziewam.

- W takim razie chudy żółty kto? Chudy żółty Chińczyk? Chudy żółty kurczak? Co? Co?

- Kot. To chudy żółty kot.

- A co on robi, ten chudy żółty kot? Gdzie idzie? - Otworzyła kolejne drzwi i z rozczarowaniem stwierdziła: - Szafka na pościel.

- Do burdelu.

- Z wizytą czy tam mieszka?

- Może zaczekasz i przeczytasz resztę książki?

- Czyli jest więcej?

- O wiele, wiele więcej - skłamał.

Caterina dotarła do ostatnich drzwi. Stała, dotykając klamki, wahając się, jak żona Sinobrodego przed jedyną zamkniętą komnatą w zamku.

- Te? - spytała. - Te.

- Wszystko?

- Do ostatniej kropli twojej krwi. Do ostatniego tchu.

- Dobrze.

Nacisnęła klamkę i przeszła przez próg, ale zaraz się zatrzymała. Pan Valdes stanął za nią, położył jej dłonie na ramionach, trzymając ją i zabezpieczając, po czym zatopił twarz w jej włosach, wdychając zapach.

Znów się zaśmiała i bardzo cicho powiedziała:

- Chano.

- Nie bój się - odparł.

- Nie boję się.

- Ależ tak. Nie ma takiej potrzeby. Chodź, usiądź na łóżku.

Położył się z głową wspartą na ramieniu, a ona usiadła obok, odwrócona do niego plecami, z obiema dłońmi wsuniętymi między zaciśnięte uda.

- Gdzie twój kieliszek?

- Postawiłam go tam.

Skinęła głową w stronę toaletki art deco, pan Valdes zobaczył go i bardzo się starał nie myśleć o zimnym wilgotnym kieliszku wypalającym krąg w lakierze.

- Weź mój - powiedział. - Dalej. Tylko łyk. Malutki. Rozluźniła się nieco i wzięła kieliszek.

- Nie jest taki straszny - dodał. - Teraz odrobinę więcej. Posłuchała go.

- I jeszcze.

- Skończył się - stwierdziła i podała mu szkło.

Pan Valdes zsunął się z łóżka i podniósł drugi kieliszek. Czystą białą chusteczką wytarł miejsce, w którym stał szampan. Na drewnie nie pozostał żaden ślad. Stał przed nią i wyciągnął rękę.

- Dziękuję - powiedziała.

Ukląkł na podłodze u jej stóp i spojrzał na nią z dołu. Pociągnęła kolejny łyk wina i nie patrzyła na niego.

- Chciałbym cię teraz pocałować. Znów ten odległy chichot.

- To się właśnie dzieje. W takiej chwili. Zazwyczaj.

Lekko uniosła głowę, włosy opadały jej na twarz jak welon. Zagryzała wargę, a jemu się to podobało. To mu odpowiadało. Za takim cabeceo tęsknił. Pogoń. Uwodzenie.

- Czy chciałabyś zostać pocałowana?

Pokiwała głową i podsunęła mu swoje usta, wciąż wilgotne od szampana, z sorbetowym blaskiem na wargach. Smakowała świeżo, żywo i dziewczęco. Boże, tak młoda i pragnęła jego. Czuł jej głód. Przeszywał ją prąd.

- To było miłe - powiedział.

- Tak. Powtórzmy to.

Znów dotknął ją ustami, ale tym razem, kiedy przeciągnął palcami po jej bluzce i dotknął guzika, chwyciła go za rękę i odsunęła.

- Najpierw jeszcze całowanie. Buziaki.
- Dam ci jeden za każdy guzik.
- Nie. Zaczekaj. Tylko. Nie możemy wolniej?
- Tak. - Jeszcze raz przyłgął wargami do jej ust, głaszcząc opuszkami dłoń dziewczyny zaciśniętą na ubraniu. - Masz rację, nie musimy się spieszyć. Dam ci tyle czasu, ile chcesz. - Kolejny pocałunek. - Ale obiecałaś mi „wszystko”, a choć nie jestem ekspertem, kiedy piękna młoda dziewczyna tak mówi, zazwyczaj oznacza to, że zdejmie ubranie.

- Tak - powiedziała.

- Zacznę od twoich stóp.

Miała na sobie dziecinne tenisówki, z gatunku tych, jakie spotyka się w paskudnych bocznych uliczkach, związane razem i przerzucone przez kable. Brudna tkanina, biała guma na palcach i piętach i gumowa obwódka trzymająca je w jednym kawałku, do tego płaskie sznurówki przewleczone przez malowane metalowe oczka. To nie były kobiece buty. Pan Valdes wyobraził sobie, co powiedziałyby Maria. Ona nigdy by nie włożyła czegoś takiego. Skompromitowałyby się. Na litość boską, miały płaską podeszwę. Pani Marrom nosiła pantofle na obcasach, nawet kiedy przycinała róże w ogrodzie.

Kiedy pociągnął za sznurówki, poczuł brud na zakurzonej szarej tkaninie. Poluzowały się, najpierw jeden, a potem drugi, a on je pociągnął. Nie stawiała oporu. Właściwie pomagała mu, podając mu stopy, unosząc je jak mała dziewczynka przygotowująca się do kąpieli.

Nosiła skarpetki. Zsunął je, zwinął i odrzucił żartobliwym teatralnym gestem i z idiotycznym, dźwiękonaśladowczym „pop”, które miało uspokoić zarówno jego samego, jak i ją. Skarpetki. Naprawdę mogła się bardziej wysilić.

Pomasował jej stopy. Przeciągnął dłońmi po dżinsach, w górę łydek i przez uda do miedzianego guzika na szczycie.

- Mogę je zdjąć? - spytał.

Pokiwała głową w milczeniu, znów zagryzając wargę, i uniosła biodra, by pomóc mu zsunąć spodnie. I oto jej długie nogi były nagie, a ona nosiła tę czarną bluzkę jak nieprzyzwoicie krótką miniówkę.

- Teraz to? - Znów sięgnął do guzików.

- Nie. Wkrótce. Pocałuj mnie jeszcze.

I tak też zrobił. Przetaczali się przez kolejną godzinę, bawiąc się jak nastolatki, on w swoich spodniach od garnituru i koszuli, a ona kusząco, dręcząco, nie do końca naga, całując się, smakując, odnajdując, aż nagle niecierpliwie, niespodziewanie, w niezaplanowany sposób ta bluzka rozchyliła się.

Popchnęła go na plecy i dosiadła.

- Masz - powiedziała. - Mankiety. Rozepnij mi mankiety. Jego palce drżały, ale udało mu się i oto siedziała na nim, patrzyła na niego z góry i uśmiechała się, ubrana tylko w koronki, a on tak bardzo jej pragnął. Wyciągnął ręce, by dotknąć tych oszałamiających piersi. Wzięła jego rękę i szepnęła:

- Zaczekaj. - A później, całując jego palce, znów: - Zaczekaj.

Aż czekanie się skończyło. W końcu była z nim naga. Jej skóra jak jedwab, ale bez ziarna, przy jego koszuli, twarzy, w dłoniach, ustach.

Powiedziała „Wszystko” i to miała na myśli.

Czasem, jeśli spojrzy się na zegar w idealnej chwili, czas wydaje się nieruchomieć. Gdy wzrok padnie na sekundnik właśnie w momencie, kiedy ten dotarł do kolejnej czarnej kreseczki, wtedy jakimś sposobem mechanizm z pozoru zamiera. Wszystko zatrzymuje się na wystarczająco długo, by umysł zauważył, że cały świat znieruchomiał - pojawia się ta króciutka chwilka radości i euforii, że w końcu udało się pokonać czas, można stanąć obok niego na zawsze, w chwale nieśmiertelności, i ten chłodny odłamek grozy na tę myśl, i wtedy zegar znów tyka. Tak właśnie wyglądało bycie z Cateriną.

Przypominało to stanie na klifie nad zatoką w jasny słoneczny dzień, patrzenie w dół z wysoka, przyglądanie się, jak fale bezgłośnie uderzają w plażę, czekanie, czekanie, czekanie, aż rozlegnie się ryk, lecz wtedy bałwany już zniknęły.

Bycie z Cateriną zmieniało wszystko. Spowalniało, ścisnęło cały wszechświat do kropli wody, sprawiało, że jeden oddech wypełniał niebo, mieściło dzień i noc, i dzień w uderzeniu serca. Cały dzień i cała noc, zanim wyszli z łóżka, i kolejny dzień, gdy w końcu wyszli z mieszkania.

A nawet kiedy w chwili zapomnienia chwyciła go mocno i krzyknęła „Tato!”, jego serce zamarło tylko na chwilę, a później się tym radował.

Kiedy był z Cateriną, Merino zgęstniała do lepkiej strużki. Drzewa w parku zwiędły. Stały z opuszczonymi gałęziami jak okryci hańbą oficerowie na placu defilad, czekający, aż ich guziki zostaną oderwane, a pałasze połamane.

Całe miasto wypełniło gorąco, które przenikało ściany i chodniki, leżało tam i śmierdziało. Psy wyły, dzieci płakały, a w więzieniu naczelnik otworzył hydranty i skierował węże strażackie w stronę osadzonych.

W kinach umieszczali wielkie bloki lodu na scenie i dmuchali na nie elektrycznymi wentylatorami, aż topniały, a woda spływała do kanału dla orkiestry, gdzie żyły myszy i stało pokryte kurzem pianino. I tak nikt nie przychodził.

Był pot - więcej niż zwykle - i upał - większy niż zwykle. Sale taneczne tliły się. Dym z cygar wisiał w nich przez całą noc i nazajutrz wciąż się tam unosił. Wybuchwały bójki, a pierwszy oficer parowca „Meduza” wyszedł pewnego wieczora na przepustkę na brzeg i już nie wrócił.

Pod Pałacem Sprawiedliwości trwały przesłuchania, z kopniakami, ciosami pięścią i na odlew, wybijano zęby, a kciuki wiązano razem za plecami.

- Zapytaj go znowu - powiedział Camillo. - Przyciskaj go, aż zacznie mówić.

Wszyscy gadali. Zawsze.

W Barriada są ludzie, którzy spędzają całe życie zanurzeni w morzu żalości. Od chwili narodzin do momentu śmierci - co zazwyczaj jest litościwie krótkim następstwem chwil - nie znają nic poza cierpieniem i niedostatkiem. Często brakuje jedzenia. Są choroby, ale nigdy nie ma lekarza. Nie mają nic, ale to, co posiadają, wystarcza, by przyciągnąć wilki. Muszą robić, co im się każe, wypełniać rozkazy niezależnie od tego, czy wydaje je gangster, czy policjant, a mieszkańcy barriada nie dostrzegają między nimi większej różnicy. W ciągu dnia nie ma pracy i nic do roboty poza spaniem. W nocy szczekają psy i rozlegają się strzały, co jest paskudne, albo czeka się na nie, co wydaje się jeszcze gorsze.

Przez całe lato słońce wali w ich malutkie blaszane szopy, aż pordzewiałe ściany buchają gorącem. Brudne rowy melioracyjne przebiegające obok drzwi kurczą się do cienkich strumyczków, zapychają się, zestalają i gniją, aż smród unosi się jak pięść, a muchy krążą wielkimi rozzłoszczonymi chmarami, kiedy obok przebiegają dzieci.

W zimie pada deszcz i przeciekają dachy, nawet w tych chatkach, gdzie pracowite matki przez całe lato plądrowały kosze na śmieci i cięły kartony po mleku, żeby zrobić z nich dachówki. Krople bębnią w polietylenowe płachty i kapią do środka blaszanych domów z odgłosem jak ksylofon. Ziemia zmienia się w błoto, a rowy napęlniają się wodą, aż patyk, puszka czy wyrzucona pielucha utkną, zbierając wokół siebie kolejne gałązki, liście, błoto i na wpół ogryzione kości z kurczaka, wszystko splecione razem w tamę. Wtedy koryta się przepęlniają, a rzeczki występują z niepewnych brzegów i znajdują łatwiejszą drogę w dół wzgórza, nawet jeśli oznacza to, że muszą zabrać ze sobą jeden czy dwa domy do towarzystwa.

Ale w środku całej tej żalości ludzie bywają szczęśliwi. Czasem jest wiosna i nagle z boku ścieżki wyrastają kwiaty, choć nikt ich nigdy nie sadził, i przez chwilę wyglądają ładnie.

Któregoś dnia jakimś cudem dzieciak dostaje do ręki piłkę i biegnie z nią na kawałek otwartej przestrzeni, nierównej i pełnej bruzd jak zaorane pole, i gra, zawisa w powietrzu jak komar i wyrzuca czubkiem stopy piłkę, a ona przelatuje między słupkami. Albo śliczna dziewczyna w to jedno krótkie lato po tym, jak stała się kobietą, a zanim została matką, wciska się w obcisłą żółtą koszulkę, jaskrawą jak słońce, i

wychodzi na calle z nosem zadartym wysoko, z sutkami wzniesionymi do nieba, a wszyscy mężczyźni zatrzymują się w drzwiach, by obserwować jej przejście, dmuchają na palce i mówią „Aj”.

Czasami ktoś wygrywa szczęśliwy los na loterii, Atletico Club wbrew wszystkiemu zwycięża, Santa Ines wysłuchuje modlitw, a elektryczność ukradziona z cudzego kabla nie znika.

Ludzie z barriada potrafili wycisnąć każdą kropelkę szczęścia z tych rzeczy i sprawić, by starczyła na długo. Tamto wspaniałe kopnięcie z przewrotki wypełniało ich rozmowy przez miesiące i wiele lat później, kiedy była tłustą i niezgrabną babcią dobrze po trzydziestce, pamiętali piękną dziewczynę w żółtej koszulce. W barriada mieli dar szczęścia. Wbrew wszystkiemu, oczekiwali go.

Ale pan Valdez, stojący przed długim lustrem, które zajmowało całą ścianę jego łazienki, nie spodziewał się być szczęśliwy. Miał o wiele skromniejsze oczekiwania. Nalegał, by jego lustra były wolne od zacieków, wapienne płytki ciepłe, ręczniki puchate jak chmurki i równie białe, stalowe krany błyszczące, angielski pędzel do golenia wyprostowany na baczność jak jeden z tych śmiesznych żołnierzy pocących się pod olbrzymią futrzaną czapką przed Palacio Presidencial, brzytwa tu, a woda kolońska tam. Pragnął tych wszystkich rzeczy, ale nie spodziewał się, że dadzą mu szczęście. Nawet w takiej chwili, kiedy jego poranny prysznic był dokładnie tak ostry, jak sobie życzył, i tak ciepły, jak tego wymagał, kiedy dzielił go z piękną dziewczyną o nieprawdopodobnych piersiach w ostatnim opętańczym wybuchu radości po dwóch szalonych dniach, nie spodziewał się tego uczucia. A jednak go doświadczał.

Teraz stał tam, trzymając Caterinę, upajając się aromatem jej włosów, trącąc nosem to pachnące karmelem miejsce u nasady karku, podgryzając ją w uszy, aż wiła się i chichotała, obserwując, jak ona patrzy na niego, i czuł się szczęśliwy. To go zadziwiło.

To nie był pierwszy ranek, kiedy pan Valdez kochał się pod prysznicem, ale dzięki Caterinie doznanie to nabrało uroku nowości.

Powstrzymał się przed zastanawianiem, czy to dla niej pierwszy raz. Nie zamierzał zadawać tego pytania - nawet samemu sobie. To nie miało znaczenia i to w inny sposób, w jaki takie rzeczy nie liczyły się w domu Ottavio.

Po prostu nie warto było o tym myśleć. Caterina sprawiała, że roztrząsanie tych spraw stawało się pozbawione sensu.

Odsunęła się znów od niego, a kiedy nie podążył za nią, wróciła, objęła go za szyję i pocałowała, stojąc z nim twarzą w twarz, brzuchem w brzuch, nieświadomie po raz pierwszy ignorując lustro, już nie grając, nie przejmując się, jak wygląda, po prostu będąc z nim.

- Przestań - powiedział. - Jestem stary.

- Wcale nie, Chano. Och, to nieprawda.

Musnęła go czubkami palców i pan Valdez z zaskoczeniem poczuł, że jego ciało reaguje. Znów go pocałowała.

- Jesteś absolutnie cudowny. Nawet to - kolejny pocałunek - uważam za piękne.

- Nawet co?

- Ten ślad na wardze.

- A co tam mam? - Pan Valdez podszedł do lustra i przetarł twarz palcami, jakby szukając resztek pasty do zębów albo zaschniętej pianki do golenia.

Przeszła pod jego pachą.

- Nie, głuptasie. Tutaj. - Znów go pocałowała, biorąc jego górną wargę między swoje. - Popatrz.

I samym końcem paznokcia nakreśliła pod jego nosem kształt przypominający podkowę.

- Nawet twoja blizna jest piękna. Skąd się wzięła? Pan Valdez wpatrywał się w lustro.

- Nie mam blizny.

- Malutką.

- Nieprawda.

- Chano, masz. Trudno ją zauważyć. Nie musisz być tak próżny.

- Mylisz się.

- Chano!

- Wcale nie. O czym ty mówisz?

- Jak sobie życzysz - powiedziała tym razem chłodno.

- Nie mam.

- Posłuchaj, cały świat wie, że L.H. Valdes ma bliznę na wardze.

- Nie mam.

- Jest na wszystkich twoich zdjęciach. Na tysiącach książek... milionach... na całym świecie.

- Dlaczego tak mówisz? To nieprawda.
- Jasne.
- Nie mam blizny. Pamiętałbym. Wymyśliłbym jakąś historię, atak piranii, zazdrosnego męża, ratowanie autobusu sierot przed jaguarem.
- Oczywiście.
- Mówię ci.
- Chano, idę się ubrać.

Ledwie ją słyszał. Kiedy Caterina szukała swojej bielizny, przesuwała krzesło, zaglądała pod łóżko, pan Valdes wciąż przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Kiedy naciągała džinsy, macał wargę sztywnym palcem. Gdy siedziała na skotłowanym łóżku i wiązała te swoje śmieszne płócienne buty, on wycierał z lustra chmurę pary, żeby znów się sobie przyjrzeć.

Zawołała do niego od drzwi.

- Wychodzę.

Nic nie odpowiedział.

- Słyszysz mnie? - Zaczekała. - Zadzwoń później.
- Tak - odparł. - Oczywiście.
- Odezdziesz się do mnie? Tak?
- Jasne. Przecież powiedziałem.

Stała w tym malutkim przedsionku - sama.

- Może zobaczymy się na uniwersytecie.

Odgłos zatraskiwanych drzwi sprawił, że pan Valdez podskoczył w łazience. Przeszedł nago przez puste mieszkanie i z półki w gabinecie zdjął Morderstwa przy moście San Miguel. Odchylił skrzydełko tylnej okładki i przyjrzał się swojemu zdjęciu. Nic nie widział.

To był on - jego młodsze wcielenie - ale bez blizny. Pan Valdez zabrał książkę z powrotem do łazienki. Uniósł ją do lustra, jego twarz obok jego twarzy. Wydawały się takie same. Żadnej szramy. Wrócił do gabinetu. Opróżnił półkę i sprawdził po kolei wszystkie książki, przyglądając się fotografiom w każdej z nich, unosząc je do lustra. Nieco się różniły, dzielił je mniej więcej rok, ale były podobne. Na żadnej nie dostrzegł śladu.

Zostawił tomy na podłodze w łazience i podszedł do telefonu. Dzwonił bardzo długo, zanim odebrano słuchawkę po drugiej stronie. Wtedy pan Valdez zapytał:

- Mamo, czy mam bliznę na wardze?

Masz rzadki dar znajdowania użytecznych drobinek szczęścia.

- Owszem, to prawda - odparła Caterina. - Ale wiem, jak to działa. Ty mówisz mi coś nudnego, ale miłego, coś, czemu nikt nie mógłby się sprzeciwić, a ja mam powiedzieć, jak bardzo to było wspaniałe i przenikliwe.

- Sza - syknęła Erica. - Sceptycy i niedowiarki blokują kanały swoimi negatywnymi wibracjami. Nie potrafię pracować, jeśli otacza mnie negatywna energia.

Caterina pochyliła się nad stołem i wpatrzyła się w swoją własną wyciągniętą dłoń.

- Widzisz, to tylko zwiększa moje wątpliwości. Mimo że nie do końca współgra z naukową metodologią. Dwa plus dwa zawsze daje cztery, nawet jeśli wykonujesz działanie przed widownią niedowiarków. Powiedz mi coś jeszcze.

Spojrzała w dół i zobaczyła linie oraz zagłębienia bladej skóry dłoni, co przypomniało jej tamtą bryłkę ziemi na parapecie w domu, która wyschła i zniknęła w chmurze kurzu. Milion małych brązowych drobin, wszystko, co pozostało ze zniszczonej góry, i już nie wiadomo, czym były wcześniej, na tyle lekkie, że porwałby je wiatr, tak miękkie, że rozpułyby się w deszczu, ślady dłoni jej ojca zniknęły.

- W twoim życiu pojawił się nowy mężczyzna.

- Cóż, to wiemy obie.

Erica trzymała jej dłoń za czubki palców, rozwijając ją, otwierając na stole jak okaz do preparowania. Jej skóra była blada, biała i miękka, jego zaś ciemna, zniszczona i z odciskami na stawach, w miejscach, gdzie ocierały się lejce i trzonek siekiery. Jakże delikatnie ją trzymał.

- Już widzę, że oddałaś temu mężczyźnie o wiele więcej, niż na to zasłużył.

Na stole stał kieliszek z winem, odbijał się w nim płomień świecy. Wyciągnęła wolną rękę i pociągnęła długi łyk.

- Czy to właśnie widzisz?

- Wszystko jest w twojej dłoni.

- Popatrz na drugą.

- To działa tylko z lewą. Zawsze z lewą.

- Czyli dostrzegasz to wszystko?

- Jak linie mogą kłamać? Caterina osuszyła kieliszek z winem.

- Nie spodziewasz się chyba, że na to odpowiem.

- Oczywiście, że tak. Jeśli mi nie wyjaśnisz, jak mam wiedzieć, czym się zajmowałaś?

- Ale to nie twoja sprawa.

- Jak możesz tak mówić? Moja najlepsza przyjaciółka znika w zamku Sinobrodego i powraca żywa... to plotki najwyższej jakości i mam prawo je poznać.

- To sprawa prywatna.

Caterina uśmiechała się. Nie była obrażona. Nie zatrzasnęła do końca drzwi. Ale brzmiała stanowczo.

- Co takiego? Czy ja ci wszystkiego nie mówię?

- I owszem, jakbyś miała cokolwiek do opowiadania.

- Dobra. Żyję jak mniszka. Nie o to chodzi. Ale jeśli mi nie powiesz...

- To co?

- W takim razie będę musiała wszystko wymyślić.

- Proszę bardzo.

- Moje będą bardziej pikantne.

- Wątpię.

Erica udała przerażenie. Uniosła dłoń do otwartych ust.

- Tylko siebie posłuchaj. Brak mi słów. - A kiedy dziewczyna milczała, dodała: - Naprawdę nie masz zamiaru mi się zwierzyć, prawda?

Caterina roześmiała się i dołała sobie wina.

Pan Valdes, prześlizgujący się, niemal bezgłośnie swoim zielonym samochodem między białymi ogrodzeniami w drodze na boisko do polo, daleko, na obrzeżach miasta, byłby uradowany.

L.H. Valdes zrobił karierę dzięki reklamie szeptanej. Zdyszani profesorowie w dusznych aulach opowiadający o rzeczach, które zgodnie z modą powinni wychwalać i których zrozumienie udawać, studenci w zapuszczonych mieszkaniach, całymi nocami rozmawiający o książkach, jakich nigdy, przenigdy nie napiszą, i oczywiście kobiety. Salony, kawiarnie i buduary, gdzie dzieła L.H. Valdesa omawiano z niemyim uwielbieniem daleko wykraczającym poza wszystko w literackich salonach stolicy.

- Między nami, w absolutnym zaufaniu.

- Moja droga, dałabym się posiekać.

I z każdym szeptem, z kolejną dzieloną tajemnicą jego reputacja rosła i stawał się bardziej pożądanym. Był wymarzony, jak ta najnowsza, najmodniejsza torebka, niczym te niezbędne buty. Istniały kobiety, które nie mogły chodzić z wysoko uniesioną głową pośród socjety, o ile nie potrafiły powiedzieć, że spędziły noc, dwie albo cały tydzień z L.H. Valdezem. Uważałyby swoje życie za zmarnowane, gdyby nie mogły wyłkać swojego rozczarowania kilku zazdrosnym przyjaciółkom. Oczywiście, że to wiedział. Mówiły o tym otwarcie, wręcz bezczelnie.

- Powiedz, czy nie było lepiej niż z Letitią? - pytała ta po Letitii.

- Wiem, że nie robiłaś tego z Estellą. Nie pozwoliłaby ci. Wyznała mi - mówiła następna.

Szepty. Rozmawiały o nim, jak mogłyby gawędzić o kucu do polo, porównując, oceniając jak konia, niczym te rozmowy, które on sam prowadził w komforcie ogrodu madame Ottavio. Wszystko to było oczywiście bardzo dyskretne, ukryte w tajemnym świecie kobiet, z dala od niespokojnych mężów, ale pan Valdez miał tego dosyć. Przechodził od jednej do drugiej albo go sobie przekazywały. Nie potrafił zdecydować i wcale się tym nie przejmował. Ale zaczęła go obchodzić Caterina i bardzo interesowało go to, co mówiła.

Kiedy skręcał między kamiennymi kolumnami, wjeżdżając na szeroki, wijący się podjazd klubu polo, daleko od niego, w centrum miasta, Caterina mówiła: „To sprawa prywatna”.

Promień słońca wpadł przez okno i otoczył ją, gdy stała w kuchni, już odrobinę pijana, choć było jeszcze wcześniej, otoczona jarmarcznymi kwiatami, które zaczynały więdnąć, i lekko rybią wonią wody stojącej zbyt długo w blaszanych wiadrach.

- To sprawa prywatna.

Słońce omywało jej włosy i całowało niemożliwe, ekstrawaganckie ciało, grube spłowiałe dzinsy, dziecinne skarpetki. Stała jak święta figura, Madonna z Kuchni, z kieliszkiem wina w ręku, wciąż rozgrzana z łoża kochanka, ale święta istota, rozumiejąca świętość innych istot.

Caterina nie zasługiwała na aureolę i z pewnością nie była pruderyjna. Kiedy pan Valdes zażądał „wszystkiego”, dała to. Miała w sobie pasującą do wiejskiej dziewczyny swobodną, rzeczową aprobatę dla płynącej z tego mechanicznej przyjemności. Przeraziła go swoim prostym, bezpośrednim „A nie wolałby pan...”. Ale rozumiała, że jakimś sposobem to było inne i sakramentalne.

Księża nazwaliby to „widzialnym znakiem niewidzialnej łaski”, ale Caterina nigdy tak nie mówiła.

„To sprawa prywatna”.

A kiedy wyrzekła te słowa, pan Valdes zdjął jedną dłoń z białej kierownicy swojego ślicznego zielonego auta, spojrzął w lusterko i delikatnie musnął wargę.

Przed mieszkaniem, w cieniach na dnie kanionu, gdzie psy leżały, dysząc, gdzie wczorajsze gazety przychodziły umrzeć i gdzie stary mężczyzna leżał na plecach na chodniku, jego spodnie plamił mocz, a brązowa butelka wysunęła się z palców i poturlała się w stronę rynsztoka, dźwięcząc melodyjnie, tam właśnie między dwoma pojemnikami na śmieci parkował samochód.

Był to taki samochód, jakiego nikomu nie chciałoby się kraść. Zakurzony, z wypłowiałymi kołami w szarawym odcieniu i z niewielkimi pęknięciami po bokach. Pozostał tylko jeden kołpak, a plastikowa kierownica tak się przetała, że wystawała z niej sfatygowana gąbka. Prawdziwe niewidzialne auto biedaka, ale z dwiema wielkimi antenami wystającymi z dachu i ogromnym silnikiem serwisowanym dwa razy w tygodniu w dobrze wyposażonym warsztacie na tyłach Centralnych Koszar Policji. W pobliżu drzwi kierowcy, gdzie mechanicy naprawili dziurę po kuli, znajdowała się nierówna plama szarej plastikowej masy, było też wgłębienie w miejscu, gdzie commandante Camillo pięścią wbił głowę napastnika w maskę. Tego nikomu nie chciało się wyklepywać.

Commandante Camillo siedział w tym samochodzie między zwiniętymi i poczerniałymi skórkami bananów, zgniecionymi puszkami i kulkami papieru pergaminowego poplamionego sosem chili. Popielniczka była pełna i ostatnie dwa niedopałki rzucił na podłogę, ponieważ wyszkolenie nie pozwalało mu pozostawić śladów obserwacji w stercie na chodniku. Przez cały czas, który Caterina spędziła z panem Valdezem, tkwił w aucie, czekając, myśląc, tworząc w głowie siatkę połączeń. Przez bite dwa dni ta dziewczyna, ten dzieciak, w tym domu, z Valdezem. Dio, co za marnotrawstwo. Ile mógłby ją nauczyć, dać jej posmakować prawdziwego mężczyzny. Kiedy wyszła, zaczekał chwilę i włączył się do ruchu bez patrzenia, bez dawania sygnałów. Jechał powoli za nią, przyspieszył, by ją minąć, zaczekał, patrzył w lusterko, jak się zbliża, obserwował, jak odchodzi, w odbiciu w witrynie sklepu meblowego po drugiej stronie ulicy, aż dotarła do domu. Śledził ją, jak idzie. To było niewiarygodne.

Kiedy Caterina otworzyła drzwi prowadzące na klatkę schodową, commandante Camillo westchnął. Czuł zmęczenie. Jego garnitur zrobił się wilgotny od potu. Wyczuwał własny smród.

Na siedzeniu obok niego leżała sterta papierów w zakurzonej zielonej teczce, a na nich dziwny dziennik chorego smutnego chłopca.

Podniósł go i unióś do oczu, nie otwierając.

- Pięć razy to przeczytałem i nie rozumiem ani słowa. Kim on jest dla ciebie, Valdez? A dziewczyna, mała panna Kuszące Cycki? Co miałyby do opowiedzenia?

Commandante grubym palcem podniósł okładkę teczki. Wnętrze wyglądało dokładnie tak samo jak poprzednim razem. Na górze znajdowały się dwie kartki czystego białego papieru, nowe, starannie wypisane na maszynie. Były datowane na dzień zamachu, a pod nimi kolejne osiemdziesiąt trzy strony, kruche, delikatne i żółte, na nich zaś słowa w niepewnych liniach, niektóre litery nie na miejscu, granatowe i fioletowe, miękkie, nierówne i rozmyte, dzieło klawiszy starej maszyny do pisania uderzających w zużytą kalkę. Liczyły prawie czterdzieści lat.

Commandante Camillo znów westchnął.

- Moja piękna Sophia Antonia - powiedział. - To wszystko, co na siebie sprowadziłaś.

Co dziwne, bohaterowie tej opowieści znajdowali się w tej chwili po przeciwnej stronie miasta niż ten, kto o nich myślał. Caterina, stojąca w deszczu słonecznych promieni, myślała o panu Valdezie, sunącym powoli i dostojnie swoim wspaniałym zielonym samochodem między padokami klubu polo.

Skręcił gładko na parking, gdzie długi zakurzony podjazd ustępował delikatnym żółtym kamykom wylatującym mu spod kół. Zwolnił i zatrzymał się. Parking był prawie pusty i pan Valdez starannie wybrał miejsce, ustawiając swój śliczny, zielony jak syrena samochód obok starego szarego volvo z uszkodzonym tylnym światłem. Ulokował swoje auto tak, jak jubiler umieszcza diament w srebrnej oprawie - nie żeby zmatowić metal, lecz by klejnot świecił jeszcze mocniejszym blaskiem. Jego samochód promieniał.

Przed nim, za kolejnym białym płotem i szerokim trawnikiem, gładkim i równym niczym perski dywan, klub polo emanował chłodną urodą. Pan Valdez zignorował go, przerzucił marynarkę przez ramię i ruszył w przeciwną stronę, do stajni. Lubił kuce o miękkich chrapach i sztywnych nogach, ciepły, czysty aromat ich ciała, oddechów i mierzwy.

Nim jednak dotarł do boksów, zatrzymał się przed otwartymi dwuskrzydłowymi drzwiami.

- Witaj, De Silva - powiedział.

- O. Dzień dobry.

De Silva siedział na siodle przerzuconym przez drewnianego kozła. Miał na sobie ten sam garnitur, w którym codziennie chodził na uniwersytet, a wytarte zamszowe buty wsunął w strzemiona.

- Nie wydajesz się zaskoczony na mój widok.

- Zauważyłem twój samochód - odparł pan Valdez.

- Skąd wiedziałeś, że to mój?

- Znam się na autach. Twoje jest stare.

- Na pewno nie tak jak twoje.

- Owszem, ale mój samochód to antyk. Twój to po prostu grat.

De Silva nie wiedział, co odpowiedzieć. Kilka razy zamachnął się od niechcienia trzymanym w prawej ręce malletem, po czym stwierdził:

- Musisz się zastanawiać, co robię.

- Widzę tylko, że nie idzie ci zbyt dobrze.

- Ćwiczę. Uczę się.

- Tak. Spróbuj lepiej wykańczać uderzenie. Masz.

Pan Valdez wziął piłkę ze sterty przy ścianie i przeturlał ją po grubej warstwie trocin w stronę wyimaginowanego konia De Silvy. Tamten nie trafił.

- Pewnie mi nie uwierzysz, jeśli powiem ci, że radziłem sobie całkiem nieźle, dopóki się nie pojawiłeś.

- Zawsze tak jest, a mimo wszelkiej techniki, jeśli dwa albo trzy kuce się ścisną, a piłka znajdzie się między ich nogami, kończy się na popychaniu.

- Nie sądzę, bym kiedykolwiek był wystarczająco dobry, żeby zagrać.

- Nie mów tak. Mogę ci załatwić ćwiczenia. Zbierzemy paru chłopaków, jeśli cię to interesuje... a na to wygląda. Skąd ten pomysł?

De Silva podał mu mallet i zsunął się z siodła.

- Nie wiem. Pewnie kryzys wieku średniego. Polo nie jest czymś, w co graliśmy w marynarce.

- Trudno trzymać kuce na łodziach.

- Okrętach. Łodzie są podwodne.

Razem wyszli z szopy na słońce, a kiedy De Silva włożył okulary przeciwsłoneczne, powiedział:

- Kiedy cię zobaczyłem, straciłem otuchę. Dziękuję, że nie stroiłeś sobie ze mnie żartów. Wszystko tak świetnie ci wychodzi i nie znosisz głupców. Byłem pewien, że się będziesz ze mnie śmiał. Przepraszam, że źle cię oceniłem.

- Daj spokój. Gdybym zobaczył cię wczoraj albo przedwczoraj, szydziłbym z ciebie bez litości. - Ale?

- Ale rzeczy się zmieniają.

- Jakie?

- Rzeczy. Ludzie.

Niemal dotarli na parking, kiedy pan Valdez się odezwał:

- Wiesz, ta blizna na mojej wardze...

I absolutnie go nie zaskoczyło, kiedy De Silva odpowiedział:

- Co z nią?

- Czy ją tak naprawdę widać?

- Przeszkadza ci ona? Nigdy o niej nie myślałem. Miałeś ją, od kiedy cię znam. Zawsze była częścią wyposażenia. Nie przejmowałbym się tym.

Po chwili milczenia De Silva dodał:

- Chano, wszystko w porządku?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Cóż, zapomniałeś, że masz być wobec mnie okrutny. Przejmujesz się jakąś starą blizną. Mówisz mi, że rzeczy się zmieniają. To nie ta dziewczyna, prawda?

- Niby jaka?

- Daj spokój. Właśnie ta. Dzieciak z kursu matematyki Cochrane'a. Panna z Feniksa. No wiesz - uniósł dłonie przed torse - ta.

- Ach. Nie, tym się nie przejmuj - skłamał pan Valdez.

- A jak ci idzie książka?

Pan Valdez bez chwili zastanowienia powiedział prawdę.

- To gówno. Beznadzieja. Nie potrafię wymyślić, o czym pisać. Nie mam historii.

- Jak to?

- Nie wiem, co powinno się zdarzyć.

- Daj spokój. Wszędzie są historie. Zajrzyj do gazety. Jest ten ksiądz, któremu nie pozwolili odprawić w niedzielę mszy, a biskup przysłał wiadomość, że znalazł się w zakładzie dla obłąkanych po „skardze”. Jaka jest jego historia? I stary burmistrz, co to uratował

trzech swoich ludzi z płonącej ciężarówki. Jeden z nich miał syna, który zabił syna burmistrza w wypadku samochodowym.

- Mógłbyś to lepiej wyjaśnić.

- Żaden ze mnie ceniony autor. Posłuchaj, siedziałem na tym koniu i zobaczyłem motyla. Co on ma do opowiadania? Skąd przybył, co widział, co myśli, jakie są motyle pieśni, czy owady kochają albo oplakują?

- Nie jestem poetą... i ty też nie.

- Próbuję pomóc.

- Tak, wiem. Dzięki. - I wtedy wszystko się skończyło, i pan Valdez znów zaczął kłamać. - Po prostu, mam tego bohatera, sporą część książki, dobre wprowadzenie, i on wyrusza w tę podróż, dociera do celu i...

- I nie wiesz, co będzie dalej. - De Silva otworzył drzwi samochodu i wsiadł do środka. - Rozluźnij się. To samo się zjawi. Zaszedłeś tak daleko.

- Tak, masz rację.

De Silva zatrzasnął drzwi z głośnym hukiem, świadczącym, że samochód został wyprodukowany, by wytrzymać zderzenie z łosiem.

- Wybrniesz z tego. A poza tym, jak się miewa twoja matka?

- Właśnie zamierzam się z nią spotkać w klubie.

- Przekaż jej koniecznie najserdeczniejsze pozdrowienia ode mnie.

Chwycił kierownicę i wycofał się.

Podczas gdy Caterina stała w kuchni i myślała o panu Valdezie, commandante Camillo siedział w samochodzie i wspominał panią Sophię Antonię de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez, która również przebywała w klubie polo, usadowiona przy ulubionym stoliku przy oknie, i próbowała nie mieć leżącej przed nią ślicznej serwetki. Zastanawiała się, dlaczego jej jedyny syn zmuszał ją do wzięcia taksówki i pojechania tak daleko za miasto, chociaż mógł ją równie dobrze zabrać po drodze, i bała się nadchodzącego spotkania.

Była urażona, zdenerwowana i - ponieważ pani Valdez zawsze dbała o skrupulatną sprawiedliwość w tych kwestiach i nigdy nie oceniała innych bardziej surowo niż samej siebie, właściwie, jak czuła się zmuszona przyznać, zazwyczaj działało się odwrotnie - czuła się absolutnie usprawiedliwiona.

A podczas gdy commandante Camillo siedział w samochodzie, myśląc o pani Sophii Antonii de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez, ona siedziała przy swoim stoliku i rozmyślała o nim. Przez prawie czterdzieści lat udawało jej się tego unikać, lecz teraz, kiedy Chano tak bezrozumnie przekazał jego pozdrowienia, znów zdawał się ją dręczyć.

Rzeczy, które pani Valdez bardzo starannie i celowo wykarczowała ze wspomnień, teraz nagle powróciły niczym plaga ciemnych, trujących kwiatów. Camillo krył się w cieniach domu jej ojca, myjąc olbrzymie czarne auto admirała, zamiatając liście z podjazdu, który prowadził łukiem do trzech marmurowych schodków przed frontowym wejściem, całował ją, przyciskał usta do jej ust i kładł na niej dłonie dokładnie tak, jak pragnęła, lecz coś się zmieniło. Stał się dorosły. Camillo ze wspomnień był tym, którego widziała każdego dnia w gazecie i w telewizji, potężny i przerażający, otoczony przez silnych młodych mężczyzn o tępych, brutalnych twarzach, podobnie jak on kiedyś, przed wielu laty, stał obok commandante wydziału śledczego, jak tkwił przed jej domem i obserwował. A teraz ta cała sprawa z blizną.

Pani Valdez odłożyła serwetkę i zmusiła się do uśmiechu, kiedy zobaczyła Chano. Nadstawiła policzek do pocałunku.

- Witaj, mamó.
- Kochanie - odparła.
- Zamówiłaś coś?
- Nie. Czekałam.

Odsunął krzesło i usiadł, a później, po dłuższej chwili, kiedy oboje tylko patrzyli na siebie nawzajem i przyglądali się sztuccom, powiedział:

- Tak czy inaczej, zadałem ci pytanie. Na te słowa pani Valdez się najeżyła.

- Jesteś bardzo szorstki.

- Przepraszam.

- Czasem nie umiesz się zachować. Oczywiście, winię za to siebie.

- Mamo, proszę.

Pani Valdez westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Co chcesz wiedzieć?

- Mam bliznę na wardze. Prawda? A jednak przez całe moje życie nigdy, przenigdy o niej nie rozmawialiśmy.

Kelner przyszedł, zamówili kawę i ciastka, a później siedzieli sztywno wyprostowani, milcząc, kiedy on kręcił się bez sensu wokół stolika. Gdy w końcu się oddalił, pan Valdes bardzo cicho spytał:

- Dlaczego?

- Dlaczego? Dlaczego nagle tak się tym zainteresowałaś?

- Nie wiem. Wcześniej jej nie zauważałem.

- Słucham? - Jej głos zabrzmiał ostro, jakby ktoś przeciągnął widelcem po porcelanowym talerzu, i ludzie po drugiej stronie sali podnieśli wzrok.

Pani Valdes wpatrzyła się w serwetkę.

- Nie zliczę, jak często urocze poranne spotkanie przy kawie zostało zrujnowane przez narzekania innych ludzi. Ileż to już razy nakładałam rękawiczki, by pójść na jakąś małą wizytę, w domu przyjaciółki czy miłej kawiarni, spodziewając się rozmów, może nawet malutkiej perełki zjadliwej plotki, a natrafiałam na niekończący się strumień żalości. „Moje stopy, kochana. Moje haluksy, kochana. Moje żyły, kochana”. - Nie zamierzam omawiać swoich dolegliwości z przyjaciółkami tak samo, tak samo... - przez chwilę szukała czegoś odpowiednio cudacznego - ...jak nie będę robić sobie pedikiuru przy stole. Oczywiście, jako dobra przyjaciółka i z uprzejmości słucham ze współczuciem, wiesz, że zawsze staram się stawiać innych na pierwszym miejscu, ale to nudne... bardzo nudne... i irytujące, i przede wszystkim niesprawiedliwe. Czy może istnieć coś bardziej nużącego od dolegliwości innych ludzi?

A spośród tych wszystkich uskarżających się kobiet żadna, ani jedna, nie wysłuchałaby mnie, gdybym chciała zwierzyć się z mojego wielkiego problemu, straszliwej lodowatej luki w moim życiu, gdzie powinny być wnuczeta, a gdybym umarła, nie dopilnowawszy, by nazwisko mojego męża znalazło spadkobiercę, która z nich podzieliłaby mój wstyd? To zbyt straszne, by o tym mówić, a teraz ty, Chano, postanowiłaś się przyłączyć tym swoim dziwnym telefonem i swoim „Mamo, czy mam bliznę na wardze?”.

- Ale tak jest.

- Owszem. - Pani Valdes w końcu uniosła wzrok znad serwetki. - Masz bliznę. I co z tego? Czy ograniczyła cię w jakikolwiek sposób? Czy zniszczyła ci życie? Czy kobiety uważają cię za mniej atrakcyjnego? Czy zaszkoziła twojej karierze? Czy w szkole cię dręczyli? Czy ktokolwiek ją kiedykolwiek skomentował?

- Nie, mamo. I o to chodzi. Nikt nigdy o niej nie wspomniał. Nawet ty. Dzieci są okrutne, czepiają się każdej malutkiej odmienności jak stado psów, ale nikt nigdy o niej nie napomknął. Ani razu. Żaden z kuzynów nie zająknął się ani słowem, żaden z wujów, żadna z ciotek. Nie sądzisz, że to dziwne?

- Nie. Ludzie są milsi, niż ci się wydaje. A ty przecież też nigdy o niej nie wspomniałaś.

- Mamo, jak mogłem? Nie wiedziałem.

- Przecież to niemożliwe.

- O to cię właśnie pytam. Spojrzała na niego bez zrozumienia.

- Przykro mi. Zmarnowałem twój czas. - A kiedy nadal nic nie mówiła, dodał: - Nie wiem, kim jestem, mamo. Nie znam siebie. Nigdy o niczym nie rozmawiamy. Mój ojciec. Kim był tato? Co się z nim stało? Gdzie się udał? O niczym nie mam pojęcia. Nie rozpoznaję nawet własnej twarzy. A ty?

Pani Valdez przez chwilę bawiła się widelczykiem do ciasta, po czym stwierdziła:

- I jeszcze musiałam wziąć taksówkę, żeby tu przyjechać.

- I z powrotem też możesz - rzucił.

Pan Valdez wstał, by odejść, lecz położyła swoją chudą dłoń o cienkiej skórze na jego ręce.

- Ciężko mi sobie przypomnieć.

- Ja w ogóle nie pamiętam - odparł.

Kiedy przyszedł kelner, niosąc tacę z kawą i ciastkami, pan Valdez już opuszczał parking w swoim ślicznym zielonym samochodzie.

Pan Valdes wysiadł ze swojego ślicznego auta w podziemiach budynku. Tam pozostało, jak śpiąca pantera, pachnąc skórą oraz rozgrzanym olejem, i stygnąc, tykało. Spojrzał na nie z miłością, odwrócił się i wspiął po schodach do holu.

Po obu stronach pomieszczenia stały szerokie sofy z obiciem z czerwonej skóry. Caterina siedziała na jednej z nich, tej za drzwiami prowadzącymi do piwnicy, wyciągnęła przed siebie nogi, a obok postawiła dużą płócienną torbę. Pan Valdes nawet jej nie zauważył. Wyszedł zza drzwi oznakowanych jako „Schody do piwnicy” i skierował się prosto do ściany wypełnionej przegródkami, z których każda była zamknięta mosiężną klapką na zawiasach i oznaczona czarnymi cyframi.

Pan Valdes otworzył swoją skrzynkę i zajrzał do środka, po czym dwoma palcami, jak magik, jak kieszonkowiec, jak mężczyzna z pęsetą podnoszący połamane zęby z miejskiego chodnika, wyjął pocztówkę.

Niczym nie różniła się od dziesiątek innych pocztówek, które otrzymał wcześniej. W przeszłości znajdowały się na nich słowa: „Jutro o 14” albo „We wtorek po południu”. Ta jednak była inna. Mówiła: „Wiem, jak straszliwy błąd popełniłam. Bez ciebie umieram. Tak mi przykro. Pozwól mi pokazać, jak bardzo. Proszę, wybac mi. Udziel mi jutro rozgrzeszenia”. Podpisano ją „M”. Pan Valdes przeczytał wszystko w jednej chwili i porwał kartkę na konfetti.

Dopiero wtedy, kiedy podniósł wzrok znad metalowego kosza na śmieci u stóp, zauważył, że ona tam siedzi i go obserwuje.

- Witaj - odezwała się.

- Dzień dobry.

Wypowiedział tylko te słowa, choć wcześniej, z innymi kobietami, dodałby „kochanie” albo „mój aniele”, i wiedział, że dokonał tej zmiany nieświadomie. To wydawało się naturalne. W obecności tej dziewczyny nadmiarowe części jego osoby odrywały się, aż pozostawał jedynie Luciano. Uśmiechał się.

- Wyglądasz na szczęśliwego - powiedziała.

- Pewnie jestem. I zaskoczony, że cię widzę.

- Przepraszam, mam iść? - Podciągnęła stopy, jakby zbierała się do wstania. - Nie chcę cię zamęczać.

- Nie, oczywiście, że nie. Długo czekasz?

- Chwilę. Może pół godziny. Nie złościsz się na mnie?

- Nie.

- Na pewno?

- Dlaczego miałbym być zły?

- Cóż, nie rozstaliśmy się przyjaźnie. - Spuściła wzrok na swoje absurdalne spłowiełe tenisówki. - Ta cała sprawa z blizną. Przepraszam. Nie chciałam cię urazić.

- Nie czuję się urażony. Miałaś rację. To ja powinienem przeprosić.

- Głuptasie. Chcesz o tym pomówić?

- Nie. Wcale nie. - Pan Valdes czuł się oszołomiony. Jak mógł gawędzić o czymś, czego nie widział i nie rozumiał? - Niektórych rzeczy nie da się naprawić rozmową. Większości. Właściwie, im dłużej się nad tym zastanawiam, nie potrafię wymyślić choćby jednej takiej rzeczy. Kiedy będziesz w moim wieku, też to będziesz wiedziała, a jednak całkiem niedawno... wcześniej tego popołudnia... chciałem pomówić.

- Rozmowa to nie jest taki znów głupi pomysł. Może uleczyć większość spraw. Nawet wojny.

- Jedynym, co może ją zatrzymać, jest nadmiar bólu. Kiedy ludzie zaczynają mieć dość cierpienia, kończą wojnę.

- Kiedy ludzie zaczynają mieć dość cierpienia, rozmawiają - odparła.

Pan Valdes wyjął klucze z kieszeni.

- Chcesz pójść na górę?

- Znowu? - Tak.

- Mam to zrobić?

- Tak. A chcesz? Znowu.

- Tak.

Wziął ją za rękę i w windzie pocałował ją właśnie tam, w dłoń.

Caterina stwierdziła:

- Jesteś szczęściarzem, że masz takie ciche, tajemne miejsce.

- Chodzi ci o tę windę?

- Nie, o twoje śliczne mieszkanie, ale tak, nawet twoją windę. Jakąś przestrzeń, w której nikt nie patrzy i nie słucha. Gdzie możesz być sam albo z kimś innym. I się całować.

Winda się zatrzymała.

- Ty nie masz takiego miejsca? - spytał.

- Nigdy nie miałam. Przenigdy. Mieszkam w mieszkaniu studenckim, a przedtem wszyscy żyliśmy w chacie, w jednej izbie.

- Twoja matka i ojciec też?

- Była zasłona.

- Co takiego? - Pan Valdes wydawał się zadziwiony losem tej dziewczyny, że miała tak mało, że tak bardzo pragnął jej w swoim życiu.

- Tak, zasłona. Zaciągaliśmy ją na noc, żeby podzielić pokój. Ale byliśmy bardzo mali. Tak czy inaczej, to nie najgorsza rzecz na świecie myśleć, że matka i ojciec uprawiają miłość.

Uprawiać miłość. Jej ojciec i matka kochali się po drugiej stronie zasłony, a jednak spytała go, czy ma ochotę na seks.

- Masz rację. To nie najgorsze. - Otworzył drzwi. - Czy w twoim domu wciąż jest jedna izba?

- Nie wiem. Nie sędzę. Pappi umarł. Myślę, że mój brat dobudował drugą na zewnątrz domu. Od dawna tam nie wracałam. - Nadstawiła twarz do kolejnego pocałunku, ale on zdawał się tego nie zauważać.

- Jak tu trafiłaś z tamtego miejsca, ze swojego jednoizbowego domku? Jak się tu znalazłaś? Doktor Cochrane mówi, że należysz do jego najlepszych studentek.

- Miałam szczęście - powiedziała. - A ludzie byli dobrzy i pracuję. Ciężko haruję. Umiem to robić.

- Tak - powiedział.

Położył palce na guzikach jej bluzki, kciuk i pierwsze dwa palce, gotów ścisnąć je razem, popchnąć, przekręcić i otworzyć, i odkrył w tym samym miejscu jej palce, ocierające się o jego, ale teraz pomagała mu, nie próbowała go odepchnąć.

Tym razem pragnęła być naga razem z nim. Chciała pozbyć się ubrania.

- Chano. - To słowo wciąż brzmiało dziwnie w jej ustach. - Chano, nie robię takich rzeczy. Nie.

Przerażony cofnął dłoń.

- Ale nie byłem pierwszy.

Nagle ta myśl go przeraziła. Wcześniej - w czasach przed Cateriną - taka perspektywa napełniłaby go dreszczem, dodała smaczku jego podbojowi, teraz jednak sprawiła, że czuł się jak złodziej. A ponieważ to, co powiedział, zabrzmiało jak oskarżenie, dodał:

- Prawda?

Rzuciła się na niego. Objęła go ramionami. Potknęła się o swoją głupią płócienną torbę, by być blisko niego, i przycisnęła twarz do jego koszuli.

- Nie - powiedziała. - Ale czuję się tak, jakbyś był. Wcześniej miałam do czynienia z chłopcami. Ty jesteś mężczyzną. Jakieś tam macanki w ciemnościach, ale ty różnisz się od nich. Przepraszam. Zachowuję się głupio. Robię z tego większą aferę, niż na to zasługuje, a w końcu to ja się na ciebie rzuciłam. A później, kiedy do tego doszło, było tak dobrze, a potem, kiedy zostawiłam cię tego ranka, nie sądziłam, że jeszcze do mnie zadzwonisz, i pogodziłam się z tym. Powiedziałam sobie, że mogę zachowywać się jak dorosła kobieta, a już po południu czekałam pod twoimi drzwiami jak zagubiony szczeniaczek. To nie twoja wina. Przepraszam.

Cofnęła się i znów zaczęła rozpinąć guziki bluzki, pociągając nosem i mówiąc:

- Chodź, chodź!

Teraz, kiedy położył na niej dłonie, zrobił to, by ją powstrzymać i uspokoić. Nie patrzyła na niego, więc wziął jej twarz w ręce i pocałował ją, całował jej włosy i czoło, jej oczy, jej nos, wargi, brodę, całował ją i trzymał w ramionach, aż oboje się rozplakali. To był drugi raz w ciągu ostatnich trzydziestu siedmiu lat, kiedy pan Valdes szlochał.

Resztę popołudnia spędzili razem. Siedzieli w kuchni, pijąc kawę i rozmawiając. Opowiedziała mu o swoim ojcu i życiu na gospodarce, o wiosce, w której mieszkała. On mówił jej o swoim dziadku admirale. Ona wyjaśniła mu, dlaczego chodzi z rękami założonymi na piersi i spuszczonego wzrokiem jak mniszka, unikając męskich spojrzeń, a czasami, kiedy stawało się to zbyt trudne do zniesienia, wpatrywała się w nich z wściekłością i unosiła wysoko brodę.

Kiedy zaczęło się ściemniać, przenieśli się do salonu. Pan Valdes usiadł na wielkiej skórzanej kanapie z kwadratowymi poduszkami oraz nogami z wygiętych chromowanych rurek i spoglądał wzdłuż alei Cristóbal, która wznosiła się i zwężała w kształcie litery V, niknąc w mroku. Caterina trzymała się blisko jego biurka, muskając je palcami. Pan Valdes przypomniał sobie, jakie to uczucie.

- Wiesz, nie trzymam w nim żadnych pieniędzy.

- Wiem - odparła.

Leżał tam jego notatnik. Przez chwilę obawiał się, że otworzy go i odkryje, że nie ma nic do odkrycia, ale wtedy przypomniał sobie, że ona już wie. Kupił ją za tę pojedynczą linijkę, te kilka słów, które były wszystkim, co miał.

- Odejdź stamtąd - zaproponował. - Usiądź tutaj, obok mnie.

Ona jednak go zignorowała.

- Bądź cicho, kiedy oddaję się bluźnierczemu uwielbieniu - powiedziała, odwróciła się do niego plecami i uniosła ramiona nad głową, łącząc je nadgarstkami. Splotła palce, a całym jej ciałem wstrząsnęło oszalamiające, nieprzyzwoite drżenie, gdy oddawała pokłon biurku. Zakończyła go, całując je niczym biskup klękający, by ucałować ołtarz.

- To świętość - powiedziała.

- To biurko.

- To miejsce, gdzie piszesz.

- Nie ma sensu zalewać mnie komplementami. Już i tak w testamencie przekazałem je muzeum.

- Zawsze możesz zmienić zapis. I zostawić je mnie.

- Już chcesz mojej śmierci! Znowu rzuciła się na niego.

- Nie, nie! Chano, nie! Żyj wiecznie. Żyj. Przewróciła go jak szczeniak i razem padli na kanapę.

Do niczego nie doszło. Nie było całowania. Coś w tym przeszkadzało. Leżeli razem, obserwując zapadającą ciemność i samochody jadące aleją jak płonące sznury klejnotów, mrugające i migoczące po drugiej stronie ogromnego okna. Pan Valdes zastanawiał się, czy nie przysnął. Wstał, poszedł do kuchni, zrobił omlety, wrócił i zjedli je razem. Ona zdjęła koszarne buty, podciągnęła nogi i usiadła na sofie obok niego. Oglądali telewizję. Jej tenisówki śmierdziały. Poszli do łóżka. Zapytała, czy może skorzystać z jego szczoteczki do zębów. Rozebrali się po ciemku. Położyli się razem, wtulili się w siebie, dotykając się całą długością ciał i spali. Nie było „znowu”. Zasnęli. Obudził się w nocy, kiedy jej włosy musnęły jego twarz, gdy wypełnił go jej nowy zapach. Wysoko nad ulicznymi latarniami przez okno wpadała słaba luna miasta, dotykała jej skóry i znowu to widział, tę migotliwą aurę piękna, otaczającą każdą krawędź jej ciała jak ochronny blask. Widział go wyraźnie, nawet w ciemnościach. Położył na niej dłoń, ledwie jej dotykając, muskając krągłości, dotykając z

niedowierzaniem. Kiedy się poruszyła, przykrył ją lekko i znów zamknął oczy.

Rano obudził go odgłos wody puszczanej w łazience. Pozostawiła ciepłe zagłębienie, kształt dziecka wygnieciony w łóżku przez jej kobiece ciało. Położył tam dłoń, szukając jej wspomnienia.

Kiedy wróciła, drepcząc bosymi stopami po płytkach, niosła plastikową teczkę.

- To było w torbie. Przyniosłam. Na wypadek, gdybym znalazła odwagę. - Jej głos wydawał się pełen napięcia, oschły i słaby. Odkasznęła. - No wiesz, piszę.

- Tak. Powiedziałaś mi.

- Owszem. - Weszła do łóżka. - Chciałam, żebyś to przeczytał, ale teraz już nie. Sama to zrobię.

Przeniosła się nad niego. Leżał na brzuchu, a ona siedziała na nim jak wielka dama jadąca na koniu przez park w niedzielny poranek. Czuł jej ciepło na plecach, miękkość ud na bokach. Pogłaskała go po włosach i pomasaowała.

- Masz ładne ramiona - powiedziała.

- Dziękuję.

- Przeczytam ci to teraz, a ty, bardzo cię proszę, nic nie mów, aż skończę.

- Buzia na kłódkę.

- Wiem, że to bzdury. Nic w porównaniu z tym, co ty mógłbyś napisać, ale chcę ci to przeczytać.

- To na pewno nie będą bzdury.

„Och, Chano - pomyślał. - Cóż z ciebie za bajarz. Jakże zmieniłeś melodię”.

- Sza. Słuchaj.

A oto, co przeczytała.

*

Dawno, dawno temu (co od zawsze jest uznanym i przyjętym sposobem rozpoczynania opowieści takich jak ta), dawno, dawno temu była sobie mała, gorąca wioska pośrodku czerwonych pól, gdzie czasem brakowało wody.

W osadzie tej mieszkało trzydzieści rodzin, w tym pewna kobieta z trójką czystych dzieci, która utrzymywała się, podejmując każdego, kto przechodził drogą, jak również wszystkich mężczyzn z wioski i

pozostałych dwóch osiedli w tej długiej dolinie, którzy postanowili ją odwiedzić. To odpowiadało pozostałym mieszkankom, bo miały kogoś, na kogo mogły patrzeć z góry, a to zawsze miłe.

Kiedy mężczyzna upija się tak, że przewraca się na środku ulicy, doczołguje się do domu, bije żonę, śpi do południa, zbyt chory, żeby wyjść i zająć się obrządkiem, kobieta czuje się lepiej, jeśli może sobie powiedzieć, że przynajmniej nie jest wioskową dziwką. Życie bywa paskudne, ale nie aż tak, co stanowi pewną pociechę.

W wąwozie na końcu wioski, gdzie mieszkała ta kobieta, trójka jej czystych dzieci spędzała całe ranki, bawiąc się w strumieniu, budując tamy i puszczając łódki z patyków, które pewnego dnia mogły dopłynąć do morza.

Później, po południu, kiedy robiło się zbyt gorąco, żeby się bawić, wchodziły do domu i uczyły się, matka zaś prała ich ubranka, prasowała je, czesała dzieciom włosy i opowiadała im, że kiedy dorosną, zostaną lekarzami i zaczną żyć jak bogacze w mieście - i tak też się stało. A wiele lat później, kiedy mieszkańcy wioski usłyszeli o tym i przypomnieli sobie tamte dzieci, wszyscy zgodzili się, że byłoby bardzo nieprzyjemnie, gdyby ktoś rozchorował się i trafił do lekarza, który spędził stanowczo zbyt mało czasu, rozważając wielkie grzechy, jakie musiały zostać popełnione, by opłacić tak wyszukaną edukację.

Gdyby to była porządna historia, taka, jakie kiedyś opowiadano, wyszlibyśmy z wąwozu i ruszylibyśmy ulicą w stronę starej studni u stóp wzgórza. Wspięlibyśmy się na wzniesienie pełną zakosów ścieżką, aż do samego pięknego starego domu na szczycie, i odnaleźlibyśmy mądrego starego hidalga, który tam mieszkał. On miałby przystojnego syna, o błyszczących oczach i silnym ramieniu, właściciela pięknego ogiera, czarnego jak nienawiść kobiety - ale pozbawionego żony. A później, po wielu westchnieniach i licznych pieśniach, znalazłby ją sobie.

Ale jak już wiecie, choć wszystko się zmienia, to nigdy na lepsze, a to nie jest taka opowieść.

Nie ma mądrego starego hidalgo i nie ma pięknego starego domu. Na szczycie wzgórza wznosi się tylko starożytny fort, zniszczony i pozbawiony dachu, ze ścianami z dziwnie ukształtowanych kamieni, wielkich głazów, którym nadano kształt przekrzywionych prostokątów o płaskim froncie i skośnie ściętych krawędziach, złączonych razem jak

zęby aligatora, by wytrzymać trzęsienia ziemi. Od czasów conquistadores nie mieszkał w nim nikt poza małpami, więc wrócimy na dół do wioski i wielkiego białego budynku na końcu ulicy przy studni.

To ładny dom, nie sądzicie? Porządna, mocna brama pomalowana na zielono i gruby mur wszędzie dookoła, wyższy od człowieka i co roku kryty nowym tynkiem dla ochrony przed deszczami. Gdyby ktoś stanął po drugiej stronie ulicy, mógłby zobaczyć szczyty trzech drzew poruszające się powoli jak zielone flagi. Wymagają podlewania, ale zapewniają dobry cień i wywołują zazdrość sąsiadów, a tylko to się liczy.

Te drzewa, pochłaniające całe wiadra wody i machające gałęziami ponad murem, przywodzą na myśl migoczący neon z napisem: „Tu mieszka bogacz”.

Właściciel domu nazywa się José Pablo Rodriguez i kiedy wieczorami staje na jego dachu, wszystkie pola, które widzi na południu, należą do niego, wszystko na północy jest jego i wszystko po obu bokach także.

Nie zawsze tak było. W czasach ojca Joségo Pablo wszędzie wokół wioski rozciągały się pola innych właścicieli, ale czasy się zmieniają. Mężczyźni umierają, a ich skrawki ziemi zostają rozparcelowane między pół tuzina synów, a niektórzy z nich chcą je sprzedać. Albo mają córki do wydania za mąż, posagi do wyszykowania i wesela do wyprawienia. Czasem mężczyźni muszą pożyczać. José Pablo zawsze chętnie udostępniał gotówkę - na procent i pod odpowiedni zastaw. Albo dochodzi do nieszczęścia. Chore dziecko. Złamana noga. Pług stojący bezczynnie. Czasem trzeba sprzedawać. José Pablo zawsze był gotów kupować.

José Pablo rozumiał, że nic nie pracuje ciężiej od pieniędzy, bo one nigdy nie śpią. Zaprzac je do pracy, a będą to robić bez przerwy. Mężczyzna nie może harować w polu przez wszystkie minuty dnia. Tego nie da się zrobić. Trzeba odpoczywać, jeść. Ale w każdej minucie dnia musi płacić czynsz. W nocy i o poranku, we śnie i na jawie. José Pablo to rozumiał. Dlatego właśnie w końcu został właścicielem wszystkich pól.

Do jego ojca wołali na ulicach jak do kogoś, kogo znali od dzieciństwa: Manolito, lecz do niego zwracali się „senor”, ponieważ był

panem, matką i ojcem całej wioski i trzymał ją w swojej dłoni, którą mógł miażdżyć lub głaskać. José Pablo Rodriguez zrodził się w niebiosach, a po ulicach szedł tak ciężkim krokiem, że nie dało się go nie zauważyć.

Tego ranka, kiedy wstał i spojrzał z dachu na pola - które należały do niego i tylko do niego - zobaczył coś dziwnego. Na południu wszystkie były puste. Na północy nikt nie pracował. Na wschodzie i zachodzie na drogach prowadzących z wioski nie dostrzegł ani jednego człowieka, co go zaniepokoiło, ponieważ lubił wylegiwać się w łóżku ze świadomością, że jego pieniądze zawsze ciężko pracują, i spodziewał się, że zobaczy to rano, kiedy wyjrzy przez okno. A później, co wzbudziło jeszcze większe obawy, zanim jeszcze wypił kawę, usłyszał odległy brzęk mosiężnego dzwonka, który wisiał przy bramie.

Przed wejściem zastał delegację, co wywołało wielkie niezadowolenie Josego Pabla - jęki, błagania i dziecinne prośby. Nie był w nastroju, ale oto stali, przy wielkiej zielonej bramie - połowa mężczyzn z osady, a przed siebie wypchnęli idiotę Julia jako przywódcę wioskowych żebraków.

- Och, senior Rodriguez, nie wysłucha pan głosu niewinnego, który został wielce skrzywdzony?

José Pablo westchnął ciężko i usadowił się na wiklinowym krześle ustawionym w cieniu środkowego z trzech wielkich drzew. Usiadł z szeroko rozstawionymi nogami, by zrobić miejsce na brzuch, i krótkim gestem wezwał mężczyzn spod bramy.

Weszło ich czterech, idiota Julio i trzech jego przyjaciół. Stanęli z szacunkiem tuż za kręgiem cienia, wpatrując się w swoje buty lub spoglądając na jego stopy.

- Mów - powiedział. Julio nie zareagował.

- Ośle, no dalej. Sądzisz, że nie mam nic do roboty, jak tylko patrzeć, jak tu stoisz oniemiały?

Słowo po słowie, z pomocą kuksańców i zachęt trójki przyjaciół, zabrzmiała opowieść o tym, jak to handlarz Miguel Ángel, ten niegodziwy młodzieniec o zbyt długich włosach i uśmiechniętych oczach, który szybkimi palcami grał na flecie, przeszedł przez dolinę i rozbił obóz w starym kamiennym forcie. A ponieważ handlarz Miguel Ángel jest po wielekroć przeklęty i na służbie diabła, małpy z fortu nie wyszły w nocy, żeby go zaatakować i okraść jego bagaż.

Wszyscy słyszeli słodką muzykę fletu unoszącą się w nocy z zamkowych murów, a kiedy znów ruszył doliną, córka Julio miała we włosach złoty grzebień.

- To było przed miesiącem, señor. Do tego ukradziono dwie kozy, a handlarz Miguel Ángel musi zostać pochwycony i ukarany.

Wtedy José Pablo się roześmiał.

- Dwie kozy! Przed miesiącem! Minęło tyle czasu, a wy dopiero teraz się skarżycie? - Uderzył dłonią w tłuste udo. - Sądzę, że handlarz zagrał na flecie ładną melodię. A gdzie jest teraz twoja córka? Słyszałem, że poszła na stację kolejową i pojechała odwiedzić chorą ciotkę w mieście. Czy to prawda? Może zabrała kozy ze sobą. Miguel Ángel nie kradnie zwierząt.

Stare wiklinowe krzesło zajęczało, gdy José Pablo wstał i wrócił do swojego pięknego domu. Wciąż się śmiał, kiedy usiadł nad matę i znów pogratulował sobie swojego szczęścia.

- Mężczyzna będący w stanie dać swojej córce w posagu klejnoty nie musi się obawiać handlarza z błyszczącym grzebieniem.

Kilka dni później, gdy na niebie wisiał tłusty księżyc, ukryty w połowie za wzgórzem, zalewając czerwoną ziemię błękitnym blaskiem, znów usłyszeli muzykę dochodzącą z fortu.

José Pablo stał na dachu, owinąwszy ramiona ciężkim kocem dla ochrony przed wilgocią nocy, i śledził melodię unoszącą się nad ulicą jak srebrne nitki, równie zwiewną co promienie księżyca.

Później, kiedy leżał w łóżku i muzyka wciąż grała, miękka, uspokajająca i odległa, odkrył, że podążył za nią aż do snu, ale uświadomił to sobie dopiero, kiedy obudził się z zaskoczeniem i przypomniał sobie, jakby w majakach, odległy trzask drzwi. Ktoś biegł ulicą, a chwilę później, gdy gruby właściciel ziemski znów usnął, dźwięki ucichły.

Następnego dnia, kiedy mężczyźni wychodzili do pracy, zobaczył na drodze Julia, zaśmiał się i znów nazwał go osłem.

- Widzę, że masz podbite oko i rozciętą wargę, osle. Uczyłeś się w forcie gry na flecie? Wczoraj cię słyszałem. Ile kóz dziś straciłeś?

Rechotał i nie mógł przestać, ale Julio tylko przerzucił motykę przez ramię i ruszył w drogę, by oczyścić pole.

Przez cały ten dzień mężczyźni pracowali na roli, cienkie chmury włóczyły się wysoko i zapomniały zostawić choć trochę deszczu, ptaki

latały, kozy wspinały się na czerwone wzgórze, a przekopana ziemia wysychała w bruzdach, zmieniała się w pył i rozwiewała jak piana na szczytach fal na oceanie, którego żaden z nich nie widział i nie potrafił nawet sobie wyobrazić. W tym czasie José Pablo siedział w swoim pięknym domu, licząc kolumny w księdze głównej i nasłuchując odgłosów z pól, gdzie pracowały jego pieniądze, aż znów zapadła noc. Tak toczyło się życie w wiosce. I tak dzieje się wszędzie, od tej małej osady u stóp wzgórza pod dziwnym kamiennym fortem aż po Nowy Jork.

Drugiej nocy z rzędu kładł się spać przy akompaniamencie melodii fletu płynącej ze wzgórza, a o poranku, kiedy spojrzął z dachu i zobaczył przy studni Ines, córkę jego dzierżawcy Arsenia, miała na rękach bransolety, których nie widział jeszcze poprzedniego dnia.

- Witaj, śliczna - zawołał. - Czy twój ojciec policzył kozy od poprzedniego wieczora?

Dziewczyna bez słowa pobiegła ulicą, a wkrótce u jego bramy stanęli mężczyźni, by zgłosić kolejną kradzież.

Tym razem to Arsenio stał na początku kolejki, wbrew sobie dzwoniąc mosiężnym dzwonkiem, lecz nim José Pablo wpuścił dzierżawców do ogrodu, zawołał córkę, swoją cenną dziewczynkę, swoją niña, i wydał jej polecenia.

- Wejdźcie, wejdźcie - powiedział później José Pablo. - Chodźcie tutaj.

I znów usadowił się na skrzypiącym wiklinowym krześle w cieniu środkowego z trzech wielkich drzew. Wskazywał na każdego z nich po kolei i mówił:

- Za miesiąc masz zapłacić czynsz. I ty. I ty. I ty. Czy przysłiście mi powiedzieć, że ukradziono tyle kóz, że żaden z was nie ma z czego oddać?

Arsenio stał z opuszczoną głową i splecionymi palcami, zbyt zawstydzony, by podnieść wzrok znad ziemi. W końcu odezwał się:

- Señor, kozy giną w całej dolinie. Mówi się o tym w każdej wiosce i zawsze po przejściu handlarza Miguela Ángela. On również powinien zapłacić.

- Zamknijcie się! I posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia. Wydaje mi się, że w wiosce jest tyle samo kóz, co wcześniej. Handlarz Miguel Ángel niczego nie ukradł i kto wie, czy w swoim czasie nie

odkryjecie, że zostawił kolejne koźleta w waszych zagrodach. Wie, jak się opłacić. A wszystkie małe kózki dostały zapłatę z jego bagażu. A to bransoletę, a to grzebień.

Wtedy właśnie drzwi pięknego domu Josego Pabla otworzyły się i do ogrodu wyszła jego córka, niosąc to, czego zażądał, czyli tacę z kawą i stertę ksiąg.

Udawał, że nie zauważa.

- Kto mógłby się spodziewać, że tyle małych kózek da się kupić tak tanio? Nie tak jak ta tutaj, nie jak moja Dolores, mój diament... który zna swoją cenę. To porządna dziewczyna. Na dodatek o ujmujących i skromnych manierach.

I z machnięciem ręki, jakby otrzepywał płaszcz z kurzu, powiedział im:

- A teraz wynoście się stąd. I podniósł filiżankę z kawą. Odeszli, mamrocząc pod nosem.

A trzeba powiedzieć, że kiedy handlarz Miguel Ángel ruszał doliną, przechodził przez każdą osadę i każdego wieczora kładł się spać tam, gdzie stał. Kiedy ruszał na północ od wioski Josego Pabla, mijały dwa tygodnie, zanim dotarł do końca doliny i tyle samo czasu, zanim wrócił. A później, kiedy ruszał na południe, znów mijały po dwa tygodnie, zanim dotarł do drugiego końca doliny i zanim powrócił. I tak oto każdego miesiąca, kiedy księżyc był najtłustszy i świecił jak latarnia nad starym kamiennym fortem, wtedy właśnie słyszeli muzykę jego fletu spływającą ze szczytu wzgórza.

Tamtej pierwszej nocy, gdy Miguel Ángel powrócił, panował taki upał, że José Pablo postanowił spać na dachu.

Pozwolił, by melodia omywała go jak srebrzyste promienie, ale nie zasnął, dopóki nie usłyszał trzasku kolejnych drzwi i oddalających się kroków. Wtedy był zadowolony.

Lecz o poranku, kiedy jego córka, jego diament, jego Dolores, jego cenna niña, wspięła się na dach ze śniadaniem, zauważył wstążkę ze złotej tafty przeplecioną przez jej warkocz, której wcześniej nie widział, i to go zaniepokoiło.

Tego dnia nikt nie przyszedł do bramy, by skarżyć się na ukradzione kozy, i José Pablo zaczął się martwić. Przez cały dzień liczby w jego księgach nie chciały się dodawać, kawa smakowała gorzko, gorący

wiatr rzucał mu w oczy czerwony pył, a Dolores wywoływała ból głowy swoim śpiewem w ogrodzie:

Wystarczy! Przestań już
grać na swym flecie, mroczny kochanku,
serce dziewczyny całe drży,
proszę cię, wystarczy,
nie przychodź cały czas w moją uliczkę,
a jeśli musisz się zjawić,
zrób coś więcej.

Ostrzegam cię teraz:
jeśli na tym flecie grasz,
moim musisz być.

Raz za razem. Zatrzasnął księgi rachunkowe i pospieszył do bramy, by przejść się po swoich polach, myśląc o czynszach, które miały zostać zapłacone następnego dnia. Pewnie niektórzy nie zdołają uregulować należności. Będą musieli pożyczać. A jemu uda się ich wyeksmitować. Poczul się odrobinę lepiej.

Ale późno w nocy nie mógł spać. Za dużo zjadł. Posiłek leżał mu na żołądku. Przewracał się z boku na bok, czekając na dźwięk fletu spływający ze szczytu wzgórza, a kiedy tak się stało, melodia wwiercała się w jego głowę jak ból zęba. Ale gorsze od muzyki było czekanie. Leżał całymi godzinami, nasłuchując trzaśnięcia drzwi i odgłosów oddalających się kroków, ale nadaremnie, a później, kiedy księżyc ukrył się za starym fortem i na ulicy zapanowała ciemność, José Pablo wstał z łóżka, podszedł do krawędzi dachu, spojrzął w stronę szczytu i ryknął:

- Na Boga, ucisz się! Muzyka zamilkła.

I to było najgorsze.

Ale José Pablo znów się położył i zasnął.

Rano, kiedy obudził go trajkot zielonej papużki w klatce, właściciel ziemski zszedł na dół, żeby zabrać księgi i kałamarz. Miał zamiar usiąść z nimi w ogrodzie i zapisać kwoty, jakie byli mu winni dzierżawcy.

Lecz kiedy ruszył w stronę wiklinowego krzesła w cieniu środkowego drzewa z trzech, odkrył, że brama jest otwarta, a jego dzierżawcy czekają. Uśmiechali się i śmiali, trącali się porozumiewawczo i rozmawiali głośno o kozach, lecz kiedy José Pablo Rodriguez wyszedł do nich, zamilkli.

Zapadła absolutna cisza poza szmerem wiatru pośród zielonych liści, szelestem złotych wstążek zwisających z każdej gałęzi i brzękiem zdobiących je bransolet.

José Pablo przez chwilę stał i patrzył. Jego stare wiklinowe krzesło zajęczało, kiedy opadł na nie. Podniósł wzrok i powiedział:

- Przyjaciele.

Mężczyźni w ogrodzie spoglądali na niego i się uśmiechali.

- Widzicie, że ozdobiłem ogród na wasze powitanie, ponieważ to dzień świętowania. - Wskazał na wstążki wiszące na drzewach. - Mam nadzieję, że wam się podobają.

Idiota Julio stłumił chichot. Nikt inny nie odezwał się ani słowem.

- Dziś, przyjaciele, postanowiłem anulować wasze czynsze na ten rok. Ten akt przyniesie wielką korzyść naszej wspólnoty i zaskarbi mi wielką łaskę w niebie.

Wciąż nic nie mówili.

- Postanowiłem to zrobić przede wszystkim dla dobra naszej społeczności. Nie ma bowiem nic ważniejszego. Wszyscy polegamy na sobie nawzajem.

Mężczyźni w ogrodzie kucali, siedzieli podobnie jak on.

- I zaniepokoiła mnie niedawna seria kradzieży kóz. Dziś nie będzie pracy. Zamiast tego złapiemy złodzieja i w obecności mężczyzn z tej wioski, którzy przez ostatnie kilka miesięcy utracili ponad siedemdziesiąt cennych zwierząt, dopilnujemy, by za to zapłacił.

I tak oto handlarz Miguel Ángel został powieszony na drzewie w odległości niecałych dziesięciu mil od wioski Josego Pabla Rodrigueza.

A Dolores, kiedy już odwiązała wszystkie wstążki z drzew ojca, poszła na stację kolejową i nigdy nie wróciła.

To była historia, którą opowiedziała. Kiedy skończyła czytać, na jego ramionach leżał cienki plik odrzuconych kartek. Czuł, jak muskają go jej palce, kiedy zebrała razem arkusze i wyrównała je, stukając nimi o jego grzbiet, jakby był szkolnym biurkiem.

- Maestro? - powiedziała i zsunąwszy się z niego, położyła się po drugiej stronie łóżka, z twarzą blisko jego twarzy.

Czuł w jej oddechu ciepły, jakby chlebowy zapach. Sącył go, wciągając powietrze, które jeszcze przed chwilą stanowiło część jej, głęboko w jej wnętrzu, mieszając się z jej krwią, a teraz stało się jego.

- Powiedz coś - szepnęła.

Nic nie mówił. Po prostu patrzył, z głową przechyloną na bok, opartą na poduszce, tak blisko, że widział swoje odbicie w jej oczach.

- To bzdury, prawda? Boże, wiedziałam, że nie powinnam o tym wspominać. Popełniłam wielki błąd.

On tylko się roześmiał, prawie bezgłośnie, by nie naruszyć ciszy malutkiej katedry, jaką wybudowali między poduszką a prześcieradłem.

- Dobrze wiesz, że to żadne bzdury. Mam rację? - Delikatnie zdjął długie pasmo włosów z jej warg. - Przeczytałaś wystarczająco wiele głupstw, by mieć tę świadomość.

Z ulgą przymknęła oczy.

- Podoba ci się.

- To klejnocik. Czy to prawda?

- Mam nadzieję.

- Ale czy coś takiego rzeczywiście się wydarzyło wśród tych twoich wzgórz?

- Nie. Nie w taki sposób. Ale podobne rzeczy. Zawsze był tłuścioch, ktoś, kto lubi się panoszyć, uważa się za lepszego od wszystkich pozostałych. Ci ludzie powinni dostać nauczkę. Tak w każdym razie sądził mój ojciec.

- Mój też.

- A ty nie?

- Nie wiem, co myśleć. Staram się nie przejmować takimi sprawami. Nigdy się nad tym właściwie nie zastanawiałem.

Ale nie sądzę, by historie były odpowiednim sposobem. Nie wydaje mi się, by mogły zmienić świat.

- Ależ oczywiście, że tak - sprzeciwiła się. - Pióro jest silniejsze od miecza.

Znów się roześmiał, ale nie tak jak wcześniej, nie w nieprzyjemny sposób, ale ponieważ go uszczęśliwiała.

- Jesteś taka... - Nie umiał znaleźć słów.

- Głupia? Naiwna? - Nie... Młoda!

- A do tego mam rację. Wolę raczej walczyć za pomocą słów niż się wysadzić, jak ten idiota na Plaza Universidad.

- Jesteś młoda, piękna, cudowna i utalentowana.

- A pewnego dnia napiszę książkę prawie tak dobrą jak twoje, a ludzie przeczytają ją, będą kiwać głowami i mówić: „Ona ma rację. Musimy to naprawić”.

Wtedy ją pocałował i było „znowu”, aż dawno minęła godzina porannej kawy, kiedy bankierzy - którzy wstają późno - zasiadają powoli za swoimi biurkami, a modne damy witają przyjaciółki na ulicy otarciem policzków i cichym zderzeniem okularów przeciwsłonecznych.

Leżeli we dwoje, Caterina i pan Valdez, przytuleni w łóżku, trzymając się za ręce, ze splecionymi nogami, kiedy zabrzączał dzwonek do drzwi.

Pan Valdez wysunął palce z jej palców i podparł się, rozplątał nogi i postawił stopy na podłodze, z westchnieniem usiadł na brzegu łóżka, a później, skulony z głową ukrytą w dłoniach, przeczesał palcami włosy i powiedział:

- Czy mogłabyś otworzyć?
- Co takiego? - spytała.
- Otwórz drzwi, proszę.
- Ale Chano, nie jestem ubrana.

Dzwonek znów zabrzączał.

- Caterino.

Było coś w jego głosie. Wstała i owinęła się prześcieradłem, ale kiedy go mijala, sięgnął po nie ręką i pociągnął. Zatrzymała się.

- Nie zrobię tego - powiedziała, nie odwracając się.

Puścił. Prześcieradło zaszeleściło po płytkach, gdy odchodziła. Dzwonek znów zabrzączał i nadal dzwonił, gdy dziewczyna otworzyła drzwi. Dobiegł go odległy głos Marii Marrom.

- Och.

Rozpoznał ją. Ten sposób, w jaki przez chwilę nic nie mówiła i w jaki dodała z tą kruchą godnością:

- Bardzo przepraszam, że panią niepokoiłam. Musiałam pomylić adres.

Kilka chwil później Caterina wróciła.

- Poszła sobie - stwierdziła.

Przeszła się po pokoju, zbierając ubrania, i zaniósła je do łazienki, żeby tam się przebrać.

Stukanie szpilek Marii niosło się po klatce schodowej jak tykanie zegara, jak odgłos gwoździ wbijanych w trumnę.

- Powinniśmy zająć się publikacją twojego opowiadania - powiedział. - Mógłbym pomóc. Gdybyś chciała.

Milczała.

W nocy, kiedy było bardzo ciemno, światło nad drzwiami domu doktora Cochrane'a włączyło się z trzaskiem. Chwilę lub dwie później, w czasie, w którym lampie udało się przyciągnąć parę machających skrzydełkami, krążących, przypalających się ciem, doktor Cochrane pojawił się na najwyższym stopniu. Nienawidził mroku. Zszedł po schodach jak stary człowiek, którym przecież był, pochylając się do przodu, by laską wyczuć kolejny stopień, a drugą dłoń przyciskał do szerokiej kamiennej balustrady.

Doktor Cochrane wszedł do samochodu, położył laskę na miejscu pasażera i zwolnił ręczny hamulec. Staczał się powoli ze wzgórza, stopniowo nabierając prędkości i poruszając się niemal bezgłośnie, aż tuż przed zakrętem przekręcił kluczyk w stacyjce, uruchomił silnik i puścił sprzęgło. Później pstryknął przełącznikiem zapalającym światła i pojechał szybko - ale nie na tyle, by zwracało to uwagę - drogą prowadzącą do autostrady biegnącej wzdłuż Merino. Ulice były ciche, a ruch o tak późnej porze minimalny. Doktor Cochrane ruszył w stronę centrum, do miejsc, gdzie zawsze panował gwar, a ryk przejeżdżających samochodów nigdy nie milkł. Droga wznosiła się jak wielkie wzgórza, wsparta na olbrzymich betonowych nogach. Poniżej na mieliźnie na małych zielonych wysepkach osiadły piękne domy, gdzie niegdyś mieszkali kupcy i kapitanowie morskich statków. Wyrzucone przez niekończący się i nieprzebyty przypyływ ruchu ulicznego, stały opuszczone do czasu, aż odnaleźli je najbiedniejsi i powiosłowali do nich w zdesperowanych flotyllach sklepowych wózków, by kulić się wewnątrz i grzebać w śmieciach. Tam na dole, za brudnymi, potłuczonymi oknami, gdzieś pokazywało się światło. Pod wibrującą, grzmącą osłoną wiaduktów autostrady paliły się na betonowych płytach ogniska, tańczyły cienie i truchtały psy. Ludzie, którzy kiedyś byli niemowlętami, kąpanymi, całowanymi i owijanymi kocykami, spali w budach ze złożonych tekturowych pudeł, na posłaniach z gazet, na górze zaś, gdzie powinno rozciągać się niebo, gdzie niknęły gwiazdy, w niezmiennym rytmie roju bębnił i szeleścił ruch uliczny.

Doktor Cochrane jechał dalej, aż utknął w ławicy innych samochodów, przed nim wlokła się ciężarówka, podskakująca i piszcząca, z której osypywał się pył, a po obu stronach trąbiły i przepychały się taksówki. Zmienił pas, gwałtownie szarpiąc kierownicą

w lewo, ignorując klaksony. Przebił się przez dwa kolejne pasy, silnik zaryczał, kiedy doktor Cochrane nacisnął gaz, spojrzął w lusterko i znów wrócił do ruchu tuż przed szesnastokółową ciężarówką przewożącą zabłocony buldożer, oświetloną wzdłuż całej długości mnóstwem migoczących światełek. W jego lusterku odbijały się ostre przednie światła. Przycisnął stopę do podłogi i wtoczył się na wznoszący się przed nim podjazd, zwolnił na zakręcie, znów spojrzął w lusterko, patrzył, patrzył, przyhamował jeszcze bardziej, skręcił i podążył za znakami, które zaprowadziły go na autostradę po drugiej stronie, też w strumień samochodów, lecz zwrócony w przeciwnym kierunku.

Doktor Cochrane przejechał dwa węzły, zmieniając pasy i cały czas patrząc w lusterko, aż upewnił się, że nikt go nie śledzi, a wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, skręcił w zjazd, który pojawił się przed nim.

Droga doprowadziła do rozjazdu, gdzie nie dało się odczytać drogowskazów, bo wiszące nad nimi światło się popsuło. Doktor Cochrane znał drogę. Po raz kolejny skręcił w prawo i znalazł się na małym placu pełnym latarni. Stały tam kramy ze smażonymi potrawami, kioski, przed którymi wisiały gazety jak pranie rozwieszzone na sznurze, gdzie sprzedawali papierosy, słodycze, groszowe powieści i żalosne, zazdrosne pisma powtarzające w nieskończoność zdjęcia gwiazd telenowel, jak również budki z losami na loterię, rozrzucone jak szalupy ratunkowe mające zapewnić ocalenie.

Doktor Cochrane zaparkował w bocznej uliczce, zamknął samochód i ruszył z powrotem na plac, odmierzając odległość swoją laską. Znał drogę na przystanek autobusowy, gdzie zatrzymywał się numer 23, a kiedy autobus przyjechał, rzucił kilka centavos i usiadł na miejscu z tyłu.

Ciemne okna patrzyły na niego tępo. Nie widział nic, co mogłoby mu pokazać, gdzie się znajduje, żadnego punktu orientacyjnego, który pokierowałby jego podróżą. Tkwił w milczeniu, nie odzywając się do nikogo i wspierając dłonie na lasce, a od czasu do czasu odwracał się w stronę dużej tylnej szyby i sprawdzał, czy ktoś za nimi nie jedzie. Nic nie dostrzegał.

Po dwóch kolejnych przystankach nikt już nie wsiadał. Po pięciu następnych ludzie stopniowo zaczęli opuszczać pojazd. Autobus podskakiwał, chwiał się i ryczał, dźwięk zmiany biegów zgrzytała.

Śmierdziało rozgrzanym olejem napędowym i doktor Cochrane poczuł nawrót choroby morskiej. Po jedenastu przystankach w środku nie pozostał żaden pasażer poza wysokim chudym mężczyzną w brudnej granatowej marynarce, który siedział w połowie długości autobusu po prawej stronie. Doktor Cochrane obserwował go uważnie, od kiedy wsiadł - wówczas panował tłok i musiał się wcisnąć na wąskie siedzenie na kole. Teraz autobus opustoszał, ale on się nie ruszył. Siedział tam z kolanami przyciśniętymi do wypolerowanej mosiężnej poręczy siedzenia z przodu, z głową opartą o szybę.

Doktor Cochrane przesunął się bezgłośnie na swoim siedzeniu. To zmieniło kąt między nim a wysokim mężczyzną i pozwalało mu wykorzystać ciemne okno jako lustro. Widział w nim odbicie jego twarzy. Tamten miał zamknięte oczy i doktor Cochrane go nie rozpoznawał.

Autobus szarpnął na zakręcie i obcy się obudził. Pospieszył na przód autobusu, chwytając się kolejnych słupków.

- Przegapiłem przystanek! - ryknął do kierowcy. - Niech mnie pan tu wypuści.

- Nie mogę. Nie wolno mi.

- Chryste, człowieku. Niech pan otworzy drzwi na skrzyżowaniu. Nikomu nie powiem. Tutaj, proszę popatrzeć, na rogu ulicy.

- Nie ma mowy. Mogę wypuszczać pasażerów tylko na przystankach. A panu nie wolno ze mną rozmawiać, kiedy prowadzę. Proszę stanąć za linią.

- Stanąć za linią, pajero (Hiszp. palant (przyp. tłum.))! Nie rozmawiać? - Wysoki mężczyzna teatralnym gestem skoczył na przód autobusu. - Widzi pan? Przekroczyłem ją i mówię do pana. W tej właśnie chwili. To co pan zrobi? Wyrzuci mnie z autobusu?

Kierowca chwycił kierownicę, jakby stał za sterem trójmasztowca okrążającego Horn, i wcisnął hamulec tak mocno, że pojazd aż przysiadł na amortyzatorach. Drzwi otworzyły się z sapnięciem, a on rzucił:

- Wynocha!

Wysoki mężczyzna pokazał mu środkowy palec i wyskoczył na ulicę, a kierowca wychylił się za nim przez okno, wrzeszcząc:

- Cabeza de mierda! (Hiszp. posraniec (przyp. tłum.)) - Usiadł, burcząc pod nosem, i spojrzał w lusterko, przez cały autobus, na doktora Cochrane'a. - Przepraszam za to. Czy chce pan tu wysiąść?

Doktor złożył dłonie na lasce i pochylił głowę do przodu, ukrywając się za nowym kapeluszem.

- Jadę do samego końca - powiedział.

- W porządku.

Szofer nacisnął dźwignię zamykającą drzwi i autobus ruszył z szarpnięciem.

Kłótnia z wysokim mężczyzną zirytowała go i wzbudziła niepokój. Jazda autobusem ma przebiegać bez incydentów. Kierowca autobusu jest automatem, który zawsze w tym samym miejscu skręca za róg, w tym samym miejscu zmienia bieg, w tym samym miejscu otwiera drzwi i w tym samym miejscu hamuje, przemierzając identyczną trasę raz za razem, każdego dnia. Widzi te same drogi, te same budynki, ten sam ruch uliczny i tych samych ludzi. Nie ma różnych jazd autobusem, istnieje tylko jedna, nieodróżnialna od wszystkich pozostałych, więc gdyby przyszedł policjant, pokazał swoją odznakę, poprawił lustrzane okulary przeciwsłoneczne, stanął na stopniach pojazdu z wystawionym biodrem oraz dłonią opartą na broni i zapytał: „Czy widział pan tego człowieka?“, kierowca mógłby jedynie wzruszyć ramionami, zaśmiać się z własnej głupoty, oddać zdjęcie i spuścić wzrok. Ale nie teraz. Nie tym razem.

Doktor Cochrane wpatrywał się w zniszczoną podłogę. Znajdowała się tam kłapa, wejście pozwalające mechanikom z zajezdni sięgnąć daleko w głąb wnętrza pojazdu, z aluminiowym brzegiem i płasko leżącym uchwytem na zawiasach. Przyglądał się jej uważnie. Sledził wzrokiem wszystkie linie, kąty i łuki, w głowie przekształcając równania i wzory, tłumiąc żółć wznoszącą się w gardle, gdy autobus szarpał i kołysał się.

- Koniec trasy! - krzyknął kierowca.

Autobus zwolnił, zatrzymał się z piskiem hamulców i ostatnim śmiertelnym paroksyzmem, kiedy kierowca wyłączył silnik. Drzwi trzasnęły, a on wyskoczył z kabiny, rozciągając ramiona nad głową i jęcząc. Doktor Cochrane patrzył, jak idzie powolnym, zbolalym krokiem, obmacując kieszenie w poszukiwaniu papierosów i zapalek. Błady stożek światła padający z ulicznej latarni wydobył wilgotną

plamę potu wzdłuż kręgosłupa. Blask przecinał go na pół, więc jego stopy i spodnie świeciły, a twarz kryła się w cieniu i tylko żar na końcu papierosa wskazywał, gdzie są usta.

Doktor Cochrane wstał i ruszył w stronę wyjścia z autobusu, najszybciej jak mógł. Zawiesił laskę na ramieniu i chwyciwszy brudny słupek przy drzwiach, z trudem zszedł po dwóch stopniach na chodnik. Pospiesznie skierował się wzdłuż pojazdu, który zasłaniał go przed kierowcą, przeszedł przez ulicę i zniknął w wąskim przejściu między dwoma budynkami.

Dreptał naokoło, jak myśliwy poruszający się przez las, kiedy wiatr mu nie sprzyja, wspierając się na lasce, stukając nią w ciemnościach, odkrywając połamane płyty chodnika, puszki i potłuczone butelki, wyteżając wzrok w słabym blasku okien pozbawionych zasłon, widmowej szarości niewidocznych telewizorów śmiejących się z niego, kiedy je mijał. Powoli wracał na drogę, którą chciał iść, a budynki ukrywały go przed wzrokiem kierowcy. Usłyszał odgłos uruchamianego silnika, autobus otrząsnął się jak stary pies, a doktor Cochrane zaklął.

- Mogłem zaczekać - powiedział. I wsparł się nieco mocniej na lasce, aż upewnił się, że pojazd odjechał.

Na ulicy panowała cisza. Doktor Cochrane przekuśtykał między dwoma pustymi, zarośniętymi zielskim ogrodami z powrotem na przystanek, gdzie przeszedł na drugą stronę ulicy i zaczął długą wspinaczkę na szczyt wzgórza w ciemnościach. Bardzo się bał. Często się zatrzymywał, bolała go noga, dostawał zadyszki, a kiedy się zatrzymywał, nasłuchiwał uważnie na wypadek, gdyby ktoś wspinał się wąską ścieżką za jego plecami. Ale nikt nie przyszedł. Słyszał tylko psy szczekające do siebie w mroku i odległą syrenę. Doktor Cochrane stał w ciemnościach, wyteżając wzrok. Skupił się na luce między drzewami, gdzie padał żółty blask świateł domów, i obserwował. Gdyby ktoś ruszył za nim dróżką, choćby i najciszej, musiałby minąć to miejsce. Czekał na ich cień. Wciąż nikogo. Po chwili ruszył dalej, aż dotarł do punktu, gdzie powój porastał zniszczoną siatkę i starą koszulkę FC Atletico zawieszoną na słupie jak flagę. Obejrząwszy się po raz ostatni za siebie, doktor Cochrane podniósł tkaninę, przecisnął się przez otwór i unosząc laskę przed sobą jak talizman, ruszył ukrytą ścieżką po drugiej stronie.

Pismo mówi: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”. Ojciec Gonzalez ją znał. Ojciec Gonzalez wiedział, że jest tchórzem, a świadomość tego wcale go nie wyzwoliła.

Każdego ranka, w mroku zimy i w letnie dni, kiedy słońce przechodziło na paluszkach nad górskimi szczytami, nie budząc wiecznych śniegów, a następnie spadało na ulice miasta, niosąc obietnicę nieba, ojciec Gonzalez się bał. Stał w sutannie, otoczony przez braci zakonników, przy ołtarzu wybudowanym przez Hiszpanów nad skałą, gdzie starzy bogowie niegdyś kąpali się we krwi, rozlewał krew swojego Boga i potężnie się bał.

Bardziej niż czegokolwiek innego ojciec Gonzalez bał się, że zostanie odkryty. Cokolwiek się miało stać i niezależnie od ceny, nikt nie mógł się dowiedzieć. Nikt nie mógł się dowiedzieć, jaką władzę miał nad nim commandante i co zrobił dla tego człowieka. Nikt nie mógł się dowiedzieć, dlaczego. Ale Bóg wiedział. Mimo to on każdego dnia brał Go w obie dłonie i trzymał w swoich ustach. Oczywiście, przerażenie mijało. Każdego ranka, kiedy nie ginął na miejscu, kiedy nie zostawał powalony jak Ananiasz, kiedy gromy nie padały z niebios, strach ustępował. Na chwilę.

Zjadał śniadanie, czekając na jego powrót. Szedł na uniwersytet ze świadomością, że on tam na niego czeka.

Siedział cały dzień za biurkiem, a święty Maksymilian Kolbe patrzył na niego pogodnie ze ściany przy oknie. Bał się podnieść wzrok znad biurka i napotkać ten pełen spokoju uśmiech. Studenci wchodzący na jego zajęcia odczytywali w tej twarzy nadzieję, radość i zachętę, ale ojciec Gonzalez spoglądał w te oczy i widział płonącą w nich pogardę. Odwracał wzrok. Wpatrywał się w papiery na biurku, ale nadal się bał. Obawiał się, że zadzwoni telefon. Z przerażeniem myślał o głosie, który mógł zabrzmieć w słuchawce, i tym, czego mógłby od niego zażądać. Bał się, że telefon nie zadzwoni, co oznaczało jedynie przedłużone oczekiwanie.

W nocy, kiedy leżał w swoim pokoiku, cichym, nagim i białym jak wewnątrz jajka, spoczywał na łóżku, z którego desek pewnego dnia powstanie jego trumna, strach szalał wokół niego, kłębił się po podłodze i wznosił wzdłuż ścian, aż w końcu ojciec Gonzalez usypiał i budził się, by znów się bać.

Czasem również i to mu odbierano, śnił, że już się obudził, i znów czuł przerażenie, aż groza wyrywała go ze snu i leżał bezsennie przez resztę nocy, a oczy spowijała mu ciemność. Czasem drzemał aż do świtu i budził się w ciepłym i wygodnym łóżku, odczuwając przez chwilę prawdziwy spokój, aż uświadamiał sobie, że się nie boi, i przypominał, że powinien. W takie ranki udawał przed samym sobą, że nadal śpi, ale to nigdy, absolutnie nigdy nie działało.

Ojciec Gonzalez nie bał się, kiedy rozległo się pukanie. Leżał na plecach gdzieś na dnie przepastnej aksamitnej studni, tak głęboko, że sny nie mogły go zaniepokoić swoim trzepotaniem długich pajęczych nóg, cisza nocy zaś oznaczała właśnie to, ciszę nocy, nie oczekiwanie na krzyk.

Kiedy ojca Gonzaleza obudziło pukanie, wiedział, że wcześniej rozległy się już dwa. Pamiętał, jak do niego dotarły, podobnie jak dźwięk kwiatów otwierających się w odległości tysiąca kilometrów odnajduje jaskółki i ostrzega je, że nadszedł czas, by polecieć w stronę wiosny, podobnie jak pulsujący, odbijający się echem dźwięk przypominający puzon, rozlegający się pośród niekończącej się głębin zimnego czarnego oceanu odnajduje wieloryba i sprowadza go do żony.

Po pierwszym kuksańcu ojciec Gonzalez się poruszył. Po drugim wznosił się z ciepłej ciemności, szybciej i szybciej, pędząc w stronę świadomości jak piłeczka pingpongowa wypuszczona z dna basenu, ciągnąca za sobą bąbelki. Po trzecim usiadł na łóżku i jego serce ścisnęła jednocześnie groza i radość, ponieważ przez chwilę myślał, że to może być jak poranek w Boże Narodzenie. Przez moment wydawało mu się, że oczekiwanie się skończyło i nocne pukanie do drzwi przynosiło ze sobą kulę i odpoczynek.

- O co chodzi? - spytał.

- Potrzebują ojca. - Przez szparę pod drzwiami padało światło. - W przedsionku czeka chłopiec. Zna drogę.

- Idę - odparł ojciec Gonzalez. Cień stóp pod drzwiami zniknął.

Wstał z łóżka i włożył koszulę oraz spodnie, które zaledwie kilka godzin wcześniej rozwiesił na oparciu twardego drewnianego krzesła. Sięgnął do wąskiej szafki, zdjął z półki stulę z fioletowego jedwabiu i skórzaną cylindryczną skrzyneczkę długości dłoni, rozciętą w połowie, otwierającą się na zawiasach i zamkniętą mosiężną klamrą.

Wyszedł na korytarz, dotarł do schodów, zgasił za sobą światło i ruszył dalej do wejścia, gdzie na jednym z tych niewygodnych drewnianych krzeseł przeznaczonych dla oczekujących siedział chudy chłopiec.

Kiedy zobaczył ojca Gonzaleza na schodach, podniósł się z miejsca. Był chudy, przestraszony i zdyszany, miał wielkie oczy łani i za dużą koszulkę Atletico, wiszącą mu na ramionach.

- Witaj, ojcie.

Ojciec Gonzalez odparł:

- Dzień dobry. Spróbuj mówić ciszej. Nie powinniśmy niepokoić pozostałych.

- Przepraszam.

- Gdzie idziemy?

- Do mojego dziadka. Jest bardzo chory. Od dawna źle się czuje. Chyba umrze.

- Czy tak mówi doktor?

- Nie wzywaliśmy lekarza.

- Och. - Zmierzył włosy chłopca. - W takim razie pewnie się mylisz. Założę się, że nie ma się czym przejmować. Na pewno nie masz racji.

- On tak powiedział. Kazał mi ojca sprowadzić. Musimy się pospieszyć.

Chłopiec wziął go za łokieć i popchnął niczym upartą taczkę, poganiając w stronę drzwi. Ojciec Gonzalez poczuł strach wypełniający ciało niczym ładunek elektryczny. Rozpoznał to wrażenie. Nie było mu obce. Wziął chłopca za rękę.

- Nic się nie stało. Mam samochód. Pokaż mi drogę. Pojechali. Chłopiec był za mały, żeby siedząc na miejscu pasażera, wyglądać przez przednią szybę. Klęczał pochylony do przodu, opierając się o deskę rozdzielczą, i mówił, gdzie jechać.

- Przebiegłem tędy - powiedział - między tymi sklepami.

- Tą drogą nie mogę. Musimy naokoło.

Ojciec Gonzalez dotarł do końca ulicy i skręcił w prawo, ale za rzędem sklepów była kolejna uliczka, w której jego samochód by się nie zmieścił.

- Na zboczku są schody.

- A gdzie my idziemy?

- Na wzgórze.

- Ale gdzie, synu?

- Na wzgórze. Nie znam adresu. Tam mieszkamy. Znam drogę.

Ojciec Gonzalez wyjął kluczyki ze stacyjki.

- To w takim razie musimy się przejść. Dalej, pokaż mi schody.

Chłopiec chwycił klamkę, wybiegł z samochodu i zniknął w cieniach między budynkami, zanim ojciec Gonzalez zdążył zamknąć drzwi. W połowie uliczki zatrzymał się i krzyknął:

- Trzeba się pospieszyć. Proszę! Proszę! - O jego obecności świadczyła jedynie zmarszczka na powierzchni odbijającej światło kałuży, którą poruszył swoim przejściem. - Chodźmy!

- Synu, musisz poczekać. Jestem stary. Nie potrafię iść tak szybko jak ty. Nie widzę drogi.

Ojciec Gonzalez kroczył ostrożnie uliczką, trzymając się jedną ręką wilgotnej ściany, wymacując drogę w ciemności, kiedy chłopiec wyłonił się z cienia i wziął go za rękę.

- Znam kierunek. Pokażę ojcu. Wszystko będzie dobrze. Niech ojciec idzie albo mój dziadek trafi do piekła.

Ojciec Gonzalez ścisnął rączkę chłopca, aż poczuł jego kości. Chwycił go za ramię.

- Przestań! Kto ci nagadał takich bzdur?

- On. Dziadek mówi, że pójdzie do piekła, jeśli ojciec się nie zjawi.

- Twój dziadek się myli. Nikt, kto chce być przyjacielem Boga, nie pójdzie do piekła, a sam fakt, że mnie wzywa, o tym świadczy.

Jakże łatwo było mówić takie rzeczy, a zwłaszcza jemu, skoro wierzył, że są prawdą. Gardził dobrymi i szanowanymi osobami, które ważyły się nakładać ograniczenia na boskie miłosierdzie. Zwalczał je, jak zwalczałby najohydniejszego heretyka. Ten chłopczyk, staruszek umierający gdzieś w ciemnościach na szczycie wzgórza, na nich czekało miejsce pośród chwały niebios, lecz nie dla niego. Wiedział, że tam nie trafi. Ojca Gonzaleza radowała łagodna maska ciemności.

- A teraz chodź - powiedział. - Pokaż mi drogę. Znaleźli podstawę popękanych i połamanych betonowych

schodów i zaczęli się wspinać. Pod koniec trzydziestu siedmiu stopni - ojciec Gonzalez policzył je wszystkie - z ziemi wystawała pęknięta rura z wodą i trzy ostatnie zatoneły w dziurze w ziemi. Na samym szczycie znajdowała się kolejna ulica, z wciąż świecąca latarnią,

ostatnim symbolem władzy miejskiej. Przechylona jak zniszczony maszt flagowy zapomnianej fortecy, wciąż się paliła, emanując nadzieją. A później nic.

- Gdzie mnie prowadzisz? - spytał ojciec Gonzalez.

- To już niedaleko. Możemy pobiec tędy, wzdłuż tego płotu.

- Nie zdołam biec.

- Musimy się spieszyć. Wzdłuż płotu, później w górę niewielkiego wzgórza i w dół po drugiej stronie. Proszę, ojcze. Niech ojciec idzie. Proszę.

- Wiem, gdzie idziemy. To Santa Marta. Powinieneś mi powiedzieć.

- Ojciec by się nie zjawił w tej barriada.

- Oczywiście, że tak. Oczywiście. Znam drogę. Mógłbym przyjechać samochodem. Już bylibyśmy na miejscu. Dalej, pokaż mi.

Ojciec Gonzalez ślizgał się i potykał na błotnistej ścieżce. Przed nim wytarte szare tenisówki chłopca oślepiały bielą w ciemności, a wielka siódemka na plecach jego piłkarskiej koszulki świeciła jak latarnia morska, kiedy truchtał przodem. Gdzieś po prawej jakaś dziewczyna krzyknęła, jakby ktoś ją mordował - po czym wybuchnęła śmiechem. Zardzewiały płot się skończył. Wyszli na kawałek otwartej przestrzeni, gdzie ścieżka rozgałęziała się w zakurzoną deltę śladów przypominających odwróconą strzałkę wskazującą na miejsce, gdzie wszystkie ścieżki barriady łączyły się w drogę do miasta. Później mieli pod stopami trawę, a następnie trafili na zbiorowisko małych domków, wciśniętych w każdy dostępny kawałek przestrzeni. Żadnych ulic, jedynie wąskie przejścia między budynkami, akurat by się przecisnąć lub rozwiesić sznurek z praniem.

Tego rodzaju osiedla rozrastały się jak nowotwór. Ktoś wyrównywał kawałek ziemi w pobliżu drogi albo na opuszczonej betonowej podmurówce, stawiał prowizoryczne ściany i dach, sprzedając go komuś, kto dzięki temu mógł zacząć od nowa. A później pojawiały się ściany, o które można się było oprzeć, kolejne dachy i następne ściany, budy rozrastały się i mnożyły, nałożone jedna na drugą niczym mech na kłodzie drzewa wspinający się do światła.

Chłopiec pobiegł do przodu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział, lecz ojciec Gonzalez zgubił go pośród ściśniętych domów.

Teraz znów poczuł strach. Był zgrzany, zdyszany, bolały go mięśnie łydek, a do tego zawieruszył się w Santa Marta w środku nocy. Jakże żałował, że podczas ubierania nie poświęcił chwili na włożenie koloratki. Mogłaby mu zapewnić ochronę jak paszport.

Stał, obracając się z oszołomieniem na malutkim placyku, nie większym od obrusa, gdzie cztery malutkie domki przylegały do siebie, a chciwość, pośpiech lub złe planowanie nie pozostawiły miejsca na piąty. Ten kawałek ziemi stał się dogodnym śmietnikiem. Nieopisywalne, niepoznawalne rzeczy wznosiły się smrodliwą piramidą, która drżała i trzęsła się pod jego stopami. Ojciec Gonzalez nie miał pojęcia, jak znalazł się w tym miejscu, i nie umiał znaleźć drogi wyjścia. Po drugiej stronie ściany zaczął gorączkowo szczekać pies. Mężczyzna zaklął i kazał mu się zamknąć. Jego żona dołączyła do kłótni:

- Dobry Boże, po co kłać na zwierzę, ty tłusty idioto?

Ojciec Gonzalez chciał zacząć krzyczeć i narobić hałasu, żeby sprowadzić chłopca, ale bał się, kto jeszcze mógłby przyjść. A później tam, gdzie wcześniej dało się słyszeć tylko ciche mamrotanie w ciemnościach, coś tak słabego, normalnego i tak dobrze pasującego do aksamitnej nocy, że tego nie zauważył, niczym odgłos dogasającego ognia, nagle rozległa się muzyka i śpiew. Z początku łamiące się, niepewne głosy, mężczyźni wstydzący się odzywać przed towarzyszami, później, kiedy melodia została podchwyciona, silniejsze i pewniejsze.

Maszerujemy, maszerujemy,

A droga, którą idziemy,

Prowadzi ku wolności,

Prowadzi ku wolności.

Maszerujemy, maszerujemy,

A droga, którą idziemy.

Prowadzi ku wolności i swobodzie,

Triumfalnie wzniesiemy czerwoną flagę.

(Swobodna wariacja na temat Bandiera Rossa, pieśni włoskiego ruchu socjalistycznego (przyp. tłum.).)

- Tutaj! - Chuda rączka wyłoniła się z ciemności i chwyciła go za koszulę, kościste palce zacisnęły się nad walącym sercem. - Dziadku, idziemy.

- Co to za śpiewanie?

- Nic nie słyszę.

- Ależ tak. Musisz. Poczekaj.

- Kto ojca wychowywał, ojczy? Ojciec mało wie. To Santa Marta. Tutaj człowiek nic nie słyszy, nic nie widzi, nic nie wie. Tędy.

Chłopiec przeszedł pod zasłoną z ciężkich arkuszy plastiku, która mogła powstać z rozciętych worków po nawozie, i ojciec Gonzalez znalazł się w jednym pomieszczeniu z leżącym na klepisku umierającym starcem.

W środku nie było tak ciemno jak na zewnątrz. Światło zapewniała parafinowa lampka, wyklepana z puszek po napojach, która paliła się przy głowie starca. Ojciec Gonzalez widywał je już wcześniej. Na straganach na rynku sprzedawano je za 75 centavos - o ile ktoś miał 75 centavos - a handlarz gratis dokładał knot ze starej sznurówki.

Ojciec Gonzalez ukląkł na podłodze. Diagnoza była bez wątpienia prawdziwa - staruszek umierał. Leżał pod dwoma kocami, z głową wspartą na zwiniętej kurtce z cienkiego niebieskiego nylonu, bez wątpienia należącej do chłopca. Nozdrza mężczyzny wyglądały, jakby się cofnęły, przez co jego nos zrobił się zakrzywiony i ostry jak u jastrzębia. Wargi miał równie blade i szare jak resztę ciała, a oczy wystawały pod sinymi powiekami niby gotowane jajka. Ojciec Gonzalez widział śmierć i znów ujrzał jej charakterystyczne oznaki. Nie było nadziei.

Chłopiec stał na krawędzi światła rzucanego przez lampkę. Nic nie mówił. Bardzo się starał, żeby się nie rozpłakać.

- Dlaczego nie zmówisz Ojczy nasz, synu? To może pomóc. Chłopiec uniósł dłonie przed twarzą niczym anioł w książeczce z obrazkami, jak go nauczono przed laty.

- Ojczy nasz - załkał przez zaciśnięte zęby. - Ojczy nasz. Ojczy nasz. Ojczy nasz.

Ojciec Gonzalez wyjął stułę z kieszeni, rozwinął ją i ucałował złoty krzyż wyszyty na środku. Założył ją na szyję i otworzył malutką skórzaną skrzyneczkę, którą zabrał ze sobą. Wewnątrz znajdowała się buteleczka oleju, specjalnie pobłogosławionego przez biskupa, do wykorzystania podczas ostatniego namaszczenia. Wylał malutką kropelkę na dłoń i bardzo, bardzo łagodnie wtarł ją w oczy starca, mówiąc:

- Przez to święte namaszczenie i najdobrotliwsze Miłosierdzie swoje niechaj ci Bóg odpuści wszystko, w czymkolwiek przewiniłeś wzrokiem.

Okrażył uszy, nacierając je olejem, jak ojciec obmywa swoje dziecko.

- Przez to święte namaszczenie i najdobrotliwsze Miłosierdzie swoje niechaj ci Bóg odpuści wszystko, w czymkolwiek przewiniłeś słuchem.

Olej się skończył. Ojciec Gonzalez znów przechylił buteleczkę nad dłońmi. Przeciągnął nimi po wąskim nosie mężczyzny.

- Przez to święte namaszczenie i najdobrotliwsze Miłosierdzie swoje niechaj ci Bóg odpuści wszystko, w czymkolwiek przewiniłeś powonieniem.

I niżej, po ustach.

- Przez to święte namaszczenie i najdobrotliwsze Miłosierdzie swoje niechaj ci Bóg odpuści wszystko, w czymkolwiek przewiniłeś smakiem.

Ujął dłonie umierającego i kolejno wcierał w nie olej.

- Przez to święte namaszczenie i najdobrotliwsze Miłosierdzie swoje niechaj ci Bóg odpuści wszystko, w czymkolwiek przewiniłeś dotykiem.

Starzec był zimny. Krew cofała się jak odpływ, uciekając przed światem i zabierając ze sobą życie.

Ojciec Gonzalez poruszył się na kolanach i odsłonił koce, by dotknąć nóg mężczyzny. Otaczały je brudne skarpety, sztywne i śmierdzące. Kiedy je ściągnął, okazało się, że stopy pod spodem są czarne i kościste, z zakrzywionymi, pożółkłymi paznokciami.

Chrystus to zrobił. Chrystus, który stworzył cały świat, stworzył wszechświat i wszystko, co się w nim znajduje, obmył stopy swoich przyjaciół.

- Przez to święte namaszczenie i najdobrotliwsze Miłosierdzie swoje niechaj ci Bóg odpuści wszystko, w czymkolwiek przewiniłeś chodzeniem.

Skóra starca była tak delikatna i przezroczysta. Niemal wyobrażona. Ledwie utrzymująca życie wewnątrz, coraz cieńsza, gotowa rozpuścić się i je wypuścić. Niemal nic już z niego nie pozostało.

Ojciec Gonzalez znów przechylił buteleczkę nad dłoń i sięgnął pod koc. Był zażenowany i zawstydzony. Jak lekarz. Jak lekarz duszy. Odnalazł skurczony narząd męczyzny, przypominający zimnego robaka.

- Przez to święte namaszczenie i najdobrotliwsze Miłosierdzie swoje niechaj ci Bóg odpuści wszystko, w czymkolwiek przewiniłeś przyjemnościami cielesnymi.

Odchylił się do tyłu na piętach i powiedział:

- To już wszystko. Zaczekam tu z tobą.

Chłopiec powtarzał:

- Ojcie nasz. Ojcie nasz. Ojcie nasz.

A gdzieś na zewnątrz chór mężczyzn śpiewał:

- Maszerujemy, maszerujemy. A droga, którą idziemy, prowadzi ku wolności, prowadzi ku wolności. Prowadzi ku wolności i swobodzie.

To brzmiało prawie jak hymn.

Znając swoje miejsce, starzec miał poczucie obowiązku i zabrał się do umierania cicho, bez zamieszania, niewidoczny i niezauważalny tak samo jak przez całe życie. Nie było ostatniego krzyku przerażającego zwierzęcia, żadnego rzucania się, wybałuszonych oczu i gorączkowego łapania powietrza, mokrego kaszlu ani nawet ostatniego pijackiego chrapnięcia. Po prostu zgasł jak świeca.

Ojciec Gonzalez klęczał u jego boku, kiedy to się stało. Przymknął oczy na czas krótkiej modlitwy, a kiedy je otworzył, mężczyzna już odszedł. Nic tak nie przekonywało kapłana do istnienia duszy, jak widok ludzi po obu stronach życia. Spojrzał w dół i od razu wiedział, że starzec nie śpi ani nie stracił przytomności. Umarł. Kiedy zerknie się na zegar, nie da się stwierdzić na pierwszy rzut oka, czy jest zepsuty, czy tylko się zatrzymał. Nie sposób spojrzeć na samochody zaparkowane na poboczu i odgadnąć, które zapalą od jednego przekręcenia kluczyka w stacyjce, a które mają puste baki lub wyładowane akumulatory. Z ludźmi rzecz ma się inaczej. Starzec był pusty i wyszorowany jak pęknięta futbolówka, jak małż po wizycie poławiaczy pereł, pozostało tylko zniszczone, stare ciało.

Chłopcu skończyło się Ojciec nasz i teraz leżał zwinięty w kłębek do snu. Ojciec Gonzalez w ciszy zajął się ciałem mężczyzny. W takich chwilach liczy się symetria. Ludzie lubili widzieć porządek, a śmierć potrafi być bardzo pogmatwana, więc zanim duchowny potrząsnął wyrostka za ramię, wyprostował zgiętą szyję starca, wygładził jego włosy i ułożył dłonie - jakby był na paradzie, a nie leżał na plecach na klepisku w szopie zbudowanej ze starych skrzyń i plastikowych worków.

- On odszedł - powiedział.

Chłopiec wciąż był na tyle mały, by płakać bez wstydu. Ojciec Gonzalez tulił go do siebie.

Kiedy się uspokoił - co stało się całkiem szybko - spytał:

- Kto tu z wami mieszkał?

- Nikt. Tylko ja i on.

- A co z twoją matką?

- Powiedziała, że idzie do miasta do pracy. Przeprowadziła mnie tutaj. Dziadek powiedział, że znalazła sobie mężczyznę, a on mnie nie chciał.

- Czy masz pojęcie, gdzie można ją znaleźć?

Chłopiec znów zaczął płakać.

- Już dobrze, synu. Już dobrze.

Mylił się. Ojciec Gonzalez chciał powiedzieć, że są ludzie, którzy się nim zajmą, miejsce, gdzie mógł zamieszkać, jedzenie, szkoła i własne łóżko, nadzieja i nawet zimny substytut miłości, ale dzieciak szturchnął go swoimi ostrymi łokciami, odskoczył i wybiegł przez drzwi z worka w gasnącą noc.

Ojciec Gonzalez próbował za nim podążyć, ale nie był już młody. Minęło trochę czasu, zanim podniósł się z kolan, a nim dotarł do drzwi, wyrostek zniknął w labiryncie chałup i szop. Ich ściany wznosiły się w czerwonym blasku świtu, tym samym, który rozjaśniał wysokie szklane wieżowce miasta i całował okna Banku Narodowego Merino oraz szarzał na dziedzińcu domu Ottavio, odkrywając butelki na stole. Ale choć na wzgórzu Santa Marta brzask nastawał wcześniej, był jak wszystko inne w tej okolicy - nieco powolniejszy, nieco słabszy, nieco brudniejszy.

O świcie stary ksiądz czuł się równie zagubiony, co w środku nocy. Potykał się od ściany do ściany, od domu do domu, ślizgając się w błocie i półmroku, wołając słabo chłopca, którego imienia nie poznał, aż na ścieżce do miasta, na kawałku trawiastego zbocza, gdzie łączyły się dwa kanały ściekowe, wyszedł za róg i wpadł na doktora Cochrane'a.

Absurdalna chwila: doktor Cochrane wspierający się laską i ksiądz z błotem na kolanach czarnych spodni, łokciach, rękach i fioletowej stule, która otaczała jego szyję jak szal lotnika.

- Gonzalez! - powiedział doktor Cochrane nieco zawstydzonym tonem.

- Joaquin - odparł duchowny.

- Co ty tu robisz?

Wtedy ojciec Gonzalez przypomniał sobie buntownicze pieśni i to, o czym wiedzieli wszyscy - że doktor Cochrane lubił starego pułkownika.

- Miałem zamiar cię o to zapytać.

A ponieważ nie potrafił wymyślić żadnego kłamstwa, bo nie istniał powód, dla którego on, doktor Joaquin Cochrane, szanowany wykładowca matematyki, potomek bohaterskiego wyzwoliciela kraju i kaleka, powinien znajdować się na trawiastej ścieżce między dwoma śmierdzącymi rowami w najuboższej barriada w mieście o świcie, a

także dlatego, że spojrział w twarz ojca Gonzaleza i zobaczył w niej wiedzę i zrozumienie, doktor Cochrane zrobił jedyne, co mógł zrobić. Wsparł się na lasce, tak ciężko, że aż wbiła się w miękką ziemię, a wokół gumowej nasadki pojawił się niewielki krater z błota, jak księżycowy pył wznoszący się po uderzeniu meteorytu, po czym ukląkł na ścieżce i zdjął kapelusz.

- Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłem - powiedział.

- Co takiego?

- Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłem.

- Joaquinie, co ty mówisz?

- Chcę się wyspowiadać.

- Co takiego?

- Jesteś księdzem. Nie odmówisz mi. Nie wolno ci powstrzymywać mojego pojednania z Bogiem.

- Teraz? Tutaj? Czy to nie może poczekać? Wróćmy do miasta. Chyba znam drogę. Na dole stoi mój samochód.

- Nie, ojcze, to musi być teraz. A jeśli wkrótce czeka mnie śmierć? W każdej chwili mogę umrzeć bez spowiedzi.

- Punkt widzenia Kościoła na te kwestie znacznie się zmienił. Niech cię to nie martwi.

- Ojcze! - W jego głosie brzmiał gniewny nacisk.

- Joaquinie, ty nawet nie jesteś katolikiem.

- Owszem. Otrzymałem chrzest i bierzmowanie. Jestem równie katolicki, co sam arcybiskup, co papież.

- Ale nie wierzysz.

- Skąd to wiesz? Potrafisz powiedzieć, w co wierzy arcybiskup albo papież? Ty wierzysz i tylko to się liczy.

- Owszem. I nie masz pojęcia, jak gorliwie się modłę, by się tego pozbyć, tej mojej wiary.

- Ale gdyby ona cię opuściła - zauważył doktor Cochrane - to by tylko pokazało, że twoja modlitwa została wysłuchana i że twoja wiara... która właśnie wyparowała... była jednakowoż uzasadniona.

- Jesteś matematykiem czy filozofem, Joaquinie?

- Proszę, ojcze, moje kolana nie są tak silne jak kiedyś.

Ojciec Gonzalez wytarł dłonie o zabłocone spodnie, odwinął stulę z szyi, pocałował wyszyty na środku krzyż i znów ją założył. Opuścił się na rzadką trawę obok przyjaciela, dwaj starcy klęczący obok siebie,

jeden zwrócony twarzą w stronę wschodu, mrużący oczy w promieniach wschodzącego słońca, drugi na zachód w stronę ostatnich śladów nocy, na tyle blisko, by podchwycić każde wyszeptane wyznanie, ale niewidoczni dla siebie nawzajem. Powiedział:

- Zaczynaj od nowa.

- Pobożę się, ojcze, bo zgrzeszyłem.

- Niech Pan będzie w sercu i ustach twoich, abyś się dobrze wyświadczył ze swoich grzechów, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

- Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu, błogosławionej Maryi zawsze dziewicy, błogosławionemu archaniołowi Michałowi, błogosławionemu Janowi Chrzcicielowi, świętym apostołom Piotrowi i Pawłowi, wszystkim świętym i tobie, ojcze, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem, moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Spędziłem noc, spiskując, jak obalić rząd, i zmawiając się, by zamordować przywódców naszego kraju.

Morze jest doskonałe w każdym aspekcie. Nie ma żadnego elementu, na który można by spojrzeć i wyobrazić sobie, że dałoby się go ulepszyć. Jednocześnie nigdy nie pozostaje takie samo. Jest różne w różnych miejscach i w różnym czasie. Jest podobne w różnych miejscach w tym samym czasie. Jest różne w tych samych miejscach w dwóch różnych chwilach i podobne w różnych miejscach w chwilach pomiędzy.

W morzu wszystko znajduje się w idealnej równowadze. Kiedy podąża wokół Ziemi za Księżycem jak wielka, wydęta, ciężarna łza, z tyłu staje się płytsze. Na każdego grzywacza przypada dolina, a na głębinię płycizna przy nabrzeżu. Dlatego, jak wywnioskował pan Valdes, morze musiało mieć część, gdzie wicher wiał ostry jak nóż i wył jak wdowy, ponieważ w miejscu, w którym siedział na swojej zwyczajowej ławeczce na placyku nad Merino, setki kilometrów od morza, lecz mimo wszystko go dotykając, panowała cisza, a nawet więcej. Powietrze przypominało klej.

I wiedział, że musi istnieć miejsce, gdzie padał ulewny deszcz, wałący jak gwoździe, ponieważ tu, nad Merino, woda wznosiła się w kłębach pary, tworząc gęstą mgłę, która ukrywała słońce. Ponieważ morze nigdy się nie zmniejsza, nie traci ani jednej kropli wody, nie oddaje żadnej chmury, jeśli nie przyjmie w zamian milionów kropli deszczu. Stąd też w jakimś zakątku świata z pewnością burzyło się wielkimi grzywaczami sięgającymi szponami w stronę przerażonych gwiazd, ponieważ tutaj, w tym miejscu, było płaskie i lepkie jak syrop w słoju, gładkie niczym aksamitny obrus w salonie ciotki i równie ciche.

Nad Merino panował upał jak w rosole, więc musiało istnieć zamrażnięte miejsce, w którym lodowce wznosiły się do nieba. Gdzie wszystko było niebieskie jak szafiry, niebieskie jak chabry, niebieskie jak lód, niebieskie jak oczy, ponieważ tutaj, nad Merino, wszystko miało milion odcieni żółtego. Gorąca mgła znad nurtu kłębiła się żółtymi falami, wznosząc się w stronę żółtego słońca. Rzeka była żółta. Żółta jak dom wariatów. Żółta jak willa we Francji. Żółta jak wazon słoneczników. Żółta jak kłótnia albo wstążka do włosów. Żółta jak żółtko. Żółta jak pies. Żółta jak żonkil. Żółta jak zaświadczenie. Żółta jak rdza. Żółta jak zgnilizna. Żółta jak grzyb. Żółta jak rybi brzuch. Jedyne wyjątek stanowił czarny statek zacumowany pod żurawiami

przy nabrzeżu, z banderą, która wisiała nad potężną, wygiętą niczym ciało wieloryba rufą, równie bezwładna i wilgotna, co chusteczka do nosa w zimie.

Coś wewnątrz statku beknęło i z otworu wysoko na kadłubie zaczął wylatywać strumień oleistej wody z zęzy, wąski i niepewny jak mocz staruszka. Uderzył z hałasem w rzekę, a rozbryźnięte krople poleciały w stronę policjantów stojących na nabrzeżu i gestykulujących w stronę Chińczyka stojącego na rufie. Mieli długie bosaki.

Najwyższy z nich powiedział:

- Zrzucicie sieć.

Ciemna głowa zniknęła, brudna woda przestała płynąć z rury, w całym żółtym świecie znów zapanowała cisza, aż dochodzący z góry metaliczny brzęk i stukot zmusił ludzi na nabrzeżu do podniesienia wzroku.

Żuraw masztowy zakołysał się niestabilnie nad burtą statku i zaczęła z niego opadać gruba, wyraźnie zużyta sieć. Na brzegu wysoki policjant dawał znaki palcami. Sieć opadła i rozłożyła się, kiedy uderzyła w wodę, pan Valdes zaś, mimo że, jak odkrył, ostatnimi czasy nic go nie interesowało, wstał z ławki, na której siedział z zamkniętym notatnikiem w rękę i nieużywanym piórem w zębach. Podeszedł bliżej, żeby się zorientować w sytuacji.

Jeden z policjantów podniósł rękę.

- Ja bym tego nie robił - powiedział. - To nie będzie ładne.

Jego towarzysze bosakami popychali i ciągnęli coś w wodzie. Pan Valdes spojrzał nad wałem i zobaczył, że to mężczyzna, unoszący się twarzą w dół, ukrzyżowany na wodzie.

- Jeśli to ten, którego się spodziewamy, sporo czasu spędził w rzece. Nic pięknego.

- A kto to miałby być?

- Och, marynarz, który nie przyszedł do pracy. Upijają się i wpadają do wody. Tak się zdarza. A teraz spadaj pan. Grzecznie proszę.

Pan Valdes cofnął się o krok albo dwa, wystarczająco, by nie robić wrażenia trudnego czy pozbawionego należytego szacunku, ale cały czas obserwował, podczas gdy mechanizm na żurawiu zaczął stukotać, lina podniosła się, a sieć zacisnęła i wyciągnęła z wody wszystko, co pozostało z mężczyzny, zwiniętego w kłębek jak śpiące dziecko.

Wysoki funkcjonariusz dawał znaki Chińczykowi na pokładzie. Żuraw obrócił się, a sieć uniosła, ociekając wodą na nabrzeże, opuściła i rozłożyła, odsłaniając zawartość.

- Pomóżcie mi - powiedział policjant. Inni podeszli bliżej.

- Weźcie go pod kolanami. Ja złapię za ramiona.

Mieli go. Zatrzymali się. Zmienili chwyt. Tamten zabalgotał. Pojawiła się chmurka zielonego gazu. Mundurowy odwrócił twarz. Położyli go na płóciennym prześcieradle i się cofnęli. Funkcjonariusz ułożył zwłoki, wyprostował i owinął płótnem, chowając krańce pod spód. Pozostali stali dalej. Jeden przeciągał dłońmi po nogawkach spodni z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Czy mógłbym... - powiedział pan Valdes, pochylając się, by odsunąć róg płótna.

- Proszę to zostawić! - warknął policjant. Pan Valdes wyprostował się z godnością.

- Bardzo przepraszam - powiedział - ale uważam to za fascynujące.

- To trup, nic więcej.

- Jestem autorem - dodał po chwili pan Valdes, uznając to za wytłumaczenie lub usprawiedliwienie.

Tego właśnie słowa użył. Nie „pisarz”, ale „autor”, jakby to wyjaśniało wszystko. Ktoś inny mógłby powiedzieć: „Jestem lekarzem, proszę mnie przepuścić”.

Policjant zrobił krok w bok. Miał do zapalenia papierosa dla uspokojenia żołądka. Musiał wezwać karetkę i spisać raport. To nie był jego problem, jeśli tamten dostał mdłości.

Ale pan Valdes nie zwymiotował. Odsunął róg płótna, spojrzął na miejsce, w którym powinna znajdować się twarz, i uznał, że czas udać się do Feniksa na poranną kawę. Wrócił przez plac, przeszedł malutką uliczką, otworzył ozdobne drzwi i zszedł po schodach do kawiarni, gdzie uniwersyteckie towarzystwo już zebrało się na śniadanie.

Siedzący w kącie doktor Cochrane zamachał swoją gazetą w taki sposób, by ruch powietrza złapał ją w zgięciu i pomógł mu zwinąć ją do czegoś rozmiaru prześcieradła. Zamierzał coś przeczytać i chciał, by go widziano, kiedy będzie to prezentował.

- Piszą tu, że w Punto del Rey na burrito ukazała się twarz Chrystusa - powiedział. - Podobno kupił je kierowca autobusu, odgryzł dwa kęsy, a przy trzecim zauważył twarz Jezusa wpatrującą się w niego

z jego posiłku, więc zamiast dokończyć jedzenie, umieścił burrito na wystawce na telewizorze, a ludzie stoją w kolejce, by oddać mu cześć. - Dla podkreślenia swoich słów jeszcze raz machnął gazetą.

- Co o tym sądzisz, Gonzalez? - zapytał.

Stary ksiądz podniósł wzrok znad kawy, posłał mu spojrzenie bardziej zranione niż urażone i stwierdził:

- Nie szydę z prostej wiary prostych ludzi.

- Ale serio. Burrito?

- A czemu nie?

- Czyżby chleb i wino nie wystarczały?

- Joaquinie, nie należy naigrawać się z Boga.

- Dobrze powiedziane, ojciec - stwierdził Costa, jakby to załatwiało sprawę.

Wszyscy skinieniem głów przywitali Valdesa, kiedy odsunął sobie krzesło. Dopiero jednak, kiedy dostał kawę, uniósł chleb i szynkę do ust oraz przeżuł, uświadomił sobie, że nic nie czuje. Przed chwilą zobaczył trupa wyciągniętego z Merino z wyżartą połową twarzy i napęczniałym brzuchem, i nic.

Beznamiętnie pił kawę i jadł kanapkę. Pan Valdes nie miał brata ani ojca, ale nawet gdyby zobaczył ich w takiej sytuacji, wiedział, że nie zrobiłoby to na nim żadnego wrażenia. Próbował wyobrazić sobie, że wyciąga swoich kolegów z uniwersytetu z Merino - Costę, De Silvē, doktora Cochrane'a czy ojca Gonzaleza - i też nic nie czuł.

Zalała go fala beznadziei. „Jestem autorem” - to powiedział. „Cóż z ciebie za bajarz” - to usłyszał. Ale jak mógł nim być, skoro niczego nie czuł?

Z drugim łykiem kawy pan Valdes spojrzał na półkę swoich powieści i znów odnalazł tego samego brązowego psa, którego widział raz w parku, parę żegnającą się pod drzewami, obserwowaną z okna jadącego pociągu. Podążył za przebiegiem swoich przygód na kartach książek. Ten tutaj boi się końca tygodnia, kiedy będzie musiał rozstać się z upragnioną kobietą. Później spełnienie. Zadowolenie, które zmienia się w zaspokojenie, nudę, a w końcu obrzydzenie, tysiące różnych uczuć wywołujących tę samą reakcję - lód zawsze zimny, ogień niezmiennie gorący, choć kiedyś, dawno temu, umiał rozróżnić płomień miłości od żaru nienawiści. Jasny, migoczący płomyk nie jest tym samym, co wolno gorejący węgielek. Mają inne znaczenie i kiedyś

umiał postrzegać, odczuwać i rozumieć je na różny sposób i odmiennie opisywać, ale utracił to. Nie pozostało nic poza chudym żółtym kotem przechodzącym przez drogę i wślizgującym się do burdelu.

Pana Valdesa ogarnęło przerażenie. Znów miał wrażenie, że czepia się palcami skał, zrzuca drobne kamyki, próbując złapać chwyt, gdy ześlizgiwał się po górskim zboczu, gdzie nic nie było pewne - i wtedy pomyślał o Caterinie. Wyobraził ją sobie wyciąganą z rzeki i od tej myśli prawie zrobiło mu się niedobrze. Wiedział, że tego koszmaru by nie zniósł. Zdał sobie sprawę, że wciąż czuje, i podziękował za to Bogu, w którego nie wierzył.

- Wszystko w porządku? - spytał Costa. - Zbladłeś.

- Tak - odparł. - Kiedy tu szedłem, wyciągali trupa z Merino. Musiało mnie to poruszyć bardziej, niż sądziłem.

- Masz delikatną duszę artysty - stwierdził doktor Cochrane. - Taką cenę płaci się za geniusz.

Pan Valdes nic nie odpowiedział. To by było nieskromne. Przeciągnął dłońmi po twarzy, a gdy wycierał pot z wargi, z zadziwieniem poczuł słaby zarys blizny, jak zimny drut pod skórą.

Zanim pan L.H. Valdes wyszedł tego dnia z mieszkania, zanim zajął swoje zwyczajowe miejsce na ławce nad Merino i przyglądał się, jak wyciągają trupa z rzeki, zanim jak zwykle nie napisał nic w swoim notatniku, ogolił się.

Uznał to za swego rodzaju moralne zwycięstwo. Zaczął nienawidzić golenia. W przeszłości, kiedy był o wiele młodszy, przed około tygodniem, stanowiło ono jedną z większych przyjemności jego życia. Sprawiało panu Valdezowi tak wielką frajdę, że czuł się z tego powodu niemal winny i cieszył się, że może robić to sam, za zamkniętymi drzwiami. Teraz się bał. Zostawiał łazienkę otwartą, żeby z radioodbiornika w kuchni mogły dobiegać go dźwięki tanga.

Jego obawy różniły się od strachu ojca Gonzaleza, który bał się, ponieważ wiedział, podczas gdy u pana Valdesa wynikało to z nieświadomości. Każdego ranka stał w swojej eleganckiej wyłożonej wapieniem łazience, wyglądając z odbicia, żyłasty i złocisty, szeroki w ramionach i wąski w pasie, trójkątny kształt skierowany w stronę miękkiego ręcznika zawiązanego w talii jak ciepła zaspą, i czuł ukłucie strachu. Codziennie pan Valdes nachylał się nad umywalką w stronę pana Valdesa, który nachylał się nad umywalką, i każdy przyglądał się wardze tego drugiego, ale zawsze kończyło się tak samo - niczym.

Woda była gorąca - najgorętsza, jaką mogły znieść jego miękkie dłonie pisarza. Para wznosiła się chmurami, lecz umieszczona powyżej płytką łapała ją i skraplała w srebrzyste kropelki, a reszta ulatywała z dala od lustra, które nigdy, ale to nigdy nie zaparowywało. Mimo to nic nie widział.

W umywalce leżała ciemnoniebieska myjka. Pan Valdes nie włożył rąk do wrzątku, lecz sięgnął czubkami palców jak jaguar wyciągający pazurami zaskoczony ryby ze stawów w dżungli, wydobył myjkę, pozwolił, by obciekła, przerzucił z ręki do ręki, wycisnął i przyłożył do twarzy. Poczował w ustach pusty smak pary wodnej. Odchylił głowę do tyłu. Patrzyli sobie nawzajem w nozdrza. Mężczyzna w lustrze był zamaskowany, jak bandyta, jak kat. Pan Valdes przyglądał mu się z nieufnością. Odbicie oddawało spojrzenie.

Zdjął wilgotną myjkę z twarzy. Wziął doskonały angielski pędzel, namoczył go w umywalce, uderzył raz w nadgarstek, by pozbyć się nadmiaru wody, i potarł nim mydło. Ten codzienny cud go fascynował. Jak cudowne rozmnożenie chleba, gdzie kilka bochenków i ryb

nakarmiło tysiące, magiczna szczecina zmieniała odrobinę mydła w ogromną chmurę piany.

Szerokimi pociągnięciami nałożył ją na twarz. Spłukał brzytwę gorącą wodą i zaczął się golić, policzki, broda i gardło, krawędź szczęki, do góry do ucha, szeroki na palec pas szczeciny poniżej ust, aż nie pozostało już nic poza wargą. Krótkie ostrożne pociągnięcia, z włosiem, a później pod włos, by złapać tych kilku maruderów. Niewielkie, pełne strachu ruchy zdejmujące mydło, odsłaniające skórę, aż nie pozostało już nic poza skórą, nic do zobaczenia. Zerknął na siebie z ulgą. Popatrzył i wciąż był przerażony.

Istnieje kamień szlachetny zwany aleksandrytem, który lśni pięknym zielonym blaskiem z wyjątkiem nocy. Po zmroku, kiedy palą się lampy i nie ma słońca, przyjmuje czerwoną barwę. Niektórych rzeczy nie da się zobaczyć nie dlatego, że ich tam nie ma, ani nawet nie dlatego, że są zbyt małe, ale ponieważ nie umiemy ich pojąć. Doskonale to rozumiał.

Zanim pan L.H. Valdes wyszedł tego dnia z mieszkania, zanim zajął swoje zwyczajowe miejsce na ławce nad Merino i przyglądał się, jak wyciągają trupa z rzeki, zanim jak zwykle nie napisał nic w swoim notatniku, w chwili uniesienia po tym, jak upewnił się, przynajmniej na jeden ranek, że nie ma blizny, napisał list.

Wciąż owinięty ręcznikiem, usiadł za biurkiem. Wyjął z teczki dużą brązową kopertę. Otworzył portfel, w którym obok kawałka szarego papieru ze słowem „Piszę” znalazł niewielki zielony znaczek, przykleił go na kopercie i napisał adres.

To była najprostsza rzecz pod słońcem. Oraz początek końca.

Cztery dni później, jedynie z niewielkim opóźnieniem, ta sama brązowa koperta dotarła do stolicy, gdzie dostarczono ją do siedziby „Salonu”.

Panna Marta Alicia Cantaluppi zaledwie od jedenastu miesięcy pełniła obowiązki sekretarki redaktora, ale kiedy otworzyła list i przeczytała wielki, zamaszysty, kanciasty podpis L.H. Valdesa, wiedziała wystarczająco dużo, by zanieść go szefowi. Bez pukania otworzyła drzwi do jego szklanego biura i weszła do środka.

Senor Juan Ignacio Correa pochlebiał sobie, że pod jego kierownictwem „Salon” uznawano za najlepszy tytuł w państwie - oczywiście w kategorii poważnej prasy. Naturalnie Rafael Salvade z „Przeglądu Narodowego” uważał, że to nieprawda, Fernanda Maria Espinosa zaś pożegnała się z szansą na macierzyństwo i rozbiła trzy małżeństwa - w tym dwa własne - żeby podnieść „Czytelnika” do rangi drugiego pisma literackiego kraju.

Dlatego kiedy Marta Alicia Cantaluppi wpadła tego ranka do jego biura, señor Juan Ignacio Correa czuł, że ma prawo, by parsknąć jak koń i rzucić pióro na biurko. Nie uspokoił się nawet wówczas, kiedy przepaszająco uniosła dłoń i powiedziała:

- Wiem. Przepraszam, ale musi pan to zobaczyć.

Dopiero kiedy przeczytał wiadomość, którą trzymała przed sobą, zaczął się uśmiechać. Wziął kartkę z jej dłoni i znów przeleciał wzrokiem. Zwolnił trochę miejsca na biurku, rozłożył niebieską stronę z notatnika płasko na podkładce i przestudiował ją jeszcze kilka razy, po czym nie podnosząc wzroku, polecił:

- Marto, kochanie, zadzwoń do Fernandy Marii z „Czytelnika” i Salvadego z „Przeglądu Narodowego”. Powiedz im, że zarezerwowałem najlepszy stolik w Ruszcie na kolację jutro wieczorem i że są zaproszeni.

Biedny Correa. Za każdym razem, kiedy Marta Alicia wychodziła z jego biura, patrzył za nią i podziwiał jej wspaniałe kołysanie biodrami, lecz tym razem przegapił okazję. Przez resztę dnia, kiedy słońce gonilo cienie po trzech ścianach pomieszczenia, Correa siedział i czytał, czytał, czytał. O szóstej, kiedy Marta Alicia schowała okulary do aluminiowego etui i uprzątnęła biurko tak, jak ją nauczono na kursie, Correa na pożegnanie pogroził jej palcem.

- Ani słowa, pamiętaj. Dowiem się, jeśli coś się wydobędzie - ostrzegł ją.

Był przy tym tak pogrążony w lekturze, że po raz drugi tego dnia zapomniał nacieszyć się jej odejściem.

Nim Correa opuścił biuro, zebrał papiery z biurka i zamknął je w sejfie - który przetrwał dwadzieścia cztery godziny w ogniu i został zrzucony z dźwigu z wysokości pięciu kondygnacji.

Leżąc w łóżku tej nocy, gdy czerwone i niebieskie kropki tańczyły na jego gałkach ocznych, w ogrodzie zaś nocny ptak śpiewał cały czas

na jedną nutę jak zardzewiała brama, Juan Ignacio Correa żałował przeprowadzki do mieszkania na siedemnastym piętrze bloku. O drugiej w nocy wstał, ubrał się i wrócił do redakcji. Szedł cichymi korytarzami i po drodze zapalał światła, czekając na każdym rogu, aż umkną cienie.

Wracał do domu z kopertą leżącą obok na miejscu pasażera, a kiedy zatrzymał się przed światłami kołyszącymi się na wietrze nad opuszczonym skrzyżowaniem, zablokował wszystkie drzwi.

Wczołgał się do łóżka obok żony, a kopertę zostawił na stoliku za głową, przyciśniętą budzikiem. Dziesięć tykających minut później wyciągnął rękę, wsunął ją pod poduszkę i spał do rana, kiedy zadzwonił do biura i powiedział Marcie Alicii, że się spóźni.

Kobieta nie przejęła się tym. Po całych jedenastu miesiącach pracy jako sekretarka wiedziała, że to dzięki niej, a nie Juanowi Ignaciowi Correi „Salon” wyglądał tak, jak wyglądał, toteż prowadziła czasopismo aż do południa, kiedy redaktor w końcu się pojawił, niosąc przerzucony przez ramię drugi garnitur.

Señor Correa nie spieszył się do pracy. Po nocnej wycieczce wstał późno, zjadł porządne śniadanie, a w drodze do miasta zatrzymał się u swojego ulubionego tureckiego balwierza, gdzie Mehmet jak zwykle dokonał cudów, muskając jego szyję brzytwą, wyrывая pojedyncze włoski napiętą nitką i osmalając uszy płomieniem świecy. Señora Corree otaczała aura rozluźnienia i zadowolenia, pasująca do człowieka, który wiedział, że ma już gotowy następny numer. Czuł się beztroski. Niezachwiany. Przyszedł do biura i resztę popołudnia spędził przy stole kreślarskim, projektując niekończące się wersje kolejnego wydania magazynu. Uśmiechał się przy tym i nie wahał się poświęcić czasu, by podziwiać Martę kołyszącą biodrami za każdym razem, kiedy wstała zza biurka.

Zazwyczaj Correa i jego redakcja trzymali te projekty w tajemnicy - równie wielkiej, co ta, która otaczała dziewiętnastoletnią fryzjerkę odwiedzaną przez szefa w środowe wieczory - ale tego dnia projektował swój pomnik i kiedy po siedmiu próbach był w końcu zadowolony, zaniósł ostateczną wersję do dużej kserokopiarki w rogu i zrobił dwie kopie.

Correa włożył je do kopert, po jednej dla każdego z gości, i napisał na nich nazwiska adresatów. Później wsunął listy do teczki, zmienił garnitur i wziął taksówkę do Rusztu.

Istnieją pewne wątpliwości co do tego, które czasopismo literackie w kraju jest najważniejsze. Correa, Fernanda Maria Espinosa z „Czytelnika” i Salvade z „Przeglądu Narodowego” mieli własne zdanie na ten temat i nigdy by nie doszli do porozumienia, ale Ruszt nie podlegał dyskusji. Był najmodniejszą restauracją w mieście, a stał się nią dzięki dziecinnie prostemu fortelowi polegającemu na pozostawaniu przez czterdzieści lat miejscem zdecydowanie niemodnym.

Lokal krył się za wąską uliczką i łukowatym przejściem wiodącym z jednego z najwspanialszych placów w mieście. Od czasu otwarcia nie zmieniła się w nim nawet deska sedesowa. Nie wymieniono ani jednej klamki, ani jednej popielniczki i tak oto restauracja zmieniała status od ostatniego krzyku mody i luksusu art deco przez zakurzoną starość aż po uroczy, olśniewający, autentyczny antyk.

Aktorzy, piosenkarze, muzycy, dawni gangsterzy, a dziś wygadani przedsiębiorcy, literaci, piłkarze z hałaśliwymi dziewczynami, olśniewające gwiazdki telenowel z uroczyimi chłopakami - niektórzy wydawali się aż zbyt piękni i wpatrywali się z tęsknotą we wspaniałych futbolistów - wszyscy chodzili do Rusztu.

Zdobycie stolika uchodziło za sukces, ale jedynie ktoś taki jak J.I. Correa mógł zadzwonić z zaledwie jednodniowym wyprzedzeniem i zająć prywatną jadalnię w pomieszczeniu na tyłach - ku wielkiemu oburzeniu ambasadora Irlandii, który odkrył, że jego niewielkie przyjęcie wypadło z harmonogramu. Fernanda Maria po prostu nie potrafiła się oprzeć.

Pożałowała tego, jak tylko zdjęła płaszcz, a kiedy Salva - de przybył, natychmiast zorientował się, że Correa sprowadził ich, żeby się chełpić, ale ucieczka jedynie zwiększyłaby triumf tego starego sukinsyna. Nie wycofał się więc i mocno zacisnął palce na nóżce kieliszka z martini.

Uśmiechając się chłodno nad daniem rybnym, Fernanda Maria odezwała się:

- Juan, kochanie, dlaczego nas tu zaprosiłeś?

Ale redaktor Correa poprosił tylko o więcej wina i spytał:

- Moja droga, czemu mamy psuć ten wspaniały posiłek rozmową o pracy?

Salvade z „Przeglądu Narodowego” siedział milcząco i nadąsany, pijąc więcej, niż powinien, ale między kęsami najdelikatniejszego steku złamał się.

- Daj spokój - powiedział. - Coś się dzieje.

Correa zignorował go z uśmiechem i nalał mu kolejny olbrzymi kieliszek. Podobnie zachowywał się nad deserem, mówiąc o błahostkach, jak przystoi idealnemu gospodarzowi, pławiąc się w ich nieszczęściu z grzeczną, sadystyczną satysfakcją.

Ale señor Correa stanął przed dylematem, na który natykają się wszyscy dręczyciele - jeśli spróbuje zadać jeszcze więcej bólu, może się okazać, że jego ofiary tego nie wytrzymają. Dlatego dopiero nad kawą, kiedy złożyli serwetki i wyglądali na gotowych do odejścia, w końcu ustąpił.

- Dzieci, dzieci - powiedział uspokajająco. - Koledzy. Przyjaciele.

Odchrząknęli. Wypili trochę brandy.

- Słyszeliście opowieść o Howardzie Carterze, który w 1922 roku odkrył doskonały, nietknięty grobowiec Tutenchamona?

- Wiem, że umarł na coś okropnego - zauważyła Fernanda Maria. - Klątwa faraonów.

- Z pewnością masz rację - zgodził się Correa. - To nie było za moich czasów. Ale powiadają, że kiedy w końcu dostał się do grobowca i wsunął świecę w otwór, spytano go, co widzi, a on odpowiedział: „Wspaniałe rzeczy”.

Salvade dolał sobie brandy.

- Czy w tym kryje się jakaś głębsza myśl?

- Ależ oczywiście. Oczywiście! Wyobraźcie sobie moją radość, kiedy podobnie jak Carter otworzyłem kopertę i znalazłem to. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął niebieską kartkę z notatnika. - Przedstawcie sobie moje niedowierzanie, gdy czytałem te kilka krótkich słów raz za razem. Domyślcie się, jak bardzo szczęśliwy i niegodny się czułem, kiedy moja malutka świeczka ukazała tę wspaniałą rzecz.

Salvade prychnął nad brandy.

- Powtórz jeszcze ten kawałek o ukazywaniu niegodnej malutkiej świeczki.

Fernanda Maria miała dość. Jej cierpliwość się wyczerpała i kobieta sięgnęła nad stołem, jakby chciała wyrwać list.

- Na litość boską! Co tam napisano?

Correa uniósł uspokajająco rękę gestem podobnym do tego, który Marta Alicia wykonała poprzedniego dnia.

- Moja droga, takie oto słowa: „Drogi Correa, minęło sporo czasu od naszej ostatniej rozmowy i przykro mi, że nie mam Ci czego pokazać. Wysyłam Ci opowiadanie, licząc, że zasłuży na opublikowanie po Twoich zwyczajowych stawkach”.

Salvade zamachał kieliszkiem i spytał:

- A kim jest nadawca?

- Och, to właśnie niespodzianka, przyjaciele. Dlatego was tu zaprosiłem. Spójrzycie pod talerze.

- Co takiego?

- Podnieście je.

- To absurdalne - stwierdziła Fernanda Maria.

- Żałosne.

Ale oboje spojrzeli. Pod talerzami znaleźli koperty, które Correa tak starannie przygotował, a w każdej kryła się kserokopia strony tytułowej „Salonu” z winiętą zapisaną tą elegancką antykwą, poniżej zaś, gdzie powinna znajdować się ilustracja i nagłówki reklamujące mniej lub bardziej ciekawe artykuły wewnątrz, widniało:

VALDEZ

Tylko jedno słowo, największą i najczarniejszą czcionką, jaka zmieściła się na stronie.

Popatrzyli na niego z szeroko otwartymi ustami, a on rozłożył dłonie w triumfalnym geście.

- Ty sukinsynu - powiedział Salvade. Correa odparł z uśmiechem:

- On wrócił, kochani. Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpaczy!

(Shelley, Percy Bysshe, Ozymandias, tłum. Adam Asnyk, w: Poeci języka angielskiego, t. 2 wybór i oprac. Henryk Krzeczkowski, Jerzy S. Sito, Juliusz Żuławski, PWN 1971, s. 339.)

Samochód przesuwiał się w cieniu drzew jak syrena płynąca przez falujące zarośla wodorostów, odbijając plamy słonecznego światła i błyszcząc metalicznym blaskiem niczym marlin. Padający poprzedniej nocy deszcz splukał kurz z drogi i auto sunęło powoli, cicho po ubitej ziemi, pozostawiając po sobie ślad smutnej muzyki.

Odejdź! Nie chcę cię już widzieć.

Pozwól mi żyć w spokoju.

Nie mów, że jestem już

pijany jak wczoraj.

Cierpienie i smutek miłości do ciebie

ranią bardziej niż alkohol.

Mój kielich pełen jest nieistnienia

i w nim utopię rozpacz.

Odejdź! Twój widok przypomina ból.

Zostaw mnie teraz, gdy nic już nie mogę zrobić.

Pan Valdes zatrzymał samochód w cieniu ostatniego drzewa w alei i czekał. Kierownica w jego dłoniach błyszcziała jak wybielona kość. Trzymał na niej obie ręce, mocno je zaciskał, ponieważ wiedział, że gdyby ją puścił, nawet by ustawić radio, jego palec uniósłby się do warg. To stało się jego nawykiem, pocieranie, przeciąganie, podążanie za rzeczą, którą mógł wyczuć, ale nigdy nie widział. Od czasu do czasu zaskakiwał się, jakby nagle obudził się z transu, dotykając ust i zastanawiając się, jak długo to robił, łapiąc się na tym, jakby został przyłapany na czymś wstydliwym, a wtedy jego dłoń podrywała się do góry i przeczesywał palcami włosy, jakby to właśnie miał zamiar od początku zrobić, a masowanie wargi stanowiło jedynie chwilową przerwę. Starając się tego uniknąć, Valdes zaczął masować czoło. Odkrył tam całkiem głęboką bruzdę prowadzącą do trójkątnego rozszerzenia pośrodku lewej brwi. Była samotna, jak zauważył. Po prawej stronie czoła nie miała bowiem lustrzanego odbicia, co niepokoiło go do chwili, gdy uświadomił sobie, że do tej zmiany doprowadził sposób, w jaki spał.

Fałda pojawiła się w miejscu, gdzie przyciskał lewą stronę twarzy do poduszki. To była po prostu kolejna blizna, wyryta w jego skórze przez dziesięciolecia, nie zaś wypalona podczas chwilowego ataku, tym razem widoczna, ale niezauważana i niepamiętana jak ta druga.

Oczywista oznaka starości. I w tym wszystkim równie przerażająca jak tamta - tajemna, niewidziana, o nieznanym sensie.

Pan Valdes spojrział we wsteczne lusterko i przechylił głowę. Nic nie widział. Czuł obrzydzenie do samego siebie, jak tłuszcioch po raz kolejny otwierający lodówkę. Wyciągnął rękę i przechylił lusterko, by ukazywało jedynie odbicie drzew, i wpatrywał się prosto przez przednią szybę, w stronę szerokiego płaskiego parku na tyłach uniwersytetu. Zacisnął dłonie na kierownicy i po chwili rozluźnił chwyt. Znalazł pod palcami małe pęknięcie, nierówność po spodniej stronie plastiku w kolorze kości słoniowej i zaczął drapać go paznokciem. Drap. Drap. Drap. Jakby chciał wygładzić niewidzialną skazę i sprawić, by zniknęła, by każda najmniejsza część jego pięknego samochodu była równie piękna, co wszystkie pozostałe, widoczne i niewidoczne, widzialne i niewidzialne.

Drzewo nad jego głową porastały pnącza pokryte małymi białymi kwiatkami. Między nimi poruszały się buczące barytonem pszczoły, zrzucając niewielką lawinę zużytych pylników. Valdes widział, jak padają na jego dłonie, rękaw marynarki, wypolerowane skórzane siedzenie samochodu, niczym nieustępliwy śnieg. Wiedział, że na nim też lądują, nadają jego włosom siwy odcień, oznaczają upływ czasu jak drobny pył, który znajduje drogę do zapomnianych grobowców. Trzymał dłonie na kierownicy.

I wtedy po drugiej stronie parku, na innej ścieżce, zobaczył grupkę dzieciaków niosących książki i teczki, śmiejących się, kręcących, cały czas zmieniających szyk, gdy poruszały się w szeregu jak gęsi przepychające się na niebie. Była z nimi Caterina. Zauważył ją na końcu grupki. Rozpoznał jej błyszczące włosy i sposób, w jaki chodziła w tych uczniowskich tenisówkach, i ten płaszcz, koszmarne, straszliwe okrycie, który nosiła, by się schować w nadziei, że stłumi blask jej urody i uczyni ją niewidzialną. To nie działało. Lśniła po drugiej stronie parku pośród wszystkich pozostałych, które były śliczne tylko dzięki młodości, wszystkie piękne, a każda dokładnie tak samo jak pozostałe, w identyczny sposób, jak na jednym z tych dziewiętnastowiecznych obrazów, gdzie przystojny bohater natrafia na sadzawkę pełną najad, przepięknych i będących lustrzanym odbiciem wszystkich pozostałych. A wśród nich Caterina, inna, która nigdy nie miała być taka sama.

Oderwała się od grupki, pomachała ręką i zaczęła iść na skos przez trawę w jego stronę. Kiedy się zbliżała, pan Valdes zobaczył na ścieżce za nią kuśtykającą sylwetkę doktora Cochrane'a podążającego za grupką studentów, ale obserwującego dziewczynę, patrzącego, dokąd idzie, aż jego spojrzenie padło na śliczny zielony samochód parkujący pod drzewami. Doktor Cochrane szybko odwrócił wzrok, naciągnął kapelusz na oczy i wpatrzył się w ścieżkę. W mieście nie było drugiego takiego auta. Pan Valdes wiedział, że został rozpoznany, ale go to nie obchodziło.

Kierowała się w jego stronę jak podmuch wiatru na polu zboża, miękko, rytmicznie i w sposób, którego nie mógł wziąć do ręki ani zatrzymać, a on nie myślał już o niczym innym. Nie obchodziło go, że Cochrane ich zobaczył i wyciągnął pochopne wnioski. Ani że miał rację. Nie dbał o to, kto wiedział. Nie przejmował się, że Caterina była dla niego zbyt młoda, zbyt niewinna, zbyt czysta, zbyt nieokrzesa, zbyt dziecinna, by kiedykolwiek zostać matką jego dzieci. Nie liczyło się to, że nigdy nie będzie się dobrze czuła w klubie polo. Że się nim zmęczy, że wciąż będzie młoda, gdy on się zestarzeje, i zdradzi go z takim samym entuzjazmem, z jakim Maria zdradziła bankiera Marroma. Nie myślał o tym, że jego plan się nie powiódł, posiadał Caterinę, a słowa nadal nie nadeszły. Nie niepokoiło go nawet to, że jego plan uwodzenia obrócił się przeciw niemu, jakby mucha próbowała uwieść lep. To nie miało znaczenia. Wszystko to było nieważne. Liczyło się tylko, że szła przez trawnik w jego stronę, machając ręką, uśmiechając się, zdejmując kosmyk włosów z warg, młoda, prawdziwa i jego, jeśli tylko jej zapragnął, a owszem, pragnął jej.

Caterina położyła dłoń na rozgrzanej klamce drzwi od strony pasażera, a pan Valdez pochylił się, żeby nacisnąć guzik.

- Wybacz mi - powiedział. - Dama nie powinna być zmuszona do otwierania drzwi.

- Nie przejmuj się tym. Lubię cię, nawet kiedy zapominasz zachowywać się w rozkosznie staroświecki sposób.

- Dobre maniery nigdy nie wychodzą z mody - odparł. - Nawet jeśli o nich zapominam.

A później sam zaskoczył siebie, mówiąc:

- Ja też cię lubię.

Ciężar tych słów zawisł między nimi jak burzowa chmura, z której lada moment miał lunąć deszcz, a gdyby Caterina była mądrzejsza, choćby dwa lata starsza, gdyby nie była sobą, zbagatelizowałyby je jakimś głupiutkim umniejszającym komentarzem w rodzaju: „Och, ale ja tak naprawdę” i wszystko zostałoby zapomniane, jak otarte kolano albo stłuczony wazon.

Ona jednak powiedziała:

- Chano, dziękuję!

Zupełnie jakby przyniósł jej diamenty, jakby znów obsypał ją kwiatami i tym razem na poważnie, więc kiedy znów go pocałowała i stwierdziła:

- Ja też cię lubię. Bardzo. Bardzo, ale to bardzo - zabrzmiało to jak przysięga, która została poświadczona przed miejskim urzędnikiem i nie dało się jej zaprzeczyć.

Powoli oderwała wargi od jego ust, uśmiechnęła się i spytała:

- Gdzie jedziemy?

- Chcę ci pokazać pewne wyjątkowe miejsce. I mam ze sobą kosz piknikowy.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i gdy tak toczyli się cicho razem, on, Caterina i śliczny, zielony jak mięta, zielony jak ryba samochód, Valdes wyciągnął rękę, poprawił lusterko i wrócili na drogę.

Powiedziała coś, kiedy jechali, ale przy opuszczonym dachu wiatr porwał jej słowa. Przechylił głowę i nachylił się w jej stronę, zachęcając ją, by to powtórzyła, a ona obróciła się bokiem na siedzeniu i krzyknęła:

- Spytałam - wymówiła to słowo bardzo starannie i wyraźnie - czy gdyby w mieście odbywała się publiczna egzekucja, poszedłbyś na nią?

Na te słowa wybuchnął śmiechem. Między drzewami po drugiej stronie drogi pojawiały się błyski nurtu Merino.

- Powieszenie czy rozstrzelanie? - spytał.

- Może ścięcie na gilotynie.

- Albo łamanie kołem.

- Posłuchaj, nie ma znaczenia, w jaki sposób. Poszedłbyś?

Zastanawiał się, czy to podchwytliwe pytanie, coś, co można by potraktować jako wskazówkę co do jego charakteru, coś, co wymagało odpowiedzi i reakcji, podobnie jak wcześniejsze „Piszę”, coś, co podobnie jak tamto mogło zadecydować o jego losie.

- Nie, w żadnym wypadku. To obrzydliwe.

- Och, a ja tak. W jednej chwili. Bardzo chciałabym pójść.
- Caterina! Na litość boską. Chciałabyś zobaczyć, jak ktoś umiera?
- Nie. Nie sądzę, że z tego powodu chodziło się na takie rzeczy. W końcu ludzie umierają przez cały czas. To nic wielkiego.

Zwolnił, żeby usłyszeć jej odpowiedź.

- To po co?
- Nie dla umierania. To się dzieje każdego dnia.
- Dla zabijania?
- Tak, może dlatego. Nie, sądzę, że szli, by zobaczyć samą śmierć. Wszyscy umierają, ale oto jest ktoś, kto wie, że ma się to stać tu i teraz. I chodzi o to, jak to przyjmuje, czy kopie, szarpie się, walczy i stawia opór, czy po prostu się poddaje i pozwala, by to się wydarzyło? Czy zachowuje godność?

- W byciu zabitym nie ma nic godnego.

- Podobnie jak w utracie panowania nad jelitami na szpitalnym łóżku. Wszystko kończy się tak samo. Ale istnieje ryzyko, że zachowanie spokoju, powściągliwości i pogardy w obliczu śmierci zostanie ocenione jako dziecinna słabość i posłuszeństwo, wypełnianie rozkazów. Gdybym umierała w łóżku, chyba chciałabym, żeby wokół mnie była rodzina. Chciałabym, żeby ktoś trzymał mnie za rękę. Ale gdybym miała zostać stracona, nie jestem taka pewna. Nie podjęłam jeszcze decyzji. Nie potrafię zdecydować, czy przyjazna twarz w tłumie usztywniłaby nieco mój kręgosłup, czy też zasmuciłaby mnie tak bardzo, że bym się rozmasała. Tak czy inaczej, poszłabym. Choćby dla kolorytu. Dla emocji, żeby to poczuć i opisać. Podobnie jak sposób, w jaki promienie światła padają przez te drzewa, jak odgłos opon na drodze w tej właśnie chwili i upał, nawet sposób, w jaki uderza w nas pęd powietrza, kiedy jedziemy. Nie chcesz tego poczuć i opisać, co czujesz?

Tak. Bardziej niż cokolwiek Luciano Hernando Valdes pragnął poczuć i pragnął pisać, lecz nie miał nic do przekazania poza tym samym chudym żółtym kotem przechodzącym przez tę samą drogę i żadnych emocji poza radością z obecności tej dziewczyny, która siedziała obok niego.

- Tak - powiedział. - I to wszystko?

- Tak. - Uśmiechnął się do niej i w chwili, kiedy powinien powiedzieć jej prawdę, pokiwał głową jak idiota i powtórzył: - Tak.

- I tyle? Siedzę w tym cudownym samochodzie obok tego wspaniałego mężczyzny, który... jak powiadają... jest czołowym pisarzem swojego pokolenia, szanowanym wykładowcą i który nawet mnie lubi, a jedyne głębokie przemyślenia, jakie słyszę, to „tak”. Chano, chcę zostać pisarzem. Naucz mnie.

- Ale poza „tak” nic się nie da powiedzieć. Nie mogę cię nauczyć, jak zostać pisarzem. Jesteś nim. Czujesz i chcesz to przelać na papier. I tyle.

- I opowieści.

- Tak - zgodził się. - I opowieści.

- Wiesz, jesteś w tym świetny. - Pocałowała palce i przeciągnęła nimi po kostkach jego dłoni zaciśniętej na kierownicy. - Opowiedz mi historię.

- Przybyliśmy na miejsce - powiedział.

Pan Valdes skręcił z szosy na bitą boczną drogę, która biegła między niegdyś białymi domami, a ich samochód płoszył kurczaki. Wkrótce droga stała się pylista, bardzo zwolnili, a spod twardych opon samochodu leciały kamyki, aż dotarli do zarośli, które rzucały cień, a droga na tym odcinku była wilgotna, z niewielkimi koleinami.

- Czy wciąż jesteśmy na miejscu?

- Owszem, prawie. - Niemal wszystko, co mówiła, wywoływało uśmiech na jego twarzy. Silnik zamilkł, a hamulec ręczny zaśmiał się szorstko.

- To na pewno tu?

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

Nie było tam nic do oglądania. Droga kończyła się wąskim pasem trawy, wygryzionym przez bydło i otoczonym drzewami i krzakami. Pan Valdes wysiadł z samochodu i wyjął z małego bezużytecznego bagażnika kosz piknikowy z przykrywką na zawiasach. Caterina zauważyła metkę z ceną.

- Wydaje mi się, że to tutaj - powiedział i zaczął przepychać się między drzewami, gdzie wciąż pozostał ślad ścieżki. Odwrócił się, żeby zobaczyć, czy idzie za nim, a kiedy wyciągnęła rękę, wziął ją i zaczął ramieniem przeciskać się między krzakami, żeby zrobić dla niej przejście. - Jestem niemal pewien, że dobrze trafiliśmy.

Kawałek dalej natknęli się na zarys muru, przypominający jedno z tych zaginionych miast w głębi dżungli, które mówią o zapomnianych

rytuałach i krwawych ofiarach, katastrofach i upadku. W takich miejscach przez wiele pokoleń tysiące ludzi chodziło i kochało, bawiło się i walczyło, tworzyło muzykę i kulilo się przed mrocznymi bogami, a teraz zostały tylko pająki, koty i nagle wyłaniające się z ziemnych kopców wykrzywione kamienne twarze - jak również młodzi mężczyźni obwieszani aparatami fotograficznymi, którzy spoglądają w niebo, w stronę niewidzialnych sznurów satelitów oplatających ziemię i odnajdują swoje położenie - wbrew wszystkim otaczającym ich dowodom, że nic z tego nie ma znaczenia. Pan Valdes podążał ścieżką, wystarczająco szeroką, by zmieściła się na niej koza, potykał się na korzeniach drzew, próbując trzymać Caterinę za rękę i mężnie ją wspierać, aż mur zniknął. Przez chwilę był zaskoczony, aż uświadomił sobie, że po prostu dotarł do rogu, a tuż przed nimi malowała się luka, w której znajdowała się furтка.

- Wiedziałem, że to właściwe miejsce - powiedział, jakby ktoś w niego zwątpił, a teraz on udowodnił, że miał rację. Kopnięciem rozgarnął chwasty blokujące furtkę, podniósł ją na zawiasach i poruszył na tyle, że mogli prześlizgnąć się przez otwór.

- Chano, to cmentarz.

- Tak. - Częściowo precyzyjnie się już przez szparę.

- Dlaczego mnie tu zabrałeś?

- Nie boisz się, prawda? Minutę temu chciałaś udać się na publiczną egzekucję tylko po to, by zebrać doświadczenie.

- Nie, ale popatrz tylko. Chcesz, żebyśmy tam urządzili sobie piknik?

Zablokowany w furtkę, z jedną ręką wyciągniętą przed sobą i trzymającą koszyk piknikowy, a drugą za plecami, odwrócił głowę od Cateriny, spojrzął na malutki cmentarz i zobaczył go takim, jakim był naprawdę - zagubiony, nieodwiedzany, zapomniany i zarośnięty, zupełnie inny, niż go pamiętał. Cztery rzędy grobów, wszystkie zwrócone na wschód, by wschodzące słońce dnia chwały mogło obudzić umarłych, a każdy otoczony sięgającym kostki murkiem z białego marmuru, z zadaszonym nagrobkiem wyglądającym jak dom bez jednej ściany, zapuszczone i porośnięte kępami trawy. Zewnętrzny mur porastały pnącza. Żwirowe ścieżki niemal znikły.

- Przepraszam - powiedział. - Oczywiście masz rację. Co ja sobie pomyślałem?

- Tam mogą być węże.

- Tak, masz rację. - Zaczął wycofywać się przez wąski otwór w furcie. Żelazo naznaczyło przód jego koszuli plamami rdzy. - Czy miałabyś coś przeciwko, gdybym zostawił cię tutaj na chwilę? Mam coś do zrobienia.

Postawił koszyk piknikowy na ziemi, pochylił się, wyjął coś i znów precyzyjnie przesunął się przez furtkę.

- To tylko chwila. Idę tam. Nie będę daleko.

Pan Valdes szedł odrobinę wolniej niż zazwyczaj, ciężkim krokiem, starając się nie stawiać stopy w miejscach, gdzie pnącza tworzyły kępy, trzymając się ostatnich niezarośniętych miejsc na ścieżce, aby uniknąć węży. Kierował się w stronę przeciwległego muru cmentarza, gdzie zielsko zaczynało zarastać niewielkie białe mauzoleum z zamurowanymi oknami po obu stronach drzwi z brązu zdobionych secesyjnymi wzorami roślinnymi i z marmurowymi kolumnami, prostymi i eleganckimi jak skorupka jajka.

Wyciągnął rękę i zerwał długi pęd owinięty wokół dachu, a on pociągnął za sobą deszcz kurzu, ziemi, pajaków i zeschniętych brązowych kwiatów, które spadały z szelestem minionych lat. Przestał. To było bezsensowne i niemożliwe. Gdyby pracował przez wiele dni, gdyby przetrwał węże, pająki i brudny kurz opadający właśnie na jego szyję i między łopatki jak obcięte włosy podczas nieudanej wizyty u fryzjera, gdyby ciął, szarpał, składał na sterty i podpalał, mógłby odkryć grobowiec, ale po jego odejściu, w jednej chwili, po włączeniu ukrytego zielonego przełącznika, trawa i pnącza znów zaczęłyby się pnieć, z powrotem wspinać się w stronę słońca i znów wszystko zarastać. I tak powinno być.

Pan Valdes chwycił garść rozrzuconych liści, zebrał je razem i zaczął szorować starannie wyrzeźbioną kamienną płytkę przy drzwiach, aż brud, który ją wypełniał i wygładzał pismo, zniknął. Zajęło to trochę czasu. Poczul ból ręki. Zgrzał się i zdyszał, a kiedy przestał i cofnął się, ponieważ musiał odpocząć, udając, że ocenia swoje dzieło, odkrył, że obok niego stoi Caterina i wyciąga do niego rękę.

- Torre Blanco - powiedziała, odczytując tabliczkę.

- Rodzina mojej matki. Jest tu pochowany mój dziadek, admirał.

- A twoja babcia?

- Tak. Pewnie też. Nie poznałem jej. On mnie wychowywał. Widziałaś jego pałasz.

- Bohater.

- Zawsze tak sądziłem.

- Ale teraz już nie?

- Nadal. Czemu miałbym zmienić zdanie? Martwi nigdy nas nie zawodzą. Nie zmieniają się. - Pan Valdes puścił jej dłoń i podniósł butelkę karmelowego w kolorze rumu, którą pozostawił przy drzwiach grobowca. - Przywiozłem to dla niego. Libacja dla przodków.

- Wchodzisz do środka? - Próbowała ukryć drżenie głosu.

- Nie. Drzwi są zamknięte. Nie mam klucza. - Otworzył butelkę. - Będzie musiał zostać tutaj, na progu.

Stali razem w milczeniu, trzymając się za ręce, gdy opróżniał butelkę, wylewając jej zawartość na zamki i oblewając nią próg niczym podpalacz

Ostatnia kropla rumu wypłynęła z odwróconego naczynia. Alkohol błyszczał na marmurowym stopniu, pozostawiając ślady w kurzu i ziemi. Opary rozgrzanego, skarmelizowanego cukru podniosły się i wypełniły powietrze. Niewykluczone, że kilku kroplom udało się wcisnąć pod zamknięte brązowe drzwi, by zwilżyć od dawna wysuszone wargi admirała.

Caterina znów wzięła go za rękę.

- Gdyby był tam - wskazała na skromne groby, otwarte w stronę nieba - mógłbyś go nalać prosto do niego.

- To nie ma znaczenia. Oni nie są w stanie pić. Nawet jeśli nalać im prosto do ust.

A później, choć nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego to zrobił, stwierdził:

- Przepraszam. Gadam bez sensu. Ścisnęła jego dłoń.

- Jesteś gotów na piknik, który mi obiecałeś?

Wrócili do furtki, precyzyjnie się, zabrali koszyk i ruszyli od drzewa do drzewa kozią ścieżką z powrotem do samochodu.

Kiedy przebili się przez ostatnie zarośla, Valdes powiedział:

- Zabiorę cię do domu. Czowała się rozczarowana.

- A co z piknikiem?

- Jestem brudny.

- To nieważne. Możemy cię oczyścić.

Wyjęła chusteczkę z kieszeni jego marynarki - zawsze tam ją miał, a dzięki Bogu zostawił marynarkę w samochodzie.

- Ręce - powiedziała. - Jeszcze. I palce. Między palcami. Większość sama zejdzie.

Stała przed nim, bardzo niska i bardzo młoda, wyciągała ręce, żeby otrzeć jego twarz jego własną chusteczką.

- Nie jest tak źle - stwierdziła. - Zdejmij koszulę.

A kiedy to zrobił, otrzepała jego ramiona, wywróciła koszulę na lewą stronę, otrząsnęła ją i oczyściła kołnierzyk.

- Wystarczy. Teraz poczujesz się swobodniej.

I nie czekając na zaproszenie, usiadła na trawie i otworzyła koszyk, kiedy on zapinał guziki.

Znalazła aparat fotograficzny, który zabrał ze sobą, i uradowała ją myśl, że chciał uwiecznić ten dzień.

- Chano! Nie ruszaj się, pozwól mi zrobić ci zdjęcie. Uśmiechnij się.

Ale on odwrócił się do niej plecami, dopinając koszulę.

- Wyglądam koszmarnie. Wszędzie brud, a we włosach pajęczyny. Nie wolno ci teraz mnie fotografować.

- Ależ tak. - Rozległ się trzask migawki.

- Nie, Caterina, nie. Proszę. - Spojrzał na nią przez ramię, by sprawdzić, czy może się bezpiecznie odwrócić. To była głupia, kokieteryjna poza, jak u modelki, która aż za bardzo starała się wyglądać kusząco.

- Dobrze. Zaczekam, aż znów będziesz śliczny.

- Ale ty już taka jesteś. Daj mi aparat.

Wręczyła mu go bez słowa, nie ruszając się z miejsca, na którym klęczała na krótkiej trawie.

- Gotów? - spytała, po czym gwałtownie pochyliła głowę, aż włosy opadły jej na twarz, i znów ją cofnęła, a one otaczały jej głowę niczym żyjąca, poruszająca się chmura, ona zaś tkwiła pośrodku tego wszystkiego, uśmiechnięta, zadowolona, z wysoko uniesioną brodą i wyzywającym spojrzeniem.

Trzask!

A później zjedli. Zwyczajny, niewielki posiłek sprawił im przyjemność. Czasem to wystarczy. Nie wszystko jest ważne, znaczące

i magiczne jak wylanie rumu na grób dziadka. Po prostu urządzili sobie piknik.

Pod koniec, kiedy w milczeniu siedzieli razem na trawie, powiedziała:

- Chano, skłamałam. Bałam się cmentarza. Mój ojciec jest teraz w takim miejscu i kiedy go znalazłyśmy, miał ręce pełne ziemi, a teraz znajduje się w ziemi, ma ją w ustach i w oczach. Ona go wypełnia. Nie chcę być martwa. Pragnę żyć.

- A jednak przyszłaś i wzięłaś mnie za rękę.

- Tak. Mimo to.

Wstał, poszedł do samochodu i ostrożnie, samymi czubkami palców przekręcił gałkę włączającą radio. Grało tango. Niezmiennie, podobnie jak w kieszeni jego marynarki zawsze była czysta chusteczka.

- Chodź i zatańcz ze mną - powiedział.

- Nie umiem.

- Pokażę ci. Nauczysz się. - Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać, ona zaś przewracała oczami i udawała niechęć.

- Jak to możliwe, że potrafisz nauczyć mnie tańczyć, ale nie możesz nauczyć mnie pisać?

- Ponieważ nauczono mnie, jak się tańczy, ale nikt nie nauczył mnie pisać. Teraz tak, twoja dłoń tutaj, wyprostuj plecy, nie wpatruj się w stopy.

- Dlaczego to nie może być szczęśliwa muzyka? Tango zawsze jest smutne.

- To inny rodzaj spełnienia. Przestań próbować. Ale nie w tych butach. Musimy kupić ci lepsze, na obcasie. Przyciśnij się do mnie, poruszaj się ze mną, zapomnij o tańcu i udawaj, że jesteś w łóżku. - Ukrył wargi w jej włosach, blisko jej ucha, i szepnął: - Wszystko.

Wtuliła się w niego.

- Wszystko.

Muzyka ucichła i zapanowała cisza, kiedy trzymali się razem, a później rozległy się krótkie oklaski i ktoś chrapliwym głosem powiedział:

- Brawo, brawo.

Odwrócili się i zobaczyli staruszkę stojącą na krawędzi ścieżki, ubraną w czerń i niosącą motykę przerzuconą przez ramię.

- Bonito (Hiszp. pięknie (przyp. tłum.)) - stwierdziła. - Jak to ładnie wygląda, kiedy mężczyzna tańczy tak ze swoją córką. Bonito. Caterina roześmiała się, a chwilę później zrobił to również Valdes.

Przygotowanie numeru „Salonu” to przedsięwzięcie trwające całe miesiące. Trwa całymi miesiącami, ponieważ tyle właśnie zajmuje wydawcom opracowanie planu wydawniczego. Całymi miesiącami zachęcają swoich autorów, jak wędkarze poruszający muszkami przed pyskami głodnych pstrągów, namawiając, przymilając się, błagając, żądając, obiecując, że ta książka o cygarniczkach Napoleona - przerastająca wszystkie inne książki na temat cygarniczek Napoleona kiedykolwiek opublikowane w tym czy innym wydawnictwie - jest po prostu największą, najcudowniejszą, najważniejszą, najbardziej wartościową książką o cygarniczkach Napoleona, jaką znał świat. Całymi miesiącami udoskonalają swoje drżące, pozbawione tchu, dziewczęce podniecenie, gdy wybuchają i mdleją - „Wszyscy jesteśmy bardzo, ale to bardzo podekscytowani tym projektem, kochanie, uradowani i uszczęśliwieni, że postanowiłeś z nami współpracować!” - nawet jeśli nikt nie potrafi sobie przypomnieć tytułu publikacji. Zajmuje to całe miesiące, ponieważ trzeba zaprojektować okładki, a później raz jeszcze powtórzyć cały proces, ponieważ, wiecie, złożenie tytułu czcionką bezszeryfową może zmienić wymowę całej książki. Trwa to całymi miesiącami, ponieważ są obiady do zjedzenia, małe przekąski na wykałaczkach do pogryzania, martini do sączenia. Miesiącami zwodzą hurtowników i księgarnie, delikatnie całując i pieszcząc, jak te nie do końca wystarczająco seksowne dziewczęta, które nigdy nie trafiają na ekran, ale wciąż odgrywają niezwykle ważną rolę w tych szczególnych pokazach w Tivoli, szepcząc o pewnej niezwyklej książce, aż napięcie staje się niemal nie do zniesienia. To zajmuje całe miesiące. I na całe miesiące przed publikacją senor Juan Ignacio Correa z „Salonu” musi zdecydować, które książki zostaną zaszczycone recenzją, starannie dobrać odpowiedniego recenzenta do danego tytułu, dać im zlecenie i czekać. Musi czekać całymi miesiącami, ponieważ recenzowanie ważnych książek to istotna sprawa. Tego nie da się przyspieszyć. To też zajmuje całe miesiące. Mijają całe miesiące nim zawodowa zazdrość stygnie do lodowatej goryczy. Całe miesiące są niezbędne, by wyostrzyć te małe odłamki nienawiści, stworzyć z nich doskonały sztylet, policzyć żebra i pchnąć. Całe miesiące zajmuje wykucie idealnego zdania, które w kilku krótkich słowach pokaże wyrafinowanemu czytelnikowi, o ile lepsza byłaby ta książka, gdyby to recenzent ją napisał - gdyby tylko o tym pomyślał i

wykonał tę pracę. To zjadliwe spostrzeżenie, ten błyskotliwy, gryzący epigram rzucony nad kolacją, ta chwila spontanicznego dowcipu - myślicie, że to się samo napisze? To wymaga praktyki. Długich miesięcy praktyki. Wszystko to trwa całymi miesiącami, przede wszystkim dlatego, że całe miesiące przeznaczono na to zadanie.

Tuż obok siedziby „Salonu” znajduje się siedziba „Wieści Porannych”. Ich redaktorzy nie potrzebują całych miesięcy, by przygotować kolejny numer. Każdej nocy wielkie prasy drukarskie wprawiane są w ruch, budynek drży, a tysiące egzemplarzy gazety drukuje się, składa, piętrzy w sterty, wiąże, ładuje na ciężarówki, wiezie na dworzec kolejowy i gotowe. Następnego ranka redakcja „Wieści Porannych” przychodzi do pracy i zaczyna od nowa. Codziennie przygotowują nowy numer gazety, ponieważ mają tylko dobę, żeby to zrobić.

Teraz, zamiast zwyczajowych miesięcy, señor Juan Ignacio Correa miał zaledwie dziesięć dni, żeby stworzyć nowy numer „Salonu”. Wszystko, co przygotował w ciągu ostatnich trzech tygodni, stało się bezwartościowe w chwili, kiedy panna Marta Alicia Cantaluppi otworzyła list. Musiał zacząć od zera. Było to oczywiście niemożliwe, ale skoro nie miał innego wyboru, postanowił to zrobić.

Siedząc przy biurku w swoim gabinecie z Martą Alicią, która opierała notatnik na sztywno skrzyżowanych nogach, Correa ukrywał głowę w dłoniach, próbując zwalczyć falę paniki, a jednocześnie koszmarnego kaca. Piękne kostki panny sekretarki, widziane przez klatkę palców, pocieszały go w godzinie próby, ale nic nie dodawało mu otuchy tak, jak wściekłość i bezradność jego rywali. Biedna Fernanda Maria. Biedny Salvade. Wydawali się tak nieszczęśliwi, a kiedy wyszli i zostawili całą tę brandy, cóż, głupotą byłoby jej nie wypić. Pociągnął kolejny łyk kawy i przygotował się.

- Marto Alicio, pamiętasz, jak kazałem ci nie mówić o tym nikomu?

- Oczywiście, señor Correa. Milczałam jak grób. Nie powiedziałam nawet własnej matce. Nie puszcę pary z ust.

- Tak, ale wszystko się zmieniło. Teraz chcemy, żeby ludzie wiedzieli.

- Rozumiem. Cóż, czy señor Salvade i señora Espinosa nie zrobią tego za nas?

- Nie ma mowy. Ta dwójka? Szkoda, że nie widziałaś ich twarzy. Jak para zakonnic na konkursie pierdzenia. Nie, oni będą siedzieć cicho. Kto po czymś takim kupi ich pisma? Nie dostaną nawet linijki reklamy, a my zamieścimy ich całe mnóstwo.

Correa podniósł z biurka makiety następnego numeru „Salonu”. Były śliczne, najlepsze, jakie kiedykolwiek wymyślił. Z każdym miesiącem robił się w tym coraz lepszy. Brandy z poprzedniego wieczora wciąż wypełniała jego żyły i kartki uderzały o siebie, kiedy trzymał je w dłoniach. Mocno chwycił papier i rozerwał na dwie części.

- Dobra! Do roboty. Teraz mamy stronę tytułową z jednym słowem i cztery strony tekstu. Musimy to rozdmuchać. Rób notatki. Zapisujesz to?

- Wszystko, co pan powie, panie Correa.

- Dzięki Bogu, bo kiedy jestem twórczy, lepiej nie uronić ani słowa.

Marta Alicia wpatrzyła się w notatnik. Wydawał się bardzo pusty. Po chwili popełniła ten straszliwy błąd i postukała w pustą kartkę różową gumeczką na końcu ołówka.

- Przestań - powiedział. Była bardzo cicho. On też.

Marta Alicia próbowała odezwać się zachęcająco.

- Podobało mi się to, co mówił pan o rozdmuchaniu.

- Tak. Tak, to właśnie musimy zrobić.

- To bardzo mądre.

- Problem polega na tym, moja droga, że mamy tu klejnocik, a ja jestem jubilerem. Valdes poszedł do tej swojej kopalni i walił kilofem. I co z tego? Wielka mi rzecz! Dał nam diament, ale mały i zabrudzony. Moje zadanie to wypolerować go i ukazać w odpowiednio eleganckiej oprawie. Ci...

- Senor Correa poczuł nagle mdłości i musiał przełknąć żółć, która paliła jego gardło, a później, prawie nie przerywając i z nadzieją, że Marta Alicia nic nie zauważyła, ciągnął: - Ci pisarze, oni uważają się za artystów. Ale to my nimi jesteśmy. My. Mówimy ludziom, co dobre i co ma im się podobać, a oni się z tym zgadzają.

Senor Correa znów wpatrywał się w biurko, jakby nagle wyczerpały mu się baterie.

Panna Cantaluppi uznała swój ołówek z gumką za niemal nieodparcie atrakcyjny.

- To znaczy, rzecz jasna, ilustracje zajmą dużo miejsca.
- Tak - zgodził się. - Tak. Obrazki na całą stronę.
- To może podwoić rozmiar opowiadania.
- Dokładnie. Właśnie o tym myślałem.
- Robię notatki - rzuciła. - To genialne. Niewiele się działo.

Panna Marta Alicia Cantaluppi była nie tylko niezmiernie kompetentna, ale też bardzo życzliwa, a poza tym, że miała wyjątkowo ładne nogi i od tyłu wyglądała równie fantastycznie jak wszystko, co można zobaczyć, płynąc vaporettem po Canale Grande w Wenecji, parzyła doskonałą kawę. Dlatego zaproponowała, że ją zrobi, co stanowiło sposób, by połączyć w jedno życzliwość, kompetencję i wspaniały widok od tyłu.

- Czy ma pan ochotę na kolejną kawę? - spytała.
- Dobry pomysł - odpowiedział. Przyniosła filiżankę i stwierdziła:
- Nie będę panu przeszkadzała w pracy. Proszę mnie wezwać, jeśli będzie mnie pan potrzebował.

A kiedy on pracował, Marta Alicia zajęła się najważniejszą sprawą.

Zajrzała na tył kalendarza, który leżał na jej biurku, i wyciągnęła numer doktora Alberto Saumareza z Universidad Real. Zadzwoiła, a on odebrał.

- Doktor Saumarez? - spytała panna Cantaluppi, jakby nie miała pojęcia, że to jego numer, jakby wybrała przypadkowy ciąg cyfr i równie dobrze mogła rozmawiać z tą młodziutką fryzjerką, o której nie powinna wcale wiedzieć.

- Tu Marta Alicia Cantaluppi z biura señora Correi z „Salonu”.

On coś powiedział. Ona zaśmiała się krótko, kończąc swój śmiech dźwiękiem przypominającym odgłos pękającej nóżki kieliszka do szampana, i odparła:

- Taaak.

A później wyjaśniła, że ponieważ doktor Saumarez uchodził za największy autorytet w odniesieniu do twórczości L.H. Valdeza, był jej pierwszym wyborem - oraz señora Correi - by przygotować niezwykle ważną krytyczną ocenę nowego opowiadania, które miało ukazać się w najbliższym numerze.

Wyjaśniła, że naturalnie kwestia ta jest niezwykle delikatna i z tego powodu doktor Saumarez musiałby opuścić uniwersytet i przeczytać opowiadanie w siedzibie „Salonu”, a ponieważ liczyło zaledwie cztery

strony, z braku miejsca mógł dostać jedynie dwadzieścia stron na swoje przemyślenia.

Tak, zgodziła się panna Cantaluppi, to obelga i zniewaga, ale najgorsze miało dopiero nadejść, ponieważ ze względu na presję czasową doktor Saumarez musiałby przygotować swoją niezwykle wartościową recenzję w ciągu najpóźniej tygodnia.

Zgodziła się, że to niemożliwy termin, i owszem, wiedziała, kim jest, i przeprosiła za zmarnowanie jego czasu i oczywiście miał rację, tylko pismak mógłby natłuc coś takiego w tak krótkim czasie, więc może lepiej, gdyby zapomnieli o całej sprawie, a ona zadzwoniłaby do doktor Salgado.

- Tak - powiedziała - do tej doktor Salgado. Doktor Celestiny Salgado z Universidad Catolica.

Panna Cantaluppi musiała przyznać, że nie zna osobiście doktor Salgado, która rzeczywiście mogła okazać się suką, ale była gotowa napisać ten artykuł, i nim powiedziała cokolwiek więcej, doktor Saumarez się zgodził. Właściwie to nalegał. A dokładnie zażądał napisania krytycznej oceny nowego opowiadania i obiecał, że w ciągu godziny zjawi się w biurze.

Później panna Cantaluppi sięgnęła po interkom, zadzwoniła do działu reklamy i kazała anulować wszystkie umowy odnoszące się do następnego numeru i znów sprzedać to samo miejsce - ale dwadzieścia pięć procent drożej. Skontaktowała się z produkcją i poleciła dodać jeszcze szesnaście stron, po czym znów wykręciła numer działu reklamy i powiedziała, żeby sprzedali szesnaście reklam na całą stronę. Kazała im zadzwonić do producenta piór Mont Blanc, do domu mody Louis Vuitton i hotelu Imperial, do każdego, kto sprzedawał zwyczajne rzeczy w rodzaju piór, torebek i pokojów hotelowych w niewiarygodnej cenie, i zaproponować zwyczajną reklamę na całą stronę w niewiarygodnej cenie.

Głos panny Cantaluppi brzmiał stanowczo.

- Powiedzcie im, że przygotowujemy wydanie specjalne z nowym dziełem L.H. Valdeza. Że mają czas do końca dzisiejszego dnia roboczego, by podpisać, a przede wszystkim podkreślcie, że kontaktujecie się z nimi w całkowitym zaufaniu i pełnej tajemnicy. Señor Correa był w tej kwestii stanowczy. Koniecznie powiedzcie, że to sekret. Zrozumiano? To do roboty.

Spojrzała w prawo. W swoim szklanym gabinecie Correa wpatrywał się w pustą kartkę na blacie biurka, które trzymał z obu stron, żeby się nie obracało. Panna Cantaluppi nie mogła tego wiedzieć, ale zastanawiał się, czy dałoby się bezpiecznie puścić je z jednej strony, tylko na chwilę, żeby sięgnąć po metalowy kosz na papiery, na wypadek, gdyby zrobiło mu się niedobrze. Spojrzał na nią smutno, a ona pospieszyła do jego gabinetu.

Stała na jednej nodze, zaglądając do pomieszczenia z ręką na gałce drzwi. Jasny sygnał: „Spieszę się. Nie będę się zatrzymywać”.

- Tak sobie myślałam - powiedziała. - Te wszystkie recenzje na końcu, one są w pewnym sensie ograniczone czasowo, sam pan wie. To znaczy, te książki i tak wychodzą, niezależnie od Valdesa.

- Tak - zgodził się.

- To je zatrzymujemy?

- Tak.

- Tak właśnie sądziłam. - Zebrała podarte kartki z jego biurka. - Dopilnuję, żeby zostały odtworzone. I zajmę się kwestią ilustracji, które pan zaproponował. Jeden z naszych grafików czy mam zapytać kogoś wyjątkowego?

Spojrzał na nią jak zagubiony spaniel, który miał swoje dziesięć dni w schronisku, a ponieważ nikt się po niego nie zgłosił, musiał teraz iść do uśpienia, i nic nie powiedział.

- Ktoś z naszych. Tak myślałam. A ta analiza krytyczna, o którą pan prosił... żeby towarzyszyła opowiadaniu...

- Analiza.

- Tak. Wciąż pan jej chce, prawda? Mogę ją odwołać, jeśli pan woli.

- Nie, oczywiście, że nie. Podjąłem decyzję. Jest absolutnie niezbędna. Oprawa dla diamentu. Nie możemy po prostu rzucić ludziom tego tekstu. Musimy dać im go i powiedzieć, że go dostają.

- Właśnie. To gotowe. Wszystko skończone. Znów pan tego dokonał, senior Correa. Do końca dnia pracy będzie miał pan wszystko na biurku i do zrobienia pozostanie tylko pański wstępniak. Lepiej, żeby był niesamowity.

- Będzie musiał poczekać do jutra. Wracam do domu. Musiałem się czymś struć. Ruszt już nie jest taki jak kiedyś.

Senor Correa zdjął marynarkę z wieszaka w kącie gabinetu i ruszył w stronę windy, postanowił jednak skorzystać ze schodów. Wydawały się stabilniejsze.

O czternastej dwadzieścia panna Cantaluppi zaczęła odbierać telefony z pytaniami, czy to prawda, że w „Salonie” ukaże się nowy tekst Valdesa. Kierowała wszystkich do redaktora, który przebywał na spotkaniu. O czternastej czterdzieści dział reklamy zadzwonił z informacją, że całe dodatkowe miejsce zostało wyprzedane, i wtedy właśnie panna Marta Alicia Cantaluppi zyskała pewność, że pewnego dnia, już niedługo, zostanie redaktorką „Salonu”.

Jej szansa pojawiła się zaledwie sześć miesięcy później, kiedy senor Juan Ignacio Correa odszedł nagle i niespodziewanie, siedząc ze spuszczoneymi spodniami na tyłach salonu fryzjerskiego. Jego nastoletnia przyjaciółka klęczała przed nim, a żona stała za nim z pistoletem. Po stosownym okresie żałoby właściciel „Salonu” dał tę pracę swojemu siostrzeńcowi.

Kiedy wracali do miasta z zagubionego cmentarza, Caterina stwierdziła:

- Wkrótce nadejdzie lato.
- Już jest - powiedział.
- Ale wtedy nie ma zajęć na uniwersytecie. - Tak.
- Muszę wracać do domu. Spojrzał na nią z zaskoczeniem.
- To znaczy na wieś?
- Tak. Do domu na wieś.
- W góry?
- Tak, Chano, do domu na wieś w góry.

Pusta butelka po rumie zagrzechotała na tylnym siedzeniu. Uniósł się zapach spalonego karmelu, ciepły i ostry, aż zmieszał się z oparami benzyny mijających samochodów i zniknął, jak deszcz rozpluwający się w morzu.

- Musisz jechać?
- Czekają na mnie. Mój brat. Potrzebuje pomocy. - I twoja matka.
- Tak. Lubi się ze mną spotykać. A ja z nią.
- Ale to nie jest konieczne.
- Owszem, Chano.
- Nie.

- Chano, posłuchaj mnie. Muszę. Muszę pojechać do domu. Pan Valdes nic nie mówił. Właśnie zebrał się na odwagę, żeby się odezwać, kiedy znaleźli się na odcinku autostrady prowadzącym do tunelu, który miał doprowadzić ich z powrotem do alei Cristóbal, i ryk samochodów uniemożliwił rozmowę.

Na sklepieniu jarzyły się jaskrawe kwadratowe lampy. Rzucał jej krótkie spojrzenia z ukosa, patrząc na kształt poruszających się świateł, błyszczących na masce, odbijających się od przedniej szyby, oświetlających jej twarz i znikających, równie regularnych jak sygnały latarni morskiej. Wpatrywała się prosto przed siebie, celowo odwracając od niego twarz, a później wyjechali z tunelu i światło słońca zalało ją tak, że przez chwilę zniknęła w chwale.

- Posłuchaj - powiedział.
- Chano, czy mógłbyś patrzeć na drogę?
- To ważne.

- Muszę jechać. - Sięgnęła do kierownicy i dotknęła jego dłoni, muskając palcami knykcie, jak zrobiła to wcześniej. - Wróć. Wróć.

Powiedziała to tak, jakby mówiła do psa przywiązanego do latarni albo dziecka po raz pierwszy zostawionego w szkole.

A on jak uczeń odparł:

- Wiem. To nie twój powrót mnie martwi, ale wyjazd. Nieobecność. Caterino, nie chcę, żebyś mnie opuszczała. Nie rób tego.

Teraz patrzyła na niego. W jego głosie kryło się coś, co kazało jej spojrzeć. Zaledwie przed kilkanaście godzinami powiedział: „Lubię cię”, a teraz był gotów przyznać, że chciałby, by została.

- Caterino, pewnie uznasz to za dziwne - powiedział, po czym zaklął, wjechał samochodem w wolne miejsce przy chodniku, odbił się kołem od krawężnika i zaparkował. Odwrócił się do niej i ciągnął: - Proszę, nie wyjeżdżaj. Zostań ze mną, jeśli chcesz. Jeśli chodzi o pieniądze, tym nie musisz się martwić. Mam ich dużo.

- Nie mogę żyć na twój koszt.

- Ależ tak. Mam mnóstwo pieniędzy.

- Na litość boską, sam siebie posłuchaj. Czy tak właśnie myślisz? Uważasz, że jesteś bogaty, a ja biedna, więc możesz mi zapłacić, żebym została tu na lato? A może miałeś zamiar płacić mi za każdą noc... albo za godzinę? Nie mogę wziąć twoich pieniędzy. Dziewczyny nie powinny tego robić. Kim bym wtedy była, Chano?

- Zostań ze mną.

- Chano!

Odwróciła się i sięgnęła gorączkowo do klamki. Nie zdążył jej złapać. Minęła sekunda albo dwie, nim otworzył drzwi kierowcy i tak je zostawił, sam zaś obiegł samochód, by ją dogonić.

Chwytał dziewczynę za ramiona, a ona się szarpała, ale niezbyt mocno. Wystarczająco, by pokazać, że nie chciała odejść.

- Zostań ze mną, Caterino. Proszę cię.

- Nie. Nie zrobię tego. Nie będę twoją dziewczyną.

- To zostań i bądź moją żoną.

- Ludzie się gapią.

- Już mnie to nie obchodzi.

- Zacznę krzyczeć.

- Proszę bardzo, jeśli chcesz, tylko na litość boską powiedz „Tak”.

Zwisła w jego objęciach.

- Chano, nie. Nie mogę za ciebie wyjść. Nie.

- Owszem. Tylko zgódź się. Wyjdź za mnie. Będzie dobrze. Jestem stary. Wkrótce umrę.

- Przestań tak mówić.

Trzymał ją mocno, niemal unosząc nad ziemię, a ona była tak drobna i tak śliczna, zapach jej włosów wypełniał go i przypominał mu Marię i te wszystkie inne kobiety w tym mieście, we wszystkich wioskach wzdłuż rzeki, w stolicy. Spojrzał z powrotem w stronę swojego pięknego samochodu, ze śladem chodnika na białych oponach, z otwartymi drzwiami, obok których przeciskały się autobusy, i chciał podbiec do niego i zatrzaskać drzwi. Myślał o lodzie w wysokiej szklance i wspaniałej, ściskającej gardło goryczy soku z limonki przy stole madame Ottavio, dziewczętach spacerujących powoli po ogrodzie, zatrzymujących się pod drzewami, wspinających po schodach i zastanawiał się, czy z tym już koniec. Czy to możliwe? I pomyślał o chudym żółtym kocie, tym samym kocie nieustannie przechodzącym tę samą drogę, i zapragnął, żeby to się skończyło. Chciał znaleźć sposób, żeby było dobrze, a ona była tym sposobem.

- Przestanę. Przestanę, jeśli za mnie wyjdiesz. Caterina płakała.

- Nie musisz się ze mną żenić - powiedziała. - Zostanę. Nie wyjadę. Możemy żyć tak jak dotychczas. Zrobię, cokolwiek powiesz. Będę, kimkolwiek zechcesz.

- To zrób, co ci mówię. Wyjdź za mnie. Bądź tym, kim zechcę. Zostań moją żoną.

A wtedy ona, biedne dziecko, powiedziała:

- Tak.

Za niewiele dni miał ją zabić.

Było tak wiele rzeczy do omówienia, ale nie rozmawiali. Poszli do łóżka, a kiedy przyniósł jej szampana, powiedział:

- Wiesz, że będziesz musiała poznać moją matkę. Jęknęła i zakryła twarz poduszką.

- Nie ma co się ukrywać.

- Ty będziesz musiał poznać moją - stwierdziła, ale nie słyszał jej, dopóki nie zabrał poduszki. - Będziesz musiał poznać moją.

- Tak, na pewno. Wkrótce. - Jego słowa znaczyły: „Pewnego dnia. Nigdy. Powinnaś zapomnieć o wsi”.

- Stoi tam śmieszny mały kościółek. Mam nadzieję, że pomieści wszystkich.

Pan Valdes przeciągnął krawędzią zmrożonego kieliszka wzdłuż jej ramienia.

- Poradzimy sobie. - Czyli: „Weźmiemy ślub w katedrze, a udzieli go nam biskup, moja matka zaś zabiłaby cię i zjadłaby na surowo twoją wątrobę, zanim pozwoliłaby ci zaciągnąć się w góry”.

A później dodał jeszcze:

- Tak czy inaczej będziesz musiała poznać moją matkę. - W sposób, który znaczył: „Będziesz musiała zostać zabrana do dobrych sklepów, aby ci kupić ubrania, kobiece stroje, nie te dziecinne łaszki, które zawsze nosisz, nie rzeczy robotnika ani studenta, a przede wszystkim wybierzemy ci jakieś buty”.

- Tak, będę musiała poznać twoją matkę. Żeby mogła mnie sprawdzić, przepytać i oficjalnie zaakceptować.

- Trzeba będzie cię jej przedstawić. - Jego słowa oznaczały: „Nie sądzę, by moja matka cię zaakceptowała. Nie masz czego szukać w klubie polo, być może wyrzucą mnie z twojego powodu z uniwersytetu, a szefowie działów literackich w połowie czasopism na świecie padną na biurka ze śmiechu, kiedy się o tym dowiedzą, ale mnie to nie obchodzi, ponieważ cię potrzebuję, i tak się z tobą ożenię”.

Caterina powiedziała:

- Kiedy poznam twoją matkę, czy czeka mnie sprawdzenie dziewictwa? Gdyż obawiam się, że ten test mogę oblać.

- Kluczem do zdania egzaminów jest nauka. I jeszcze więcej nauki.

- Muszę szczerze przyznać - pociągnęła kolejny łyk szampana - że nieszczęśliwie mi w tym pomagałeś. Właściwie, jeśli oceniać cię jako nauczyciela dziewictwa, twoja największa wielbicielka... a sądzę, że ja

nią oficjalnie jestem... musiałaby przyznać, że kompletnie się nie nadajesz.

Uklonił się lekko, niczym artysta doceniający pełną zachwyty widownię.

- To oczywiście żadne usprawiedliwienie, wiem - powiedział. - Ale jako pedagog stwierdzam, że miałem uczniów, którzy z większym entuzjazmem zajmowali się nauką. Patrząc na wyniki twoich ostatnich egzaminów, trudno się nie zastanawiać, czy dziewictwo jest rzeczywiście twoim powołaniem. Z drugiej strony, gdybyś miała ochotę przenieść się na kierunek „Przyjemność i hedonizm”, dam ci doskonałe referencje.

- Tego nie chcę - powiedziała.

- A czego?

- Czy są wolne miejsca na wydziale „Miłość”? Pragnę cię kochać, Chano, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Chciałbym, żebyś kochała mnie aż do dnia mojej śmierci. Nawet bardziej niż teraz, mocniej każdego dnia, trzymała moją rękę aż do ostatniej chwili i pożegnała mnie pocałunkiem.

- Tego popołudnia odkryłeś, że mnie lubisz, a teraz chcesz, żebym kochała cię aż po grób.

- Powiedziałem, że cię lubię, ale wiedziałas, co mam na myśli. Tak, chcę, żebyś kochała mnie aż po grób, i byłbym zaszczycony, gdybyś pozwoliła mi cię kochać, okrywać cię pocałunkami, obsypywać diamentami i futrami i wypełniać ramiona dziećmi, silnymi synami i pięknymi córkami. Kochać cię jest rozkoszą i radością ponad wszystko, co sobie kiedykolwiek wyobrażałem i na co zasłużyłem. Ale najpierw musisz poznać moją matkę.

Pan Valdes bardzo przypominał nas wszystkich. Niewielu z nas jest doskonałymi tancerzami, świetnymi graczami w polo, pisarzami o światowej sławie i szanowanymi uczonymi. Bardzo nieliczni mają wspaniałe stare samochody albo wystarczająco dużo pieniędzy na koncie, by nigdy się niczym nie martwić. Ale w większości wierzymy, że jesteśmy dobrzy. Uważamy się za w miarę przyzwoitych ludzi, raczej nam wyrządzano krzywdę niż my ją wyrządzaliśmy, a jeśli życie nie wyszło dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy, jeśli nie mamy wszystkiego, na co liczyliśmy, jeśli nasze osiągnięcia nie były tak ogromne, jak by być mogły, a nasze rozczarowania odrobinę większe, jeśli

pozostawialiśmy za sobą nieszczęście innych, niezmiennie stanowi to efekt okoliczności, a nigdy naszej nieudolności, umyślnej złośliwości czy samolubstwa. Poza ojcem Gonzalezem, ci, którzy wierzą w niebo, są również pewni, że do niego trafią.

To samo dotyczyło pana Valdeza. Jego wspaniała umiejętność zagładania w głąb dusz i rozkładania ich na kartach, by inni mogli się im przyjrzeć jak żabom na stole sekcyjnym, rozciętym i przypiętym szpilkami, nie rozciągała się na niego samego. Jego akty cudzołóstwa należały do przeszłości, a ponieważ nie dało się ich policzyć, stawały się trywialne i niegodne uwagi. Jego odwiedziny w domu Ottavio, dziewczynki, których imion nie znał i których twarzy nie zapamiętał, traktował jedynie jak transakcje, niczym kupowanie garnituru lub tankowanie samochodu. Maria została zapomniana, nie miał długu wobec Ernesta, to, co pisał w recenzjach, było po prostu zabawne, błyskotliwe, dowcipne - nie okrutne ani niszczyielskie - zachowywał się jak na oddanego syna przystało oraz nie ulegało dla niego wątpliwości, że ślub z Cateriną uczyni ją szczęśliwą i odmieni jej życie.

A gdyby ktoś zwrócił mu uwagę, że nie poprosił Cateriny o rękę, lecz jej to nakazał, żądał raz za razem, aż w końcu się zgodziła, spojrzałby na tę osobę z konsternacją, ponieważ uznawał za oczywiste, że to, czego pragnął, było tym, czego ona również chciała. Dlatego kiedy powiedziała: „Muszę się w coś ubrać, jeśli mam poznać twoją matkę”, usłyszał to, co chciał usłyszeć.

Pan Valdez umiał napisać zdanie eleganckie jak łabędź, ale jego frazy przypominały dania podawane renesansowym książętom: łabędź faszerowany gęsią, faszerowaną kapłonem, faszerowanym kurą, faszerowaną kurczakiem, faszerowanym kuropatwą, faszerowaną skowronkiem, warstwa za warstwą, jedna w drugiej, czekające na odkrycie, a wyglądające jak łabędź. Kiedy czytał i słyszał słowa innych, spodziewał się, że też będą się w nich kryły dodatkowe pokłady znaczenia. Czasem się mylił. W słowach Cateriny nie było żadnych podtekstów - nie w tym, co mówiła. Kiedy mówiła: „A nie wolałby pan seksu?”, kiedy powiedziała: „Chciałabym cię kochać, Chano, jeśli nie masz nic przeciwko”, kiedy napisała: „Piszę”, to było wszystko. Prosta prawda. Żadnych warstw. Wydawało mu się to absolutnie nie do pojęcia.

Kiedy wypili szampana i wzięli razem prysznic, a on wyszorował się z pyłu cementarza i delikatnie zmył z niej zapach swojego potu, zjechali razem windą i poszli na zakupy. Przy alei mieścił się sklep, o którym wspominała Maria, i tam właśnie się udał. Popęłnił błąd.

Sklep był dostojny jak przedsionek u ambasadora. Pachniał liliami, a w środku stały przy tylnej ścianie dwie kobiety - takie jak Maria - pełne wdzięku jak czaple, szepcząc do siebie. Jedna z nich uniosła jaskrawą żółtą sukienkę i zachichotała. Caterina czuła się skrępowana i zażenowana, nawet trochę zawstydzona, a jej niepokój przeskoczył na niego jak iskra. Tkwiła tam w tych swoich głupich tenisówkach - dlaczego ciągle je nosiła, skoro pierwszego dnia miała szpilki? - i tym bezkształtnym, brązowym, luźnym płaszczu, nie tak jak brązy, które nosiła Maria, nie miodowym, nie w ciemnym odcieniu melasy, lecz w kolorze zgnilizny, grzybów i kompostu. Wyglądała jak intruz. Położył jej dłonie na ramionach i łagodnie ściągnął okrycie.

Nie opierała się. Była zbyt oszołomiona, jak heretyk rozbierany do egzekucji, kiedy drewno już płonie.

- To nie miejsce dla mnie - powiedziała.

- Bzdura. Doskonale trafiliśmy. - Znów nie słuchał. - To tylko przeskok.

Po wyciszającym kroki dywanie zbliżała się kobieta, blada, bezkrwista jak wampir, z nieprzeniknioną, niedającą się odczytać twarzą pod maską kosmetyków, koścista, przypominająca deskę postać składająca się z kantów - i patrzyła na Valdesa, nie na Caterinę. Omijała ją wzrokiem.

- To zbyt wielki przeskok. Nie tego potrzebuję.

- W czym mogę panu pomóc? - powiedziała kobieta.

Nawet dla Valdesa, przyzwyczajonego do siedzenia w cichym ogrodzie, gdzie wyjaśniał swoje wymagania i dokonywał wyboru, to było brutalne objawienie.

- Dlaczego zwraca się pani do mnie? - spytał.

Nie odpowiedziała. Caterina zauważyła, choć Valdes nie, że pomalowana brew kobiety zadrżała jak seismograf w Paryżu, kiedy w ogrodach cesarza Japonii granat spada z drzewa.

- Dlaczego zwraca się pani do mnie? - powtórzył. - Dlaczego nie mówi pani do tej damy?

- Chyba powinniśmy pójść gdzie indziej - powiedziała Caterina.

Ale on nie przestawał.

- Dlaczego zwraca się pani do mnie? Dlaczego?

- Chodźmy, Chano.

- To sklep z sukienkami dla kobiet, prawda? Czy ja wyglądam jak kobieta?

Caterina wzięła swój płaszcz.

- Proszę pana.

- Czy ja wyglądam na kogoś, kto nosi sukienki? Czy ja wyglądam na zboczeńca? Czy uważa mnie pani za jakiegoś mariconą (Hiszp. ciota (przyp. tłum.))?

- Wychodzę, Chano.

Jego wściekłość wypaliła się i zastąpiło ją zażenowanie. Spojrzał ze złością na sprzedawczynię i nie odrywał od niej wzroku, nawet kiedy drzwi cicho zamknęły się za jego plecami.

- Besa mi culo, puta. (Hiszp. Pocałuj mnie w dupę (przyp. tłum.))

Pan Valdes uciekł ze sklepu na drugą stronę ulicy, gdzie Caterina odpoczywała na ławce.

Kiedy usiadł obok niej, powiedziała:

- Nie mogę być osobą, która robi zakupy w takim miejscu.

- Zawstydzasz mnie.

- Naprawdę? Wstydzisz się mnie?

- Nie ciebie, ale siebie. Tak krzyżeć. Na taką kobietę. Na kobietę.

- Czujesz zażenowanie, że zachowałeś się niegrzecznie wobec przedstawiciela klasy niższej.

- Może.

- Na pewno. O to chodzi. Wstydzisz się jej z tego samego powodu, dla którego próbowałeś mnie chronić. Zobaczyła wszystkie przyczyny, dlaczego nie mogę być twoją żoną, i to cię rozwścieczyło.

- Ale nią zostaniesz. - Odetchnął głęboko. - Proszę, wyjdź za mnie.

- Jesteś wielkim L.H. Valdezem, a ja dziewczyną w podartych dżinsach. Jak mogę zostać twoją żoną?

- Ponieważ się kochamy - odpowiedział pan Valdes i wierzył w swoje słowa.

- Tak, masz rację. - Ona też w to wierzyła. - I sądzisz, że dzięki temu nikt nie zauważy, iż pochodzę z małego miasteczka w górach? Ci wszyscy twoi elegancyjni znajomi, ci wszyscy redaktorzy, autorzy i profesorowie, oni nie dostrzegą, że noszę podarte dżinsy? Nie będzie

ich obchodzić, że nigdy nie byłam w operze i nie dorównuję im inteligencją - och, jestem inteligentna, ale nie tak jak oni - oraz że nie jem brzoskwini nożem i widelcem? Twoja matka? Ona nie zauważy?

- Jej to nie będzie obchodzić. Pokocha cię ze względu na mnie.

- Możesz jej to nakazać, tak? Po prostu powiedz jej, że ma mnie kochać?

- Tak. A reszta się nie liczy. Mam już dość inteligencji, starczy mi na całe życie. Obrzydły mi te wszystkie rzeczy, którymi nie jesteś. Tobie będzie ciężko, o wiele ciężiej niż mnie, mężczyźnie ze wspaniałą młodą żoną. Pochorują się z zazdrości.

- Raczej ze śmiechu.

- Nie obchodzi mnie, że będą się ze mnie śmiać.

- Ale przejmujesz się, że będą się śmiać ze mnie. Ta kobieta w sklepie, ona jedynie mnie ignorowała, a ty się wściekłeś.

- Nikt się nie będzie z ciebie śmiał.

- Chano, będą.

- Owszem - odparł. - Czy to zniesiesz?

W sklepie z sukienkami kanciasta kobieta zaciągnęła żaluzje i ślizgała się, gładko i cicho, stawiając ostry czubek jednego buta, przesuwając kościste biodra, robiąc krok do przodu, na cienkich płatkach podszew i ostrych igłach obcasów, stawiając jedną nogę za drugą. Na dywanie pozostawał ślad jej przejścia jak trop jaguara po mchu na brzegu rzeki, tak delikatnego, że pędy powracają na miejsce bez znaku, a drapieźnik znika w ciszy w cieniach.

Caterina odetchnęła i odpowiedziała:

- Dla ciebie zniosłabym wszystko.

Valdez nigdy nie odwiedzał matki, jeśli się z nią wcześniej nie umówił. Mógł bez zapowiedzi zajrzeć do dziekana, pójść z redaktorem naczelnym „Narodu” na kawę albo coś mocniejszego, a gdyby chciał, pewnie nawet załatwić wywiad z senorem pułkownikiem el presidente, ale to wymagałoby wcześniejszego telefonu, a pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez plasowała się odrobinę wyżej señora pułkownika el presidente, a nieco poniżej papieża.

Kiedy się spotykali, czyli tak często, jak wymagał tego obowiązek, nigdy nie było to spontaniczne i zawsze równie sformalizowane, co tango, lecz bez subtelności cabeceo. Żadnej wymiany spojrzeń, uniesienia brwi, okazji do przyjęcia lub odrzucenia bez obrazy - pani Valdez żądała pisemnej wiadomości lub przynajmniej telefonu jako potwierdzenia, że jej czas ma wysoką cenę, że jest wzięta, że mogłaby mieć co innego do roboty. Oczywiście, nigdy nie odrzucała propozycji. Umarłaby, gdyby odmówiła synowi czegokolwiek, ale lubiła, żeby ją proszono.

Minęło sporo czasu od ich ostatniego spotkania, które skończyło się źle. Mijał czas, pogłębiało się skrepowanie, a długie popołudnia w łóżku z Cateriną były nieco bardziej atrakcyjne od kolejnego spotkania z mamą, wypełnionego brzęczeniem łyżeczek do kawy oraz smutną i pełną zawiści relacją o dawno zapomnianych krewniakach i ich najnowszych bachorach.

A jednak stał tutaj, o dziesiątej rano, w holu jej apartamentowca, przyciskając trzeci srebrny guziczek w rzędzie srebrnych guziczków, obok którego paskudną helweticą wypisano nazwisko „Valdes”. Po naciśnięciu mechanizm wydał z siebie mało melodyjny odgłos.

- Halo - powiedziała. Jej głos dał się rozpoznać, ale niósł ze sobą elektryczne, mechaniczne echo.

- Witaj, mamó. To ja, Chano. - Nikt inny na świecie tak by jej nie nazwał. Oczywiście, że to musiał być on.

Nic nie mówiła. Milczała przez tak długi czas, że już układał usta, by powtórzyć „mamó?”, kiedy w końcu się odezwała:

- Dzień dobry, kochanie. To urocza niespodzianka - dodała.

- Czy mogę wejść na górę? Kolejny elektryczny odgłos.

- Tak, Chano. Oczywiście. Oczywiście. - Nacisnęła przycisk.

Kiedy winda wjechała na trzecie piętro, kiedy metalowe harmonijkowe drzwi odsunęły się, odbiły od gumowych zderzaków i

wydały woń smaru, kiedy przeszedł korytarz, kiedy otworzyły się drzwi, to jej stopy przeraziły go najbardziej. Wstrząsnęło go, że jego matka wciąż się nie ubrała, przywitała go w krótkiej białej koszuli nocnej, szlafrok zwisał jej z ramion i miała rozpuszczone włosy, ale najgorsze były stopy.

W takiej chwili jak ta wszystko staje się wyraźne i nic się nie da zrobić. Pan Valdes nie mógł przypomnieć sobie innej okazji, kiedy widział stopy swojej matki, i przeraziły go. Miała powyginane palce, ustawione skośnie, okrutnie krzywe po latach noszenia eleganckich butów. Paznokcie zgrubiały, pożółkły i przypominały szpony. Jej kostki były okrągłe i pomarszczone, a ciało na kolanach zwisało. Pan Valdes zrozumiał, że jego matka się zestarzała.

Chwyciła kołnierz szlafroka, ściągając go, ukrywając się.

- Jakże miło cię widzieć, kochanie. Mogłeś mi powiedzieć, że przyprowadzisz gościa.

Pan Valdes patrzył od matki do Cateriny, która stała u jego boku i trzymała go za rękę, oniemiała z zażenowania.

- Mamo, chciałbym, żebyś kogoś poznała. Pozwól, że przedstawię ci Caterinę...

- Chano, przestań! - przerwała mu. Po czym całkiem uprzejmie zwróciła się do dziewczyny: - Moja droga, po prostu nie mogę się z nikim spotykać w takim stanie. Wybaczenie mi. Dajcie mi, proszę, kilka chwil.

Wyszła, znikając za drzwiami, które, jak uświadomił sobie pan Valdes, musiały prowadzić do jej sypialni.

Caterina usiadła na małym okrągłym krzeselku pod długą półką, na której pani Valdes trzymała swoją kolekcję pierwszych wydań.

- O Boże - powiedziała.

- O Boże.

- Chano, to straszne. Ta biedaczka.

- Przepraszam. Nie miałem pojęcia. Nigdy by nie przyszło mi na myśl.

- Nigdy nie przyszło ci na myśl, że twoja biedna matka może być nieubrana?

- Jeszcze jej takiej nie widziałem. Nigdy w życiu.

- Przecież musiałeś!

- Ani razu. Nawet jako dziecko. Zawsze była nienaganna. Moja matka uważa zdjęcie rękawiczek za wyraz skrajnej swobody.

Caterina wpatrywała się w niego, aż już dłużej nie mogła, po czym przeniosła wzrok na podłogę i stwierdziła:

- Biedaczka. - Następnie przeniosła wzrok na długą półkę książek: - Jest z ciebie bardzo dumna, to widać.

- Nie przeczytała ich.

- Skąd wiesz? - Caterina podniosła się z krzesła i sięgnęła po Morderstwa przy moście San Miguel.

- Nie dotykaj - wyszeptał.

- Czemu?

- Lepiej nie ruszać. Ustawiła je tak, jak jej to odpowiada.

Caterina częściowo wyciągnęła już tom z półki, chwytając go za górną krawędź, jak robią to ludzie, którzy uwielbiają czytać, ale nie kochają książek, w sposób, który rozrywa obwolotę i uszkadza dół grzbietu, ale zatrzymała się i posłusznie odstawiła go na miejsce. Znowu usiadła na krześle i wyjrzała przez okno, opierając brodę na dłoni. Westchnęła.

- Powinniśmy sobie pójść.

- Nie możemy.

- To katastrofa. Przyrowadzasz mnie tutaj na spotkanie ze swoją matką, żeby powiedzieć jej, że masz zamiar wyjść za dziewczynę, o której nigdy nie słyszała, kogoś, o kim nic nie wie, po czym upokarzasz ją w taki sposób.

- To nie było zamierzone. Ona zrozumie.

- A ja tu siedzę w tych podartych dżinsach. Nic nie odpowiedział.

- Powinniśmy sobie pójść.

- Zostań. Wszystko będzie dobrze.

Caterina znowu westchnęła i miała zamiar ponownie się poskarżyć, kiedy drzwi na tyłach pokoju uchyliły się lekko i pani Valdes powiedziała:

- Chano, kochanie, czy mógłbyś do mnie na chwilę przyjść?

Brzmiała przyjaźnie, radośnie i swobodnie, lecz kiedy pan Valdes zapukał, lodowatym szeptem odparła:

- Tak, kochanie, wejdź.

Siedziała na taborecie obitym haftowaną tkaniną, całkiem ubrana, w butach i pończochach, do tego stateczna ołówkowa spódnica w kolorze

ciemnoszarym, sięgająca tuż za kolana, idealna fryzura, na szyi i w uszach perły, a makijaż tak doskonały, że gdyby nie widział jej bez niego, w ogóle nie byłby świadom jego obecności.

Spojrzała na niego ze złością z lustra na toalecie.

- Jak mogłeś?

- Przepraszam, mamó.

- Jak śmiałeś?

- O co ci chodzi? Przyszedłem odwiedzić matkę. Wpuściłaś mnie.

- Oczywiście, że tak. Jestem twoją matką, nie potworem. Jaka matka odesłałaby syna spod swoich drzwi? A ty upokorzyłeś mnie przed tą dziewczyną. Kim ona jest? I jak śmiesz mi ją przedstawiać? Wiem o twoich kobietach, Chano. To nic takiego, znam życie, wiem, jacy są mężczyźni, i każdy widzi, że jej pragniesz... to obrzydliwie, bezwstydnie oczywiste... ale powinieneś mieć tyle szacunku, by mi tego nie podstawiać pod nos. Nie chcę być przedstawiana twoim dziwkom, Chano. Proszę, zabierz ją z mojego domu.

- Musisz ją poznać.

- Nie, Chano, nie. Jestem twoją matką i panią swojego domu.

- Bierzemy ślub.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę i nic nie mówiła. Światło padało przez okno na trójskrzydłowe lustro, w którym jego matka się odbijała, na wpół odbijała i powtarzała, pośród obrazów, eleganckich starych mebli zapamiętanych z dzieciństwa, przedmiotów z domu admirała, rzeczy, których nie widział od czasu, kiedy przeprowadziła się do mieszkania.

Pani Valdes wyjęła chusteczkę z obitego skórą pudełka na toalecie, i następną, i jeszcze jedną, cały rząd czubów kakadu. Zwinęła je i delikatnie otarła oczy, pozostawiając na papierze poczerńiałe ślady.

- Czy ona jest w ciąży? - Wciąż ten przeszywający syk.

- Nie, mamó. Ale będzie. Obiecuję.

- Jak ona właściwie ma na imię?

- Caterina.

- Dobre imię. Rozsądne. Religijne. Wiesz, że ona pragnie jedynie twoich pieniędzy.

- Ona nawet nie chce za mnie wyjść. Boi się. Chce, żebyśmy żyli tak jak wcześniej. Ja ją do tego zmusiłem.

- Och, to stara sztuczka! Kim jest jej rodzina?

- Nie ma rodziny.
- Rozumiem. Ubiera się jak żebraczka.
- Dlatego ją przyprowadziłem. Dlatego przyszliśmy. Ona musi poznać tak wiele rzeczy, a ty możesz ją nauczyć. Pokazać jej, jak się ubierać. Od czego zacząć.

- Ale to taka młoda dziewczyna.
- Mamo, kobiecie nie należy wytykać wieku, ale jak mniemam, ty jesteś ode mnie dwadzieścia lat starsza.

- Od tamtych czasów wiele się zmieniło.
- Mamo, chcesz, żebym ożenił się z kobietą w moim wieku czy z taką, która może dać ci wnuki?

Pani Valdes wstała, wygładziła spódnicę i nadstawiła policzek do pocałunku.

- Bardzo się cieszę, kochanie.

Stali tam skrepowani, nic nie mówiąc, aż poczuła się zmuszona do udzielenia wskazówki, odchrząknęła i głową wskazała drzwi.

Właśnie położył dłoń na klamce, kiedy się odezwała.

- Zakładam, że ją rzniesz.

Pan Valdes wpatrzył się w dywan.

- To się musi skończyć. Na razie. Do ślubu.

- Tak, mamo. Otworzył drzwi.

Ciemne pomieszczenia pod Pałacem Sprawiedliwości były znów puste i względnie czyste. Policjanci wzięli te same węże strażackie, które czasem musieli skierować w stronę trudnych więźniów, i wykorzystali je do wyszorowania ścian oraz betonowych podłóg, aż zeszła cała krew i zniknął smród odchodów. Pod okrągłymi żelaznymi kratami osadzonymi w podłodze każdej celi bulgotała czysta woda, a na odpływie w celi numer siedem osadził się błyszczący złoty ząb.

Na piętrze w swoim gabinecie na tyłach siedziby wydziału śledczego commandante Camillo palił drugie cygaro i pił piątą kawę tego dnia, co zaczynało odbijać się na jego trawieniu. Podczas całego śledztwa w sprawie zamachu dostawał telefony ze stolicy, czasem trzy razy dziennie, później codziennie, później kilka razy w tygodniu, a ostatnio wcale. Nie miał powodów do zdenerwowania. Nikt nie wypytywał o postępy w sprawie zamachów. To właśnie commandante Camillo uznał to za wyjątkowo niepokojące. Istniało tak wiele powodów, dlaczego nie dzwonili z żądaniem wyjaśnień. Może już wiedzieli. Albo uznali to tylko za małą bombę w jakimś miasteczku w górnym biegu Merino. Commandante Camillo widział wszystkie przyczyny, a jego umysł tańczył w lukach między nimi. Może to nie miało znaczenia. Albo ich to nie obchodziło, co było bardzo, ale to bardzo niepokojące.

Commandante Camillo pragnął poznać odpowiedź - nie żeby go interesowała. Po prostu chciał udowodnić, że da się ją znaleźć i że on to potrafi.

Tamten chłopak, Miralles, był szalony, co do tego commandante nie miał wątpliwości, ale to wariactwo nie przeszkodziło mu w przygotowaniu bomby i rozrzuceniu się po całym Plaza Universidad. Ktoś mu ją dał - albo wręczył w całości i kazał nacisnąć przycisk, albo przekazał części i nauczył, jak je ze sobą połączyć. Nie znalazł żadnych wskazówek, która wersja jest prawdziwa. Po wielu godzinach przesłuchań - nic. Jeden z braci ciotecznych chłopaka przyznał, że nie lubi dziewcząt - kolejny, ostatnio pienili się wszędzie - a ciotka Laura doniosła, że wuj Arturo oszukiwał w zeznaniu podatkowym, ale nic poza tym. Pięć minut w celi z rękami za plecami i cała rodzina ustawiła się w kolejce do zeznań, ale nic lepszego nie udało im się wymyślić. Nikt nawet nie wspomniał o ucisku chłopów. Ani o bombie. Nic, co mogłoby świadczyć o tym, że Miralles był samotnym niezależnym

wariatem, wystarczająco nadzianym, by zafundować sobie spektakularne samobójstwo, a może stanowił część czegoś większego, czegoś bardziej interesującego, co zaciekałoby nawet stolicę, kazało im usiąść i nadstawić uszu, zobaczyć, z kim mają do czynienia, z kimś godnym szacunku, nie z człowiekiem zlekceważonym i zapomnianym daleko nad Merino.

Na biurku Camilla obok przepełnionej popielniczki stało brązowe tekturowe pudło, a w nim dziennik Oscara Mirallesa. Commandante odłożył cygaro i otworzył karton. Ta sama książka, te same ciasne, szalone bazgroły. Każdą kartkę przeczytał dziesięć razy, wpatrując się w kanciaste, pełne złości litery, aż zaczynały kłuć go w oczy. To było coś okropnego - jak osaczenie na ulicy przez śmierdzącego wariata, ale tego nie dało się odepchnąć na bok ani wrzucić do rynsztoka. Gość sadowił człowieka w pokoju ze ścianami obitymi gąbką, zapinał kaftan bezpieczeństwa i kazał dzielić swój koszmar aż do ostatniej kartki.

Commandante wyrwał arkusz papieru ze swojego notesu, zwinął go w kulkę i rzucił w stronę szklanych drzwi. Uderzenie sprawiło, że detektywi podnieśli wzrok znad biurka, a jeden z nich, ten, którego twarz tak delikatnie otarł w dniu zamachu, odepchnął krzesło i podszedł bliżej.

Camillo gestem wezwał go do swojego pokoju:

- Wejdz, wejdz. Nie musisz pukać, to ja cię tu wezwałem. Mężczyzna zamknął drzwi i stanął z rękami założonymi na piersi, jakby był na paradzie.

- Na rany Chrystusa, usiądź.

Mężczyzna wypełnił polecenie. Nic nie mówił. Tego od niego oczekiwano.

Camillo upuścił dziennik na biurko.

- Pamiętasz to?

- Zrobiłem dokładnie tak, jak pan kazał, szefie. - I co?

- Nic.

- Dlaczego nic?

- Zrobiłem, co pan kazał, szefie. Zrobiłem dokładnie, co pan kazał.

- Z kim rozmawiałeś?

- Ze wszystkimi z tej książki.

- Ze wszystkimi?

- Poza tymi, od których kazał mi pan trzymać się z dala. Tamtą trójką.

- I nic się nie dowiedziałeś.

- Szefie, to banda studenciaków. Ubierają się jak rewolucjoniści i gadają jak oni, ale mają tatusiów księgowych. Nikogo ze wspomnianych w dzienniku nie obchodzą rolnicy, poza...

- Poza tą trójką.

- Cóż, tego nie wiem, szefie. Nie pozwolił mi pan ich przesłuchać.

Commandante Camillo zaciągnął się cygarem i wypuścił dym w stronę dachu.

- Jeśli o to chodzi, podoba mi się stary. Bardzo, ale to bardzo. Aż swędzą mnie ręce. Lubił starego pułkownika... nigdy się z tym nie krył. W swoim czasie sympatia do niego była rozsądna, ale teraz już nie. Nigdy nic na niego nie mieliśmy, bo inaczej już by zawisł na haku, ale podoba mi się. Valdez też ma swoją historię. To facet o złej krwi. Znałem jego ojca. Wydaje się czysty, ale dlaczego pojawia się w dzienniku, jeśli nic nie łączy go z tą sprawą? I dziewczyna. Jest doskonała.

- Szefie. - Policjant zawahał się, zanim odważył się zaproponować własną teorię. - Wie pan, co ja myślę?

Camillo machnął cygarem, co oznaczało zezwolenie na mówienie.

- Sądzę, że w tym nic się nie kryje. Cochrane pojawił się w książce, ponieważ uczył naszego Bombiarza, dziewczyna była w tej samej grupie i mu się podobała, a Valdez po prostu się wepchnął. I tyle. To trójkąć miłosny. Dzieciak się wysadził, żeby zaimponować pannie. Popisywał się.

Po tym, co powiedział ojciec Gonzalez, Camillo wiedział, że to może być prawda, ale postanowił się do tego nie przyznawać.

- „Może wyszłaś z autorem międzynarodowych bestsellerów, kiedy próbowałem ci włożyć ręce pod spódnicę, ale popatrz na mnie, kochanie, potrafię magicznie zmienić się w zupę”, coś w tym rodzaju? Policjant wzruszył ramionami.

- To tylko teoria - powiedział. - Ma tyle samo sensu, co każda inna. I nie zamierzał się wysadzić. Może próbował zabić ją albo Valdesa.

- Ta trójkąć, gdzie byli, kiedy wybuchła bomba?

- Szefie, nie wiem. Nie pozwolił mi pan spytać. Camillo nic nie powiedział.

- Chce pan, żebym się tym zajął, szefie? Mogę od razu pójść i się dowiedzieć.

- Nie. Zapomnij. Ja to zrobię. Muszę.

- Naciskają pana z góry?

- Synu, w tym budynku nie ma nikogo, kto mógłby mnie naciskać. - Przerwał, by znów się zaciągnąć. Milczał jeszcze przez chwilę, by jego słowa wybrzmiały.

- A wyżej?

- Nie mam nic do powiedzenia.

Widzicie, jakie to piękne kłamstwo? Oto przerażony człowiek, który bał się, że jest nieważny i ignorowany, nie mówiąc nic, jedynie przez kilka chwil cmokając cygaro, uczynił się ważnym.

- Tobie nie, ale mam kilka słów do powiedzenia panu L.H. Valdezowi i dokładnie wiem, gdzie go znaleźć.

Naturalnie kiedy mama wydała swój absurdalny rozkaz, pan Valdez nie miał wcale zamiaru jej posłuchać. Zgodził się wprawdzie od razu, ale tylko po to, żeby się zamknęła, żeby ta chwila minęła. Usłyszeć takie słowa z ust matki! One nigdy nie zapominają, że widziały swoich synów nagich, karmiły ich piersią, wycierały do czysta obsrane tyłki. Odmawiają rezygnacji z takiego stopnia zażyłości. Sądzą, że to daje im prawo, by mówić cokolwiek, lecz pan Valdez, podobnie jak wszyscy synowie i wbrew niezbitemu dowodowi w postaci własnego istnienia, wolał nie przyjmować do wiadomości, że jego matka kiedykolwiek uprawiała seks, pomysł zaś, że znajdowała w tym przyjemność, choćby tylko raz i dawno temu, wydawał się po prostu niewyobrażalny. Wyrzucił z umysłu wizję pragnienia. Pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez nie była Marią Marrom. Pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez nie mogła zachowywać się jak Caterina przed zaledwie kilkoma godzinami. Pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez nie знаła uczucia takiego wygłodzenia. W to postanowił wierzyć i w zamian spodziewał się, że ona nabierze takiego samego przekonania w odniesieniu do niego, więc kiedy powiedziała: „Zakładam, że ją rzniesz”, pan Valdes wpatrzył się w dywan i zgodził tylko dlatego, żeby zakończyć ten moment koszarnej konfrontacji.

A jednak później, kiedy przeszedł przez te drzwi, kiedy zaczęli od nowa, a on przedstawił Caterinę swojej matce i matkę Caterinie, w tej kolejności, biorąc pod uwagę ich status, udając, że nie spotkały się przed kilkoma minutami, gdy była prawie naga, wszystko to do niego wróciło. Nie kiedy mama wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się uśmiechem przypominającym ostrze noża, nie kiedy nadstawiła policzek zimny jak step i czekała... by ją pocałować, nie kiedy powiedziała: „Moja droga, jestem zachwycona” takim samym tonem, jak gdyby jej służąca przewróciła kredens pełen porcelany, nie podczas nieustającego brzęku sztućców do ciasta, nie kiedy tonem sierżanta prosiła: „Kochanie, zgódź się”, by móc zabrać Caterinę na zakupy, zburzyć ją i odbudować na szpileczkach, nawet nie wtedy, kiedy rzuciła: „Tak się cieszę, że przyszłaś. Miło było cię poznać. To chyba najszczęśliwszy dzień mojego życia”, a drzwi zamknęły się i zamek zatrzasnął z odgłosem bezwzględny jak cios łaski, nie, nawet wtedy nie miał zamiaru być posłusznym.

Kiedy zaś Caterina zapytała: „Zdałam egzamin?“, a on pocałował ją w nagrodę, kiedy resztę dnia spędzili razem, zwiedzając galerię, popijając kawę i spacerując pod drzewami, które szydzą z więzienia, przez całą kolację i później, kiedy zabrał ją do domu, nie do jej mieszkania, lecz do jego, gdzie miała już swoją szczoteczkę, wyjętą z plastikowego potrójnego opakowania w szafce i ustawioną bezwstydnie obok jego, nad umywalką we wspaniałej łazience, nawet wtedy pan Valdes miał szczyry zamiar sprzeciwić się matce.

Ale wtedy nic się nie wydarzyło. Postanowił wziąć prysznic, a ona nie poszła z nim i nic się nie wydarzyło. Położył się w świeżej pościeli z egipskiej bawełny i nic. Caterina przemaszerowała przez sypialnię, uśmiechając się i rozrzucając ubrania, i cisza. Leżał, nasłuchując płynącej wody i rozmyślał, ale nic się nie wydarzyło, a ona wróciła owinięta grubym białym ręcznikiem, ze skórą wilgotną i błyszczącą. Stała z boku łóżka i pozwoliła, by ręcznik opadł, i nic się nie wydarzyło. Odrzuciła pościel i nic się nie wydarzyło, podniosła kolano, przesunęła nogę, pochyliła się do przodu, przesunęła punkt ciężkości, przeniosła się z podłogi na materac, na którym ułożyła się obok niego, przycisnęła skórę do jego skóry, przerzuciła udo przez niego, omiotła go włosami, pocałowała w ramię i przeciągnęła paznokciami po jego piersi i nic się nie wydarzyło. Nic.

Wciąż go całowała. Trącała go nosem. Wydawała odgłosy z głębi gardła.

- To był długi dzień - powiedział.

- Skończył się lepiej, niż mogłam się spodziewać. - Znów pocałunek, powoli, pod uchem.

Nie poruszył się.

- Musisz być wyczerpana. Nagle przerwała.

- Tak - zgodziła się. - Jestem bardzo zmęczona.

- Zaczekajmy do jutra. Mnie to nie przeszkadza.

Odwróciła się od niego. Poczul łuk jej pleców, kiedy zwinęła się w kłębek po drugiej stronie łóżka, i westchnął. Pan Valdes mierzył upływ czasu jej oddechami. Wyciągnął rękę, palcami odnalazł jej skórę, ale ona cofnęła się. Malutki ruch, ale wyczuwał w nim obrzydzenie.

- Jestem naprawdę zmęczona - powiedziała, ale on wiedział, że przemawia przez nią uprzejmość, że usprawiedliwiała jego porażkę.

Naturalnie winił o to matkę, starą i wysuszoną, z obwisłymi kolanami, powykrzywianymi palcami stóp i cienką skórą, z zimnym łóżkiem, od czterdziestu lat pustym, duszącą swój gorzki snobizm jedynie dlatego, że była to cena za wnuki, matkę, która skurczyła go swoją głupią klątwą.

Caterina wkrótce zasnęła. Rozpoznał to po cichym oddechu i pogwizdywaniu w nosie. Pan Valdes nie poszedł spać. Noc ciążyła mu na powiekach. Czuł się zbyt zawstydzony, żeby zasnąć, a wstyd zmienił się w złość.

Kiedy wstał, Caterina nawet się nie poruszyła. Gdy usiadł przy biurku, nagi, zapalił lampkę z zielonym kloszem, podniósł pióro i otworzył notatnik, w którym wciąż znajdowało się tylko dziesięć słów, żadne z nich nie usłyszało, jak w tej właśnie chwili, daleko w stolicy, samolot wyładowany pocztą startuje z lotniska.

Chciał pisać. Spojrzał na kartkę. „Chudy żółty kot przeszedł przez drogę i wślizgnął się do burdelu”. Więcej nic nie było. Siedział z piórem ustawionym na samym końcu linijki, aż atrament zaczął wypływać i przebił się przez trzy arkusze papieru.

Trzy kilometry wyżej i setki kilometrów dalej zamigotały światła, zbliżając się.

Pan Valdes wyrwał kartki z notatnika i znów napisał: „Chudy żółty kot przeszedł przez drogę i wślizgnął się do burdelu”, po czym zaskoczył sam siebie, dodając: „gdzie miał nadzieję zostać podrapany po brzuchu przez śliczną Angelę”.

Pan Valdes wpatrywał się w kartkę w zadziwieniu. Po tygodniach pustki pojawiło się dziesięć nowych słów. A więc wracały. W jego łóżku leżała piękna, nietknięta dziewczyna, mimo to się uśmiechał.

Zerkając z kokpitu na ciemnym samotnym niebie, pilot popatrzył na Merino migoczącą w blasku księżyca i skierował nos samolotu w stronę odległego pasa startowego, którego nie widział. Zegary świeciły. Igły drżały. W uszach słyszał elektryczne trajkotanie ludzi, których nigdy nie poznał. Daleko za nim drzemiące psy w małych górniczych miasteczkach zaskomlały przez sen, gdy dobiegł je szmer silników. Dzieci, które słyszały jego przelot każdej nocy swojego życia, zarejestrowały go znów i nie zwróciły na to uwagi. W dżungli małpki o okrągłych oczach podniosły wzrok na ryczące światła na niebie i mocniej przytuliły się do matek. Samolot zmierzał dalej, aż dżungla

przerzedziła się i zmieniła się w pola, i dalej, aż pola zrodziły domy, które wyrosły gęste jak trawa i wyższe niż drzewa, a później, po ostatnim okrążeniu nad barriada Santa Marta, godzinę przed świtem wylądował na miejskim lotnisku.

Maszyna zatrzymała się w pobliżu długiego rzędu niskich białych budynków pełnych światła, a na jej powitanie wyruszyły ciężarówki z napisem „Servicio Postal” wymalowanym na bokach. Nim dotarły do celu, pilot uruchomił mechanizm otwierający luk i mężczyźni w białych kombinezonach zaczęli wyladowywać worki z pocztą. Wraz ze śpiewem pierwszych ptaków, gdy ojciec Gonzalez stał przed swoim ołtarzem, znów przerażony i zmarznięty, a madame Ottavio zamykała drzwi i zbierała puste butelki z ogrodu, worki z przesyłkami trafiły do centralnej sortowni. W jednym była gruba biała koperta zaadresowana do pana Valdeza i opieczętowana winietą „Salonu”.

Caterina wciąż spała.

Trzy godziny później, kiedy pan Valdes udał się do kuchni, by zrobić kawę, Caterina się obudziła. Nie spała, gdy wszedł do sypialni i zdjął granatowy bawełniany szlafrok z haka na drzwiach łazienki, ale nie otwierała oczu i leżała rozciągnięta na łóżku z rozczochranymi włosami otaczającymi jej twarz jak chmura, z kącika jej ust zaś płynął irytujący strumyk śliny, nieprzyjemnie przywodzący na myśl wioskowego idiotę. Nie umiała ocenić, czy lepiej będzie udawać śpiącą, jeśli pozwoli mu spłynąć na pomietą poduszkę, czy jeśli otworzy usta i obliże się jak labrador. W końcu nie zrobiła nic.

Pan Valdes tego nie zauważył. Nie patrzył na nią. Chciał tylko przejść przez pokój, okryć się i zniknąć, nie budząc jej. Chodziło tu o coś więcej niż niedawno odkrytą przyzwoitość, narzuconą przez matkę, coś więcej niż echo porażki poprzedniego wieczora. Pan Valdes miał zamiar podać jej kawę, jajka i bułeczki z zapasu w zamrażalniku, a był esteta, który obawiał się śmieszności. Wiedział, że nie może pojawić się nagi, niosąc tacę.

Wrócił do kuchni. Zaczął się krzątać. Ekspres syczał i bulgotał, a ona po upływie odpowiedniego czasu uznała to za wskazówkę, by wstać.

Caterina miała teraz własną szczoteczkę, ale brakowało jej szlafroka. Weszła do kuchni z włosami odgarniętymi z twarzy, ubrana w prawie białą koszulkę i wczorajszą bieliznę. Wyglądała jak bogini, uśmiechnęła się do niego i pocałowała go, ale pozostała lodowata luka, której nie było wcześniej, jak miejsce po zębie, który przecież nie odrośnie.

- To miłe - powiedziała. - Dziękuję.

- Miałem zamiar ci przynieść. Dobrze spałaś?

- Nie do końca. Tęskniłam za tobą.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem znad filiżanki kawy.

- Tak. Naprawdę. Jestem jak staruszka. Przyzwyczyłam się do ciebie.

- Miałem nadzieję utrzymać magię choć odrobinę dłużej. Powiedzmy do ślubu.

- Nie rozumiesz - powiedziała i miała rację.

Pan Valdes nie miał pojęcia, jak go wtedy kochała. Mówił sobie, że ją kocha, wiedział to, ponieważ sprawiła, że ciepła krew znów popłynęła w tym amputowanym kikucie, który niegdyś, dawno temu,

łączył go ze światem, ale darzył ją rozsądną miłością, ponieważ była piękna i młoda, dawała mu seks i obietnicę dzieci, synów, towarzystwa w starości, nadzieję, że nie umrze samotnie w tym mieszkaniu i jego trup nie będzie w nim leżał do czasu, gdy nieznani mu sąsiedzi zaczną narzekać na smród na klatce schodowej.

Podobnie jak reszta z nas pan Valdes nie umiał sobie wyobrazić świata, w którym mógłby nie istnieć, gdzie ta lampa nadal by się paliła, drzewa wciąż by rosły, rzeki płynęły, miasta rozrastały się i obracały w proch, gwiazdy krążyłyby bez końca na pustym niebie i to wszystko bez niego. Lecz miarą jego miłości było, że w jego umyśle kryło się takie miejsce, w którym potrafił sobie wyobrazić świat bez Cateriny. Nawet bez niej by przeżył. Jego życie nie wyglądałoby tak pięknie, może nie osłodziłyby go dzieci, światło jego starości, ale trwałoby dalej. Wiedział to.

Ale dla Cateriny wszystko przedstawiało się inaczej. Była wielbicielką z obsesją na punkcie historii, które napisał, sierotą wędrującą po świecie i szukającą schronienia. Też została okaleczona, ale nie tak, jak pan Valdes. On chlubił się swoją zimną, martwą blizną, lecz Caterina latami szukała utraconej części siebie, tej, która umarła, ściskając garść błota na górskim polu, i uważała się za błogosławioną, że ją zauważył. On nie miał przyjaciół i każdy z jego małego kręgu, koledzy z uczelni, Maria Marrom, a nawet własna matka, przyznałiby w przebłysku uczciwości, że Caterina była warta dziesięciu takich jak on, ale ona by w to nie uwierzyła. Chciała poświęcić resztę życia, by uczynić go szczęśliwym, ponieważ wierzyła, że jej samej da to szczęście. Pragnęła jego dzieci, gdyż zaszczytem byłoby je urodzić, i chciała z nim spać, ponieważ bez niego nie zmrużyłaby oczu. Spotkała ją szalona miłość. Zadurzyła się w nim.

A jednak tutaj, przy tym stole, on mógł powiedzieć coś głupiego i cynicznego, coś o zniknięciu magii. To było zadziwiające. A co jeszcze bardziej zadziwiające, ona to zniosła.

- Tak czy inaczej - powiedziała. - Wcześniej wstałeś. Co robiłeś?

- Pisałem. - Wydawał się z siebie dumny i powiedział to ze spełnionym uśmiechem.

- Pisałeś. Boże, to wspaniałe. - Jej głos brzmiał tak szczerze, tak entuzjastycznie, że zakrawał na szyderstwo. - Ja strasznie długo nic nie

tworzyłam. Przez wiele dni. Co napisałeś? Powiedz mi. Chcę wiedzieć wszystko.

- Nie jest jeszcze gotowe. Nie lubię... nie, aż będzie gotowe. Pod tym względem pozostaję bardzo przesądny.

- Proszę.

- Może później. - Jakby odpowiadał na absurdalną prośbę nadąsanego dziecka.

- To co napisałeś?

- Mnóstwo.

- Mnóstwo?

- Całe mnóstwo. Zupełnie jakby pękła tama. Wszystko się ze mnie wylewało.

- Boże, uwielbiam to. Kiedy to się dzieje ze mną. - Nagle zrobiła się skromna, jakby fakt, że pisała i w jaki sposób, nie były godne wspomnienia w jego towarzystwie.

- Uwielbiam to - powtórzyła szeptem.

- Mam wrażenie, jakbym wyszedł na prostą. Wiesz?

- Mhm, kiedy to zaczyna żyć własnym życiem.

- Tak, jakby zapisywało się coś, co ktoś dyktuje.

Ależ był z niego bazarz. Całe to podniecenie niecałym tuzinem słów. Jeśli policzyć to procentowo, bez wątpienia osiągnął tej nocy kolosalną wydajność, ale w sumie zapisał ledwie dziesięć wyrazów. Druga połowa tego zdania spłynęła z jego pióra i na kartce nagle pojawiła się piękna Angela, ale później nic. Znowu nic. Nic w sypialni i nic na biurku. Zupełnie jakby ktoś otworzył drzwi więzienia, a później znów je zatrzasnął. Przypominało to głęboką ciszę następującą po echu, ciemność po błyskawicy, o wiele mniej intensywną niż wcześniej.

Pan Valdes siedział godzinami, walcząc z tą kropką, próbując znaleźć drogę wyjścia poza blokadę, aż chory z niepokoju i bliski łez postanowił przygotować śniadanie, a teraz posiłek się skończył, czekał go kolejny dzień, w którym ta pusta kartka miała znów na niego wrzeszczeć.

- Idziesz dziś na uniwersytet? - spytał.

- Tak. Doktor Cochrane ma wykład o liczbach przestępnych.

- Szkoda go przegapić.

- To matematyczna jazda kolejką górską. A ty się wybierasz?

- Później. Muszę się ogolić.

- Potrzebuję czystych ubrań. Może powinnam jakieś mieć tutaj? -
Pozostawiła na końcu tej wypowiedzi wielki znak zapytania.

- Podwieźć cię? - spytał.

- Nie. Nie trzeba. Lubię chodzić.

Zaniosła filiżankę do zlewu i opłukała ją, stojąc na bosaka, z majtkami wiszącymi nieładnie na pośladkach, na jej ramieniu wyrastał pryszcz z zielonym czubkiem, a mimo to cały czas otaczała ją migotliwa aura piękna, jak tęcza wisząca nad wodospadem.

- Lepiej się pospieszę - powiedziała.

- Tak. Zejdę z tobą.

Zostawił filiżankę na stole i ruszył za nią do sypialni, gdzie narzucił na siebie sweter i bawełniane spodnie, wystarczająco, by wyglądać przyzwoicie, kiedy wyjdzie z nią na ulicę.

Winda długo nie jechała, a kiedy na nią czekali, wydawało się, że nie ma nic do powiedzenia. Stojąc tam, poczuł jej palec wewnątrz swojej dłoni i chwycił go instynktownie, jak niemowlę, ale tylko na chwilę, a później znów wypuścił. Zupełnie jakby mimo wszystko, mimo decyzji o wzięciu ślubu, obawiał się, że ktoś może zobaczyć ich razem.

- Powinniśmy pójść schodami - powiedziała.

- Ale jeśli zrezygnujemy teraz, winda przyjedzie.

Pan Valdes powiedział to w sposób, w jaki każdy to mówił, jakby te chwile, które zmarnowali z żałością ograniczonego zapasu w życiu, malutkie strużki czasu, które mogli poświęcić na taniec, całowanie, jedzenie brzoskwini, czytanie książki czy pisanie książki, były sensownie spędzone na oczekiwaniu na windę, ale stały się bezużyteczne, zostały niepotrzebnie roztrwonione i zmarnowane, gdyby przestali czekać i zrobili coś innego.

Spojrzała na niego. On zerknął na nią i złapał ją na tym, po czym znów odwrócił wzrok i wpatrzył się w drzwi, które pozostawały bez ruchu. Winda przyjechała. Na dole okazało się, że listonosz zjawiał się wcześniej. Otworzył wielkie brązowe drzwi do holu, wyjął stertę listów z torby i stojąc przed ścianą podpisanych i ponumerowanych metalowych skrzynek, dostarczył każdy tak, jak wymagała tego złożona przysięga. Dużą białą kopertę, która przyleciała ze stolicy, tę opieczetowaną winietą „Salonu” i opatrzoną wypisaną drukowanymi literami prośbą NIE ZGINAĆ, złożył w pół i wcisnął do skrzynki

podpisanej „L.H. Valdes”. Nim winda zjechała na parter, drzwi prowadzące na aleję Cristóbal zamykały się cicho za jego plecami.

- Tak sobie myślałem - zaczął pan Valdes. - Tak.

- Nie kupiłem ci pierścionka. Powinnaś mieć pierścionek. Dla Cateriny ta perspektywa była niemal równie cudowna co sama rzecz. Uniosła dłoń do ust.

- Może po zajęciach moglibyśmy pójść i coś wybrać. Powiedziała jedynie:

- O, Chano!

A ponieważ stali sami w pustym holu, pocałował ją.

Dostanie listu, prawdziwego, nie reklamy w przebraniu, rachunku czy wyciągu z konta bankowego, to jedna z najlepszych i najprzyjemniejszych rzeczy, jakie się mogą człowiekowi przydarzyć. Kiedy pan Valdes był małym chłopcem, mieszkający daleko wuj przysłał mu list. W kopercie znajdowało się czerwone tekturowe pudełko ozdobione rysunkiem kota, wewnątrz zaś kawałek mydła w kształcie kota, któremu w trakcie używania wyrastało futro. Przez kilka dni wyglądało cudownie i wspaniale, a później przestało przypominać kota i stało się dziwaczne, jak coś spleśniałego, co zawieruszyło się zapomniane na dnie misy z owocami.

A później, kiedy był o wiele starszy, zaczęły się listy od wydawców - z początku odrzucające, ale nawet one miały swój specyficzny gorzki posmak, jak dobry koktajl, i nauczył się je smakować. Odrzucenie stanowiło część procesu uczenia się, na parkiecie tanecznym, w sypialni i w literaturze. Nie żywił urazy.

Wkrótce jednak pojawiły się listy od redaktorów czasopism, którzy zgadzali się wydrukować jego opowiadania, a później od wydawców błagających, by móc je opublikować, listy od krytyków, listy od wielbicieli. Wszystkie go radowały, ale najbardziej podobały mu się te od ludzi, którzy kiedyś go odrzucili. Leżał nocą w łóżku, unosząc je do światła, nakładając jedną kartkę papieru na drugą w taki sposób, że krawędzie leżały równo, że nagłówki i drukowane adresy idealnie się nakładały, że wyglądały dokładnie tak samo, z wyjątkiem miejsca, w którym jeden mówił „Nie”, a drugi „Proszę”. Pamiętał kryjącą się w tym przyjemność na długo po tym, jak uznał to za oczywiste. L.H. Valdes nie czuł już dreszczyku hazardzisty, żadnego podekscytowania i oczekiwania na nieznany wynik. Pisał opowiadanie, wysyłał, ukazywało się w druku. Tak było, a w każdym razie tak działo się wcześniej. Kiedy jeszcze tworzył. W przeszłości.

Mimo to kiedy pan Valdes podszedł do ściany podpisanych i ponumerowanych metalowych skrzynek, w których on i jego sąsiedzi dostawali pocztę, i znalazł wielką białą kopertę ze słowem „Salon” wydrukowanym wzdłuż górnej lewej krawędzi atramentem tak gęstym, że czuł go pod palcem, doświadczył odrobiny podniecenia i ojcowskiej dumy.

Wiedział, co znajdzie w kopercie - skromny czek, uprzejmie wylewny list od redaktora Correi i kilka sztuk pisma z opowiadaniem

Cateriny wciśniętym gdzieś pod koniec, między nudnym wywiadem z debiutującym powieściopisarzem i początkiem recenzji. I czuł się szczęśliwy, że mógł to dla niej zrobić, że miał tak wielki wpływ. Czuł się szczęśliwy, bo wiedział, że ją uszczęśliwi. Ponieważ pamiętał, jak dumny i uradowany był w dniu, kiedy po raz pierwszy zobaczył swój tekst w druku, a teraz sprawił, że to samo przydarzyło się jej, otworzył dla niej drzwi, przez co następnym razem będzie łatwiej. Wystarczy, że powie: „I wydrukował mnie »Salon«”, dzięki czemu zostanie potraktowana poważnie. Pan Valdes cieszył się, że lekko pchnął naprzód jej karierę. Postawił ją na drodze do pisarstwa, choć oczywiście będzie musiała to wszystko odłożyć na bok dla macierzyństwa, ale tylko na kilka lat, dziesięć, piętnaście, zależnie od tego, kiedy pojawią się dzieci i ile ich urodzi, i to go radowało. Co najważniejsze, cieszył się, że nie zrobiła tego sama i on zawsze będzie częścią jej sukcesu, choćby niewielką. Pozostanie jego dłużniczką. Będzie wdzięczna. Musiała być wdzięczna.

Pan Valdes czuł się tak podekscytowany, kiedy zobaczył list, że prawie rozerwał go w holu. Ale nie zrobił tego. Zebrał wszystkie inne przesyłki, świeży numer „Narodu” oraz całą resztę brązowego śmiecia leżącą w jego mosiężnej skrzynce i pojechał na górę windą, planując, że wyjmie z kuchennej szafki deskę do prasowania i wygładzi okrutne zagięcia pisma, zanim je jej przedstawi.

I w mieszkaniu to właśnie zrobił. Poszedł do kuchni i stojąc nad stołem, rozciął kopertę nożem do sera - ponieważ ten jako pierwszy wpadł mu w rękę - i wyciągnął te dwa egzemplarze „Salonu”.

Pan Valdes nie był miłym człowiekiem. Nie miał w sobie nic simpatico. Nikt w całym mieście nie oddałby za niego życia. Ale jego największy wróg - a wielu z dumą przyjąłoby ten tytuł - z pewnością współczułby mu w tej chwili.

Tył pisma wyglądał zupełnie zwyczajnie, kolorowa reklama American Express na całą stronę, ale kiedy obrócił je w dłoni, nie widział sensu. Stał, gapiąc się na pierwszą stronę okładki, nie rozumiejąc jej, niezdolny pojąć tego, co widzi. Umieszczono tam słowa, widział je, wpadały mu do oczu, ale zupełnie jakby tam utykały, nie docierając do mózgu. Oto pod zwyczajowym nagłówkiem, dokładnie tak, jak wyobraził sobie Juan Ignacio Correa, znajdowało się jedno

słowo VALDEZ!, ozdobione ekstrawaganckim wykrzyknikiem, który panna Cantaluppi przyrządziła w ostatniej chwili.

To nie miało sensu. Nie rozumiał. Aż nagle pojął. Przeglądał strona po stronie błyszczące reklamy, szukając spisu treści, a jego panika rosła, udawał przed samym sobą, że to nie może być prawda. Ale to była prawda. Widział to w całym wylewnym wstępniaku Correi, ogłaszającym światu narodziny nowego opowiadania L.H. Valdesa. Dalej następowało ponad dwadzieścia stron krytyki i oceny, opinii eksperta, o którym nigdy nie słyszał, objaśniającej „jego” opowiadanie i co ono znaczyło, przybliżającej tematykę oraz „mityczne nawiązania, memy i symbole senne” i umieszczającej je w kanonie tekstów L.H. Valdesa, od pierwszych niedojrzałych prób aż po niniejsze dojrzałe, znakomite arcydzieło, prawdziwe ukoronowanie twórczości mistrza snucia opowieści.

Pan Valdes z wściekłym rykiem rzucił pisma na stół i rozerwał wielką białą kopertę, szukając jeszcze czegoś, jakiegoś wyjaśnienia tego szaleństwa. Znalazł je. List od Correi - och, z jakim dreszczykiem Marta Alicia Cantaluppi wystukała go na maszynie, ostatnią wersję niosła do biurka redaktora, dzierżąc przed sobą jak monstrancję - a on podpisał ją własnoręcznie.

A brzmiał on następująco:

„Mój drogi Valdzie, nie wiem, jak ci podziękować za to, że wybrałeś »Salon«, by opublikować swoje najnowsze opowiadanie”.

- Ale ja tego nie zrobiłem, ty głupcze! Nie zrobiłem tego! „Cały świat literatury wstrzymywał oddech i czekał na wiadomość od Ciebie, czekał i zastanawiał się, gdy tygodnie zmieniały się w miesiące, a miesiące w lata...”

- Och, na litość boską!

„...a nasz czołowy pisarz nie wypowiedział ani słowa, a teraz oczekiwanie to zakończyło się tym triumfem. Handlarzem Miguelem Angelem zaprawdę otworzyłeś nowy »rozdział«...”

- Jezu!

„...w historii literatury narodowej i...”

Tego rodzaju nadskakujące bzdury ciągnęły się jeszcze przez półtorej strony, a wszystko kończyło się tak: „Prosiłeś o wynagrodzenie za swoją pracę według naszych standardowych stawek. Chyba nie muszę wyjaśniać, że to po prostu nie do pomyślenia. Tak wyjątkowe

dzieło nie zasługuje na zwykłe honorarium - zresztą żadna gaża nie może być adekwatna. Dlatego ufam, że przyjmiesz załączony czek nie jako zapłatę za coś, czego zakupienie pozostaje poza moim zasięgiem, lecz jako wyraz uznania dla sztuki, która należy do całego świata".

Wielki podpis Correi, kreślony szeroką ręką fioletowym atramentem, zajmował całą dolną połowę kartki, a z tyłu przyczepiony był sztywny żółty czek wypisany na nazwisko L.H. Valdesa na sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy koron.

Pan Valdes oderwał go i uniósł do okna.

- Cóż - powiedział. - To powinno złagodzić cios.

Plaza Universidad doszedł do siebie jak każda inna ofiara poparzeń. Wszystko wróciło na miejsce, wyglądało jak wcześniej i nic nie przypominało tego, co zrobił szaleniec Miralles poza tym, że wszystko było nowe. Uzupełniono stare barierki. W nocy przyjechały żurawie i przy wiozły betonowe kwietniki, które zastąpiły uszkodzone. Miejscy ogrodnicy przywieźli rośliny w skrzynkach z cienkiego drewna, a one w ciągu kilku dni wyrosły tak jak wcześniej, lecz całe miejsce otaczała niezręczna aura świeżości. Nowe płyty chodnikowe oznaczały miejsce, w którym stał Miralles, wymieniono część schodów prowadzących do bramy uniwersytetu, a w innych miejscach kamień i beton umyto i wyszorowano tak dokładnie, że wyróżniały się spośród innych bladością i doskonałością, niczym napięta różowa skóra wyłaniająca się spod blizny. Ludzie uprzejmie odwracali wzrok, nie wspominając o tym ani słowem jak o każdym innym zniekształceniu, ale kiedy schodzili schodami na plac, unikali nowych płyt i trzymali się starych, zakurzonych, jakby to, czego nie było na błyszczącym, białym betonie, mogło ich dotknąć, przykleić się do butów i ich splamić.

Caterina nie różniła się od pozostałych i kiedy pan Valdes pojawił się na placu, zobaczył, jak idzie po schodach, trzymając się po lewej, unikając pasm białego trądu po prawej.

Po raz pierwszy, od kiedy spotkał ją na dole w Feniksie, była ubrana jak dziewczyna. Już nie podarte dżinsy i kurtka robotnika. Włożyła spódnicę - wprawdzie dżinsową, ale zawsze - i białą bluzkę, a włosy związała w surowy, oficjalny kucyk. Do tego, jak zauważył pan Valdes, zrezygnowała z głupich przedszkolnych tenisówek i zastąpiła je parą prostych czarnych czółenek. Odłożenie dzieciennych ubrań było prezentem dla niego. Ubrała się ładnie, żeby mogli pójść razem i wybrać pierścionek, podobnie jak w górskim kościółku osłaniała głowę, ponieważ to właśnie uchodziło za stosowne, bo tak się robiło.

Kiedy zobaczyła go po drugiej stronie rabaty, podskoczyła lekko i prawie ruszyła biegiem, ale powstrzymała się i uśmiechnęła do niego skrycie, ponieważ zobaczyła, że zauważył jej nowe wcielenie, pożegnała się z dziewczyną, która jej towarzyszyła, i szybko przeszła przez tłum.

- Witaj - powiedział. - To miłe.

Stała przed nim, unosząc twarz do pocałunku.

Nie pocałował jej. Oczywiście robił to często, ale dla przyjemności, by ją smakować, a nie w taki sposób, okazując łagodną, swobodną sympatię, nie w miejscu publicznym i na oczach ludzi.

- Dzień dobry.

Podał jej rękę, a jeśli czuła się rozczarowana, nie pokazała tego po sobie i razem opuścili plac.

- Zaskoczona? - spytał.

- Chano, ostatnio wszystko jest niespodzianką.

- Ładnie wyglądasz.

- Zaskoczony?

- Nie.

- Ależ tak.

- Uważam, że zawsze wyglądasz ślicznie.

- Owszem, ale nie w ubraniu.

- Nawet w ubraniu. Szczególnie w ubraniu.

Przed wieloma tygodniami, tamtego pierwszego dnia w Feniksie, dała mu kawałek papieru z jednym słowem „Piszę”. Historia jego życia. Jej wyrok śmierci. Miał ją w portfelu, wciąż tam trzymał, ciągle cenił, nie zapomniał, ale nie czytał - zupełnie jak książki na półce jego matki, wartościowe z powodu tego, co oznaczały, ale nie tego, czym były. Pamiętał, jak ten świstek palił go i jarzył się w dniu, kiedy go dostał, a teraz miał kolejny arkusik, który groził podpaleniem kieszeni jego marynarki - tamten czek od Correi, dymiący, syczący jak lont i gotów wybuchnąć.

- Nie zapytasz, jak mi minął dzień? - zagaiła.

- Przepraszam. Nie jestem przyzwyczajony do tego nowego stylu domowej rozmowy. - Odetchnął głęboko i spróbował wypowiedzieć następne słowa swobodnie i z zainteresowaniem. - Powiedz mi więc, jak ci minął dzień?

- Bardzo miło, dziękuję. A właściwie cudownie. Bardzo starałam się udawać, że słucham wykładu doktora Cochrane'a, ale spędziłam większość czasu, myśląc o tobie, a potem jeszcze parę chwil zastanawiając się, och, nad głupstwami w rodzaju diamentów, i to też było całkiem sympatyczne. I poszłam na kawę z Ericą.

- Kim jest Erica?

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Naprawdę nic o sobie nie wiemy, co?

- Nie.

- Ależ tak. Czuję, że cię znam, ponieważ przeczytałam twoje książki. Wszystkie, każdą po kilka razy. Doktor Cochrane nazywa mnie wielbicielką.

- Wiem.

- Ale to coś gorszego, Chano. Stoi przez tobą fanka. Mówiłeś do mnie, od kiedy byłam dzieckiem... w swoich książkach... i, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, ja ci odpowiadałam. Nie wiesz, jak to jest. Nie masz pojęcia, co to znaczy. - Położyła dłoń na jego piersi, na cienkiej, srebrzystoszarej tkaninie marynarki nad jego bijącym sercem. - Ten wspaniały mężczyzna, który napisał takie słowa, który wiedział tak wiele o życiu, ludziach i świecie, który opowiadał tak cudowne historie i nagle...

Głos Cateriny ucichł do szeptu, obok z turkotem przejechała ciężarówka, a ona wpatrzyła się w chodnik. -I nagle? - spytał. - Nagle co? Nie dosłyszałem cię.

- Zapomnij. To nic takiego.

- Nie. Proszę. Powiedz mi.

Spojrzała na niego, przeszła go wzrokiem i odparła:

- Nagle, po tym wszystkim, nagle czuję go, tego wspaniałego mężczyznę, jak porusza się we mnie.

Na jego twarzy musiał malować się wstrząs.

- Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, co to znaczy, Chano. Nie jesteś fanem. Kocham cię szaleńczo, ale prawie się nie znamy.

- To nie ma znaczenia - odparł. - Wystarczy. Uda nam się.

- Czy się odważymy?

- Ja jestem gotów na wszystko. Jeśli ty masz dość odwagi, to ja też.

- Och, tego mi nie brakuje - powiedziała zgodnie z prawdą. Valdes był kłamcą i tchórzem, ale ona nie. - Odważę się na wszystko, a wtedy nadejdzie czas, żebyś dowiedział się, że Erica to dziewczyna, z którą mieszkam.

- Wiedziałem o tym - powiedział, kłamiąc po raz kolejny.

- Oczywiście, że tak.

- Czyli poszłaś na kawę z...?

- Z Ericą! Erica! Erica!

- Wiedziałem - powtórzył.

- Tak. Słuchałam, jak doktor Cochrane opowiada o liczbach przestępnych, miałam słodkie i brzydkie myśli na twój temat i poszłam na kawę z Ericą. Tak minął mi dzień.

- A o czym rozmawiałyście?

- Och, o tym i o tamtym. Trochę o tym, a trochę więcej o tamtym.

- Czy wspomniałaś na przykład, że ty i ja mamy wziąć ślub?

Caterina uśmiechnęła się tajemniczo.

- Miałam ochotę. To było jak swędzące miejsce, którego nie mogłam podrapać, ale postanowiłam tego nie robić. Wciąż nie potrafię w to uwierzyć. Trudno mi pojąć, że mnie pragniesz.

- Och, pragnę cię.

- Tak, ale w ten sposób... wystarczająco, by się ze mną ożenić.

- Ale powiedziałaś jej?

- Nie. Mówiłam przecież. A przeszkadzałoby ci, gdybym to zrobiła? Chano, brzmisz jak jakiś okropny gość, który próbuje zwabić małe dziewczynki do swojego samochodu i upewnia się, że nikt nie wie, gdzie one są. Dlaczego miałabym o tym nie wspominać? Czy to tajemnica?

- Tylko spytałem.

- A komu ty powiedziałaś?

- Nikomu. Mojej matce. Rzecz jasna.

- I nikomu innemu?

- Nie.

- Nikomu na uniwersytecie?

- Nie.

- Ani doktorowi Cochrane'owi?

- Nie.

- A co z tymi innymi wykładowcami, z którymi cię widywałam?

- Nie. Im też nie.

- Nie jesteś szczególnie entuzjastyczny, co?

- Różnimy się od siebie. Ja nie mam Eriki.

To sprawiło, że trochę się przestraszyła. Zaczęła się zastanawiać, czy tak będzie wyglądać ich małżeńskie życie - nie przyjęcia, drinki i dom pełen zachwyconych studentów siedzących u jej stóp, nie kuchenny stół otoczony przez poetów i pisarzy, kłócących się całą noc, pijących wino i podających sobie dzbanek z kawą, lecz o wiele mniej,

ich dwójka zamknięta razem, samotnie w tym mieszkaniu, aż wyczerpie się seks. Udając, że wcale o tym nie pomyślała, stwierdziła:

- Cóż, ja też nikomu nie powiedziałam. To tak zdumiewające, że sama nie mogę w to do końca uwierzyć, więc jak ktoś inny miałby? Zaczekam, aż na moim palcu pojawi się ten pierścionek. Wtedy będę mogła o tym mówić, tak?

- Oczywiście - odparł.

- Chano, czy ty mnie kochasz?

- Oczywiście - powtórzył... a później, ponieważ uświadomił sobie, jak rozczarowująco to zabrzmiało, gdy przypomniał sobie jej głupie tenisówki i to, jak jej włosy padały na poduszkę, ze względu na jej zapach w nocy, ponieważ nadal czuła radość, ponieważ nigdy nie nauczy się tańczyć tanga, z powodu dnia, kiedy wybuchła bomba i tego, jak się o nią bał, ponieważ wszystko to do niego wróciło, tak ostro i słodko - gorzko, i mimo małego ukłucia poczucia winy, kiedy pomyślał o swoim pięknym aucie, powiedział: - Kocham cię bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek w życiu.

Razem doszli prawie z powrotem do rzeki, kierując się w stronę Paseo Santa Maria, gdzie na zboczu wzgórza, z jego lewej strony, od pokoleń skupiali się najbardziej eleganccy jubilerzy w mieście. Coś takiego można znaleźć w każdym mieście, niewielki kwartał zbierający najbardziej renomowane sklepy jednego rodzaju, te zaś, które mieszczą się poza jego obrębem, oczywiście nie mogą być najlepsze. Kupowanie biżuterii w pasażach Santa Maria to powód do dumy. Jubilerzy chlubią się posiadaniem tam lokali, uznając za kwestię honoru płacenie zawyżonego czynszu, który i tak odbijają sobie w cenach, jakie klienci z wyższych sfer mają zaszczyt płacić. Handel i snobizm żyją tu w szczęśliwej symbiozie.

Ale na zboczu wzgórza, nieco po prawej, z dala od jubilerów, znajdował się cichy plac, gdzie śliczne, odrobinę podupadłe stare domy stały wokół starannie utrzymanego ogrodu z żelaznymi balustradami otaczającymi zacienione rabaty i zadbane żwirowe ścieżki. Pan Valdez dobrze znał ten ogród. Rozciągał się przed domem Ottavio i Bóg jeden wie, dlaczego uznał go za dobre miejsce, by zabrać tam CATERINĘ.

Kiedy już powiedział: „Kocham cię bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek w życiu”, co było prawdą, przynajmniej częściowo, stwierdził: „Muszę ci coś powiedzieć. Powinniśmy porozmawiać”.

„Muszę ci coś powiedzieć”. Co to mogło być? Co jeszcze miał do dodania po tym, jak stwierdził: „Kocham cię bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek w życiu”?

„Powinniśmy porozmawiać”. To oznaczało niecierpliwość, panikę, nagłą sytuację, a jednak się powstrzymał.

- Chodźmy tutaj. - Pan Valdes przeprowadził ją w stronę tylnego wejścia do ogrodu, gdzie znaleźli spokój, odosobnienie i miejsce do siedzenia, a choć ona go widziała, z jego barierkami i kwiatami, wydawał się bardzo odległy.

- Tam? W ogrodach? Chano, o co chodzi? Posłuchaj, jeśli zmieniłeś zdanie, wystarczy, że to powiesz. Tak po prostu. Mówiłam ci, że możemy żyć tak jak teraz. To nie ja wpadłam na ten pomysł. Nie będę cię zmuszać do jego realizacji.

- Nie zmieniłem zdania. Czy możemy zatrzymać się na chwilę i usiąść w spokoju?

- Boże, co się stało? Chano, powiedz mi.

- Nic. Chciałbym z tobą porozmawiać. Pragnę ci coś powiedzieć, ale nie idąc ulicą.

- Masz kłopoty?

- Nie. Czy mogłabyś po prostu ze mną pójść?

Od furtki dzieliło ich zaledwie parę kroków, kolejne kilka od ciemnozielonej żelaznej ławy pod drzewami pieprzowymi, lecz dotarcie tam trwało całą wieczność. Szli w milczeniu, ponieważ było coś ważnego do powiedzenia - ale jeszcze nie teraz - a to znaczyło, że nie wolno mówić nic innego. Nim w końcu razem usiedli, żałował, że w ogóle poruszył temat.

Caterina siedziała obok niego z nogą założoną na nogę, skręcając tułów w jego stronę, jak na jednym z tych staromodnych portretów przedstawiających wielką senorę usadowioną bokiem w siodle i wyruszającą na przejażdżkę po posiadłościach małżonka.

Patrzył na nią, ale nic nie mówił, palcami przeczesywał włosy.

- Powiedz to, Chano.

Ale on nadal nie umiał znaleźć słów. Na drugim końcu długiej zwirowej ścieżki prowadzącej przez ogród, od strony najbliższej domu Ottavio, o którego istnieniu nie wiedziała i o którym nawet nigdy nie słyszała, zaskrzypiała żelazna furтка i przeszedł przez nią doktor Cochrane. W przechylnym kapeluszu i z laską w ręku spoczął na ławce niedaleko ogrodnika przycinającego przerośnięte gałęzie, a na kolanach trzymał złożoną gazetę z krzyżówką gotową do wypełnienia buziakami.

- Pamiętasz to opowiadanie, które mi przeczytałaś? Na jej twarzy pojawiła się ulga.

- Nie podoba ci się? Nie znosisz go. Czy to wszystko? Dzięki Bogu. To się nie liczy. To znaczy, liczy się, ale wkrótce będę lepsza. Wiem, że to bzdury, ale postaram się pisać lepiej.

- To nie bzdury. Wręcz przeciwnie. Właściwie spodobało mi się tak bardzo, że posłałem je znajomemu.

- O Boże. - Wydawała się przerażona. - Komu?

- Nie znasz go. Mieszka w stolicy. Nazywa się Correa i prowadzi pisemko.

- Jakie?

- Och, pod tytułem „Salon”.

Uniosła obie dłonie do ust i zapiszczała jak dwunastolatka.

- A Correa zgodził się ze mną, że to bardzo dobre opowiadanie. Na tyle, że postanowił je opublikować.

Nie poruszyła się. Siedziała kompletnie nieruchomo z rękami opartymi na nosie jak maska tlenowa pilota. Pan Valdes widział, że jej oczy są pełne łez.

- Nie ma co płakać - powiedział i podał jej swoją chusteczkę, tę białą z kieszeni spodni, nie niebieską z kieszonki marynarki. - Ale muszę ci wyjaśnić coś jeszcze.

Caterina uśmiechała się, ocierała oczy i znów się śmiała.

- Najpierw chciałbym dać ci to. - Otworzył portfel i wyjął czek Correi. - To twoje honorarium.

Trzymał arkusik w dwóch palcach, wciąż złożony, a ona wzięła go w taki sposób, w jaki saperzy chwytają malutkie fragmenty mechanizmu, otworzyła, przeczytała i ponownie przebiegła wzrokiem.

- To musi być błąd - powiedziała.

- Nie, uwierz mi, to prawda.

- To czek na ćwierć miliona.

- Owszem.

- Mogłabym za to kupić samochód. Opłacić czynsz kilka lat naprzód.

- Kup cokolwiek chcesz. Wpłać na konto, zaoszczędź na czarnej godzinę. Zrób to, na co masz ochotę, tylko proszę, nie na podróże... chcę, żebyś była blisko... i nie marnuj go na czynsz. Możesz zamieszkać ze mną.

- Chano, to cudowne. Dziękuję. Och, dziękuję.

- Zaczekaj. Czy twoja matka nie mówiła: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”? Cóż, za chwilę dowiesz się, że częściej bywa odwrotnie.

Wpatrywała się w niego tępo.

- Caterino, bardzo mi przykro, ale zaszła straszliwa pomyłka. Chciałem pomóc. Chciałem ci pomóc. Posłałem twoje opowiadanie do „Salonu” i... nie mam pojęcia, jak to się stało, z takiego czy innego powodu Correa wbił sobie do głowy, że to ja je napisałem. Uznał, że to moja historia. Nagle bardzo posmutniała.

- Och - powiedziała. - Dlatego zapłacili tak dużo.

Bardzo starała się być dzielna, jak uczeń poddawany chłóście przez nauczyciela, który nie chce pozwolić, by koledzy zobaczyli jego łzy.

- Cóż, przez chwilę było miło. Człowiek nie tęskni za tym, czego nigdy nie miał. - Wyciągnęła czek. - Będziesz musiał go mu oddać. Jak myślisz, czy i tak wydrukuje opowiadanie? To znaczy, oczywiście zapłaciliby za nie o wiele mniej. Mógłby mi nawet nie dać żadnych pieniędzy, jeśli o to chodzi.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, pragnąc, by zrozumiała, mając nadzieję, że może się domyśli.

- Nie. To nie tak. On już je wydrukował. Twoje opowiadanie jest tekstem głównym nowego numeru „Salonu”.

Wciąż nie pojmowała.

- Caterino, twoje opowiadanie jest tekstem głównym nowego numeru „Salonu”, ale zostało podpisane moim nazwiskiem.

Spojrzała na niego. Spuściła wzrok. A potem znów go podniosła.

- Ale co to znaczy?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Correa wydrukował tę historię jako moją.

- Cóż, to będziemy musieli mu powiedzieć, że zrobił błąd. Możemy to wyjaśnić.

- Na to już za późno. Pismo wyszło. Zostało wydrukowane. Jest w sklepach, w kioskach, w bibliotekach, w salach uniwersytetu.

- To nie ma znaczenia.

- Ależ owszem. Posłuchaj, musisz zrozumieć. Powinnaś je zobaczyć. Szkoda, że go ze sobą nie wziąłem. Twoje opowiadanie znajduje się na stronie tytułowej. Nic poza tym. Tylko ono. A właściwie jedynie moje nazwisko, reklamujące utwór. Cały wstępniak jest o tej historii i o niczym innym. Zatrudnili kogoś, żeby ją zilustrował. Całe strony obrazków. I oddali pół pisma krytykowi literackiemu, który wyjaśnia jej znaczenie.

Zaczęła płakać.

- Nie są w stanie tego cofnąć. Jak mogliby się przyznać, że na niczym się nie znają, że nie potrafią odróżnić ciebie ode mnie? Gdybyś odważyła się wysłać im opowiadanie, pewnie nawet by go nie przeczytali, a teraz tylko popatrz... całe pismo!

- Nie o to chodzi! - krzyknęła.

Na drugim końcu ogrodu doktor Cochrane podniósł wzrok znad gazety.

Valdes położył rękę na jej dłoni.

- To o co?

- Chryste, Chano, nie udawaj głupiego. Dobrze wiesz.

- Chcesz uznania, że to ty napisałaś to opowiadanie.

- Oczywiście!

Doktor Cochrane obrócił się na ławce i spojrzał wzdłuż ścieżki. Jeśli nawet ich rozpoznał, nie pokazał tego po sobie.

- Caterino, chciałaś, żeby czytano twoje opowiadanie, i tak się dzieje, więcej ludzi niż kiedykolwiek się spodziewałaś, czyta je, dyskutuje o nim i nad nim rozmyśla.

- Rozmyślają nad twoim opowiadaniem, dyskutują o twojej historii.

Doktor Cochrane odwrócił się i osłonił dłonią oczy, spoglądając na nich z dezaprobatą.

- Nie wierzę - powiedziała. - Po prostu w to nie wierzę. Jak to się mogło stać? Niemożliwe, żeby ktoś był aż tak głupi. Czegoś takiego nie da się zrobić przypadkiem.

- Chyba nie sądzisz, że zrobiłem to celowo. Nie możesz myśleć, że ukradłem ci zasługi. Przecież oddałem ci pieniądze.

- One akurat się dla ciebie nie liczą.

- Ty też o nie nie dbasz. Ciebie obchodzi tylko chwała.

- Pieprz się, Chano. Pieprz się.

- Posłuchaj mnie. Posłuchaj. To nie ma znaczenia. Sądzisz, że ma, ale mylisz się. Liczą się pieniądze. Ja ci je oddałem i obiecuję, że już nigdy nie będziesz biedna, ale zasługi nie są ważne. Liczy się dzieło. Twoje opowiadanie jest twoim opowiadaniem. Pozostanie nim niezależnie od tego, jakim nazwiskiem je podpisano. Znaczy to samo, niezależnie od tego, co mówią ci idioci z uniwersytetu.

- Ty masz pieniądze i chwałę, i mówisz mi, że to nieważne. Wszystkie te rzeczy, które mają wszyscy inni, a ja nie, żadna z nich się nie liczy... jeśli już się je ma. Dom, ubranie, wykształcenie, pieniądze i chwała, wszystko to niepotrzebne drobiazgi i bezwartościowe bzdury. Spróbuj żyć bez nich, Chano.

- Ty masz to wszystko. Brakuje ci tylko chwały. Jeszcze. Caterino, w piwnicach każdego dnia giną zastrzeleni męczennicy. Wciąż się do nich zaliczają, nawet jeśli nikt nie wie. Dorośnij, dobrze?

Caterina zacisnęła lewą pięść i poruszyła palcami jak pajak, zwijając papier czeku w kulkę. Rzuciła mu go w twarz, uderzając go z siłą dmuchawca i pieczeniem wotriolu. Ich spojrzenia zetknęły się na

chwilę, ból i wściekłość, wściekłość i ból, po czym ona wstała z ławki i pospieszyła ścieżką, z dala od niego, z dala od furtki, przez którą przeszli, z dala od jubilerów z Paseo Santa Maria, w stronę doktora Cochrane'a. Kiedy się zbliżyła, podniósł się i uchylił kapelusza. Valdez patrzył, jak rozmawiają przez chwilę, później razem odeszli, mężczyzna przytrzymał furtkę, kiedy wychodzili na plac.

Pan Valdez nie zauważył i oni sami też nie dostrzegli stojącego po drugiej stronie ulicy odrapanego samochodu z dwiema grubymi antenami wystającymi z dachu i śladem z boku w miejscu, gdzie zaszpachlowano dziurę po kuli. Parkował tuż przed domem Ottavio. Wewnątrz siedział commandante Camillo i obserwował.

Siedzieli tam, pan Valdez na ławce pod drzewami pieprzowymi, commandante Camillo w samochodzie, a żaden z nich nie wiedział o obecności drugiego.

Po jakimś czasie po drugiej stronie ogrodu rozległ się klekot narzędzi. Pan Valdez zobaczył ogrodnika, tego o długich brązowych nogach, ubranego w mikroskopijne szorty, jak popycha taczkę w stronę drewnianej szopy ukrytej pośrodku kępy zakurzonych krzewów. Chwilę później znów się pokazał i ruszył ścieżką, wychodząc z ogrodu. Miał minę człowieka, którego oszukano na garść banknotów, ale kiedy wychodził, pamiętał, żeby zamknąć za sobą furtkę. Ta zaskrzypiała na zawiasach, ptaszek zaś siedzący wysoko na gałęziach drzew podchwycił nutę i zaczął ją powtarzać, aż w końcu mu się to znudziło, zleciał na ziemię i zaczął kręcić się pośród martwych liści pod drzewami.

Pan Valdez wstał. Zajrzał pod ławkę w poszukiwaniu czeku Correi, znalazł go, podniósł i znów usiadł. Wygładził arkusik dłonią na udzie.

Był bardzo zirytowany. Wściekał się, że ukłuł go tak pusty gest. Równie dobrze mogła porwać kartkę na kawałki i rozrzucić ją po całym ogrodzie, ale ten gest również nie miałby znaczenia, bo czek należał do niego, nie do niej.

- Ona cholernie dobrze wie, że wtedy musiałbym tylko poprosić o ponowne wypisanie - powiedział.

Pan Valdez wyobrażał sobie, jakby to było zanieść czek bankierowi Marromowi. Nowe numery „Salonu” miały wkrótce trafić do sprzedaży. Wszyscy będą o tym rozmawiać, a czek, wystawiony na tak rzucającą się w oczy sumę, do tego z nazwą pisma, cóż, zostałby zauważony. Marrom zwróciłby na niego uwagę. Pewnie jakoś by to skomentował, powiedział coś zachęcającego i pochlebnego, pan Valdez zaś myślał, jak miło by było, gdyby po tak długim czasie ktoś go dostrzegł i powiedział komplementy. Nie żeby miał zamiar zachować dla siebie pieniądze, oczywiście, należały do Cateriny, ale musiały przejść przez jego rachunek. Wyświadczał jej przysługę. Pan Valdez zastanawiał się, czy Maria przypadkiem mogła być w banku, ale tylko przez chwilę. Uznał to za głupi pomysł.

Złożył czek wzdłuż pierwotnych zgięć i odłożył do portfela. Czekał, aż Caterina odzyska rozsądek i wróci do niego. Mały czarny ptaszek biegający wśród martwych liści znów zaskrzypiał jak zardzewiała furtka i odleciał. Dwie przecznice dalej ruch uliczny pulsował dźwiękiem

odległej plaży, złagodniał, osłabł, ucichł. Pan Valdez zaczął się zastanawiać, co robić.

Na ulicy, po drugiej stronie ogrodu, commandante Camillo siedział w samochodzie, obserwując doktora Cochrane'a i Caterinę. Gwałtowne poruszenie dziewczyny zwróciło jego uwagę, jak ptak zrywający się z kryjówki, ten sygnał strachu i przerażenia sprawił, że spojrzął w jej stronę. Pospieszyła ścieżką i wpadła prosto na staruszkę Cochrane'a. Commandante Camillo był zniesmaczony. Po co wybrali otwarty dla wszystkich ogród na miejsce spotkania? Czysta amatorszczyzna.

Cochrane wstał i uchylił kapelusza - nawet pocałował ją w rękę, ten stary cap. Ale jeśli odrobina staromodnej szarmanterii stanowiła skuteczny sposób, by dostać się do tych ślicznych majteczek, dlaczego nie.

Camillo przekręcił gałkę, która opuszczała okno samochodu, i do środka dostały się nuty ptasiego śpiewu, jak jaskrawe paciorki spadające z naszyjnika.

Dziewczyna wyglądała na zdenerwowaną. Pewnie wyrzuty sumienia. Boże, jak często widział tę chwilę, kiedy znajdowali się na krawędzi i jedno pchnięcie wystarczało. Łagodne zapewnienie, że poczują się o wiele lepiej, jeśli tylko powiedzą prawdę, a wtedy nadchodziły łzy i reszta razem z nimi. Camillo potrafił wyczytać to w jej twarzy. Była gotowa się złamać. Wiedziała, że nie uda im się uniknąć kary.

Cochrane otworzył furtkę i z lekkim ukłonem zrobił krok w bok. Cóż za caballero. Powodzenia, jeśli miało to przynieść efekt.

Kiedy wyszli z ogrodu, Cochrane podał jej rękę i ruszyli razem chodnikiem po drugiej stronie wąskiej ulicy, kierując się z powrotem w stronę uniwersytetu.

Camillo czytał gazetę, nie unosząc jej do góry jak zasłony - to by było idiotyczne, jak flaga przyciągająca uwagę - trzymał ją złożoną, jak człowiek, który składa gazetę, kiedy czeka. Commandante Camillo wiedział, że nie ma nic bardziej interesującego od człowieka, który jest zainteresowany, nic bardziej zwracającego uwagę od kogoś, kto zwraca uwagę. Kiedy dziewczyna i stary szli ulicą, ignorował ich. Gdy mijali jego samochód, zrobił znużoną minę. Nawet go nie zauważyli.

Camillo wpatrywał się w gazetę. Cochrane trzema powolnymi krokami przekuśtykał obok otwartego okna. Powiedział „po tak długim

czasie", „rewolucja" i jeszcze wiele innych słów, które były tylko hałasem. Uspokajał i pocieszał. Wypełnienie luk nie sprawiało problemów. „Po tak długim czasie uda nam się uniknąć kary. Po tak długim czasie te głupie gliny nigdy nie wpadną na nasz ślad".

Camillo zatęsknił za starymi czasami. Wtedy to by wystarczyło. Kiedyś takie robienie sobie jaj na ulicy mogło ściągnąć na człowieka kulkę. A czemu nie? Złożył palce w pistolet i strzelił do ich pleców. Pif - paf. Pif - paf. Proste. Dwa na każde z nich. Jeden, żeby przewrócić, drugi w głowę. Szybko i prosto, a później pozostaje tylko zadzwonić do jednostki sprzątającej. Nikt nic nie widział, nie było się czym przejmować. Ale nie teraz. Wszystko się zmieniło: „uczciwy proces", „standardy międzynarodowe" i wszystkie te bzdury.

Nie, wciąż było tak samo. Nic się nie zmieniło. Nie brakowało słabych i głupich ludzi, którzy sądzili, że nie potrzebują zasad, uważali, że mogą decydować o sobie i pociągnąć za sobą cały kraj do piekła. Oraz silnych, gotowych pokazać im, jak bardzo się mylą. Camillo należał do tych ostatnich i miał z tego powodu satysfakcję. Wielu innych także powinno się cieszyć - i czuć wdzięczność, że mogą nocami spać w swoich łóżkach dzięki ludziom takim jak on. Ale oni nie byli wdzięczni i dlatego ich nienawidził.

Doktor Cochrane zaliczał się do tych słabych i głupich, którzy sądzili, że poradzą sobie sami, bez silnego przywódcy pokazującego im drogę, którzy wierzyli, że śpiewanie piosenek może wszystko zmienić, kruchych ludzi, którzy, jeśli brakowało im siły, by zmiążdżyć system, mieli odwagę stanąć przed nim i dać się zgnieść. Ale nie był zamachowcem. Doktor Cochrane miał w sobie zbyt wiele miłości, więc kiedy zobaczył, jak Caterina spieszy w jego stronę, wyraźnie cierpiąca, instynktownie zapragnął jej pomóc.

Z początku, kiedy mu przeszkodziła, pomyślał o niej z niechęcią. Ale później, kiedy przyszła zwirową ścieżką, pociągająca nosem, zapłakana, ze wszystkich sił próbująca zachować godność, kiedy ją rozpoznał i zobaczył, że to jedna z jego studentek, odłożył to na bok i zwrócił się do niej uprzejmie, wcześniej uchyliwszy kapelusza, ponieważ tak właśnie należało postąpić.

- Caterino. Moja droga, jak ci mogę pomóc? Wyglądała na zawstydzoną. Zobaczyła go w chwili, kiedy uciekła od Valdesa, ale gdyby chciała go uniknąć, musiałaby zawrócić, a tego by nie zniosła.

- Dzień dobry, doktorze Cochrane - odparła. - Dziękuję. Nic mi nie jest.

Ale kiedy spojrzał na nią tymi smutnymi starymi oczami, coś w niej pękło i pojawiły się łzy, a w ciągu kilku chwil razem z nimi wylała się cała historia.

- Przejdźmy się - powiedział.

Otworzył żelazną furtkę prowadzącą na ulicę i odsunął się na bok, puszczając ją przodem, po czym podał jej rękę. Caterina zauważyła przystojnego młodego ogrodnika zajmującego się rabatkami. Spojrzał na nią ze złością, wiążąc swoje długie czarne włosy w kucyk za pomocą gumki recepturki.

- Nie powinnam panu mówić - stwierdziła. - Mieliśmy to ogłosić później.

- Wszyscy o tym wiedzą.

- Co ma pan na myśli?

- Wszyscy wiedzą. Wszyscy na uniwersytecie.

- Że mamy wziąć ślub?

Spojrzał na nią z zaskoczeniem i po raz pierwszy zauważył, że jest od niego odrobinę wyższa.

- Co? Nie, o tym nikt nie mówił. Ale wszyscy wiedzą, że ty i on jesteście - zawahał się - razem.

- Aha.

- Niech cię to nie martwi, moja droga. W dzisiejszych czasach nikt nie zwraca uwagi na takie sprawy.

Caterina milczała. Nie powiedziała, że ona „takie sprawy” traktuje bardzo poważnie.

- Rzuciłam się na niego - stwierdziła. - W chwili, kiedy się poznaliśmy, błagałam, żeby wziął mnie do łóżka, a on odmówił. Był dżentelmenem w każdym calu. Nie może go pan obwiniać.

- A teraz macie wziąć ślub.

- Mieliśmy, do niedawna. Wybieraliśmy się do jubilera po pierścionek.

Doktor Cochrane zatrzymał się na krawędzi chodnika i wskazał laską w stronę ogrodu.

- On na pewno wciąż tam jest. Czeka, aż odzyskasz rozsądek i wrócisz do niego. Dalej. Pobiegnij do niego i powiedz mu, że zachowałeś się jak uparta idiotka. Zrzuć winę na swoją młodość. Albo

lepiej pozwól jemu zrzucić winę na twoją młodość i nie protestuj. W ciągu godziny będziesz mieć ten pierścionek na palcu.

- Mówi to pan tak, jakby chodziło o coś złego.

- Chciałbym, żebyś wiedziała jedną rzecz. Doktor Cochrane czekał, ale ona nic nie mówiła.

- Moja droga, on nie jest miłym człowiekiem.

- Jest wspaniałym człowiekiem.

- Tak, wspaniałym, ale nie miłym. Nie ma „twierdzenia Cochrane'a”, ale książki L.H. Valdesa zapiszą się w historii. Tak wiele pozostawi po sobie... więcej niż niemal wszyscy inni... lecz, inni mniej wspaniali, będą wspomniani z miłością. On nie.

- Ależ tak. Kocham go.

- Wierzę ci. Teraz.

- Nie przestanę. Znam swoje uczucia. Nie jestem dzieckiem.

- Owszem.

- Przeżyłam więcej, niż się wydaje.

- Wiem - powiedział doktor Cochrane. - Widzę to w twoich oczach.

Spacer z doktorem Cochrane'em trwał długo. Szedł tak powoli, kuśtykając o lasce, a teraz jeszcze przechadzał się, nie spiesząc się z przejściem do sedna. Ulica zwężyła się. Chodnik też.

- Boję się jego matki.

- Sophii.

- Zna ją pan?

- To zdarzyło się przed wielu laty. On o tym nic nie wie.

- Ona mnie nienawidzi.

- Czuje strach. Musisz zrozumieć, jak trudne miała życie... i samotne. Włożyła dużo wysiłku, żeby utrzymać wszystko tak, jak było, a po tak długim czasie - minęli odrapany niebieski samochód po drugiej stronie ulicy - twoje pojawienie się to dla niej swego rodzaju rewolucja. Jeśli miałbym ci coś doradzić, bądź uprzejma i cierpliwa. Skoro nadal jesteś zdecydowana na to małżeństwo, pamiętaj, że bez niej się nie uda. Nie bez mamy. Nie na ile znam Chano. I Sophię.

- Mądry i dobry z pana człowiek - powiedziała.

- Po prostu stary. Pozwól, że zaproszę cię na obiad.

Na długo po tym, jak razem przeszli ulicą, kiedy hałas odległego ruchu ulicznego stał się niezauważalny, a pod drzewami pieprzowymi zgęstniały cienie i wypełzły spod nich, by wypełnić ogród, kiedy niebo

stało się jak aksamit i pojawiły się na nim dwie gwiazdy, pan Valdez, który czuł się smutny, zły, bardzo samotny i trochę przestraszony, usłyszał kobiecy śmiech i brzęk lodu w szklance. Wstał z ławki i ruszył w stronę placu oraz domu Ottavio. Najkrótsza droga prowadziła przez ogród.

Kiedy pan Valdez wszedł do domu Ottavio, trochę się bał. Nie opuścił ogrodu w pośpiechu. Siedział tam, wyglądając powrotu Cateriny, aż samo oczekiwanie stało się powodem pozostania.

Tkwiał na ławce, samotnie, z czukiem wsuniętym do portfela obok wiadomości od Cateriny, aż zobaczył pierwszą gwiazdę na niebie. Pan Valdez nie był astronomem. Z trudem odnalazłby gwiazdozbiór Skorpiona, nawet gdyby światła miasta nie nadawały niebu pomarańczowego odcienia, ale admirał nauczył go, że pierwsze światełko to Wenus, która wcale nie jest gwiazdą. Zdradzał to jej stały blask, kiedy odbijała nieskończone światło Słońca tak samo, jak robił to Księżyc, gwiazdy zaś, prawdziwe gwiazdy, olbrzymie płonące słońca, które wydawały się malutkie jedynie z powodu odległości, migotały i tańczyły.

Kiedy pojawiła się Wenus, pan Valdez uznał, że czekał wystarczająco długo, ale ponieważ się bał, nie poszedł. Caterina zasługiwała na jeszcze jedną szansę, by przyznać, jaką zrobiła z siebie idiotkę. Mógł sobie pozwolić na wielkoduszność. To on był dorosły. Postanowił pozostać odrobinę dłużej - aż pokaże się druga gwiazda. Pojawiła się zadziwiająco szybko. Dostał dowód, że Caterina nie wróci.

Pan Valdez wstał i ruszył żwirową ścieżką, tą samą, którą ona przeszła, pod stopami miał identyczne drobne kamyczki, zmierzał w tym samym kierunku, mijając ławkę, na której wcześniej siedział doktor Cochrane, wyszedł przez tę samą żelazną furtkę i na mały plac.

Podwójne drzwi prowadzące do domu Ottavio były szeroko otwarte. Stojąc z dłonią na furtce, pan Valdez słyszał kobiece rozmowy, śmiech, cichą muzykę. Odkrył, że dręczy go koszmarnie pragnienie, które mógł ugasić jedynie gorzkozielony, wiosennie ostry posmak limonek. Wzywała go jego zielona wróżka. Od wielu tygodni nie czuł jej pocałunków, ale obawiał się przekroczyć próg. Ona czekała, ale on bał się za bardzo, by do niej pospieszyć.

Pan Valdez czuł strach, że Caterina go opuściła. Że za niego nie wyjdzie. Że zraniona duma i rozczarowanie sprawią, iż wycofa swoją miłość. Bał się, że dokona żywota jak ten stary nazista, doktor Klement, i nikt nie będzie go opłakiwał. Bał się, że przejdzie przez życie jak swoja matka, przez czterdzieści lat nikt go nie będzie kochał i umrze, nie pozostawiając po sobie nikogo, kto nosiłby jego nazwisko, nawet

obowiązek nie nada jego życiu żadnego sensu, wejście zaś do domu madame Ottavio mogłoby sprawić, że do tego dojdzie.

Bał się, że to wszystko może się nie ziścić. Że jego życie zatonie w zwyczajności, pieluchach i rozmowach o Erice, zasłonach, próbkach materiału, rurach i pewnej codzienności, a wejście do domu madame Ottavio mogłoby sprawić, że do tego nie dojdzie. Bał się. Ale przecież chodziło tylko o drinka i być może okazję do spotkania ze starymi przyjaciółmi w swego rodzaju klubie. O nic więcej.

Pan Valdez zdjął rękę z żelaznego słupka i pozwolił sobie dotknąć wargi. Odnalazł tam wypukły znak zapytania i głaskał go, aż podjął decyzję.

- Chudy żółty kot przeszedł przez drogę i wślizgnął się do burdelu - powiedział. Klamka zapadła.

Commandante Camillo, siedzący w samochodzie wśród cieni, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Obserwował, jak Valdez przekracza ulicę, patrzył, jak wyłania się z mroku ogrodu, staje w jaskrawym świetle padającym przez otwarte drzwi i wchodzi do środka. Zaczekał chwilę, rzucił gazetę na siedzenie pasażera i wysiadł z auta.

Kiedy commandante Camillo wkroczył do wewnętrznego ogrodu, nie wypełnił go smród siarki, jego przybycia nie zapowiedział donośny grzmot, nie rozbrzmiała żadna przerażająca muzyka rodem z horroru, jak w ostatnich scenach Don Giovanniego. Nic z tych rzeczy. Był tylko mężczyzną w pomiętym garniturze, wlokącym się w stronę emerytury, mniej pewnym swojego miejsca w świecie, niż, jak mu się wydawało, na to zasługiwał. Wściekłym. Natura zapomniała wyposażyć go w jeden ze swoich zwyczajowych znaków ostrzegawczych. Osy mają żółto - czarne pasy sygnalizujące obecność jadu, żmije zygzak, rekiny trójkątną płetwę, ale commandante Camillo wyglądał zwyczajnie, jak grzyb. Jedynie doświadczenie pozwalało rozpoznać w nim zabójcę.

Lecz z jakiegoś powodu, kiedy pojawił się w ogrodzie, podmuch chłodnego wiatru wzniosł się znad rzeki i przeleciał nad murem, by go powitać, a wtedy płomyki w lampach uklęły przed nim jak pokutnicy przed ołtarzem. Pan Valdez zobaczył to i zdawał się instynktownie wiedzieć, co to oznacza. W tej chwili poczuł, jak wszystkie płomienie w piekle również przygasają, jakby pozdrawiając tego, którego gotowe były przyjąć. Kiedy się odwrócił i ujrzał Camilla, nie wydawał się nawet odrobinę zaskoczony.

Pan Valdez szybko odwrócił się ponownie. Skupił się na odmierzaniu lodu, limonki i dżinu. Wiedział, że to go nie ocali.

- Witaj, Valdez.

Nie podniósł wzroku znad wiaderka z lodem.

- Dobry wieczór.

- Mógłbyś mi zrobić brandy z piwem imbirowym.

- Jestem pewien, że jedna z dziewcząt poradziłaby sobie z tym zdecydowanie lepiej.

- Owszem, ale mimo to chciałbym, żebyś ty to zrobił. To byłby miły, przyjazny gest. Siedzę tam. - Wskazał głową na cienie.

Pan Valdez nie miał ochoty na miły, sympatyczny gest, na tę prostą usługę, którą równie dobrze mogłaby wykonać któraś z dziwek. Czuł się przestraszony - naprawdę przestraszony - i zagrożony, i zastraszone, i umniejszony, dokładnie tak, jak zaplanował to Camillo. Nic nie mogłoby go zmusić do nalania tej brandy. Commandante nie przystawiał mu pistoletu do głowy - nie dosłownie - i pan Valdez przez chwilę rozważał odmowę przyrządzenia drinka. Nic nie musiał. Mógł po prostu odejść, znaleźć sobie krzesło, usiąść przy swoim stoliku, a

później co - siedzieć i gapić się przez ogród na Camilla, rzucając mu wyzwanie? A gdyby podszedł? Gdyby nalegał? Stał i zażądał, rozkazał, z odsuniętą połą marynarki i kolbą pistoletu na widoku? A gdyby tak zrobił? Camillo nie mógł go tak po prostu zastrzelić. Nie tutaj. Tutaj nie, ale później, gdzie indziej, owszem. Pan Valdez posłusznie przygotował drinka i zabrał go do stolika.

- Pańska brandy - powiedział.

- Dziękuję. - Camillo jednym haustem wypił niemal pół szklanki. To była wysoka szklanka. Odstawił ją z westchnieniem na stół. - Od jakiegoś czasu chciałem z tobą porozmawiać.

Pan Valdes nie wiedział, jak na to zareagować. Ścisnęło go w gardle.

- Niepokoi mnie towarzystwo, w jakim się obracasz - powiedział policjant.

- Pańska troska mnie wzrusza.

- Nie bądź taki bystry. Proszę. Niektórzy z nas troszczą się o twoje sprawy.

- W takim razie, żeby przypadkiem nie wyjść na zbyt bystrego, lepiej nic nie powiem.

Pan Valdes oparł się wygodniej na krześle, tak jak zrobił to wcześniej Camillo, z nogami wyciągniętymi przed siebie, udając rozluźnienie. W jednej ręce trzymał szklankę z zielonym trunkiem, opierając ją na brzuchu, a drugą muskał górną wargę.

- Co wiesz o doktorze Joaquinie Cochranie? - spytał policjant.

- Nic. To cała prawda. Pracuje na uniwersytecie, uczy matematyki.

- Nie lubię, kiedy ludzie mówią mi, że mówią prawdę. To wzbudza moje podejrzenia. Co jeszcze?

- Chodzi o lasce.

- Co mówiłem o byciu byстрыm?

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Gdzie on mieszka?

- Nie wiecie tego?

- Oczywiście, że tak. Wiemy wszystko, Valdes. Zawsze. Chcę wiedzieć, co ty wiesz.

- Nie mam pojęcia, gdzie mieszka Cochranie.

- A jego przyjaciółka?

- Jeśli Cochranie ma przyjaciółkę, to jej nie znam.

- Ależ tak. Jest też twoją przyjaciółką.

Pan Valdes przestał masować wargę i pociągnął długi łyk.

- Nie miałeś o tym pojęcia? Och, a więc jednak. Gdzie ta twoja bystrość?

Pan Valdes odstawił szklankę.

- O kogo chodzi?

- Dobrze wiesz. Tę małą z wielkimi cyckami. Caterinę. Obserwujemy ją od jakiegoś czasu. Zanim jeszcze spędziła z tobą noc. Spotkali się tu dzisiaj, ona i Cochrane, w pobliskim ogrodzie, i odeszli pod rękę. O tym też nie wiedziałeś.

Pan Valdes poczuł nagle przyływ nadziei. Drapało go w gardle od soku z limonki i ogromnie się bał, ale dostrzegł jasny promyk, ponieważ istniało coś, czego Camillo nie był świadomy. Że Caterina przyszła do ogrodu razem z nim. Valdes rozumiał całą sytuację - zostawiła go i spotkała Cochrane'a, a Camillo zobaczył ich razem.

- Ona nie jest moją przyjaciółką - powiedział.

- I tu masz rację. Tak ci się wydawało, ale to przyjaciółka Cochrane'a... i wpakowała się w kłopoty aż po te swoje śliczne cycki, więc jeśli jesteś mądry, powiesz mi teraz, co wiesz.

- Studiuje. Interesuje się pisaniem. Przyszła do mnie do domu, bo zgodziłem się jej pomóc. I nic więcej. Uczyłem ją.

- Takiego określenia jeszcze nie słyszałem.

- To jedna ze studentek doktora Cochrane'a i tyle.

- To terrorystka. On przez całe życie był agitatorem i wciągnął ją w swoją działalność. Dopadnę ich, a jeśli nie chcesz pójść z nimi na dno, lepiej zacznij mi opowiadać mnóstwo interesujących rzeczy... takich, które sprawiają, że nimi zainteresuję się bardziej niż tobą.

Jakimś sposobem Valdes znalazł w sobie odwagę, żeby spojrzeć policjantowi w twarz. Pamiętał, co Caterina mówiła o drodze na stracenie, o byciu odważnym aż do ostatniej chwili. Już wcześniej wiedział, co zamierza powiedzieć, ale nie miał pojęcia, dlaczego użył takich właśnie słów. Nawet w tej chwili nie był pewien, czy chciał stanąć między Caterina a Camillem, ochronić ją własnym ciałem, czy też miał nadzieję, że jeśli odważy się zachować jak jedna z postaci z powieści L.H. Valdesa, uda mu się ocalić samego siebie.

- Camillo, powiem panu teraz prawdę. Coś, do czego nie przyznam się przed nikim innym. Przeraza mnie pan. Pan i ludzie tacy jak pan

mnie przerażacie. Ale nieważne, co pan zrobi, nikogo panu nie oddam. Ani dziewczyny, ani Cochrane'a, nikogo.

Pan Valdes był artystą i w chwili, kiedy wypowiedział te słowa, wiedział, że zabrzmiały patetycznie. Wyraz twarzy Camilla świadczył, że on też tak uważał.

- Oddałbyś mi każdego. I wszystko. Zrobiłbyś to, co ci każę. - Camillo dopił resztę brandy. - Założę się, że nawet przyniosłbyś mi kolejnego drinka.

- Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi. - Valdes poczuł, że wbrew sobie znów dotyka wargi.

- Wiem więcej, niż ci się wydaje, Chano, synu. Nawet to, skąd ją masz.

Valdes gwałtownie oderwał dłoń od twarzy.

- O ile nie zamierza mnie pan aresztować, mam już dość. - Podniósł się z krzesła.

- Właśnie tak. Uciekaj do domu, do mamy. Czekają na mnie męskie sprawy do załatwienia.

W całym ogrodzie lampy znów zapłonęły.

Sześćcioletnie dziecko wie, że ma doświadczenia całego życia, że rozumie, jak działa świat, i że poznało już wszystkie ludzkie sprawy. Piętnastoletni chłopiec ma taką samą wiedzę, co dwudziestoletni mężczyzna i pięćdziesięcioletni ojciec rodziny. Czasem trzeba dożyć sędziwego wieku, a nawet przeżyć więcej niż jedno życie, zanim uświadomimy sobie, jak mało wiemy, jak dużo musimy się nauczyć i jak niewiarygodnie zaskakujący są nasi towarzysze podróży.

Jak to mówią, zrozumieć to przebaczyć, a ci, którzy najwięcej wycierpieli, mają najwięcej do wybaczenia, któż zaś cierpi bardziej niż ludzie tacy jak doktor Joaquin Cochrane?

Trudno sobie wyobrazić mężczyznę bardziej niepodobnego do L.H. Valdesa. Doktor Cochrane niski, powłóczący nogami, zeszywniały, Valdes, nawet jeśli zaczął odczuwać wiek, wciąż atletyczny.

Valdes człowiek słów, Cochrane zabawiający się liczbami. Valdes domagający się uwagi, żądający zainteresowania, pławiący się w pochlebstwach, upierający się, że ma do nich prawo, Cochrane trzymający się cieni, przytulony do przypodłogowych listew życia.

Valdes w nic nie wierzący i szczyjący się swoją obojętnością, Cochrane pielęgnujący swą skrytą gorliwość.

Valdes trwoniący się bez końca i bez miłości, a kiedy uczucie w końcu nadeszło, było mu obce i przerażało go. Cochrane zawsze samotny, lecz zawsze gotów kochać, niczym lampka pełna oliwy, czekająca na zapałkę.

Valdes zdecydowanie kobieciarz, a Cochrane zdecydowanie nie, mimo to, ponieważ życie nieskończenie nas zaskakuje, to on właśnie siedział przy stoliku naprzeciwko Cateriny, bawiąc się solniczką.

Tkwili w tej restauracyjce przez prawie cztery godziny i na długo przed upływem tego czasu doktor Cochrane uznał, że lubi tę dziewczynę.

Rozmawiali o jej wiosce w górach i jak mała była, jak odległa od wszystkiego, jak czyste miała powietrze. Powiedziała mu, że tęskniła za gwiazdami i długą, jaskrawą plamą Drogi Mlecznej przecinającą niebo, ale pocieszała ją świadomość, że kiedy widziała księżyc, ten sam księżyc świecił na jej matkę.

Doktor Cochrane opowiadał o swoim przodku admirale, lecz to wszystko było dla Cateriny nowością i nie musiała udawać zainteresowania - przynajmniej przez chwilę.

Rozmawiali o jedzeniu i książkach - szczególnie książkach L.H. Valdesa - a przede wszystkim o miłości. Miłości ogólnie i jej miłości w szczególe.

- Obwiniam samego siebie - powiedział. - Jestem twoim wykładowcą. Powinienem się wtrącić. Mógłbym temu zapobiec.

- Ale tego właśnie pragnę. On jest tym, czego pragnę.

- Moja droga, wierzę ci. Naprawdę. Valdes to doskonała zdobycz i, wybac mi, istnieje wiele kobiet... bardzo, ale to bardzo wiele kobiet... które próbowały zrobić to, co tobie się udało. Wierz mi, sprawienie, by L.H. Valdezowi zaczęło zależeć, to spore osiągnięcie. Ja usiłowałem przez wiele lat. Wiesz, kochałem go od tak dawna, ale on nie zwraca uwagi na takiego staruszka jak ja.

Caterina wpatrzyła się w obrus, nagle zawstydzona. Nie wiedziała, co powiedzieć, poza:

- Przykro mi.

Doktor Cochrane się roześmiał.

- Czy to takie oczywiste? Przez cały ten czas wydawało mi się, że dobrze się ukrywam. - Położył dłoń na jej dłoni. - Nie, dziecko, nie w taki sposób. Nie tak. Jak ojciec. Nie, to też nie najlepsze określenie. Może jak wuj. Tajemny wuj.

Uśmiechnął się.

- Albo matka chrzestna!

Caterina też się uśmiechnęła. Poczula, że dał jej pozwolenie, że rozumiał, iż śmiała się z tego, co mówił, a nie z tego, kim był. Doktor Cochrane sprawiał, że czuła się swobodnie, co w obecności Valdesa nigdy się nie zdarzało. Z nim zawsze miała uczucie, jakby dzieliła klatkę z tygrysem. To ją podniecało, ale też napełniało niepewnością, bo trudno kochać tygrysa.

- Mężczyźni podobni do mnie... tacy jak ja... cóż, odczuwamy brak aprobaty.

- Rozumiem.

- Ale ojciec Chano był dla mnie dobry. - Doktor Cochrane bał się, że mógłby zostać źle zrozumiany. - Och, nie w taki sposób, rozumiesz. Życzliwy. Zachowywał się jak dobry przyjaciel.

- Co się z nim stało?

- Nikt nie wie - odparł prawie zgodnie z prawdą. - W tamtych czasach ludzie po prostu znikali. Oczywiście, teraz też się to dzieje, ale

z innych powodów. Albo tych samych. Przypuszczam, że tak naprawdę nic się nie zmienia poza ludźmi, którzy doprowadzają do zniknięcia, a oni niewiele się od siebie różnią. Tak czy inaczej, chodzi o to, że był dobrym, dzielnym człowiekiem. Dzięki niemu Chano stał się tym, kim jest.

- Ale nie było go przy nim - sprzeciwiła się Caterina. - Jak mógł?

- Opowiedz mi o swoim ojcu.

- On też umarł.

- A jak to zmieniło twoje życie?

Caterina pokiwała głową. Zrozumiała i wiedziała, że on miał rację.

- Dziecko, rzeczy, których nie ma, mogą ukształtować nas w tym samym stopniu jak te, które są. Mężczyzna, który stracił oczy, nie jest taki sam jak ten, co urodził się niewidomy. Zupełnie inaczej postrzegają świat. - Doktor Cochrane dolał sobie wina. - Ależ ty młoda. Ile razy się zakochałaś?

- Aż do teraz, nigdy.

- A ile razy później?

- Nigdy! - Wydawała się wstrząśnięta.

- Skąd ta pewność? Jak biedna Sophia, odmawiająca sobie przez tak wiele lat. Cóż za marnotrawstwo.

- A pan - spytała, całkiem uprzejmie - jak często pan kochał, doktorze Cochrane?

- Dziecko, ja zakochuję się właściwie codziennie. I co drugi dzień ktoś łamie mi serce. Nie przeszkadza mi to. To cena, której biedny Chano Valdes postanowił nie płacić.

- Aż do tej chwili - stwierdziła.

- Aż do tej chwili - zgodził się uprzejmie. - Ale ja ją chętnie płacę. Zapłaciłbym dwa razy więcej, i to z ochotą, za same cabeceo, nawet gdybym nigdy nie miał już zatańczyć.

Doktor Cochrane był doskonałym mówcą. Zamówił brandy, a to pomagało w prowadzeniu rozmów.

Na zewnątrz ciemność się pogłębiała. Cienie wylewały się na ulice, gęstniały i wspinały po ścianach, a pomarańczowe latarnie tłumyły blask przyjaznych gwiazd i sprawiały, że mrok stawał się jeszcze czarniejszy. Caterina to czuła.

Doktor Cochrane mówił, a ona uśmiechała się, udając, że słucha, spoglądając ponad jego ramieniem na ulicę, nasłuchując opowieści,

których szept słyszała wzdłuż chodników, a na które Valdes był głuchy lub już dawno zapomniał, jak to się robi. Wpatrywała się w ciemność, gdzie trzy przecznice dalej młody mężczyzna kradł morfinę z karetki, żeby pomóc ojcu umrzeć. A na wzgórzu widziała, jak piękna kobieta opuszcza swój piękny dom w swoim pięknym samochodzie, patrzyła, jak jedzie do miasta, gdzie zaparkowała, rzuciła kluczyki staruszkowi sprzedającemu gazety na rogu ulicy i po prostu odeszła.

- Obwiniam siebie. Obwiniam siebie. Może gdyby Sophia zareagowała inaczej. Gdyby była twarda i brutalna... tak twarda i brutalna, jak udaje... gdyby o nim zapomniała, zamiast wznosić mu pomniki, może gdyby znów wyszła za męża, ale wiedziała, co widziałem. Moja wina. To wszystko moja wina.

Doktor Cochrane na chwilę przestał mówić, przełknął i powiedział:

- Niedobrze mi. Czas wracać do domu.

Caterina i doktor Cochrane wyszli z restauracji tak, jak przyszli, pod rękę. Kiedy spotkali się w ogrodzie, a on się uklonił, uchylił kapelusza i podał jej rękę, to był gest staromodnej uprzejmości. Teraz doktor Cochrane ujął ją pod ramię, aby uzyskać pomoc, i opierał się na niej nieco zbyt mocno. Noga go bolała, a ta ostatnia brandy sprawiła, że jego laska stała się niepewna, a słowa głośnie.

- Nie jestem masonem - powiedział.

- Cii, nie ma co krzyczeć.

- Masz rację. Przepraszam po tysiącokroć. - Znów zaczął, równie głośno, co wcześniej. - Nie jestem masonem, ale należę do swego rodzaju wolnomularstwa.

- Czy to sekretne stowarzyszenie?

- W tym ciemnym, zacofanym, paskudnym kraiku owszem, musi być tajemnicą - zwierzył się gromko.

- Nie sądzi pan, że powinien pan mówić ciszej?

Jakimś sposobem w środku ostatniej długiej anegdoty doktor Cochrane stał się nagle bardzo pijany. Niepewnie stawiał stopy, a zataczanie się przechodziło na Caterinę. Więcej niż raz musiała się zatrzymać i wyprostować, żeby nie wpaść na ścianę.

- W zupełności! - Doktor Cochrane uniósł palec do ust w geście milczenia. - Umiem dotrzymać tajemnicy.

Pociągnął ją za ramię i wysyczał:

- Dlatego cabeceo jest tak ważne. Ważne dla mężczyzn. Takich jak ja, rozumiesz. Rozumiesz? Pojmujesz, co mówię?

- Tak, rozumiem. - Caterina wcale nie miała ochoty o tym rozmawiać. Nie potępiała, ale nie widziała powodu, żeby to ciągnąć.

- Potrzebujemy cabeceo. Żeby rozpoznać siebie nawzajem. Żeby dawać sobie sygnały, prosić i się zgadzać. W tajemnicy. Ten błysk w oku - zrobił absurdalną minę - tak subtelny, niemal niezauważalny, ale jest widziany, rozpoznawany i rozumiany. To wystarczy.

Milczał chwilę, po czym powtórzył:

- Masoneria. Umiem dotrzymać tajemnicy.

- Czy możemy porozmawiać o czymś innym? - spytała. Dotarli do rogu ulicy. Caterina zatrzymała się i czekała na przerwę w sznurze samochodów wystarczająco szeroką, żeby bezpiecznie przejść na drugą stronę, ciągnąc pijanego kalekę.

- Niektóre z najszcześniejszych nocy życia spędziłem w salach tanecznych, wiesz. Takich szczególnych. Bez pań.

Caterina na wpół zaciągnęła, na wpół przeniosła doktora Cochrane'a przez ulicę, szukając postoju taksówek, na którym mogłaby go z czystym sumieniem pozostawić. Ale nie spieszyła się. Musiała coś wiedzieć.

- Dlaczego powiedział pan, że obwinia siebie? - spytała od niechcena.

- Niby o co, dziecko?

- Mówił pan, że obwinia się o to, jak wszystko wyszło. Z Chano i jego matką. „Byłem tam”, tak pan stwierdził.

- Och. To. Naprawdę to powiedziałem? - Elegancko stłumił beknięcie. - Wiesz, chyba jestem trochę pijany.

- Wiem.

- Ale umiem dotrzymać tajemnicy. Zachowywałem milczenie przez ponad czterdzieści lat.

Dotarli do postoju taksówek i Caterina wiedziała, że straciła szansę. Tam musieli się pożegnać, doktor Cochrane wsiadłby do taksówki, a rano obudziłby się we własnym łóżku z obolałą głową i sekretem wciąż bezpiecznie ukrytym w jej wnętrzu.

Cmoknęła go i rzuciła:

- W takim razie do widzenia. Zostawię pana tutaj. Dziękuję, że się pan mną zajął.

Ale doktor Cochrane chwycił jej dłoń i ją ścisnął.

- Czy go kochasz? - spytał.

- Oczywiście!

- Ale czy go kochasz? Czy go kochasz goręcej niż piekło i dłużej?

- Powiedziałam to, czyż nie?

- Powtórz to.

- Tak! Kocham go.

- A kiedy po ciebie przyjdą i będą ci robić paskudne rzeczy... takie, których nie da się wypowiedzieć na głos... kiedy będą robić ci rzeczy, których nie powinna znosić żadna kobieta, kiedy pozostawią cię oszpeconą i nie zabiją cię, co wtedy powiesz?

Caterina próbowała wyrwać rękę.

- Niech pan tak nie mówi!

- Co wtedy powiesz, dziecko?

- Wciąż będę go kochać.

Doktor Cochrane puścił jej dłoń.

- To wsiądź ze mną do taksówki, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć.

Taksówka była ciasna i duszna. Doktor Cochrane podał kierowcy adres i oparł się plecami o siedzenie, wciskając się w kąt, z kapeluszem naciągniętym na oczy. Można by pomyśleć, że śpi, gdyby nie ręka zaciśnięta na wytartym skórzanym pasie zawieszonym nad drzwiami. Stanowiło to wyraźny znak, że nie chce powiedzieć więcej, i po raz drugi tego wieczora Caterina poczuła się zmuszona do milczenia, czekając, aż padną doniosłe słowa.

Światła samochodu przecinały gorącą noc. Okna zaparowały i Caterina nie miała pojęcia, gdzie jadą, ale taksówkarz znał drogę, kierując się jakąś mapą w umyśle, jak te węgorze, które wypływają całymi stadami ze swoich gniazd na Morzu Sargassowym i rok po roku wracają w górę tych samych rzek.

Na szyby padało światło, obok przepływały neony barów i sklepów, później wydostali się na autostradę, ze wszystkich stron przepychały się samochody i ciężarówki, po chwili jednak opuścili ją szerokim zjazdem, dotarli do światła, przejechali skrzyżowanie, skręcili w lewo i jeszcze raz w lewo w cichą boczną uliczkę na wzgórzu.

- Minąłeś go! - krzyknął doktor Cochrane. - Tutaj! Zatrzymaj się tutaj!

Nie ufając hamulcowi ręcznemu, kierowca gwałtownie zakręcił kierownicą i taksówka zatrzymała się w poprzek ulicy, rzucając wyzwanie zboczemu wzgórz. Doktor Cochrane nie był zwinnym człowiekiem, a alkohol tylko zwiększył jego niezgrabność. Taksówka przechylała się na stoku jak tonący liniowiec. Nawet gdyby udało mu się sięgnąć do drzwi pasażera po swojej stronie, zwróconej w górę, nie otworzyłby ich. Zamiast tego skierował się w stronę drzwi skierowanych w dół i zachęcił Caterinę, by wysiadła przed nim:

- Wybacz mi, dziecko. Nie, poradzę sobie, dziękuję, nic mi nie jest. Zaplątał się w jej nogach i wytoczył na chodnik.

Caterina czekała w milczeniu, kiedy on płacił kierowcy, a później odeszli razem, wciąż obok siebie, ale już nie pod rękę, ruszając w dół, w stronę domu doktora Cochrane'a. Caterina nie wiedziała, gdzie iść ani czego się spodziewać. Idąc powoli, zbyt wielką uwagę zwracała na swoje nowe otoczenie, by zauważyć zaparkowany cztery domy dalej samochód z dwoma detektywami w środku.

- Rozumiem, dlaczego mężczyźni uznają cię za atrakcyjną - powiedział doktor Cochrane.

- Niektórzy - opowiedziała z wahaniem.

- Na przykład Chano Valdez.

- Na to wygląda.

- I chłopcy na uniwersytecie?

- Część z nich, jak sędzę.

- Ty nigdy...

- Nie.

- Nigdy?

- Nie. - Nawet nie próbowała się upierać.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział doktor Cochrane. Stał u podnóża schodów i wyciągnął z kieszeni klucz do domu na długim srebrnym łańcuszku. - Proszę, idź na górę. Nie chcę kazać ci czekać.

Wejście po schodach zajęło mu dużo czasu. Przełożył laskę do drugiej ręki, żeby chwycić się balustrady, a później boleśnie powoli wspinał się na kolejne stopnie, zatrzymując się po każdym kroku, kołysząc w biodrach.

- Wejdz - rzucił, lecz dopiero po kilku próbach udało mu się trafić kluczem do dziurki. - Pozwól, że zaproponuję ci coś do picia.

- Może kawę - odparła.

Caterina zaczynała się niecierpliwić. Przyszła w końcu tylko ze względu na opowieść, nie na poczęstunek.

- Byłabyś tak miła, nina? Mnie się chyba nie uda. - Opadł na wypchany zielony fotel z jedną nogą wyciągniętą przed siebie jak martwa kłoda. Nadal nie zdjął kapelusza.

Caterina znalazła kuchnię, znalazła kawę, zagotowała wodę i wróciła ze wszystkim na tacy. Doktor Cochrane jej podziękował.

- Chyba zaczynam trzeźwieć - powiedział i wykrzywił się. - Znow czuję swoje wargi, a to zawsze dobry znak.

Caterina zaczekała, aż pociągnie łyk, zanim się odezwała.

- Miał pan mi coś opowiedzieć... pamięta pan?

- Naprawdę?

- Coś ważnego. Mężczyzna milczał.

- O Chano i jego matce. Był pan tam.

Doktor Cochrane odstawił filiżankę na talerzyk i spojrzał na nią ze złością.

- Tak, pamiętam.

- Zmienił pan zdanie?

- A ty?

- Nie.

- Kochasz go? Bardziej niż życie? Ze świadomością, że może cię to zabić. Albo mnie.

Skinęła mu głową w ciemnym pokoju. Widział, jak w jej włosach odbija się blask ulicznych latarni.

- Czy jestem wciąż wystarczająco pijany, żeby ci to powiedzieć? Kiedy to usłyszysz, dziecko, nie możesz tego odusłyszeć, rozumiesz? Nie możesz tego odusłyszeć!

Znów przytaknęła.

- Boże. - Doktor Cochrane przeciągnął dłonią po twarzy. - Musisz to wiedzieć.

A później, z głębokim westchnieniem, zaczął mówić.

- To zdarzyło się przed ponad czterdziestu laty. Dawno, dawno temu. W mojej młodości. Przyjaźniłem się z Valdezem. Czuł to samo, co ja. Wierzył w to samo, co ja. Chciał znaleźć lepszą drogę. Był bogatym człowiekiem wywodzącym się z jednej z najlepszych rodzin w mieście, od wielu pokoleń gromadzących pieniądze. Jako prawnik chciał wykorzystać swoje pieniądze i prawo, by pomagać biednym, uczynić świat lepszym miejscem. Odrobinę lepszym. Nikt nie chciał słuchać. Narobił sobie wrogów. Został zauważony. To coś złego.

Ostrzegałem go. Błagałem, żeby przestał. Nie słuchał. Wkrótce zaczęli go śledzić. Inni ludzie znikali... ludzie, których znaliśmy... po prostu przepadali, a oni zbliżali się coraz bardziej. Chcieli go przestraszyć. Pod ich domem przez cały czas kręcił się policjant.

Valdez i Sophia mieli w zwyczaju wsiadać do samochodu i jechać. Nie wiem, dokąd zmierzali ani co mówili, ale sądzili, że w aucie są bezpieczni. Nikt nie słuchał. Nikt nie obserwował. Mylili się. Ktoś zawsze patrzył. Wychodzili z domu z małym Chano w piżamie, otulonym kocem. Zanosili go do samochodu i jechali. Ja tylko się przyglądałem. Byłem jego przyjacielem, a tylko się gapiłem. Co jeszcze mogłem zrobić? Popatrz na mnie. Jestem drobny i kulawy. Co mogłem zrobić? Stałem na ulicy i patrzyłem, jak policjanci obserwują. Myślałem, że pomagam, rozumiesz?

- Robił pan, co w jego mocy - powiedziała.

- Żałuję. Na Boga, żałuję, że w ogóle zawracałem sobie tym głowę. Nie wiem, co chciałem zrobić. Miałem jakąś szaloną wizję, że mógłbym

się wtrącić, gdyby po niego przyszli, walczyć przeciw nim, ostatecznie umrzeć razem z nim. Cokolwiek. A później doszło do ostatniej nocy. Rozmawialiśmy o tym, on i ja. Nie wiem, co jej powiedział. Nie wiem, co powiedział Sophii.

Wsiedli do samochodu z Chano na tylnym siedzeniu i odjechali. Widziałem, jak razem wychodzą z domu, Sophia niosła chłopca, położyła go, nadal śpiącego, na tylnym siedzeniu, zamknęła drzwi i ruszyli. Policja przestała ich śledzić - z początku jeździli za nimi, żeby udowodnić im, że nie mogą uciec, ale przestali. Kiedy już wiedzieli, że on zawsze wracał, że nigdy się nie zatrzymywał i z nikim nie spotykał, pozwalali mu kręcić się autem po okolicy, ile zechciał, jak to mali chłopcy robią z pszczołami na nitce, dla samej zabawy. Idź do tej szafki, niña, i znajdź mi brandy.

Doktor Cochrane wyciągnął drżącą ręką filiżankę i Caterina mu naląła. Wypił i znów wyciągnął rękę.

- Stałem tam jak idiota, w krzakach, obserwując i czekając. Nie wiedziałem, czy policjanci są świadomi mojej obecności. W sumie ze mną też się mogli bawić. W końcu musiałem się odlać. Stałem tam, z zajętymi rękami, kiedy samochód wrócił. Valdez zniknął. Prowadziła Sophia. A Chano siedział obok niej na przednim siedzeniu, czubek jego głowy był ledwie widoczny przez okno, jakby to miało kogoś oszukać. W chwili, kiedy wjechała na podjazd, policjant zorientował się, co się wydarzyło. Wybiegł na ulicę. Zachowywał się jak oszalały. Wrzeszczał. Uderzył Sophię. Ja w tym czasie stałem i sikałem w krzakach. Czy umiałabyś sobie wyobrazić coś bardziej absurdalnego? Ja szukam po omacku, próbuję zapiąć spodnie, podczas gdy żonę mojego przyjaciela biją na ulicy. Żałosne.

Ale mały Chano nie był żałosny. To tygrys. Wyszedł z samochodu, żeby ją obronić. A ja tam stałem. Długo po tym, kiedy już skończyłem, kiedy nie miałem żadnego usprawiedliwienia, żeby nic nie robić, stałem w krzakach. Chłopiec podbiegł do matki, a ja nie ruszyłem się z miejsca.

Policjant stał nad Sophią z pistoletem, kiedy Chano przyszedł i kopnął go w nogi, a wtedy on się zamachnął bronią, tym wielkim ciemnym kawałem metalu, po prostu wziął zamach i uderzył dzieciaka w twarz. Trafił go prosto w usta. Mały poleciał do tyłu i wylądował na ulicy.

Tego już było za wiele nawet dla tchórza takiego jak ja. Dzieciak - syn mojego przyjaciela - leżał na plecach na chodniku, z ust płynęła mu krew, a ja wziąłem laskę w dłoń, wyszedłem zza krzaczka i ruszyłem na pomoc z szybkością przerażonego ślimaka. Sophia leżała na ziemi, a policjant stał nad chłopcem, celując do niego z pistoletu, z odciętym kurkiem, ja znajdowałem się w połowie ulicy, a każde z nas było pół sekundy od kuli, kiedy Sophia usiadła i krzyknęła: „Chryste, Camillo, nie rób tego. To twój syn!”. I wtedy oboje podnieśli wzrok i zobaczyli mnie.

Caterina siedziała w ciemnościach i nic nie mówiła.

- Tak - powiedział doktor Cochrane. - Ja też tak się poczułem. A teraz jesteś taka jak ja, nie możesz tego odusłyszeć.

- Ale to nie znaczy, że to prawda. Zrobiła to w desperacji. Powiedziała to, owszem. Chciała ocalić syna.

- Oczywiście, dziecko. Jasne, że masz rację, ale nie stwierdziłaby czegoś takiego, gdyby nie sądziła, że Camillo jej uwierzy. Coś musiało leżeć u podstaw tych słów, ale w sumie nie ma w tym nic złego. Bardzo niewielu z nas umie wytrwać przy surowych zasadach moralnych. Niewielkie, dyskretne grzeszki nie są takie straszne.

- Co się stało później? - spytała Caterina.

- Camillo podniósł wzrok znad chłopca i spojrzał na mnie. Stałem na ulicy, pośrodku tych wszystkich krzyków i wrzasków, a we wszystkich domach wokół nas nikt nie podszedł do drzwi i nikt nie odsłonił zasłon, wszyscy bardzo uważnie gapili się w telewizory albo czytali gazety i niczego nie zauważali, ja zaś czekałem, aż zostanę zastrzelony. Jednak policjant schował broń i uciekł. Sądzę, że w tamtych czasach wciąż miał jeszcze duszę, coś, czego dało się dotknąć. Przebiegł obok mnie, wsiadł do samochodu i odjechał, a wtedy ja podszedłem do Sophii. Naturalnie, nigdy mi nie wybaczyła.

Siedziała w kuchni domu, trzymając malutkiego Chano, który krzyczał i zalewał krwią jej bluzkę. Krew. Wszędzie krew. Zaczekałem z nią, aż przyjechał lekarz i zszył wargę chłopcu. Kiedy skończył, ona kazała mi wyjść i nigdy nie wracać. Spodziewała się, że dostanie wieści od męża. Nie chciała, bym przebywał w okolicy, przypominając innym, co powiedziała - nie żebym miał zamiar to zrobić. Ale Valdes zniknął. Nie dostała od niego żadnych wieści. Przypuszczam, że wtedy właśnie

zaczęła budować jego świątynię, wewnątrz której złożyła się jak ofiara przebłagalna.

To musisz wiedzieć o mężczyźnie, który ma zostać twoim mężem. To uszkodzony towar, dziecko. Przez lata zamknięty w mauzoleum poświęconym chwale ojca, którego nie miał okazji poznać, z taką matką. To nie jego wina, że nie ma w nim miłości. Dlatego my musimy kochać go jeszcze mocniej.

Kiedy pan Valdez wyszedł z domu Ottavio, skierował się prosto do mieszkania i był bardzo z siebie dumny, że ani razu nie zatrzymał się i nie sprawdził, kto idzie za nim. Przez ciemne boczne uliczki, gdzie odgłos jego kroków odbijał się echem od domów po obu stronach, później aleją Cristóbal, którą jechały samochody, stłoczone jeden za drugim, gdzie na chodnikach kłębił się tłum, gdzie wyobrażał sobie dotyk kieszonkowca lub lufę wciśniętą w żebra, ale siłą woli zmusił się, by ani razu nie spojrzeć za siebie. Zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i wtedy zalała go fala ulgi, jak tonącego marynarza, któremu udaje się otoczyć rękami kawał unoszącego się na wodzie drewna, jakby miało go ocalić, jakby mogło rzucić wyzwanie falom i sztormom, jakby kilka desek i mosiężna zasuwka potrafiły powstrzymać kulę, but albo miażdżący ciężar nakazu przeszukania.

Nie błagał. Nie łkał, nie skomlał, nie płakał ani nie drżał. Zachował panowanie nad pęcherzem i godnością. Z tego mógł być zadowolony. Ale pan Valdez czuł strach. W ogrodzie bał się, że Caterina go porzuci i że mógłby zmienić się w męża. W domu Ottavio bał się Camilla, tego, co mógł powiedzieć i zrobić, bał się tego, co Camillo mógł zrobić Caterinie, jeśli nie odezwie się w jej obronie, i tego, co stałoby się, gdyby odważył się zaprotestować, bał się każdego kroku na drodze do domu i miał już tego dość. Gorący puls życia wypełniał boleśnie kikut, który Caterina jakimś sposobem pobudziła pocałunkiem do życia, a on tego nie chciał. Pragnął powrócić do wcześniejszych czasów, kiedy żył odcięty od innych ludzi, ale na to było zbyt późno. Posmakował owocu z Drzewa Wiadomości i wiedział, że jest nagi. Nie było powrotu do czasu, kiedy nie wiedział.

Przyszła mu do głowy idiotyczna myśl, żeby ściągnąć meble i zastawić nimi drzwi - jakby to miało mu pomóc, a nie jedynie dodać kilka chwil przeraźliwej grozy do jego udręki. To było bez sensu i doskonale o tym wiedział. Gdyby Camillo chciał, mógłby sprawić, żeby zniknął jak królik w magicznej sztuczce, jak jego ojciec.

A później strach znów na chwilę ustąpił. Pomyślał o Caterinie. Z jej powodu rzucił wyzwanie Camillo. Nie chciał jej zdradzić. Wiedział, że musi zostać ostrzeżona. Ale nic nie zrobił.

Aby spotkać się z Cateriną, musiałby znów opuścić mieszkanie, wyjść w mrok, przemierzyć aleję, dotrzeć do tej paskudnej bocznej uliczki i miejsca, którego nigdy nie odwiedził, ale o którym Camillo

wiedział wszystko i gdzie mógł na niego czekać, żeby go pochwycić, a to by Caterinie nie pomogło.

- To na nic - powiedział sam sobie. - Muszę zaczekać do rana. Jeśli nie będzie jej w Feniksie, mogę znaleźć sposób, żeby na nią wpaść, albo poprosić Cochrane'a, żeby przekazał jej wiadomość. Załatwię tę sprawę z cukiem i powiem jej. Tak będzie bezpieczniej. Lepiej zaczekać.

Tak się usprawiedliwiał. Doktor Cochrane, uznający się za tchórze, byłby zawstydzony, gdyby sam do siebie mówił takie rzeczy, ale pan Valdes nagle zapragnął bezpieczeństwa. Wydało mu się ono pożądanym stanem. Należało zachowywać się bezpieczniej.

Nalał sobie dużo brandy do szklanki i stwierdził, że kiedy ją pił, jego ręka nie drżała. Ta obserwacja go zaskoczyła.

Pan Valdes zdjął buty, niezręcznie, opierając czubek jednego o piętę drugiego, co mogło uszkodzić skórę, i przeszedł przez mieszkanie do wielkiego okna, które wychodziło na aleję i długie sznury świateł.

To robiło wrażenie cywilizacji. Niewyszkolonemu obserwatorowi mogło się wydawać, że dżungla została wyrębana, węże wypędzone z jam, jaguary wygonione dymem i bębniami, lecz pan Valdes wiedział, że to, co je zastąpiło, było o wiele gorsze, bardziej zajadłe i nie bało się chodzić w świetle dnia.

A później pan Valdes zrobił coś, czego nie robił, od kiedy był chłopcem. Jego dłoń odnalazła rękojeść pałasza dziadka. Wyciągnął go z mosiężnej pochwy, a ostrze wysunęło się cicho przez wyściełanie z owczej skóry, wciąż naoliwione dla ochrony przed odległym oceanem, którego nie smakowało od dziesięcioleci. Broń mówiła mu o dziedzictwie i krwi, dumie i honorze, a on krążył z nią przez pokój, unosząc ją, poruszając nią, ustawiając ją tak, jak go nauczono, w uszach zaś słyszał słowa dziadka: „Do góry”, „Cofnij nogę” i „Tak właśnie, chłopcze. Nie należy dawać ostrza człowiekowi, który nie umie tańczyć”.

Pan Valdes potrafił. W swoim cichym mieszkaniu słyszał Tango Śmierci i poruszał się na poduszkach stóp jak kot z jednym wielkim, ostrym pazurem.

Nie mam przyjaciół, Nie mam kochanek, Nie mam kraju Ani religii.
Mam tylko gorycz w duszy I chorobę w sercu.

Płowy kot, który skończył tam, gdzie on zaczął, przekraczając ulicę i wchodząc do burdelu tylko po to, żeby z niego wyjść, raz za razem,

skradał się po mieszkaniu, aż przestał, z czubkiem ostrza przystawionym do poduszki na jego pięknej skórzanej kanapie, przyciśniętym, ale nie przebijającym tkaniny. Zastanawiał się, czy ciepły kawałek ciała między obojczykami Camilla robiłby takie samo wrażenie.

Spocił się. Było mu gorąco. Pan Valdes napił się jeszcze brandy i poszedł do łóżka. Zabrał ze sobą pałasz. Kiedy leżał samotnie w łóżku, które pachniało Cateriną, na poduszce przesyconej jej aromatem, ciężar broni go uspokajał.

Kiedy doktor Cochrane usnął na krześle, Caterina podniosła się do wyjścia. Wyjęła filiżankę z jego palców i pozostawiła ją, lepka od brandy, na półce przy oknie. Spojrzała z góry na ulicę. Nie miała pojęcia, gdzie się znajdowała, ale wiedziała, że musi odnaleźć Chano, pocałować go i wszystko naprawić.

Cicho zamknęła drzwi i zeszła po ciemnych schodach na ulicę. Policjanci już zniknęli. Widzieli wystarczająco dużo.

Dziewczyna stanęła na brzegu chodnika, próbując zdecydować, w którą stronę iść. Wybrała „w dół”. Stamtąd przybyła i tego nauczył ją ojciec. Gdyby zgubiła się w górach, mówił jej pappi, miała schodzić. Deszcz spada w dół, zmienia się w strumień, a następnie w rzekę, a tam, gdzie są rzeki, żyją też ludzie, którzy odprowadzą ją do domu.

W mieście łatwiej było znaleźć ludzi. Wyrastali gęsto jak chwasty, wypełniali domy i zapychali ulice, kłębili się jak mrówki, ale prowadzili samotne życie - o wiele bardziej samotne niż największy odludek wśród górskich pasterzy. On przychodził do miasta pewnie raz na miesiąc, żeby się upić lub kupić nowe spodnie, ale ludzie znali jego imię. Sąsiedzi wiedzieli o nim wszystko, choć mieszkał dwie doliny dalej, a gdyby pewnego dnia fiesty się nie pojawił, wyruszyliby na jego poszukiwanie.

Ale nie tutaj. Nie w mieście. Tutaj ludzie spali na ulicach owinięci śmierdzącymi kocami, starcy garbili się z wyciągniętymi rękami i nikt nie mówił: „Mamo, tu jest chleb” albo „Wejdz i zjedz z nami trochę zupy”. Przechodzili obok. Mijali ich w samochodach i niczego nie widzieli, a ona stawała się taka jak oni. Po dwóch latach w mieście знаła drogę z mieszkania na uniwersytet, lubiła Ericę i kochała Chano, ale poza tym nie było nikogo, a teraz się zgubiła.

Caterina zeszła ze wzgórza, a kiedy dotarła do skrzyżowania, skręciła w prawo, lecz to jedynie przybliżyło ją do autostrady. Słyszała jej ryk za domami jak huk wodospadu ukrytego wśród drzew. Przejeżdżające samochody wypalały niebo reflektorami, a światła wzdłuż drogi wznosiły się na betonowych pędach, zalewając okolicę nieprzerwanym blaskiem. Caterina zawróciła. Chciała znaleźć rzekę, ale ta była zbyt szeroka, by ją przekroczyć, a jej nurt zbyt szybki. Wróciła na wzgórze i wędrowała niekończącymi się bocznymi uliczkami, długo wpatrując się w mrok, aż zauważyła jaskrawą dżunglę sklepowych

sztyldów, ponieważ wiedziała, że tam musiał znajdować się przystanek, a choć ona się zgubiła, kierowca autobusu na pewno znał drogę.

Rozkład przykręcony do latarni był jedynie pełnym nadziei kłamstwem, a kiedy autobus w końcu się zjawił, nie mógł zabrać jej z powrotem na aleję Cristóbal. Musiała się przesiąść. Minęło dużo czasu, nim przejechała przez miasto, ale jej to nie przeszkadzało. Dzięki temu mogła zastanowić się nad rzeczami, które chciała zrobić dla Chano, szczególnymi darami, jakie pragnęła mu przynieść, skarbami - poza nią samą - które chciała złożyć mu do stóp, sposobami, by go dosięgnąć i uspokoić, stworzyć na nowo i odbudować, wszystko, by pokazać mu, że jest kochany. Uszkodzony towar da się naprawić. Zresztą jakie to miało znaczenie? Każdy był uszkodzonym towarem. Doktor Cochrane zmusił ją, by to przyznała, nawet jeśli sam nie dostrzegał tego w sobie. Chano można było uratować, a Caterina wiedziała, że jest jedyną osobą zdolną tego dokonać. Oczywiście, miała rację - gdyby zechciał zostać uratowany.

Przed wielu laty ksiądz w tym małym kościółku w górach opowiedział historię o paskudnej staruszce, którą zepchnięto do piekieł i tam pozostawiono, żeby umierała z głodu. Ona płakała i modliła się, aż Bóg w końcu się ulitował i zesłał na dół zapleśniałą marchewkę na sznurku, a wtedy wiedźma chwyciła warzywo i trzymała się go, gdy Bóg wyciągał ją z otchłani. Kiedy inne biedne dusze to zobaczyły, też próbowały się chwycić, ale paskudna starucha, zamiast im pomóc, szarpała się, kopała i walczyła, aż sznurek pękł i wszyscy znów polecili w dół, razem z marchewką. Caterina zapomniała tę opowieść, a byłoby dla niej lepiej, gdyby pamiętała.

Autobus zatrzymał się z szarpnięciem i dziewczyna wysiadła. Nawet o tej godzinie na alei Cristóbal panował ogromny ruch. Musiała przejść na róg, żeby przebiec w luce między autami, a później wróciła wzdłuż arterii aż do wąskiej uliczki, przy której mieszkała.

Szła cicho - na ile pozwalały jej dorosłe buty, które włożyła z okazji kupowania zaręczynowego pierścionka - w stronę mieszkania, trochę przestraszona cieniami, a jej stopy ślizgały się po zakurzonych, brudnych, trzeszczących schodach. W ciszy przekręciła klucz w zamku, żeby nie obudzić Eriki - której i tak nie było - pospiesznie przemierzyła ciemne mieszkanie do stolika przy łóżku, z którego podniosła grubą

teczkę, po czym znów wyszła w mrok nocy oraz na przerażające ulice i wróciła do Chano, który okazał się o wiele gorszy, niż sądziła.

Kiedy Caterina szła aleją między komisami samochodowymi, warsztatami naprawy motocykli i buzującymi złością barami aż na jej drugi koniec, gdzie mieszkał Chano, wśród eleganckich restauracji z wystawionymi na zewnątrz szklanymi stolikami, banków i domów towarowych, gdzie można było spojrzeć w nocy w głąb oświetlonych pomieszczeń, przyjrzeć się zdobionym sklepieniom i uwierzyć, że ponad ulicznym hałasem rozlegają się fortepianowe nuty, on siedział zamknięty w swoim mieszkaniu i udawał, że się nie ukrywa.

Kiedy ona przepychała się przez wieczorne tłumy z grubą szarą tęczką przyciśniętą do piersi jak pancierz mający uchronić przed ciosem miecza lub spojzeniem, kierując się w jego stronę, dzielna, niepowstrzymana, kierowana miłością w taki sposób, w jaki Księżyc kieruje przyływami, on tkwił w środku, bał się i znajdował usprawiedliwienia, dlaczego do niej nie idzie.

A kiedy ona zeszła ciemnym łukiem podjazdu prowadzącym z ulicy do garażu pod jego blokiem, przez śmierdzące benzyną miejsca parkingowe i po schodach, unikając recepcji i portiera, kiedy wspięła się samotnie na górę i nie zatrzymywała się, choć goniły ją echa, a na każdym półpiętrze czaiły się cienie, kiedy dotarła do jego drzwi i zapukała, z początku delikatnie, a później głośniejsze, on leżał w łóżku, trzymając pałasz.

Wciąż miał go przy sobie, kiedy podszedł do drzwi, powoli, ze strachem, wyglądając zza rogu, jakby spodziewał się, że znikną w deszczu drzazg i pocisków. Czubek ostrza z brzękiem ciągnął się po płytkach podłogi.

- Kto tam? - spytał pełnym złości szeptem.

- Chano, to ja.

Podbiegł bliżej, stanął za drzwiami i wyjrzał przez judasz.

- Jesteś sama?

- Oczywiście, że tak. Co się stało?

Zawahał się. Stała na korytarzu w ostrym świetle, a choć była tak niska, widział, że to ona, wiedział to, a jednak zawahał się i stał, przestępując z nogi na nogę, obracając głowę, patrząc każdym okiem po kolei, sprawdzając ściany za jej plecami i blady dywan u jej stóp, szukając nieznanego cienia, który mógłby zdradzić obecność ukrytego obserwatora, przyciśniętego płasko do ściany. To właśnie

zrobił z nim Camillo. Wszystko to zajęło sekundę albo dwie, ale ona zauważyła.

- Chano, nie wpuścisz mnie?

- Chwilę.

Pałasz był absurdalny. Zdawał sobie z tego sprawę. Otworzył wąską szafę w przedsiionku, gdzie za pierwszym razem odwiesił jej płaszcz, i położył go na podłodze, ukośnie, żeby się zmieścił. To też zajęło czas.

- Chano! - Z drugiej strony drzwi dobiegł go zaniepokojony szept.

- Chwileczkę.

Zdjął łańcuch i przekręcił klucz w zamku. Usłyszała go i nacisnęła klamkę, zanim jeszcze miał okazję otworzyć drzwi, ale on jedynie je uchylił, wystarczająco, by się prześlizgnęła, po czym znów zamknął szybko, założył z powrotem łańcuch i przekręcił klucz.

- Co się stało? - Nic.

- Bałam się, że mnie nie wpuścisz.

- Dlaczego?

- Pokłóciliśmy się. Nie mów, że zapomniałeś.

- Miałaś pełne prawo się zdenerwować.

- Zachowałam się niegrzecznie i niemiło, oskarżyłam cię o różne rzeczy.

- Nic się nie stało. Byłaś rozczarowana. Jesteś taka młoda.

Wtedy Caterina się ucieszyła. Zrobiła to, co zasugerował doktor Cochrane. „Pozwól mu zrzucić winę na twoją młodość i nie protestuj”.

- Pocałuj mnie - powiedziała. Zrobił to.

- Nadal mnie kochasz?

- Oczywiście.

Ale nie powiedział tego. Tylko „oczywiście”, nie „oczywiście, że nadal cię kocham”.

- Co się stało? - spytała.

- Nic.

- Nieprawda.

- Zły sen i tyle. To tylko koszmar. Przestraszyłem się. - Kolejna półprawda. Był przestraszony. Przeżył grozę. Ale nie spał.

- Opowiedz mi. Wtedy nie wróci.

- On nigdy nie odchodzi - stwierdził. - Zawsze tam był. Przez całe życie wisiał nade mną.

Caterina delikatnie przeciągnęła dłonią po jego twarzy i - nie wyobraził sobie tego - pozwoliła, by czubek jej palca odrobinę zbyt długo spoczywał na jego wardze.

- Pocałuję i już nie będzie bolało - powiedziała. - Obiecuję.

Minęła go i przeszła do salonu, gdzie pochwa pałazsa jego dziadka leżała pusta i porzucona na sofie. Poczul się zażenowany, ale Caterina zdawała się nic nie zauważać.

Podeszła do okna i spojrzała na światła alei.

- Byłam tam przed minutą. Tam, daleko. Stąd świat wygląda inaczej. Może się zmienia.

- Tylko dlatego, że jesteś od niego bardziej oddalona. To ta sama planeta. Kwestia wysokości, nic więcej.

- Nie, Chano. Nie chodzi o to. Góry są wysokie, ale wtedy czułam się tak, jakbym żyła na tym świecie. To nie odległość oddziela cię od ulicy. To pieniądze.

- Znów będziemy się o to kłócić? Czuję się zbyt zmęczony. Chodź do łóżka.

- Nie. Nie mam zamiaru spierać się o to ani cokolwiek innego. Już nigdy. Gdybym miała wszystkie pieniądze na świecie, oddałabym je tobie, żeby cię uszczęśliwić. Wszystko, co mam, oddałabym tobie, ale że nie mam nic, ofiarowuję ci to.

Stał tam w ubraniu, w którym się położył, wyczerpany wysiłkiem prób zaśnieć i cierpieniem, jakie wywoływało w nim przerażenie, a ona była tak blisko, trzymając przed sobą podniszczoną szarą teczkę niczym dary Trzech Króli.

- Co to?

- Wszystko. O to właśnie prosiłeś, prawda? O wszystko. To wszystko, co mam na świecie, poza dwiema parami dżinsów, kurtką i butami, które ci się nie podobają. To moja książka.

- Twoja książka?

- Tak. Pisałam ją i nie mogę ci dać nic cenniejszego. Jest dla ciebie. Zapiszę twoje imię na stronie tytułowej z pełną szacunku dedykacją i z miłością. Z całą miłością.

- Twoja książka? - powtórzył, jakby nie miała prawa niczego napisać, jakby przysługiwało ono tylko jemu, jakby sama idea „książki” została przez niego opatentowana, należała wyłącznie do L.H. Valdesa, a jeśli przez jakiś czas nie egzekwował swoich przywilejów, może przez

lata, może przez wieczność, to była to jego sprawa i to z pewnością nie znaczyło, że Caterina, ta dziewczyna, miała prawo napisać książkę.

- Tak, Chano. Napisałam książkę. A teraz chodź do łóżka.

- O czym jest?

- To tylko opowieść. Chodź.

- Pójdę. Tak. Ty idź. Ja za chwilę dotrę.

- Dobrze - powiedziała - ale pospiesz się. Musimy się pogodzić.

Chano stał przy oknie, przyciskając do boku jej wielki dar, tę podniszczoną szarą teczkę, wpatrując się w światła alei, aż upewnił się, że odeszła. Zaniósł książkę Cateriny na biurko i zapalił lampę, lecz nim usiadł, prześlizgnął się jak złodziej przez własny dom, w ciszy wrócił do frontowych drzwi. Otworzył szafę. Podniósł pałasz dziadka. Kiedy usiadł przy biurku, położył go na kolanach. Wtedy otworzył teczkę i zaczął czytać.

Był niemal pewien, że jej nienawidzi.

Po upływie kilku godzin już wiedział. Przeczytał książkę Cateriny, jej wielki dar dla niego, i wściekłość wypełniła jego pierś. Ona leżała w łóżku, czekając, śpiąc albo udając, że drzemie, a on siedział przy biurku, które już przekazał w swoim testamencie do muzeum, na stertę kartek padał stożek żółtego światła, i nienawidził jej.

To była zwyczajna historyjka. Nic szczególnego. Opowieść o młodzieńcu, który liczył na spadek po ciotce. Ale wydał go, zanim jeszcze dostał. Obiecał go jednemu z największych artystów swoich czasów w zamian za obraz - ale nie na płótnie. Został wytatuowany na jego skórze, oszałamiająca kaskada lwów, aniołów i orchidei, spowijająca go chwałą. Później ciotka umarła, nie zostawiając mu pieniędzy. Jakiś czas potem odszedł artysta, a wdowa po nim zażądała spłaty, kiedy zaś młodzieniec nie mógł zapłacić, sprzedała jego skórę na aukcji.

Przez kolejne dwieście stron ozdobiony chłopiec umykał przed kolejnymi uzbrojonymi w skalpele miłośnikami sztuki, uciekał, ukrywał się, zakochiwał, jego wartość rosła, był sprzedawany dalej i z każdą chwilą stawał się coraz cenniejszy.

Tak, to zwyczajna opowieść. Mógłby ją napisać początkujący. Była śmieszna i naciągana, a jednocześnie piękna i błyskotliwa. W niczym nie przypominała czegokolwiek, co czytał wcześniej, pełna ludzi, których miał zapamiętać na zawsze, robiących i mówiących rzeczy, które miał zapamiętać na zawsze, w miejscach, które miał zapamiętać na zawsze. Kryła piękno, śmiech i miłość, strona po stronie piękna, śmiechu i miłości, i znienawidził ją za to.

Czyż nie dał jej wszystkiego? Czyż nie wziął tej dziewczynki ze wsi, nie ofiarował jej swojego łóżka, nazwiska i dostępu do świata, którego nigdy sobie nawet nie wyobrażała, ubrań i samochodów, dobrego jedzenia i dobrego wina, i okazji, by została matką jego synów? A wszystkim, co miała zrobić w zamian - co musiała zrobić - było kochać go i pomóc mu odzyskać to, co utracił.

Ale zawiodła i zamiast otworzyć mu drogę do tworzenia, postanowiła sama coś napisać. Co gorsza, coś nowego, świeżego, oryginalnego i młodego, tego wszystkiego, czym on nie był. Dała mu w twarz jego własną porażką, sypała sól na rany, śmiała się z niego, karmiła się tym i czyniła to swoim, jak wampir. To wydawało się ohydne, niewybaczalne i nienawidził jej za to.

Kiedy pan Valdes zamknął teczkę i wyłączył światło, od świtu dzieliły ich nadal dwie godziny. Zostawił pałasz oparty o krzesło i poszedł do łóżka. Nienawidził Cateriny i dlatego jej pragnął. Nie chciał się z nią kochać ani nawet uprawiać z nią seksu, pragnął rzucić się na nią jak pożar, jak straszliwe trzęsienie ziemi, które wstrząsa zboczami gór, lasami i pastwiskami, pozostawiając po sobie gołe skały, jałowe przez pokolenia.

Nawet to mu odebrała. Powinna leżeć tam skąpana w promieniach księżycy padających na bladą skórę jak bohaterka jednego z ogromnych romantycznych obrazów olejnych, artystycznej pornografii udającej ilustrację mitu, jak Danae czy Leda, jak Andromeda przykuta do skały i wijąca się w oczekiwaniu na przybycie potwora. Ona jednak spoczywała na boku jak mała dziewczynka, z otwartymi ustami, włosy otaczały ją swawolnymi falami, każda część jej ciała była kusząco zaokrąglona, a migotliwy blask ulicznych świateł, pomarańczowych, czerwonych, białych i zielonych, padał na nią jak anielskie pocałunki. I te usta, te wargi, jej oszałamiające, nieprawdopodobne piersi, różowe sutki, a ponad tym wszystkim wciąż ten blady, elektryczny blask piękna otaczający każdy cal jej ciała, kłębiący się niczym butelka lejdejska pełna kobr.

Widząc ją, pan Valdes zmienił zdanie. Wślizgnął się do łóżka, próbując jej nie obudzić, ale ona poruszyła się i wyciągnęła do niego rękę.

- Gdzie byłeś? Czekałam. Musiałam usnąć. Która godzina?

- Środek nocy. Śpij dalej.

Położył się na boku, odwrócony do niej plecami, ale ona przytuliła się do niego i wyciągnęła ręce, dotykając go, całując delikatnie w kark i w uszy, przeciągając czubkami palców po piersi, mruczając do ucha, dotykając go i zachęcając.

Lecz on ją zignorował, ścisnął pościel pod brodą jak dziewica, leżał zimny jak marmurowa figura na grobowcu, sztywny, choć nie wszędzie.

- Dobranoc, Chano - powiedziała. - Bardzo, bardzo cię Kocham.

Poddała się i odwróciła na drugi bok.

Pan Valdes leżał przez długi czas, nasłuchując odgłosów z alei, westchnień przejeżdżających samochodów, od czasu do czasu syreny przybliżającej się, mijającej go i oddalającej się, i wiedział, że Caterina spoczywa obok niego, udając sen i wymyślając historie o tym, gdzie

kierowała się syrena, o skorumpowanych policjantach albo bohaterskich policjantach, o młodych dziewczynach umierających w karetce, krwi tworzącej kałużę na podłodze, o ich kochankach gangsterach, o bliskich, których pozostawiły, wypełniając wszystkie luki, przędąc historie na długiej nici, splatając je razem. Próbował zrobić to samo. Leżał w ciemnościach, goniąc opowieści jak cierpiący na bezsenność goni sen, ale żadna nie nadeszła. Ona je wszystkie zabrała. Jego historie zniknęły, a teraz seks także. Dwie rzeczy, które umiał robić bardzo dobrze, a ona je zniszczyła. Połknął ją w całości, uważając za lekarstwo, a ona przez cały czas była trucizną.

Tak wiele objawień zebrało się przed nim. Wszystkie sposoby, na jakie go zwodziła, zaczynając od dnia, kiedy powiedziała: „A nie wolałby pan...?”. Dobry Boże, jak mógł być taki głupi? Dlaczego się na to nabrał? Rzuciła się na niego, a później wycofała. Sposób, w jaki dała się zaciągnąć do łóżka za cenę linijki w jego notatniku. W jaki zmusiła go, żeby zażądał, by go poślubiła. Sposób, w jaki zmusiła go, żeby ją do tego zmusić. Całe to niewinne ociąganie się.

Zanim pan Valdes poszedł spać, uznał, że z nią skończy. Rano powie jej, że to już koniec - nie w najłagodniejszy, rzeczowy sposób, w jaki w przeszłości kazał odejść innym swoim kobietom. Nie miał zamiaru brać winy na siebie, żadnych usprawiedliwień z gatunku: „Kochanie, to nie przez ciebie, to ja mam problem”. Nie, to musiało być krótkie i brutalne, zamierzał wyraźnie dać do zrozumienia, że to bez żadnej wątpliwości jej wina. Chciał wyłożyć przed nią, jak ją przejrzał. Powiedzieć jej, że nie ma powrotu po tej scenie w ogrodzie. Nie pozwoli, by ktokolwiek oskarżał go w taki sposób. Nie ścierpi obelg od jakiegoś dzieciaka. Nie, mama miała rację od pierwszego słowa, kiedy powiedziała: „Wiesz, że ona pragnie jedynie twoich pieniędzy”. Mama zawsze miała rację, a niech ją diabli, a jednak on ją bronił, wypowiadał się w jej imieniu. To przecież oczywiste. Co za głupota.

Rano z nią skończy. Właściwie powinien zrobić to teraz. Usiadł i odwrócił się do niej, ale łóżko było puste, a pokój wypełniało światło.

Kiedy pan Valdes wszedł do pokoju, Caterina siedziała przy jego biurku z tym pałaszem u boku jak alegoryczna figura. To był dziwny obraz, oboje nadzy i prosto z łóżka, on nieogolony i z paskudnym posmakiem w ustach, ona siedząca na tym krześle, wspaniale na nim usadowiona, włosy ściągnięte w kucyk gumką, którą ukradła z biurka, z pałaszem spoczywającym przy nodze krzesła. Nie wyglądałaby nie na miejscu, gdyby odlano ją w brązie i pozostawiono na trawniku Academia Maritimo - która wciąż przyjmowała studentów mimo braku wybrzeża - jako uosobienie edukacji morskiej. Nie słyszała jego nadejścia. Myślała, że nadal śpi.

- Co robisz? - spytał.

Caterina szybko poruszyła dłonią i zobaczył, że napięła ramiona.

- Chano, przestraszyłeś mnie. - Odwróciła się do niego z wymuszonym uśmiechem.

- Co robisz? - powtórzył.

- Nic takiego.

Głupia dziecinna odpowiedź, która tylko go zirytowała i potwierdziła wszystkie decyzje.

- Caterino.

- Czasem jesteś bardzo niegrzeczny, Chano.

- Nie wiem, skąd ten zarzut. Zapytałem cię całkiem uprzejmie, co robisz, a ty z jakiegoś powodu odmówiłaś mi odpowiedzi. Sądzę, że to ty zachowujesz się niewłaściwie. Jesteś wobec mnie równie niegrzeczna co wczoraj, kiedy oskarżyłaś mnie, że ukradłem twoje opowiadanie.

- Już za to przeprosiłam, prawda? Chano, nie rób mi wykładów. Nie odzywaj się do mnie, jakbym była na twoich zajęciach. Chcesz, żebym znów się kajała, tak? Z chęcią rozpocznę każdy dzień kolejnymi przeprosinami, jeśli cię to uszczęśliwi. To wszystko, czego pragnę.

Pan Valdes już zdecydował, że Caterina nie będzie miała okazji nacieszyć się tym szczególnym przywilejem. Żadnego „rozpoczynania każdego dnia”. Nie z nią. A jednak nie powiedział jej. Cofnął się przed rzuceniem jej tego w twarz, mimo lodowatej przyjemności, jaką by mu to dało.

- Oszczędź mi tego - powiedział jedynie. - Chcę tylko prawdy. Po prostu powiedz mi, co robiłaś!

Kiedy to mówił, przeszedł od drzwi do biurka, a ona znów zrobiła szybki ruch rękami, lecz tym razem, by odsunąć dłonie od blatu, by pokazać mu, że nie ma czego oglądać.

- Zadowolony? Nic takiego. Czytałam po prostu swoją książkę.

- Nie robiłaś tego wcześniej?

- Tak. A ty?

Nic nie odpowiedział. Oczywiście, że ją przeczytał i się w niej zakochał, i dlatego nienawidził Cateriny, ale nie był w nastroju, by się do tego przyznać. Czubkiem palca odsunął zniszczoną szarą teczkę odrobinę w bok.

- Lepiej się ubiorę - stwierdziła. - Buziak?

Pocałował ją szybko i podejrzliwie, a kiedy nie kontynuował, wstała z krzesła i odeszła.

Pan Valdes nie podążył za nią. Wydawało mu się, że ubieranie się razem stanowiło czynność równie intymną, co rozbieranie, i czas na to minął.

Tak czy inaczej, bał się. Równie mocno, co wtedy w ogrodzie z Camillem. Kiedy odsunął teczkę Cateriny na bok, zauważył pod nią okładkę własnego notatnika i wiedział od razu, co ukrywała.

Otworzył brulion. Przeczytał: „Chudy żółty kot przeszedł przez drogę i wślizgnął się do burdelu, gdzie miał nadzieję zostać podrapany po brzuchu przez śliczną Angelę” i przypomniał sobie te wszystkie żalosne kłamstwa, które jej o tym opowiedział, jak spędził całą noc na pisaniu, kiedy zostawił ją samą w łóżku, nie dotykając jej, że to przypominało pękającą tamę. Jak słowa się z niego wylewały. I oto one. Powód, dlaczego siedział sam przy biurku, choć mógł być z nią.

Kupił ją za „chudego żółtego” i obietnicę przychodzącego kota, a teraz, po tym całym czasie, pojawiło się - pan Valdes położył palec na kartce i zaczął liczyć - zaledwie piętnaście słów więcej. I w tym samym momencie, kiedy skończył liczenie, zauważył pojedynczy włos leżący na papierze, długą i błyszczącą nić, która z całą pewnością nie należała do niego. Zobaczyła to. Wiedziała.

- Czas iść - powiedziała. Była ubrana, a kiedy stanęła obok niego, zauważyła odkrytą kartkę.

Nie podnosząc wzroku znad notatnika, pan Valdes stwierdził:

- Przeczytałem twoją książkę. Dobra. A ty moją?

Caterina wyciągnęła rękę i położyła mu ją na ramieniu.

- Przeczytałaś? - powtórzył.

Straszliwie się bała. Przed wieloma tygodniami Erica powiedziała, że spotkanie z L.H. Valdezem przypominało noc w zamku Sinobrodego, ale sednem opowieści była sekretna komnata pełna krwi. Kiedy Caterina przeczytała to zdanie, zrozumiała wszystko. Wiedziała, że nie ma więcej. Zajrzała do sekretnej komnaty Chano i miała ochotę zacząć krzyczeć.

- Tak, przeczytałam ją.

Podniósł ten jeden włos z kartki i uniósł go, ściskając między dwoma palcami, przed jej twarzą.

- Przynajmniej mnie nie okłamałaś - rzucił.

- Nigdy cię nie okłamałam. I nigdy tego nie zrobię, i teraz też mówię ci prawdę. - Wciąż unosił przed nią włos jak oskarżenie. Odepchnęła jego dłoń. - Taka jest prawda, Chano. Będzie lepiej. Mnie też czasem zdarzało się utykać na całe tygodnie. Będzie lepiej. Wrócę do ciebie dziś wieczorem, znów pójdziemy do łóżka, a ty zaczniesz pisać. Będzie lepiej. Obiecuję. Będzie lepiej, jeśli pozwolisz mi się kochać.

- Wyjdź - powiedział.

- Dobrze. Ale wrócę dziś wieczorem i będę cię kochać. - Wybacz mi, że nie odprowadzę cię do drzwi. Chyba jestem całkiem nagi.

- Jak prawdziwi kochankowie - powiedziała. - Zawsze powinniśmy być całkiem nadzy przed sobą nawzajem, a poza tym tobie z tym do twarzy.

Pocałowała go, tylko raz, lekko w pierś i przez chwilę trzymała w tym miejscu dłoń. Kiedy nie zareagował, odeszła.

- Wrócę wieczorem - powtórzyła. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

Pan Valdes siedział przez chwilę przy biurku, spoglądając na powieść Cateriny i swoją własną, nasłuchując odgłosów pustego mieszkania i hałasu kurzu opadającego każdego dnia przez kolejne czterdzieści lat.

Kiedy był pewien, że sobie poszła, wstał, żeby to sprawdzić. Zbliżył się do drzwi i odkrył, że są zamknięte. Sprawdzał za płaszcami wiszącymi w ciemności, przeszukał każdy pokój, otworzył każdą szafkę, żeby udowodnić samemu sobie, że dom jest pusty, a wtedy wrócił do biurka, podniósł telefon i wybrał numer.

Po jakimś czasie powiedział:

- Halo? Commandante Camillo? Tu Valdez. W sprawie tej dziewczyny, o której pan mi wczoraj mówił.

- Tej, z której nie miałeś zamiaru rezygnować - powiedział Camillo.

- Spała tu tej nocy - stwierdził Valdez.

- Nie okłamuj mnie. Była z Cochrane'em.

- Może najpierw, nie wiem, ale później przyszła tutaj. Może pańscy szpiedzy nie są tak świetni, jak pan sądzi.

- Zajmę się tym. Dlaczego pan mi to mówi?

- Ponieważ wyznała wszystko. Powiedziała mi o spisku bombowym.

- I Cochrane też? Pan Valdez się zawahał.

- Tak, o doktorze Cochrane też. Było dokładnie tak, jak pan mówił. Poczułem, że mam obowiązek to zgłosić. Kocham mój kraj.

- Och, nigdy w to nie wątpiliśmy.

- Aresztujecie ją? Camillo się rozłączył.

Pan Valdez podszedł do garderoby, żeby wybrać garnitur. Musiał zanieść do banku czek na sporą kwotę.

Pan Valdes nie był potworem. Kiedy Caterina nie wróciła tamtego wieczora, choć aż do północy czekał na nią na swojej skórzanej sofie z chromowanymi dodatkami, odczuł to boleśnie. Podszedł do biurka i zapalił lampę. Z tyłu, w jednej z przegródek wypełnionych znaczkami i rachunkami, listami od głupiutkich pensjonarek i jeszcze głupszych profesorów, znalazł jej zdjęcie - jedyne, które zrobił tamtego dnia na cmentarzu, z rozczochranymi włosami, dumnie uniesioną brodą i tym spojrzeniem mówiącym: „Widzę cię. Znam cię. Rozumiemy się nawzajem, ty i ja”. Na fotografii nikt jej nie towarzyszył, ale pan Valdes wiedział, że on też na niej jest, z nią. Zrobił to zdjęcie. Trzymał aparat. Stanowił część całej sceny. Może gdyby przyjrzał się uważniej, dostrzegłby siebie odbitego w tych oczach, jak artysta, który maluje swoje odbicie w lustrze pośrodku obrazu. „Widzicie? Myślicie, że to wasz obraz, obraz, który was przedstawia. Nie. Jest mój”. Znowu przeczytał fragment jej powieści. To go pocieszyło. Dzięki temu poczuł, że ona wciąż znajduje się blisko. I przyznał wobec samego siebie, że już nie wróci. Płaczem utulił się do snu.

A kiedy doktor Cochrane nie pojawił się na wykładach, kiedy nie pokazał się w klubie, jego miejsce w Feniksie pozostało puste, a ojciec Gonzalez prawie oszalał ze smutku, wszyscy widzieli, że Valdeza poruszyło to równie mocno.

Coś ciemnego i zimnego sięgnęło do ich malutkiego kręgu i w nocy pochwyciło jednego z nich. To była obelga dla nich wszystkich jako dla mężczyzn. Czuli, że powinni odpowiedzieć ciosem za cios. Gdyby tylko wiedzieli, gdzie uderzyć. Gdyby się odważyli. Zamiast tego wściekali się, bali, zastanawiali się, kto następny i czy to będą właśnie oni, i mieli pewności, że nikt by im nie pomógł.

Ojciec Gonzalez próbował. Poszedł na policję i zgłosił zaginięcie Cochrane'a. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Przez tydzień codziennie wypełniał nowe formularze. Cały czas się modlił. Odprawiał msze w tej intencji, a w końcu wrócił na posterunek i oskarżył ich. Zatrudnił adwokata i poprosił pozostałych o pomoc w opłaceniu go. Valdez wykazał się szczególną szczodrością.

Krok po kroku Valdez otrząsał się ze straty, aż w końcu poczuł się wystarczająco silny, by odwiedzić dom Ottavio.

To był cudowny wieczór. Nawet wtedy, po sześciu tygodniach, ludzie wciąż rozmawiali o jego fantastycznym opowiadaniu w „Salonie”.

- Dziękuję - powiedział, popijając drugiego jaskrawego gimleta. - Skoro już o tym mowa, właśnie ukończyłem powieść. Trafiła do wydawcy. Jeśli wolno mi tak samemu powiedzieć, to całkiem oryginalny pomysł... ale więcej nie zdradzę. Nie chcę wam psuć zabawy.

Czuł się szczęśliwy. Wieczór był ciepły. Gwiazdy wisiały na niebie jak naszyjnik contessy i nic nie popsuło mu nastroju, nawet kiedy ta ciemnoskóra dziewczyna, która tak sepleniała, rzuciła mu się na szyję i powiedziała:

- Napisałam coś, co chciałabym panu pokazać. Uścisnął jej tyłeczek i odparł:

- Och, nie masz pojęcia, jak bardzo pragnę to zobaczyć. Wsuń to pod poduszkę, kochanie. Obejrzę później.

Czuł się szczęśliwy. A wtedy lampy w ogrodzie zamigotały na wietrze i na krześle obok usiadł Camillo.

- Minęło trochę czasu - powiedział policjant i przechylił szklanekę. - Chciałbym podziękować panu za wszelką pomoc w tej nieprzyjemnej kwestii. Muszę dodać, że ludzie w stolicy są bardzo wdzięczni. Pańska patriotyczna pomoc została zauważona. Dobrze się pan miewa?

- Doskonale - odparł Valdes.

- A pańska matka?

- Promienieje. Spotykamy się prawie codziennie.

- Dobry z pana syn. Muszę przyznać, że trochę się o pana martwiłem, ale myliłem się. Pochodzi pan z dobrej rodziny.

I wtedy policjant zaczął opowiadać historię. Jak dwaj jego najbliżsi i najbardziej zaufani współpracownicy udali się wczesnym rankiem do starego doktora Cochrane'a. Że stary był pijany, kłótlivy i śmierdział brandy. Próbował zacząć bójkę. Musieli go aresztować. Nie mieli wyboru. I dziewczynę też, ale później, jakże to smutne, oboje próbowali uciec z obiektu, w którym ich przesłuchiowano i, cóż, coś takiego mogło się skończyć tylko jednym. Nikt nie ucieka. Nikt nigdy nie uciekł.

- Czy mówili?

- Nie, ani słowa. I, proszę mi wybaczyć, ale pytaliśmy ich o pana. Nie mieli nic do powiedzenia. Milczeli. Dziwne, że ona wyznała wszystko panu, ale nam nic.

- To normalne - odparł Valdes. - Mnie wyjawiała to, co ciążyło jej na sumieniu. W pańskim wypadku stawka była nieco wyższa.

Z zadowoleniem zauważył, że dar tworzenia opowieści powrócił.

- Może i tak. Ale nie mówili. A później, pod koniec, w nocy, kiedy uciekli, powiedziała coś dziwnego.

Pan Valdes nie skomentował. Przypomniawszy sobie, jak siedział na placu nad Merino i ponad wszystko pragnął, by doktor Cochrane się nie odzywał, próbował nie okazywać po sobie ani odrobiny zainteresowania, ale słowa i tak nadchodziły.

- W nocy, kiedy - Camillo przerwał i pociągnął łyk ze szklanki - uciekli, ona powiedziała do niego, że cieszy się z jego obecności. Że dzięki temu czuje się dzielna. Oszalała na jego punkcie. Dobrze pan zrobił, że się pan z nią rozstał. Wie pan, nosiła jego dziecko.

- Skąd pan to wie? - spytał Valdes piskliwym głosem. Ale, znał już odpowiedź i nie chciał jej słyszeć.

- Och, przesłuchania. Czasem bywają... - kolejny łyk - dość energiczne.

Ta straszliwa chwila miała dręczyć umysł pana Valdesa przez wiele tygodni, wywołując koszmary senne. Noc po nocy budził go płacz dziecka. Kiedy włączał światło, nikogo nie było. Ani jego syna, ani wnuka, którego obiecał. Zamówił nowe łóżko i materac, nakrył je świeżo kupioną pościelą, prosto z paczki, żeby nie pozostał żaden ślad Cateriny, cień zapachu, włos ani płatek skóry, ale tej nocy dziecko znów płakało.

Włączył światło. Szloch ucichł. Zapalił lampy przy drzwiach, w korytarzu, w salonie oraz na biurku i znów odnalazł zdjęcie Cateriny. Pan Valdes wziął je w obie dłonie tak, że jego kciuki się stykały, gotów je rozerwać. Ale zawahał się. Wyglądała dokładnie tak samo. Nic nie wskazywało na to, że nie żyje. Nic się nie zmieniło. I taką miała pozostać na zawsze.

Pan Valdez odnalazł pałasz dziadka, wyjął go z pochwy, po czym bardzo delikatnie i ostrożnie stanął przy ścianie, a następnie przycisnął klingę do listwy przypodłogowej. Krawędź tapety odsunęła się. Drewno zaczęło się ruszać. Odsunęło się od ściany na grubość ostrza. Pan

Valdez ukląkł i wrzucił zdjęcie Cateriny w powstały otwór. Poszedł do stołu w jadalni i wziął trzy płatki, które upadły na blat z wazonu. Umieścił je razem ze zdjęciem. Wsunął pałasz do pochwy i przycisnął listwę z powrotem. Później życie zrobiło się trochę lepsze.

Stopniowo powróciła normalność. Dziecko przestało płakać. Pan Valdez przesypiał całe noce w swoim nowym łóżku. Raz w tygodniu, a później czasem nawet dwa razy, znajdował czas na odwiedziny Marii Marrom.

Pewnego dnia, niedługo po spotkaniu z Camillem, pan Valdez wstał, poszedł do łazienki i po spojrzeniu w lustro uznał, że czas zapuścić wąsy. Marii bardzo się podobały.

Jego nowa powieść ukazała się drukiem i krytycy oszaleli. Wszyscy zgadzali się, że Ukryte krajobrazy Alfonso Barroso nie przypominają niczego, co kiedykolwiek napisał, były tak oryginalne, tak świeże, tak pełne życia - prawie jak nowy kierunek.

W rzeczy samej, książka okazała się takim sukcesem, że pani Sophia Antonia de la Santísima Trinidad y Torre Blanco Valdez uznała, że powinna ją sama przeczytać. Spodobała jej się tak bardzo, że postanowiła zapoznać się ze wszystkimi, które miała na półce, zaczynając od pierwszej.

Niemal dokładnie w chwili, kiedy usiadła z Wściekłym psem z San Clemente, stary mężczyzna szedł niepewnym krokiem po trapie promu przez Merino, niosąc tort urodzinowy. Przybył na poszukiwanie przyjaciela.